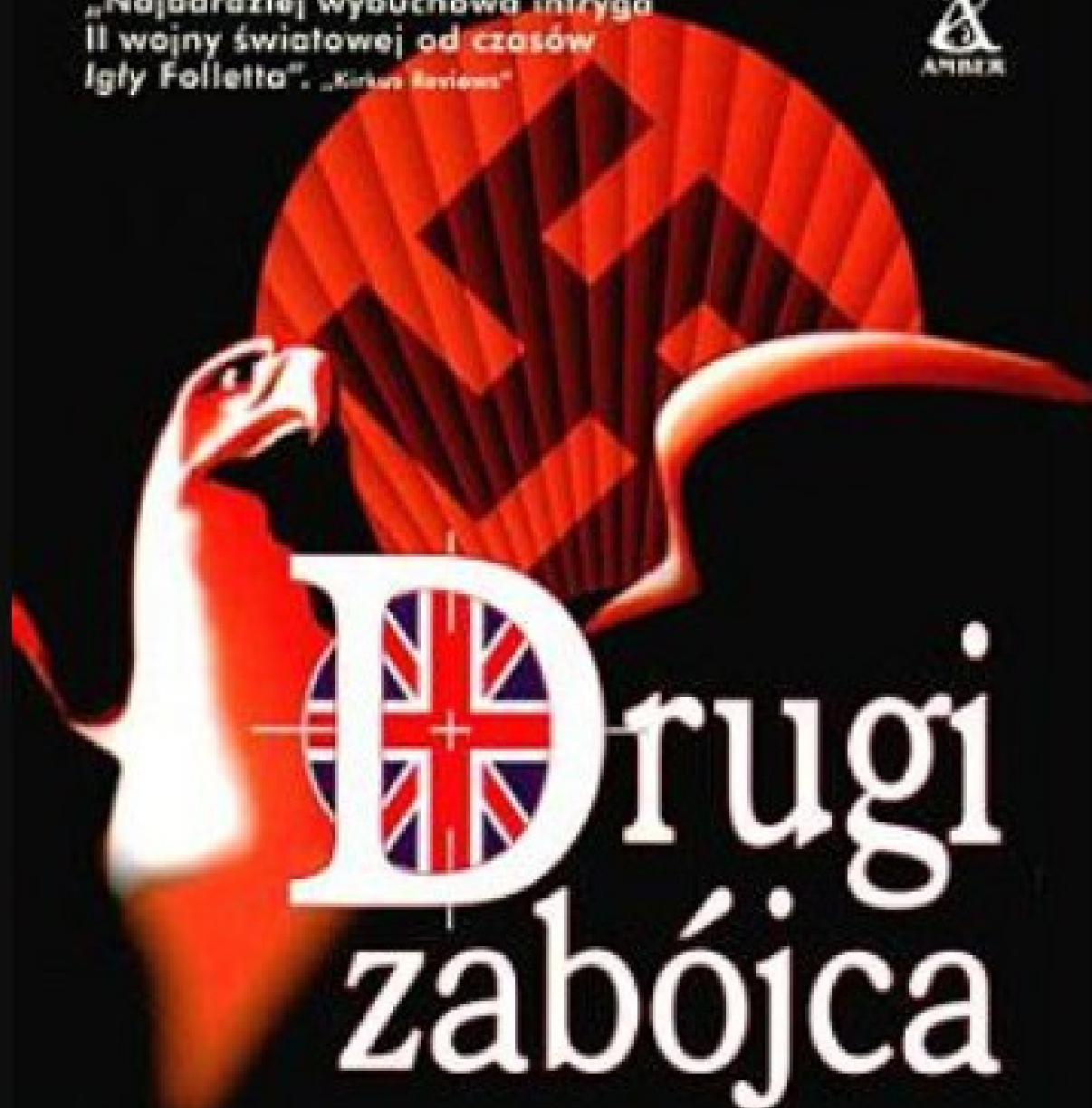


CHRISTOPHER HYDE

„Najbardziej wybuchowa intryga
II wojny światowej od czasów
Igły Folletta”. „Książki Review”



D rugi zabójca

CHRISTOPHER HYDE

DRUGI ZABÓJCA

Przekład Dariusz Ćwiklak



Prolog

9 października 1934 roku, wtorek

Siedział przy oknie w zaciemnionym pokoju na piątym piętrze marsylskiego hotelu Louvre et Paix i przez szczelinę w ciężkich zielonych storach cierpliwie obserwował z góry aleję. Podniósł rękę do światła i zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta po południu. Tłumy gromadziły się na szerokich chodnikach wzdłuż rue Canabiere już od południa. Wszyscy oczekiwali jugosłowiańskiego króla Aleksandra Karadziordziewicia, który składał właśnie pierwszą oficjalną wizytę we Francji.

Zgodnie z informacjami podanymi na pierwszej stronie „Le Petit Provençal”, król miał przybyć do Marsylii na pokładzie krążownika „Dubrovnik”, a następnie w królewskim orszaku przejechać przez rue Canabiere i wjechać pod górę na dworzec kolejowy St Charles. Tam czekał bogato wyposażony pociąg, który miał go zabrać do Paryża na wielkie przyjęcie, szykowane tego wieczoru w Wersalu.

Człowiek w pokoju hotelowym wstał, zrobił krok do przodu, otworzył wysokie okno i uchylił prawe skrzydło o kilka centymetrów. Z chodników poniżej dochodził gwar rozentuzjasmowanego tłumu. W oddali słyhać było nikły odgłos wojskowej muzyki granej gdzieś u podnóża góry. Aleksander w końcu przybył. Zostało niewiele czasu. Odwrócił się od okna i podszedł do szafy przy łóżku.

Otworzył pokryte grubą warstwą politory drzwi, wyjął niewielką walizkę i skórzaną torbę golfową. Z torby wyciągnął broń, którą wybrał do tego zadania - szwajcarski karabin M1931 Schmidt-Rubin z pryzmatycznym celownikiem optycznym Zeissa o ośmiokrotnym

powiększeniu, również szwajcarskim. Broń ta bez celownika była standardowym wyposażeniem szwajcarskiej armii i gwardii papieskiej w Watykanie.

Karabin i celownik kupił od pewnego dyskretnego rusznikarza w Paryżu. Do Marsylii przywiózł broń pociągiem, rozłożoną i ukrytą w torbie. Przed tygodniem wynajął w Agence Centrale przy ulicy Prado sfatygowane renault. Oficjalnie po to, by wybrać się na kilka partii golfa na pole w Cannes-Mandelieu, a tak naprawdę, by gdzieś w prowansalskich lasach wyregulować celownik Zeissa.

Zaniósł walizkę i torbę do krzesła pod oknem. Położył karabin na kolanach, a walizkę na szerokim parapecie. Odpiął paski i otworzył wieko. Najpierw wyjął parę czarnych wełnianych pończoch wypełnionych luźno piaskiem, który zbierał od kilku dni, przechadzając się nadmorską promenadą.

Ułożył wypełnione piaskiem pończochy na parapecie i wyjął z walizki dwudziestocentymetrowy skórzany cylinder. Wysunął z niego tłumik maxim model 15 o średnicy jednego cala, nałożył na lufę karabinu i umocował szeroką śrubą na dole.

Z tłumika maxima po raz pierwszy mogli skorzystać snajperzy w 1916 roku podczas karnej wyprawy Pershinga do Meksyku, ale mimo upływu prawie dwudziestu lat wciąż był najlepszy. Dwadzieścia przegród w metalowej rurce sprawiało, że odgłos wystrzału przypominał pęknięcie papierowej torby albo ciche trzaśnięcie drzwiami. Nie bez znaczenia był też fakt, że tłumik znacznie ograniczał błysk z lufy przy wystrzale - dodatkowe zabezpieczenie na mało prawdopodobną okoliczność, by ktoś w chwili strzału patrzył akurat w kierunku snajpera.

Człowiek w hotelu znów sięgnął do walizki i wyjął sześciostrzałowy magazynek, po czym ostrożnie przypiął go do

karabinu. Wsunął palec wskazujący lewej ręki w duży pierścień na końcu bezpiecznika, delikatnie go odciągnął i obrócił w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Broń została odbezpieczona. Ostrożnie położył ją na krześle.

Podszedł do okna i wyjrzał jeszcze raz. Gwar narastał, wielu gapiów machało francuskimi i jugosłowiańskimi flagami. Co metr, pół metra rozstawiono policjantów w granatowych mundurach zwykłych żandarmów, a nie w ciemniejszych uniformach lepiej wyszkolonych i lepiej uzbrojonych oddziałów Gardiens de la Paix.

Dwie przecznice dalej, po drugiej stronie szerokiej brukowej alei zauważył wielki znak nad płócienną markizą w biało-niebieskie pasy osłaniającą wejście do hotelu Bristol. Przed wejściem łączyły się tory tramwajowe biegnące po obu stronach ulicy. Skrzyżowanie w kształcie litery Y znajdowało się dokładnie o sto siedemdziesiąt pięć metrów od jego miejsca przy oknie. Odmierzył ten dystans kilkakrotnie, przechadzając się po ulicy. Potem wyznaczył odległość do okna na piątym piętrze i uwzględnił spadek terenu między dwoma hotelami.

Wziął jedną z pończoch wypełnionych piaskiem i położył ją ostrożnie na parapecie w miejscu zaznaczonym niewielką rysą, którą zrobił podczas jednej z prób. Drugą pończochę ułożył na oparciu krzesła. Wreszcie podniósł karabin i położył go na podkładkach. Pończocha na parapecie podpierała środek lufy, na drugiej wsparła się kolba karabinu. Tłumik na końcu lufy wystawał nie więcej niż siedem centymetrów przez wąską szczelinę w otwartym oknie. Ani z dołu, ani z naprzeciwka nikt nie zauważy karabinu kryjącego się w mroku pokoju.

Oparł prawe kolano na siedzeniu krzesła, pochylił się, dotknął policzkiem kolby i zagiął palec wskazujący na spuście. Zmrużył oczy

i zerknął przez celownik. Wyregulował ostrość. Bruk na skrzyżowaniu torów w kształcie litery Y pojawił się tak, jakby znajdował się zaledwie o kilka metrów. Kreski celownika wskazywały punkt nieco ponad sto osiemdziesiąt centymetrów nad poziomem ulicy.

Zachmurzone październikowe niebo było monotonicznie szare. Nawet najmniejszy powiew nie poruszał liśćmi ozdobnych drzew rosnących z obu stron alei. Doskonała pogoda do strzału. Oddychając powoli, naturalnym rytmem, nacisnął lekko spust, wyczuwając pierwszy punkt oporu. Czekął, aż pojawi się cel.

Człowiek, który czekał w ciemnym hotelowym pokoju, by zabić króla, wyglądał jak ktoś z południowych hrabstw Irlandii - Cork, Waterford czy Kerry. Urodził się w Kerry, w małej zniszczonej wiosce Drumdean, położonej w zimnym cieniu ponurych, niedostępnych gór McGillicuddy Reeks.

Nazywał się John Bone - bez drugiego imienia ani inicjału - dość niezwykle jak na katolickie Kerry na przełomie stuleci. Jego ojciec był rolnikiem, matka prała pościel w pobliskim hotelu i dorywczo zajmowała się krawiectwem. John Bone miał pięć siostr i jednego brata, ale żadne z nich nie dożyło pełnoletności. John urodził się ostatni i jako jedyny z rodzeństwa przeżył. Matka zmarła na gripę, nim ukończył dziesięć lat, a ojciec pożegnał się z życiem niewiele później, zostawiając Johna na pastwę drapieżnego miejscowego księdza, który zrobił z niego kuchennego posługacza.

W wieku dwunastu lat, kiedy z jego twarzy zniknął rumieniec dzieciństwa, John Bone trafił do jezuickiego sierocińca. Po czterech latach klasycznej edukacji uciekł stamtąd i przyłączył się do republikanów w 1916 roku, gdy wybuchło powstanie wielkanocne. Ten skazany na niepowodzenie zryw zakończył się zgodnie z

przewidywaniami i w tragicznie irlandzki sposób, pogrzebany w gruzach dublińskiej Poczty Głównej przy O'Connell Street, a za głowę Johna Bone'a wyznaczono nagrodę w wysokości pięciuset funtów.

Dwa lata później wciąż cieszył się wolnością. Miał dziewiętnaście lat i doskonale strzelał z długolufowej strzelby Krąg, która szczególnie mu odpowiadała. Cena za jego głowę wzrosła trzykrotnie. John Bone nie widział dla siebie przyszłości w kraju i nie zamierzał poświęcać się dla Sprawy, ani tym bardziej występować w roli męczennika, uciekł więc z Irlandii, ale wcześniej wziął udział w tak zwanej krwawej niedzieli Michaela Collinsa, kiedy to czterestu oficerów brytyjskiej armii stacjonujących w Dublinie wywleczono z łóżek i zabito w obecności ich rodzin.

Irlandzki akcent i znajomość dzieł Katullusa były bardziej przeszkodą niż atutem w staraniach o pracę, więc Bone nadal służył jako najemnik, doskonaląc umiejętności zabójcy. Okazji do pracy nie brakowało. W pogoni za nią zjeździł cały świat: od wojen w Afryce po powstanie w Afganistanie, a potem za ocean, gdzie w Meksyku trwała wojna domowa.

W 1928 roku był już w Brazylii, potem podróżował po całej Ameryce Południowej i Środkowej, oferując swoje usługi wszystkim, którzy ich potrzebowali, i biorąc stronę tych, którzy byli w stanie najwięcej zapłacić. Kuba w 1931 roku, rok później wojny Chaco, potem Nikaragua, Urugwaj i znowu Kuba w 1933 roku. Poza technikami zabijania nauczył się pilotować niewielkie samoloty, obchodzić się z większością materiałów wybuchowych. Potrafił też wytropić swoją ofiarę - człowieka czy zwierzę - w każdym terenie, nawet w najgęstszej dżungli.

Z czasem i przebytą drogą zatracił irlandzki akcent, a Drumdean i swoją przeszłość wspominał tylko w snach, które szybko odchodziły

w niepamięć. Mówił płynnie po hiszpańsku, dobrze po francusku, a jeśli było trzeba, potrafił się dogadać i po włosku.

Teraz, w wieku trzydziestu czterech lat John Bone rozumiał, że zbliża się do szczytu swoich możliwości i wraz z upływem lat refleks i oko będą coraz bardziej zawodne. Wiedział, że w końcu go zdradzą. Mieszkał skromnie i oszczędnie w Hawanie, odkładając większość pieniędzy. Jeszcze pięć lat i będzie miał dość bezpiecznych inwestycji, by przejść na emeryturę i wieść stosunkowo beztroski żywot. Podniósł wzrok znad celownika i nasłuchiwał rosnącego gwaru tłumów zgromadzonych wzdłuż Canabiere. Pięć lat? Równie dobrze może zginąć za pięć minut.

O szesnastej piętnaście pojawili się pierwsi członkowie orszaku - ośmiu konnych w paradnym umundurowaniu, łącznie z szablami. Za nimi powoli toczyła się pod górę otwarta limuzyna, mercedes-benz kurz z szerokimi podestami po bokach i ozdobnymi drzwiami. Z przodu, obok umundurowanego kierowcy, jechał generał Alphonse Georges, słynny francuski bohater wojenny. Z tyłu, bezpośrednio za generałem, siedział król w galowym mundurze jugosłowiańskiego komandora marynarki, a obok, w oficjalnym dziennym garniturze, białobrody francuski minister spraw zagranicznych Louis Berthou.

Dokładnie w chwili kiedy mercedes podjechał na wysokość wejścia do hotelu Bristol, wspólnik Johna Bone'a, chorwacki fanatyk o czerwonej twarzy zwany Veliczko, wskoczył na podest królewskiego auta z wielkim automatycznym mauserem w dłoni. Zaczął strzelać jak oszalały, mierząc w króla. Nie miał pojęcia, że na żądanie ochrony Aleksander tak jak zwykle pod mundurem miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Niemal przypadkiem dwie kule trafiły króla w szyję i twarz.

Ignorując całkowicie króla, Bone przesunął nieco lufę i

wycelował w Berthou, antynazistowskiego szefa MSZ. Pociągnął za spust. Kolba karabinu odbiła w bark. Nie spuszczać oka z celownika, Bone zobaczył, jak ciężki pocisk przebija krtań, a śnieżnobiłą brodę pokrywają bryzgi ciemnoczerwonej krwi. Berthou odruchowo złapał się rękoma za szyję. Bone strzelił po raz drugi, tym razem wysoko w klatkę piersiową ministra. Oba strzały były zabójcze i Bone wiedział, że wykonał główne zadanie.

Przesunął lufę karabinu delikatnie w lewo i ze zdumieniem zobaczył, że Veliczko wciąż stoi na podeście samochodu, ale już nie ma kul w mauserze. Jeden z konnych ochroniarzy walił go szablą w głowę, Veliczko zasłonił się uniesionym ramieniem. Ludzie biegli we wszystkie strony, policjanci próbowali powstrzymać tłum. Bone'owi mignęła nawet sylwetka kamerzysty, który nagrywał wszystko na taśmę filmową.

Król opadł na tył siedzenia. Z głowy i szyi płynęła krew. Bone strzelił trzeci raz i obserwował, z jaką siłą pocisk uderza w klatkę piersiową Veliczki. W spisek na życie Aleksandra zamieszanych było kilka innych osób, ale tylko Veliczko bezpośrednio kontaktował się z Bone'em.

Zadanie zostało wykonane i uciszony jedyny świadek, który mógł powiązać go z zamachem. Bone odsunął się od okna. W myślach zaczął odliczać sekundy, słuchając, jak tłum na Canabiere krzyczy w panice. Metodycznymi ruchami odkręcił od lufy tłumik i wrzucił go wraz z wypełnionymi piaskiem pończochami do skórzanej walizki. Przeszedł na środek pokoju, odwinął jeden z końców owalnego dywanu leżącego u stóp łóżka. Wyjął gwóźdź z kieszeni, pochylił się i włożył go w małą dziurkę w jednej z desek, którą poprzedniego dnia obluzował.

Deska wyszła bez trudu. Bone błyskawicznie wsunął karabin w

wąski otwór, opierając go pewnie na dwóch belkach. Schował tam też torbę golfową, a następnie odłożył deskę na miejsce i wetknął gwóźdź w dziurkę. Obcasem wbił go do samego końca. Kryjówka nie była idealna, ale na razie nic nie łączyło gościa z pokoju numer 506 w hotelu Louvre et Paix z tragicznymi wydarzeniami przed hotelem Bristol, odległym o jakieś dwieście metrów w dół Canabiere.

Bone wyjął z szafy ciemnobrązową kurtkę z pięknie wyprawionej skóry. Zarzucił ją na ramiona i wyszedł, zamykając pokój na klucz. Skręcił w lewo, w stronę drzwi prowadzących na klatkę schodową. Zszedł na parter i wyszedł bocznym wyjściem w pobliżu rue d'Aubagne, a nie głównym na Canabiere, która zapewne była beznadziejnie zatłoczona.

Niemal natychmiast poczuł, jak napiera na niego tłum gapiów z Canabiere, spychanych w boczne uliczki przez żandarmów. Pozwolił się spychać w dół ulicy aż do wąskiego zaułka za hotelem i podszedł do motocykla, który wcześniej przywiązał łańcuchem do żelaznej kraty w oknie sutereny. Potężnego francuskiego drescha z półlitrowym silnikiem kupił za gotówkę u miejscowego dealera, a dowód rejestracyjny wyrobił w pobliskiej prefekturze przy rue de Rome, używając fałszywego dowodu osobistego. Gdyby jakimś nieprawdopodobnym przypadkiem motocykl powiązano kiedykolwiek z zabójstwem Berthou i króla, próba wyśledzenia właściciela zakończyłaby się fiaskiem.

Bone włączył stacyjkę, kopnął starter i odwrócił motocykl od tłumy, który zalewał już rue d'Aubagne. Odjechał w drugą stronę, klucząc zaułkami, powoli omijając sterty śmieci, puste wózki i wyrzucone na ulicę meble. Kilka minut później wjechał w Vieux Carre, najstarszą część miasta, bezpośrednio w cieniu bazyliki wznoszącej się na szczycie wzgórza. Połowa ulic nie miała nazw, a

większość z nich była zbyt wąska, by mogły minąć się na niej dwa samochody. Pościg byłby możliwy tylko motocyklem.

Odjechawszy wystarczająco daleko od Canabiere, skręcił na południe, w stronę morza. Pięć minut po opuszczeniu hotelu dojechał do wewnętrznej portowej dróżki wiodącej wzdłuż nabrzeża. Skręcił na zachód i znacznie przyspieszył. Wiedział, że do tej pory powiadomiono już dworzec promowy przy Quai des Belges i stacje kolejowe Gare Maritime i Gare St Charles. Rozprowadzano pierwsze policyjne kordony i patrole. W ciągu dziesięciu minut blokady pojawiają się na drodze N8 na wschód do Toulonu, na szosie wzdłuż wybrzeża do La Ciotat i Bandol oraz na drodze wiodącej na północny zachód do Aixen-Provence. Za pół godziny szczelnie zablokowana będzie każda droga z Marsylii.

Poza jedną.

John Bone pędził na pełnym gazie wąską drogą - zupełnie pustą, bo na cześć króla Aleksandra zamknięto cały port. Krzywił się, gdy kurz wgryzał mu się w usta i kąciaki oczu. Starał się nie zwracać uwagi na smród bijący z rzeźni i bydlęcych resztek leżących między drogą a morzem.

Dotarł do stoczni, za którą rozciągały się gigantyczne zbiorniki gazowni i ogromne zakłady Societe Provencale de Construction Navales. Skręcił w lewo. Droga prowadziła do magazynów wzdłuż kolejnego nabrzeża, by znów skręcić na zachód, mijając wysokie dymiące kominy elektrowni. Po prawej stronie wznosiła się zwietrzała skalna ściana, gdzie nie można by marzyć o poprowadzeniu nawet ścieżki.

Droga portowa znów zakreśliła. Wyjeżdżając z zakrętu, Bone ujrzał rozległe zabudowania huty Kuhlmana. Za hutą, na końcu drogi, była ciemna pieczara, do której zmierzał. Był to wjazd do

tunelu Rove. Ponad nim, wcięty w ostre wapienne skały niczym koronkowy kołnierzyk z kamienia, znajdował się most kolejowy prowadzący do Arles. Siedem kilometrów zdołał pokonać w niecałe pięć minut. Od oddania pierwszego strzału minęło jedenaście minut.

Tunel Rove Barge miał stanowić rozszerzenie systemu kanałów Rodan-Marsylia. Pierwsze analizy inżynieryjne wykonano pod koniec XIX wieku, kiedy większość barek zaopatrujących zakłady przemysłowe korzystała z siły pociągowej koni, a nie z silników. Na podstawie tych analiz wykonano projekt, w którym po obu stronach kanału o szerokości dwudziestu metrów biegły ścieżki dla koni pociagowych, szerokie na niespełna cztery metry. Prace nad tym przedsięwzięciem rozpoczęły się w 1911 roku, ale przerwano je na cztery lata w czasie wojny światowej. Prawie trzydziestokilometrowy tunel otwarto dopiero w 1927 roku.

W ciągu siedmiu lat, jakie minęły od uruchomienia tunelu, u jego wejścia wyrosło niewielkie robotnicze miasteczko, ale tak jak w pozostałej części portu, również i tu w magazynach, kafejce i w stoczni nie było żywej duszy. Prawie nie zwalniając, Bone przemknął po betonowym nabrzeżu tuż nad wodą, okrążył łagodnie stos sieci i lin. Wjeżdżając do tunelu, włączył reflektor. Pędził ścieżką, balansując nad krawędzią ciemnej wody kanału, której lustro było zaledwie dwa metry niżej. Ryk silnika odbijał się głośnym echem. Dzięki wcześniejszemu rekonesansowi wiedział, że ze ścieżki regularnie korzystają piesi i rowerzyści, choć nie całkiem było to zgodne z prawem. Wiedział też, że na całej długości ścieżki ani na żadnym z jej końców nie będzie strażnika.

Trzynastominutowa podróż przez tunel upłynęła w hałasie, ale spokojnie. Wyjechał z tunelu nad sztuczną zatoczkę Etang de Bolmon, niebędącą w zasadzie częścią słonych jezior zatokowych

Etang de Vaine i Etang de Berre. Skróttem przez tunel zaoszczędził sobie prawie trzydziestu kilometrów drogi. Uniknął też blokad.

Skierował motocykl w górę stromej drogi wyjazdowej z kanału. Znalazł zaniedbaną wiejską ścieżkę i wyjechał na jednopasmową szosę wiodącą do sennego miasteczka Marignane. Po posępnych ostrych górach wokół Marsylii, od których dzieliło go ledwie kilka kilometrów, krajobraz za miasteczkiem zaskakiwał - pola uprawne były niemal idealnie płaskie i łagodnie schodziły w stronę morza. Czarna poorana ziemia szykowała się na nadchodzącą zimę. Półtora kilometra za miasteczkiem skręcił na zachód i minąwszy małą stację kolejową, jechał w stronę lotniska Marsylia-Marignane.

Lotnisko składało się z dwóch pasów ułożonych w przekrzywioną literę V, rzędu hangarów i prostokątnego białego terminalu zwieńczonego pięciopiętrową wieżą obserwacyjną. Trawa między betonowymi pasami była wypalona letnim słońcem. Od terminalu wiodła droga na rampy hydroportu nad brzegiem morza.

Hydroport był głównym przystankiem dla latających łodzi linii Imperial Airways obsługujących trasy na Daleki Wschód oraz dla nieco mniejszych hydroplanów Air France i Lufthansy. Lotnisko - drugie co do wielkości we Francji - było jak zwykle pełne ruchu. Przy jednej z ramp pasażerskich pływała zacumowana latająca łódź klasy C linii Imperial Airways, nieco dalej przycumował dornier linii Netherlands Airline. Wokół głównego terminalu stało kilkanaście rozmaitych samolotów.

Zbliżając się do budynku, Bone zmniejszył gaz. Skręcił w bok i zaparkował za jednym z hangarów. Zszedł z siodełka i przeciągnął się. Powietrze przesycone było zapachem słonej wody z jeziora zatokowego, słychać było terkot i ryk startującego samolotu. Spojrzał na zegarek. Szesnasta piętnaście, od strzałów minęło trzydzieści

minut. Nawet pędząc na złamanie karku, policja dojeżdżałaby dopiero do Marignane, a jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, nie mieli powodu, by gnać na lotnisko.

Stojąc przy motocyklu, wyjął z kieszeni kurtki paczkę gauloisów. Zapalił jednego, zerkając w stronę głównego wejścia do terminalu. Jak zwykle drzwi od zewnątrz strzegło dwóch żandarmów. Obaj palili i z pochylonymi głowami pogrążeni byli w poważnej rozmowie. W ich zachowaniu nie było niczego podejrzanego. Bone zaciągnął się jeszcze kilka razy, wyrzucił niedopałek i jak gdyby nigdy nic wyszedł z hangaru w stronę bocznego wejścia do terminalu. Drzwi prowadziły do punktu odbioru bagażu i stanowiska informacji. Podał urzędnikowi w uniformie swój bilet i odebrał średniej wielkości walizkę, z którą poszedł do oddalonej kilka metrów toalety.

Pięć minut później wyszedł stamtąd zupełnie odmieniony. Zniknęła skórzana kurtka, jej miejsce zajął lekko pomięty, ale najwyraźniej drogi kremowy garnitur z lnu, biała koszula i jedwabny krawat w niebiesko-czerwone pasy. Włosy miał zaczesane do tyłu, na nosie okulary w złotych oprawkach z nieco przydymionymi szklami. Wyglądał jak dobrze ubrany biznesmen i taki właśnie zawód miał wpisany w nowiutkim brazylijskim paszporcie.

Z walizką w ręku wyszedł do głównej sali, gdzie zawahawszy się chwilę, skierował się w najdalszy kąt sali, do stanowiska Lufthansy. Przy drzwiach prowadzących na płytę lotniska tłoczyła się grupka pracowników, w tym troje celników w niebieskich kurtkach. I znów nie zauważył nic podejrzanego.

Podszedł do stanowiska Lufthansy, podał paszport, bilet i walizkę, odczekał, aż pracownik linii lotniczych zabierze walizkę, podstempluje bilet i sprawdzi nazwisko na liście pasażerów.

Pracownik uśmiechnął się.

- Pański samolot odlatuje za dziesięć minut, monsieur Ramirez. Może pan w każdej chwili wejść na pokład.

- *Merci* - odparł. Przeszedł przez całą salę do stanowiska celno-imigracyjnego, okazał bilet, paszport i wyszedł przez podwójne drzwi. Piętnaście metrów dalej, po prawej, czekał czterosilnikowy condor Lufthansy, na którego ogonie dumnie błyszczały nazistowskie czarno-czerwono-białe insygnia. Samolot grzał silniki, a śmigła powoli zaczynały wirować.

Przeszedł po spękanych betonach lotniska i uśmiechnąwszy się do stewarda stojącego przy krótkich schodkach na rufie samolotu, wszedł na pokład. Focke-wulf condor był produkowaną na licencji wersją amerykańskiego DC-3. Przez kadłub biegł jeden korytarz, wzdłuż niego po lewej znajdowały się dwa, a po prawej jeden rząd foteli. Na pokładzie było już około dziesięciu pasażerów, ale Bone znalazł wolny pojedynczy fotel na skrzydle i opadł nań z ulgą. Wyrzwał przez okno. Na lotnisku nie działo się nic, co odbiegałoby od normy. Kilka minut później condor obrócił się, podjechał na koniec jednego z pasów i wystartował, kierując się na północny wschód, nad wzgórzami Prowansji. Wybrzeże Morza Śródziemnego zostało z tyłu. Bone oparł głowę o fotel, zamknął oczy i zasnął. Godzinę i pięćdziesiąt pięć minut później samolot Lufthansy wylądował na lotnisku Genewa-Cointrin. Aleksander Karadziordziewić zmarł od ran niemal natychmiast po zamachu. Siedemdziesięciodwuletni francuski minister spraw zagranicznych Louis Berthou oficjalnie dokonał żywota w drodze do szpitala Saint Pierre. Veliczko, zamachowiec, który wskoczył na podest królewskiego mercedesa, zginął na miejscu, choć w oficjalnym raporcie złożonym w Surete Nationale w Paryżu napisano, że zmarł kilka godzin później od ran ciętych zadanych przez pułkownika Poilleta, tego, który jechał konno obok samochodu.

Nie wspomniano o ranie postrzałowej w klatce piersiowej Veliczki. Nie wyjaśniono też różnicy w kalibrze kul, jakie znaleziono w ciele króla, i tych, od których zginął Louis Berthou. Zamach przeżyli jedynie generał Alphonse Georges, którego dosięgły cztery kule z pistoletu Veliczki, oraz kierowca, który uciekł z miejsca zamachu bez żadnego draśnięcia. Na miejscu znaleziono dziesięć kul. W ciałach króla, Berthou i generała Georgesesa tkwiło dziewięć. Jedną wydobyto z tapicerki mercedesa w miejscu, na którym siedział Berthou. Choć mauser C12, którego używał Veliczko, faktycznie mieścił do dziesięciu nabojów, okazało się, że wystrzelono z niego jedynie siedem. Nie udało się nigdy wyjaśnić, skąd wzięły się trzy dodatkowe kule. Natychmiast po śmierci króla i Berthou rozpoczęto wielką obławę na innych członków spisku. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin zatrzymano trzech mężczyzn próbujących przekroczyć francusko-szwajcarską granicę w Col de l'Iseran. Wszyscy byli Chorwatami, tak jak Veliczko, i widziano ich w jego towarzystwie w Awinionie i Marsylii. W trakcie przesłuchań wszyscy trzej upierali się, że mózgiem całego spisku był ciemnowłosy mężczyzna, którego znał tylko Veliczko. Twierdzili, że przedstawił się jako Petar. Po krótkim procesie wszystkich trzech Chorwatów uznano za winnych i skazano na dożywocie. Nigdy nie natrafiono na ślad mężczyzny zwanego Petarem.

Rozdział 1

13 marca 1939 roku, poniedziałek

Nowy Jork

Jane Todd wpatrywała się w karty i próbowała powstrzymać od ziewania. Pelay, brazylijski boy hotelowy, wyszukał dla nich pokój z widokiem na park. Przez szpary między zaciągniętymi storami wdzierało się już poranne słońce. Cała czwórka siedząca przy stole paliła i powietrze było aż gęste od dymu. Na zielonym suknie chroniącym stół przed zniszczeniem pełno było popiołu z papierosów, butelek po piwie, żetonów do pokera i kart. Grzejnik pod oknem syczał, a wielkie łoże po drugiej stronie pokoju kusilo coraz bardziej. Jane i pozostali siedzieli przy stole od północy i nawet kilka tac kanapek, które Pelay załatwił u swojego kumpla z Oak Room, nie mogło zmienić kwaśnego smaku w ustach, spowodowanego nadmiarem piwa, kawy i papierosów.

Jane beknęła cichutko, zupełnie nie jak dama, i znów spojrzała w karty. Wyciągnęła parę piątek i niewiele więcej. Wszyscy pozostali postanowili dobrać karty. Na stole leżały żetony warte cztery dolary. Pelay wziął trzy, poprawił się na krześle i siedział z malującą się na twarzy irytacją. Rusty Birdwell, tyczkowaty kolega Jane z „Daily News”, tak jak boy wymienił trzy karty. Poślinionym palcem wskazującym przygładził wąsik w stylu Clarka Gable’a.

- No, pięknie - mruknął i pociągnął łyk pabsta ze stojącej przed nim butelki.

Dick Walsh, przystojny ciemnowłosy szef sali w Stork Club,

postukał palcami w blat i również podniósł trzy palce. Jane wydała im karty i wzięła trzy dla siebie. Nadal tylko para piątek. Pelay pokręcił głową.

- Cholernie dobrze rozdajesz, Jane. Wiesz?

- Tak - odezwał się Walsh. - Ale przynajmniej robi to demokratycznie. Nikomu nie dała dobrych kart.

- Akurat - mruknęła Jane. Z paczki leżącej przed Pelayem wyciągnęła lucky strike'a i przypaliła jego płaską złoconą zapalniczką.

- Skąd taki złośliwy karzeł jak ty ma pieniądze na dunhilla?

- To prezent - odparł boy i dorzucił dolarowy żeton.

- Od gościa? - zapytał Birdwell, również dorzucając dolara.

- Wdzięcznego gościa, mój przyjacielu. - Pelay podniósł brew. Walsh spasował. Złożył karty i poszedł do łazienki.

- Ciekawe za co wdzięcznego? - włączył się do rozmowy Birdwell. Boy spojrział znacząco, wolną ręką sięgnął do krocza i ścisnął spodnie od uniformu.

- Dałem jej to, czego żadna kobieta nie może sobie dać sama.

- A cóż to takiego? - zapytała Jane. - Jedna z tych maleńkich paróweczek koktajlowych, które serwują na dole w barze? - Ona też wrzuciła dolara. - Macie kogoś interesującego w hotelu?

Pelay wzruszył ramionami.

- Jest panna Bankhead. Jutro przyjeżdżają księżę i księżniczka Windsoru, ale oni nie pozwalają się fotografować. Dobrze o tym wiesz, Jane.

- Zdaje się, że miałeś na myśli księżną, mój południowoamerykański przyjacielu - uśmiechnął się Birdwell.

- Mam gdzieś, jak ją nazywacie - prychnął Pelay. - Wiem tylko, że zawsze ma ze sobą za dużo bagażu i nigdy nie daje napiwków.

- I nikogo innego nie ma? - dopytywała się Jane. Była fotografem prasowym, wolnym strzelcem. Informacje od ludzi takich jak Pelay z hotelu Plaža czy Walsh ze Stork Club były na wagę złota. Po części także dlatego spotykała się z nimi co tydzień na partyjce pokera.

Pelay westchnął.

- Pan Dewey w piątek organizuje przyjęcie. W czwartek przyjeżdża pan Astaire. W sobotę i w niedzielę będzie tu pan Powell przed wyjazdem na Cape Cod. - Roześmiał się cicho. - No i są stali bywalcy: żony przyprawiające rogi mężom, mężowie robiący skoki w bok, wszelkiego autoramentu królowie i królowe bez własnych krajów.

- Sądziysz, że król i królowa Anglii zatrzymają się w Plaža, kiedy przyjadą do Stanów? - zainteresował się Birdwell.

- Jeśli będą w Nowym Jorku, to nie mogą się zatrzymać nigdzie indziej. - Boy dumnie podniósł głowę. - Dopilnuję tego osobiście, ja, Juan Augustę Pelay! - Stuknął się kciukiem w pierś.

- No, chyba że będą tu księżę i księżna - rzuciła Jane. Wszyscy wiedzieli, że nowa królowa Anglii i księżna Windsoru nie znoszą się. To by dopiero było coś, pomyślała Jane - królowa i księżna rzucają się na siebie jak dzikie kocice, sycząc, drapiąc i ciągnąc za włosy, a dookoła wszędzie latają korony i królewskie klejnoty. To by dopiero było zdjęcie. Można by za nie wziąć dość, by odejść na emeryturę. - Komuś kartę?

Znów zaczęli dobierać karty. Jane dostała do pary piątek jeszcze parę ósemek. Rzuciła na stół dwa dolary. Pelay i Rusty zawołali „sprawdzam” i wyłożyli karty na stół. Rozdanie wygrał Birdwell z parą dam i trójek.

- Królewskie rody zawsze darzyły mnie sympatią - zażartował Birdwell, mrużąc jedno oko, jakby nosił monokl. Zgarnął pulę, zapalił

skręta i rozparł się na krześle. - A ja wam mówię, że o tych dwojgu jeszcze usłyszymy - rzekł niczym prorok. - Zobaczycie.

- Z tego co słyszałam, on jest raczej nudny - powiedziała Jane. - Nie to co jego brat.

- Ale nie takiego króla potrzeba teraz Brytyjczykom - odrzekł Birdwell, kręcąc głową. - Polował na tygrysy w Indiach, latał samolotami, smalił cholewki do pani Simpson. A stary Jerzy i Elżbieta są jak na zamówienie niczym Douglas Fairbanks i Mary Pickford, wspomnicie moje słowa. On jest nieśmiały, ona czarująca, a oboje są solą swojej ziemi. Władcy jak znalazł na czas wojny.

Walsh wrócił z łazienki, a na pomiętej koszuli widać było ślady kropel wody. Jane podała mu karty i wymówiła się od następnej kolejki. Zgasła papierosa, podeszła do okna. Rozsunęła story, uniosła o piętnaście centymetrów dolną szybę okna, wpuszczając do środka świeże chłodne powietrze. Przycupnęła na grzejniku, wsuwając pod uda ciemną spódnicę. Oparła się o framugę okna i popatrzyła na park. Konny policjant okrążał staw, kierując się w stronę Inscope Arch. Jane zrobiła głęboki wdech i zamknęła na chwilę oczy.

Walsh wrócił z łazienki, a na pomiętej koszuli widać było ślady kropel wody. Jane podała mu karty i wymówiła się od następnej kolejki. Zgasła papierosa, podeszła do okna. Rozsunęła story, uniosła o piętnaście centymetrów dolną szybę okna, wpuszczając do środka świeże chłodne powietrze. Przycupnęła na grzejniku, wsuwając pod uda ciemną spódnicę. Oparła się o framugę okna i popatrzyła na park. Konny policjant okrążał staw, kierując się w stronę Inscope Arch. Jane zrobiła głęboki wdech i zamknęła na chwilę oczy.

Jane Mary Todd miała trzydzieści dziewięć lat. Przyszła na świat w pierwszym roku nowego stulecia na Brooklynie w Nowym Jorku. Urodziła się trzydziestego pierwszego marca, tego samego dnia, kiedy

prezydent McKinley wprowadził zasadę obliczania wartości dolara według parytetu złota. Dlatego matka nazywała ją Złotko. O wstydzie! Wołano tak na nią przez całe dzieciństwo.

Matka Jane była szwaczką ojciec pracował w nowojorskim centralnym okręgu kolejowym. Ojciec zginął w okopach Francji pod koniec 1917 roku, a matka umarła rok później w czasie epidemii grypy. Osiemnastoletnia Jane musiała zająć się sama sobą oraz swoją niewidomą i nieco opóźnioną w rozwoju siostrą Annie. Z pomocą przyjaciół ojca dostała pracę na kolei jako asystentka telegrafisty, ale zarabiała za mało, by wystarczyć na życie dla niej i dla Annie. W końcu była zmuszona oddać siostrę do Szpitala Miejskiego dla Obłąkanych na Welfare Island.

Wytrwała na kolei dwa lata, potem znalazła pracę jako kopistka w redakcji „New York Herald Tribune”, gdzie zarobiła dość pieniędzy, by kupić dziesięcioletni aparat Speed Graphic i zostać niezależnym dziennikarzem i fotoreporterem. To było w 1923 roku i od tamtego czasu nie zmieniła zawodu - tułała się z miasta do miasta po całych Stanach Zjednoczonych. Przez dwa lata fotografowała nawet gwiazdy filmowe w Hollywood. Tam właśnie poznała Rusty’ego Birdwella.

Trzy lata temu wróciła do Nowego Jorku. Mieszkała i pracowała w dwu-pokojowym mieszkaniu w zniszczonej kamienicy przy Dwudziestej Trzeciej. Mieszkali tu maklerzy, łowcy nagród, drugorzędni prawnicy, a nawet dwaj prywatni detektywi. Kilka razy prawie już wychodziła za mąż, ale nigdy nie zdecydowała się na ten ostatni krok. Na szczęście nawet w największej desperacji nie zniżyła się do tego, by sypiać z partnerami od pokera. Choć zbliżała się do czterdziestki, większość mężczyzn przyznawała, że urody jej nie brakuje. Wyglądała trochę jak Glenda Farrell w filmach o dziennikarce Torchy Blane - blond trwała, wielkie oczy i usta, które

przywodziły na myśl najrozmaitsze rzeczy. Na razie jednak nikt nie zdecydował się, by znosić jej marynarskie słownictwo, stały smród odczynników fotograficznych i klnącą po włosku papugę Ponce de Leon. Jane dostała osieroczonego ptaka od znajomego policjanta Dana Hennessy'ego, po tym jak opisała w „Daily News” morderstwo popełnione na właścicielu papugi. Zamordowany, niski rangą mafioso z rodziny Gambino, miał przydomek Vinnie Śmierdziel.

- Grasz czy skaczesz z okna? - zapytał Birdwell. Jane otworzyła oczy i ziewnęła, zasłaniając ręką usta. Wyrzała. Policjant na koniu zniknął, park był pusty. Z oddali dochodziło wycie policyjnej syreny.

- Gram - odparła w końcu Jane. Zamknęła okno i wróciła na miejsce. Teraz rozdawał Birdwell. Podbiła stawkę i sprawdziła karty. Blotki. Zastanawiała się, czy nie spasować, by nie tracić więcej pieniędzy, ale zdecydowała, że poczeka i dobierze karty.

- Po co według was przyjeżdżają do Ameryki? - odezwał się Pelay.

- Kto? - zapytała Jane i zapaliła kolejnego papierosa.

- Król i królowa - wyjaśnił Pelay. Birdwell dobrał dwie karty.

- To zależy, czy jesteś demokratą czy republikaninem - powiedział układając karty w wachlarz.

- Nie rozumiem.

- Jeśli jesteś demokratą, wydaje ci się, że to miły gest, uścisk dłoni ponad oceanem i tak dalej. Przyjazd na prywatne zaproszenie, bez żadnych politycznych podtekstów - wyjaśnił Birdwell.

- A jeśli jesteś republikaninem... - Jane wpadła mu w słowo, uśmiechając się - uważasz, że to spisek Franklina Delano Roosevelta, by wciągnąć Amerykę do wojny.

- Już dwa razy o tym mówiliście. Jaka wojna? - zdenerwował się Pelay. - Nie słyszałem nic o żadnej wojnie.

- Wojna z Hitlerem - odparł Birdwell. - Możesz się założyć o własne gacie, że wybuchnie. To pewne jak dwa razy dwa.

- Nie chcę waszych gaci, chcę waszą forszę - przerwał im Walsh. - Trzy karty poproszę.

- Wziął trzy karty i teraz przyszła kolej na Jane. Również dobrała trzy. Miała teraz parę waletów. Postawiła kolejne dwa dolary.

- Sądysz, że król przyjeżdża po to, by zawrzeć jakiś układ z Rooseveltem? - zapytała Jane, patrząc na Birdwella po drugiej stronie stołu.

Chudy dziennikarz wzruszył wąskimi ramionami.

- Trudno powiedzieć. Żaden brytyjski król nie odwiedzał dotąd Ameryki, więc musi to mieć jakieś znaczenie.

- Powiem ci, co to znaczy - wtrącił się Walsh. - To oznacza, że choć i tak mamy już potąd wieści z Wystawy Światowej na Flushing Meadows, to teraz wszędzie będzie na dodatek pełno zdjęć tych królewskich Angoli. Tyle z tego będzie. - Pokręcił głową. - A Billingsly na pewno wymyśli jakieś zupełnie nowe menu, które trzeba będzie wykuć na pamięć. Przepiórki a la królowa, królewskie ciasteczka krabowe. - Dobrał dwie, zmarszczył brwi i złożył swoje karty.

- Zdaje się, że nie pozostaje nam nic innego, jak czekać - zakończyła Jane. Kilka minut później kolejkę wygrał Pelay, dzięki trzem damom. Jane wróciła do domu i do papugi o imieniu Ponce de Leon.

Alan „Tommy” Lascelles wyszedł ze swojego gabinetu na parterze pałacu Buckingham. W rękach dźwigał pięć obitych czerwoną skórą pudełek z pocztą przeznaczoną dla Jego Królewskiej Mości i zapewne również dla ciekawskich oczu Jej Królewskiej

Mości. Wysoki, szczupły, lekko przygarbiony mężczyzna skrzył w prawo i ruszył długim ponurym korytarzem. Była już za dziesięć dziesiąta i aby się nie spóźnić, należało brać pod uwagę ogromne rozmiary tego niedoświetlonego gmaszyska, królewskiej rezydencji w Londynie.

Ze swojego gabinetu na końcu Prywatnego Korytarza Lascelles musiał przejść całe północnowschodnie skrzydło, mijając wszystkie gabinety służby wewnętrznej, następnie poczekać na starą i niezwykle wolną Królewską Windę, która - o ile nie zatrzyma się gdzieś po drodze - zawiezie go do Królewskiego Korytarza i wysadzi dokładnie na wprost gabinetu Jego Królewskiej Mości.

Hardinge, prywatny sekretarz króla, przez dwa lata studiował tę trasę i doszedł do wniosku, że aby punktualnie doręczyć pocztę o dziesiątej, należało wyjść dziesięć minut wcześniej, jeśli winda była na górze i trzeba było ją ściągać, lub siedem minut, jeśli winda była już na parterze. Według Pendrella, zastępcy ochmistrza, jeszcze gorzej mieli ci z kuchni. Posiłki w pałacu Buckingham przemierzały średnio prawie kilometr. Czas, jakiego potrzebowała zupa na przebycie z królewskiego garnka do królewskich ust, wynosił około osiemnastu minut.

Pudełka z pocztą wychodzącą doręczał zwykle Hardinge, ale sir Alexander Hardinge - niech go jasna cholera! - kawaler Orderu Łąźni, Orderu Wiktorii i Wojskowego Krzyża, był tego dnia niedysponowany po - jak to określił enigmatycznie w notatce - „próbny” weekendzie na wsi. Dla Lascellesa było jasne, że Hardinge spróbował zbyt dużo whisky i Bóg wie czego jeszcze z jednym lub wieloma młodymi znajomkami z grenadierów.

Lascelles dotarł do maleńkiej windy i w tej samej chwili zderzył się z Elżbietą i jej młodszą siostrą, które wypadły z niej, zanosząc się

śmiechem. Obie młode księżniczki miały na sobie wełniane spódnice w kratę, a przed wszechobecnym chłodem broniły się niebieskimi wełnianymi swetrami. Ani spódniczki, ani swetry nie były szczególnie dostojne, ale nie dziwiło go to specjalnie, zważywszy na wiejskie pochodzenie ich matki.

- Strasznie cię przepraszam, Tommy! - powiedziała Elżbieta. Pomogła Lascellesowi zebrać pudełka, a Małgorzata uważnie patrzyła, trzymając kciuk w kąciuku ust niczym słynne cygare Churchilla. Kiedy już wszystkie pudełka znalazły się w rękach Lascellesa, Elżbieta lekko dygnęła i wcisnęła guzik otwierający drzwi windy. Następnie chwyciła siostrę za rękę i obie popędziły korytarzem.

Lascelles uśmiechnął się, obserwując przyszlą królową Anglii, i pomyślał z rozrzewnieniem o własnych dzieciach - Johnie i Lavinii. Zastanawiał się, jaka przyszłość je czeka. Wchodząc do windy, poprzysiągł sobie, że jeśli którekolwiek z nich zapragnie wżenić się do rodziny królewskiej, natychmiast odda je do zakładu dla obłąkanych Cane Hill tuż pod Croydon. Uśmiechając się szeroko, wcisnął łokciem przycisk „góra” i winda wielkości trumny ruszyła.

Nie po raz pierwszy Tommy Lascelles zadawał sobie pytanie, co tu robi w charakterze sekretarza kolejnego członka rodziny królewskiej. Dziewięć lat przepracował jako zastępca prywatnego sekretarza księcia Walii, a potem - z czystej głupoty - znów przyjął tę posadę, kiedy książę został, choć na krótko, królem Edwardem VIII. Dobiegał już pięćdziesiątki i nie miał zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o pracę. Nie chciał i nie mógłby utrzymywać rodziny tylko z wojskowej emerytury, więc niechętnie przyjął później posadę zastępcy osobistego sekretarza króla Jerzego VI. Wtedy optymistycznie zakładał, że nie może mu się przytrafić nic gorszego

niż sekretarzowanie starszemu bratu Jerzego, Edwardowi. Ale się mylił.

Przez ostatnie dwadzieścia lat Lascelles był dość blisko związany z rodziną królewską i choć niechętnie, doszedł do wniosku, że dosłownie ze wszystkimi jej członkami jest coś nie tak. Edward - teraz ksiązę Windsoru - przejawiał koszmarny gust, jeśli chodzi o kobiety i pewne osobiste praktyki, które Lascelles uważał za wywrotowe i żenujące. Henryk, ksiązę Gloucester, był po prostu kretyńcem, a jego siostra Mary, wydana za wujka Lascellesa, księcia Harewood, interesowała się wyłącznie końmi. Jej intelekt nie odbiegał zbytnio od przedmiotu pasji.

Ksiązę Jan, nigdy niewspominany w prasie i rzadko w rodzinie, urodził się jako „opóźnione” dziecko i chorował na padaczkę. Choroba zabiła go w wieku czternastu lat, niemal dwadzieścia lat temu. Pochowany został w tajemnicy, w rodzinnej posiadłości Sandringham i prawie o nim zapomniano.

Jedynym, który miał nieco ducha w sobie i prawdziwy kręgosłup, był inny Jerzy, ksiązę Kentu, ale nawet on lubił szastać pieniędzmi, zwłaszcza na egzotyczną, drogą biżuterię i bibeloty. Mówiło się także o wyprawach na panienki do londyńskich nocnych klubów, co nieco podawało w wątpliwość opowieści o jego szczęśliwym małżeństwie.

Obecny król Jerzy został królem tylko dlatego, że jego brat Edward zdecydował się abdykować. Od dzieciństwa się jąkał, przez co ogromnie brakowało mu pewności siebie. Trudno było zaprzeczyć, że był miłym człowiekiem i kochającym ojcem, ale czuł się ogromnie nieszczęśliwy w roli, którą nagle obarczyło go życie. Podobnie jak w przypadku Edwarda eufemizmem byłoby twierdzenie, że był naiwny co do kobiet. Wiele osób w pałacu twierdziło jednak, że królewski gust nie miał tu nic do rzeczy i to piękna Szkotka z Glamis Castle

rozdawała karty, od kiedy tylko upatrzyła sobie tego jękającego się biedaka. Lascelles wiedział o najrozmaitszych sekretach królewskiej alkowy, także i o tym, że obie młode księżniczki zostały poczęte w wyniku nowego zabiegu zwanego sztucznym zapłodnieniem. Wszystko z powodu „utrzymującej się medycznej przypadłości” Jego Królewskiej Mości. Lascelles nie był pewien, czy chodziło o medyczną przypadłość, czy po prostu strach przed kobietą, którą poślubił Jerzy. Z całą pewnością nie miał tego królowi za złe. Wprost przeciwnie - stanowiło dowód zdrowego instynktu samozachowawczego.

Winda dojechała na piętro i zatrzymała się ze stuknięciem. Lascelles wyszedł na Królewski Korytarz. Dokładnie za windą była Sala Tronowa, tuż przed nim, po drugiej stronie nieco wytartego dywanu, Królewski Gabinet. Balansując pudelkami, Lascelles sprawdził muszkę i wysoki kołnierz dziennego garnituru. Delikatnie zastukał do drzwi.

- Wejść! - Dobiegł go z wnętrza kobiecy głos.

O, Boże, jest z nim ta wiedźma, pomyślał Lascelles. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Gabinet był duży, miał wysoki sufit. Jedyne co zwracało w nim uwagę, to łukowate okno wychodzące ponad murem na Green Park. Zamontowano w nim przeszklone drzwi prowadzące na mały balkonik z balustradą. Jak wszystkie okna balkonowe w pałacu Buckingham, i to ozdobione było ciężkimi długimi storami w kolorze głębokiej czerwieni. Po lewej stronie gabinetu drzwi wiodły do prywatnej jadalni króla, identyczne po przeciwnej stronie - do królewskiej sypialni.

Wokół marmurowego kominka ustawiono trzy wygodne fotele obite zielono-złotą tkaniną, pasującą do kompletu sofę i kilka małych stolików. Na ciemnej dębowej podłodze leżał wyraźnie już łysiejący,

niemniej wciąż cenny perski dywan. Na ścianach wisiały liczne obrazy. Lascelles zajmował się wyposażaniem tego pokoju dla jego poprzedniego lokatora i wiedział, że zmieniono wszystkie obrazy na polecenie królowej i pod jej wyraźne ckliwy gust.

Zwłaszcza jeden - *Spokojne morze* Franka Holla - nadawał się tylko na puszki z herbatnikami. Przedstawiał szlochającą nad brzegiem morza kobietę, która całą noc podczas sztormu szukała swego męża marynarza. Strumienie łez ronione przez kobietę i mała dziewczynka kurczowo trzymająca się jej spódnicy upewniały o śmierci marynarza.

Kolejny obraz - *Powrót z Krymu* sir Josepha Noela Patona - był równie ckliwy i przedstawiał jednorękiego kaprała wracającego z wojny. Głowę spowijał mu bandaż, matka wsparta na ramieniu płakała, a klęcząca żona obejmowała jego stopy. Paton został mianowany przez królową Wiktorię oficjalnym malarzem Szkocji i obraz wiszący w gabinecie był dla Wiedźmy z Glamis rodzajem trofeum, tak jak rosyjski hełm leżący u stóp kalekiego żołnierza na obrazie Patona.

Kiedy Lascelles wszedł do gabinetu, królowa, ubrana w jedną z obrzydliwych szkockich spódniczek, układała w wazonie na kominku swe ulubione róże odmiany Betty Prior Polyantha. Król w zwykłym szarym garniturze siedział za zagraconym biurkiem naprzeciwko łukowatego okna. Biurko było wielkie, rzeźbione, przy nim stało krzesło też chippendale, zavalone papierami. Na biurku stały dwa koszyki na korespondencję przychodzącą i wychodzącą niewielki zegar z połączanego brązu, dwa telefony, srebrny kałamarz, oprawiona w ramkę fotografia królowej i dzieci, regulowana mosiężna lampa i - na obitym skórą blacie do pisania - wypełniona po brzegi popielnica z ciętego szkła, z której dymił jeden z licznych

papierosów króla.

Od czasów królowej Wiktorii skóra na blacie biurka była czarna jak atrament, co miało znamionować dystynkcję. Ponad ramieniem króla i ponad murem wokół pałacu Lascelles dostrzegł przez okno górny pokład omnibusu jadącego wzdłuż Constitution Hill i gorzko żałował, że nie może się teraz na nim znaleźć. Król skinął rękaw stroną małego stolika przy biurku i Lascelles z ulgą położył na nim czerwone pudełka obite skórą.

- I cóż tam, Tommy? - Znów najpierw przemówiła królowa, zmuszając Lascellesa do niewygodnego obrotu głową. Nie chciał się odwracać od króla, ale musiał zgodnie z protokołem spojrzeć na królową.

- Słucham, Wasza Wysokość?

- Czy w porannej poczcie pojawiło się coś ciekawego?

Przecież wiadomo, że zwykle przychodzi „Times”, a w jej przypadku „Picture Post”, pomyślał Lascelles.

- Kilka dokumentów wymagających podpisu i pieczęci Jego Królewskiej Mości - odparł cicho.

- A co z wycieczką? - Królowa obdarzyła go delikatnym uśmiechem. Pewnie mówiła o zbliżającej się wizycie królewskiej pary w Ameryce Północnej, a nie o wypadzie do szklarni w zamku Windsor po kolejną partię róż Betty Prior.

- Właśnie. Co-co-co z wycieczką? - powtórzył król. Podniósł do ust playera i zaciągnął się. Trzymał go po europejsku, tak jak jego brat Edward. - Pro proszę, usiądź Tommy. Strasznie się de-denerwuję, kiedy tak nade mną stoisz.

I znów królowa wprowadziła go w zakłopotanie. Król pozwolił mu usiąść, ale nie mógł tego uczynić, ponieważ królowa stała. Lascelles nie usiadł.

- Zapewne rozwiązano problem z tym śmiesznym człowieczkiem z Kanady - powiedziała królowa.

Śmieszny człowieczek, o którym mówiła królowa, nazywał się Mackenzie King i był premierem Kanady, a także ministrem spraw zagranicznych tego kraju. Nalegał, by mógł towarzyszyć Ich Królewskim Mościom podczas całej podróży, łącznie z kilkoma dniami, jakie mieli spędzić na terenie Stanów Zjednoczonych. Zwykle w trakcie takiej wizyty powinien im towarzyszyć gubernator generalny, ale Tweedsmuir wdzięcznie usunął się, wyjeżdżając po prostu na urlop.

- Tak, Wasza Wysokość, ten problem został rozwiązany – przytaknął Lascelles. - Lord Tweedsmuir nie będzie uczestniczył w podróży.

Królowa skinęła głową i odwróciła się do swojego wazonu z różami.

- A to przy-przy-przykre - odezwał się król. - Bardzo mi się po-podobały jego opowieści. Zwłaszcza ta o ło-łodzi podwodnej.

- „Trzydzieści dziewięć kroków”, Wasza Wysokość.

- Jak dla mnie, strasznie pospolite - mruknęła królowa, poprawiając kwiaty.

-Jest coś jeszcze wa-ważnego, Tommy? - zapytał król.

- Ustalono już plan podróży - odparł Lascelles. - Osiem miast w Kanadzie, dzień przerwy w Banff w Górach Skalistych, a potem Stany Zjednoczone. Dwa dni w Waszyngtonie i dzień w Nowym Jorku, gdzie przewidziana jest wizyta na Wystawie Światowej. Wreszcie dzień odpoczynku w towarzystwie prezydenta w wiejskiej posiadłości nad rzeką Hudson. - Lascelles przerwał. - Następnie królewski pociąg pojedzie do Halifaksu, gdzie Wasze Królewskie Mości wsiądą na statek do Anglii.

- Zapowiada się wy-wyczerpująco - skwitował król z westchnieniem. - Nie czuję się dobrze w takiej roli, dobrze o tym wiesz, Tommy.

- Wasza Wysokość poradzi sobie doskonale. Kanadyjczycy są bardzo przyjaźni. Kilka lat temu spędziłem tam sporo czasu.

- Mam nadzieję, że nie będziemy zbyt dużo jeździć samochodami. Sam wiesz, że Bertie okropnie cierpi na chorobę lokomocyjną.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odparł Lascelles, wiedząc doskonale, że to królowa nienawidzi jeździć samochodami, nie król. - Niemal całą podróż odbędziemy królewskim pociągiem. - Nie była to do końca prawda, ale wszelkie zmiany w ostatniej chwili dokonywane przez królową byłyby jak kręgi na wodzie i przysporzyłyby pracy dosłownie tysiącom ludzi na dwóch kontynentach. - Poinformowano nas również, że zakończył się remont wnętrza na „Repulse” i statek będzie gotów do podróży zgodnie z planem.

Królowa po raz ostatni poprawiła bukiet kwiatów, przeszła przez pokój, by stanąć za plecami męża z ręką na jego barku.

- Rozmawialiśmy o tym z Bertiem.

- Słucham, Wasza Wysokość? - rzekł Lascelles, czując jak uginają się pod nim nogi.

- Tak. Król uważa, że zważywszy na całe to zamieszanie z kanclerzem Hitlerem, nie byłoby wskazane, by korzystał z okrętu wojennego, jakim jest „Repulse”.

Trzeba przyznać, że tej kobiecie nie brakuje politycznego sprytu, nawet jeśli chodzi o czysto egoistyczne pobudki, pomyślał Lascelles. Krążownik „Repulse” nawet po remoncie raczej nie był wymarzoną statkiem do podróży przez Atlantyk. „Repulse” jako jeden z nielicznych okrętów Królewskiej Marynarki był w stanie ścigać się z flotą nowych niemieckich okrętów, które ostatnio zauważono w

pobliżu hiszpańskich wybrzeży.

- Tak naprawdę to był pomysł Bu-Bu-Buffy, ale ja się z nią zgadzam.

- Być może powinienem rozejrzeć się za jakimś innym środkiem transportu - rzekł wreszcie Lascelles. Dziesiątki tysięcy funtów wyrzucone w błoto, nie mówiąc o kilkunastu miesiącach pracy. Na tym etapie jedynym wyjściem było wynajęcie transatlantyka i Bóg jeden wie, ile mogłoby to kosztować.

Ponieważ podróż zaproponowano ponad rok temu i król raz po raz próbował rozmaitych wymówek, Lascelles doszedł do wniosku, że Jego Wysokość w ogóle nie ma ochoty tam jechać.

- Wiem, że to kłó-kłopot - powiedział król. Podniósł rękę i położył ją na dłoni królowej. - Ale Buffy ma rację, Tommy. - W jego oczach można było niemal wyczytać błaganie.

Lascelles poczuł, jak czerwienieje mu twarz. Nie znosił, kiedy król i królowa mówili zdrobniale do siebie w jego obecności, nazywając się imionami swoich zwierzaków. Było to nie tylko żenujące, po prostu nie uchodziło królewskiej parze.

Królowa uśmiechnęła się pogodnie.

- Może porozmawiałbyś z tymi miłymi ludźmi od Cunarda. Jestem pewna, że postarają się nam pomóc.

- Tak, Wasza Wysokość. - Lascelles stłumił westchnienie. - Natychmiast się tym zajmę. - Skłonił się królowi, nieco mniej starannie królowej i wyszedł.

- Naprawdę nie wiem, po co ty go jeszcze trzymasz - odezwała się królowa, wracając do układania kwiatów.

- To-Tommy to część tradycji. Pracował dla mojego pa-papy, pracował dla mojego bra-brata, a teraz pracuje dla mnie. Dla mnie.

- Kolejny powód, by się go pozbyć. Niedobrze, kiedy służba zna

zbyt wiele rodzinnych sekretów.

Król ze złością zgasił papierosa.

- Jestem zbyt wielkim głupcem, by mieć jakiegokolwiek sekrety, nie rozumiesz? - Kiedy się unosił, natychmiast mijało mu jękanie.

- Ależ Bertie... - zaczęła królowa.

- W tej sprawie nie ma żadnego „ależ Bertie”. David był przystojny, inteligentny, doskonale liczył i był odczytany. Mary z kolei była piękna. Raz odwiedziliśmy prababkę w Balmoral, a ona nawet nie wspomniała o mnie w swoich pamiętnikach. - Zapalił kolejnego papierosa. - Byłem pośmiewiskiem w szkole, jeszcze większym w marynarce. Jako cholerny król cholery Anglii też nie jestem lepszy! - Jednym ruchem zmiotł pudełka z pocztą ze stolika na podłogę.

- Ależ Bertie - powtórzyła królowa. Pochyliła się, by pozbiierać z podłogi czerwone skórzane pudełka. - Może byłeś pośmiewiskiem w szkole, a twoje kłopoty żołądkowe nie pozwoliły ci pojechać na wojnę, ale przynajmniej miałeś dość oleju w głowie, by poślubić mnie, nie jak twój kochany braciszek, który oddał tron z powodu tej amerykańskiej... lafiryndy! - Ustawiła pudełka z powrotem na biurku i poklepała męża po ramieniu.

- Ta przekłeta podróż mnie wykończy - mruknął. - Znowu zrobię z siebie po-po-pośmiewisko.

- Nie bądź niemądry, Bertie. Poradzisz sobie doskonale, będę przy tobie zresztą cały czas, więc nie ma się czym martwić, prawda?

- Chciałbym po prostu, żeby wszystko było jak dawniej!

- Cóż, kochanie, nic nie będzie tak jak dawniej i musisz się z tym pogodzić. Jesteś królem, ja królową i mamy swoje obowiązki. - Ponownie poklepała go po ramieniu. - Może pójdziesz do bawialni i zobaczysz, co porabiają Lilibet i Margaret Rose? - Położyła pulchną i nieco pomarszczoną rękę na stosie pudełek z pocztą. - A ja przejrzę to

wszystko i sprawdzę, czy cokolwiek wymaga twojej uwagi.

Przez chwilę król wypuszczał dym z papierosa, wpatrując się w pudełko, potem wyszedł z gabinetu bez słowa. Królowa uśmiechnęła się, zamknęła drzwi na klucz i usiadła przy stoliku do pisania. Otworzyła pierwsze pudełko i zaczęła czytać.

Rozdział 2

16 marca 1939 roku, czwartek

Palm Beach, Floryda

Niski mężczyzna o pyzatej twarzy ozdobionej okularami w drucianych oprawkach stał na murku oddzielającym od morza ogromną prywatną posiadłość przy North Ocean Drive 1095. Ubrany był w ciemny garnitur, na szyi nosił koloratkę. Z rękoma założonymi do tyłu wpatrywał się w spokojny ocean, zastanawiając się nad swoją przyszłością, przeznaczeniem i ludzkim losem.

Francis Joseph Spellman, Irlandczyk od czterech pokoleń, syn właściciela sklepu spożywczego w Whitman w stanie Massachusetts, teraz był biskupem Bostonu, a wkrótce - jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - zostanie arcybiskupem Nowego Jorku, najważniejszą osobą w katolickiej Ameryce. Kiedy pięćdziesięcioletni dziś Spellman piał się po szczeblach kariery, poczynił sobie wielu wrogów, ale pozyskał też wielu ważnych strategicznie przyjaciół. Jednym z najważniejszych był nowo wybrany papież, stary znajomy i kolega z watykańskiego Sekretariatu Stanu Eugenio Pacelli, obecnie Pius XII.

Spellman obejrzał się przez ramię. Wielka, obłożona białą sztukaterią i czerwonymi płytkami rezydencja należała do innego przyjaciela - Josepha Kennedyego, amerykańskiego ambasadora przy Dworze Świętego Jakuba i pierwszego katolickiego dyplomaty z USA, który formalnie uczestniczył w intronizacji nowego papieża. Choć Spellman i Pacelli byli starymi znajomymi, nowy papież i

Kennedy zgodnie uznali, że Spellman, niezbyt lubiany przez swoich kolegów w Bostonie i Rzymie, nie powinien uczestniczyć ani w konklawe, ani w intronizacji. Aby pocieszyć urażone ego biskupa, ambasador Kennedy zaproponował mu na czas odosobnienia swoją zimową rezydencję w Palm Beach. Spellman chętnie na to przystał. W Kościele wszyscy wiedzieli, że jest blisko z Pacellim, więc jeśli chciał mieć posadę w Nowym Jorku, na razie musiał zdecydowanie usunąć się w cień.

Wyjął z papierośnicy jedno ze swoich ulubionych cygar Juan Lopez Coronas, zapalił i znowu odwrócił się w stronę morza. Wciągnął kłęb aromatycznego dymu i uśmiechnął się. Sześć tygodni temu świat był zupełnie inny. W wyścigu o fotel arcybiskupi w Nowym Jorku był raczej czarnym koniem, daleko za Donahue, którego do objęcia tej pozycji przez lata przygotowywał jego zmarły poprzednik kardynał Hayes. Wyprzedzał go też John T. McNicholas, arcybiskup Cincinnati. A jego odwieczny rywal, kardynał O'Connell z Bostonu, nie zawahałby się przed sabotowaniem jego kariery zarówno w USA, jak i w Rzymie. Wraz ze śmiercią Piusa XI wszystko się skończyło i nastąpiło nowe rozdanie. Dzięki awansowi Pacelliego pozostało mu tylko sięść i cierpliwie czekać, aż arcybiskupstwo Nowego Jorku przypadnie właśnie jemu.

Spojrzał na drogi złoty zegarek - prezent od Genvieve Brady, dawnej przyjaciółki z elity Long Island. Francis Spellman potrafił czekać. Cierpliwością mógł się równać z grzechotnikiem czyhającym na ofiarę. W odpowiednim momencie rzucał się na wrogów, którzy śmieli się z niego i pomiatali nim przez całe lata, od czasu gdy wstąpił do rzymskiego seminarium dla duchownych z Ameryki Północnej. Wrogowie, którzy z premedytacją wygłaszali na jego temat fałszywe świadectwa, rozpowszechniając plotki, jakoby kradł i w ukryciu

oddawał się lubieżnym uciechom, zostaną uciszeni raz na zawsze. Pyzaty syn sklepikarza będzie najbliższym papieżowi Amerykaninem.

Biskup odwrócił się na głuchy trzask zamykanych drzwi samochodu. Kilka chwil później w balkonowych drzwiach z tyłu domu pojawił się łysiejący mężczyzna o orlim nosie ubrany w białą koszulę i krawat. Na ramię miał zarzuconą marynarkę. Obszedł basen i usiadł przy ocienionym parasolem stoliku stojącym tuż przy trampolinie. Spellman przeszedł wyrudziałą od słońca trawę i dołączył do niego. Przybysz uniósł się z krzesła na powitanie biskupa, czyniąc gest bardziej przypominający skinienie głowy niż ukłon.

- Ekscelencjo - odezwał się i znów usiadł. Nazywał się James A. Farley. Pełnił funkcję dyrektora amerykańskiej poczty, której szczerze nienawidził.

Był też krajowym prezesem Partii Demokratycznej; w czasie ostatnich dwóch kampanii szefem biura wyborczego Franklina Roosevelta, a jeszcze wcześniej ważną postacią w nowojorskiej filii demokratów. Teraz, kiedy miał ponad pięćdziesiąt lat, uważał, że zasłużył na coś lepszego niż funkcja głównego listonosza kraju, jednak pod rządami administracji Roosevelta raczej nie miał się czego spodziewać.

Służący w białej marynarce przyniósł tacę z dzbankiem lemoniady, lodem i dwiema wysokimi szklankami. Postawił ją na stole i wyszedł.

- Nadal nic nie słyhać? - Farley nalał napój. Podał szklankę biskupowi, drugą wziął sobie.

- Na razie nic. - Spellman pokręcił głową. - Telegram od Jego Świątobliwości tuż po wyborze. Co kilka dni telefony od Joego.

- A co u niego?

- Zdaje się, że ma teraz swoje pięć minut. Irlandczyk szwendający się po Rzymie.

- A dwóch kolejnych Irlandczyków w Palm Beach - uśmiechnął się kwaśno Farley. - Dlaczego Irlandczyk nie ma szans przebić się we własnym kraju, a wszędzie indziej idzie mu doskonale?

- To jest nasz kraj - rzekł duchowny. - Irlandzką mamy tylko krew.

I była to prawda. Epoka emigracji dawno się skończyła i tylko nieliczni rówieśnicy Spellmana czy Farleya mieli okazję kiedykolwiek postawić stopę na irlandzkiej ziemi. Biskup pociągnął mały łyk lemoniady i puścił dymek z cygara. Nie widział oczu Farleya, bo słońce odbijało się w szklach jego okularów.

- Domyślam się, że odbyłeś to spotkanie. Farley przytaknął.

- Z jakim wynikiem?

- Rozumiem, że rozmawiamy teraz jak parafianin ze spowiednikiem? - Uważnie spojrział na biskupa.

- Jak zawsze - zapewnił go Spellman. - W końcu wciąż jestem tylko zwykłym proboszczem.

Farley uśmiechnął się. Nazywać Francisa Josepha Spellmana zwykłym proboszczem to jak mówić, że Abraham Lincoln był zwykłym adwokatem.

- Wszyscy są zgodni - zaczął. - Jeśli Roosevelt zostanie wybrany na trzecią kadencję, niemal na pewno wciągnie nas do wojny.

- Wojny, która jeszcze nie wybuchła - zauważył biskup.

- To tylko kwestia czasu. Hitler wyłoży karty, a Roosevelt stanie przeciwko niemu.

- Jesteś pewien, że prezydent będzie się ubiegał o trzecią kadencję?

- Ponoć nie, przynajmniej mnie tak mówi - skrzywił się Farley. -

Aleja mu nie wierzę. Już wysprzątał podwórko. Każdy, kto nie popiera go w stu procentach, jest przeciwko niemu - to jego filozofia.

- Ty także?

- Dobrze wie, co do niego czuję. Dotrzyma mnie do następnej kadencji, a potem wyrzuci.

Biskup usłyszał w głosie Farleya gorzką nutę. Obaj dotarli do punktu, w którym mieli coraz mniej szans na zostawienie po sobie trwałego śladu. Historycy rzadko wspominają w swoich pracach o poczmistrzach czy zwykłych biskupach.

- A co z Garnerem? - zapytał Spellman. Wiedział, że Roosevelt rzadko rozmawiał z wiceprezydentem. Powszechnie było wiadomo, że starzejący się kongresman z Teksasu zgodził się grać drugie skrzypce w administracji tylko dlatego, że tak kazał mu William Randolph Hearst.

- Zrobi wszystko, by wyrzucić Roosevelta z Białego Domu. - Farley przerwał i zrobił długi wydech. - Plan jest taki: kiedy Roosevelt odejdzie, Garner mianuje Lindbergha na wiceprezydenta i dokończy kadencję. W przyszłym roku Lindbergh bez trudu dostanie prezydencką nominację partii i tak się to zakończy. John Nance Garner przejdzie do historii jako trzydziesty trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, a kiedy zastanowić się nad tym głębiej, właśnie o to chodzi temu Kaktusiarzowi.

- I Lindbergh się na to wszystko zgodził? - zapytał Spellman. - Wie o twoich... poczynaniach?

- Zgadza się w teorii - odparł Farley. - Wie, że się tu spotykamy, by przedyskutować sprawę.

- Będziesz potrzebował ogromnego wsparcia.

- Mamy je. Wspiera nas oczywiście Hearst, Morgan Bank, kilku członków rodziny DuPont, Ford, Pew z Sun Oil.

Wszyscy naturalni wrogowie prezydenta, pomyślał biskup.

- A co ze wsparciem politycznym?

- Dziesięciu senatorów, łącznie z Byrdem, Wheelerem i Nyem. Pięciu kongresmanów: Fish, Stratton, Jennings Randolph. Mamy nawet swoich ludzi w Departamencie Wojny.

- To robi wrażenie. Farley odchrząknął.

- Liczyliśmy także na wsparcie ze strony Kościoła, Ekscelencjo. Spellman zaśmiał się cichutko.

- Błogosławieństwo dla największej zdrady od czasów, kiedy Kasjusz i Brutus zdradzili Cezara? - Pokręcił głową. - Nie sądzę.

- Chodziło nam o coś bardziej praktycznego niż błogosławieństwo.

- Na przykład?

- Za kilka dni zostaniesz arcybiskupem Nowego Jorku, to prawie pewne.

- Pochlebiasz mi - rzekł biskup, machając lekceważąco ręką.

Farley nie zwrócił uwagi na gest fałszywej skromności. Wiedział doskonale, że Spellman ma świadomość swojej obecnej władzy w Kościele i jeszcze większej potęgi, która przyjdzie wraz z objęciem arcybiskupstwa Nowego Jorku.

- W Nowym Jorku jest dwadzieścia tysięcy policjantów. Większość to Irlandczycy będący katolikami, a prawie wszyscy należą do katolickich stowarzyszeń. Wystarczy wyciągnąć do nich rękę, a pójdą za tobą.

Spellman znów się roześmiał.

- Jakoś nie widzę siebie na czele kolumny najświetniejszych nowojorczyków.

- Potrzebujemy tylko ich biernej współpracy, nie aktywnej pomocy.

- Rozumiem. - Spellman zamyślił się na chwilę. Farley proponował proste, bezpośrednie i gwałtowne rozwiązanie problemu, które miałyby bezpośredni wpływ na Kościół nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie. Ksiądz, który usłyszałby wyznanie osób zaangażowanych w taki spisek - tak jak on słuchał Farleya - miałby w ręku ogromną władzę, nawet gdyby spisek się nie udał.

Uśmiechnął się. Istniał nawet kościelny precedens na to, co proponowali Farley i jego ludzie. Tisserant, dziekan Kolegium Kardynalskiego, prywatnie twierdził, że poprzednik Pacelliego został zamordowany we własnym łóżku za pomocą zastrzyku trucizny. Najprawdopodobniej chodziło o jego niebezpiecznie groźne poglądy na temat nazistów Hitlera i faszystów Mussoliniego. Nie było to wcale takie niemożliwe, zważywszy, że córką naczelnego lekarza Watykanu była Claretta Petucci, kochanka Mussoliniego, a ostatnią placówką Pacelliego poza Watykanem była nuncjatura w Berlinie. Jeśli w Watykanie mogło dochodzić do takich rzeczy, to dlaczego nie tutaj?

- Jakąż splątana sieć tkamy, gdy pierwszy raz oszustwem się skalamy.

- Słucham? - zapytał Farley zmieszany.

- To ostrzeżenie przed tego rodzaju działalnością spisane przez sir Waltera Scotta. - Biskup obejrzał koniec cygara. Podmuchał wiatru od morza strącił popiół, przerzucając go ponad stołem do basenu. - Dziesięciu senatorów, pięciu kongresmanów, cały zestaw finansistów i przedsiębiorców. Wiceprezydent. Bohater narodowy. - Pokręcił głową. - Wiele różnych pragnień i filozofii. - Zerknął na Farleya po drugiej stronie stołu. - Możesz nad nimi zapanować, nasycić ich?

- Przez całe życie nie robiłem nic innego, Eksceleńco. Pomagałem ludziom spotykać się we właściwym miejscu i we

właściwym czasie. Ten sam środek służący różnym celom łączy ludzi.

- Cóż za interesujące ujęcie sprawy.

- Makiawelizm - odrzekł Farley.

- Aha - mruknął biskup. Kilka razy pociągnął cygaro, póki się nie rozżarzyło. - Ten środek, o którym mówisz... wciąż znajduje się w fazie planów, czy przeszliście już do jakichś konkretnych działań?

- Wybrano już człowieka. Jutro lub pojutrze nawiążemy z nim kontakt. Złożymy mu ofertę.

- Co to za człowiek? - zapytał Spellman z lekką obawą w głosie. Jeśli Farley miał trochę oleju w głowie - a tego mu Bóg nie poskąpił - na pewno trzymał się z daleka od takich szczegółowych informacji, a co za tym idzie, izolował od nich także Spellmana.

- Wykonanie naszej decyzji pozostawiliśmy... innym. Im mniej z nas zna szczegóły, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

- Zgadza się - przyznał biskup.

Zapadła długa chwila ciszy. Farley skończył pić lemoniadę. Kostki lodu zdążyły się już rozpuścić w skwarze Florydy. Wstał.

- No cóż... - powiedział niezbyt pewnie. - Czas na mnie.

- Tak. - Spellman również wstał. Farley wyciągnął rękę, a biskup ją uścisnął.

- A zatem mamy wasze wsparcie?

- Teoretycznie - odparł biskup. - Musimy się przekonać, jaki będzie rozwój sytuacji. Donoś mi o tym na bieżąco.

Farley nie był pewien, czy „donoszenie” miało być aluzją do jego posady, ale starał się zachować kamienną twarz.

- Nie omieszka - odparł, po czym odszedł.

Spellman został przy stoliku. Obracając cygaro w wąskich ustach, patrzył, jak drobne podmuchy wiatru od morza marszczą

powierzchnię wody w basenie. Po niebieskim betonowym dnie przemykały drobne cienie. Dziesięciu senatorów, pięciu kongresmenów, Samotny Orzeł - Charles Lindbergh, Henry Ford, Morgan i Hearst. To dzięki zarządzeniu Hearsta Roosevelt dostał nominację Partii Demokratycznej, a potem - przynajmniej w mniemaniu Hearsta - prezydent zdradził swojego mentora. Lindbergh nienawidził Roosevelta z zasady, a Ford i Morgan mieli ogromne interesy w Europie, które rychło padłyby, gdyby wybuchła wojna z Niemcami. Ustawa o handlu z wrogami zawierała co najmniej dziesięć stosownych punktów.

Niejasno wspomniany spisek i poparcie dla planu ze strony senatorów i kongresmanów można było równie łatwo zrozumieć. Rooseveltowska polityka „nowego rozdania” i jej wcielenia przypominające ośmiornicę podkopały pozycję patrona, jaką od dawna każdy cieszył się we własnym okręgu. Jeśli pozwolą, by Roosevelt popchnął kraj do niepopularnej wojny, ich wizerunek ucierpi jeszcze bardziej. Nie głósuje się na człowieka, który przyłożył rękę do tego, że twój syn zginął w jakimś miejscu, którego nazwy nawet nie potrafisz wymówić, rozerwany na kawałki w obcym okopie, pochowany w dalekim grobie. Od poprzedniej wojny minęło ledwie dwadzieścia lat, a sto tysięcy amerykańskich matek wciąż opłakiwało synów, którzy zginęli. Wspomnienia nadal były boleśnie świeże.

Mały pyzaty mężczyzna w prostym czarnym garniturze zgasił drogie cygare i zamyślił się ze ściągniętymi ustami. Spod płóciennego parasola w paski wpatrywał się w morze. Farley miał rację, nawet jeśli jego plany były wynikiem politycznych ambicji, a nie troski o przyszłość narodu. Jeśli w najbliższej przyszłości nie dokona się czegoś drastycznego, Franklin Delano Roosevelt wciągnie Stany

Zjednoczone w wojnę, która na pewno zmieni świat na zawsze. Jeśli plan Farleya był jedynym wyjściem, by go powstrzymać, to niech się tak stanie, w imię boże.

Dyrektor poczty wyjechał wielkim buickiem kabrioletem przez otwartą bramę posiadłości Kennedych, skręcił w lewo na North Ocean Boulevard i ruszył na południe, z powrotem do luksusowego hotelu Breakers. Szpalery palm po obu stronach szerokiej ulicy filtrowały promienie słońca, zmieniając bulwar w chłodny zielony tunel.

Zerknął w lusterko i zauważył jakieś trzydzieści metrów z tyłu zielonego forda tudora. Nawet się nie kryli z tym, że go śledzą. Farley podniósł rękę i pomachał dwóm agentom FBI w rządowym samochodzie. Dwa lata wcześniej rozpoczął kampanię na rzecz odsunięcia od władzy Hoovera, głównie dlatego, że dyrektor FBI odmawiał udziału w strategicznych grach będących chlebem powszednim dla takich ludzi jak dyrektor poczty. Choć plan wysadzenia szefa FBI z siodła nie powiódł się, Hoover nigdy mu nie wybaczył. Farley wiedział na pewno, że jego telefon w domu i w biurze jest na podsłuchu. Dwaj agenci w fordzie tudorze nie odstępowali go na krok od tamtego czasu. Gdziekolwiek Farley się pojawiał, towarzyszyły mu rządowe cienie. Pewnie liczone, że uda się go przyłapać na podejrzanych sprawkach.

- Gdyby tylko ten pyzaty drań wiedział - mruknął Farley do siebie. Nacisnął mocniej na pedał gazu, zmuszając agentów do przyspieszenia. Zwykle stałe towarzystwo tajniaków irytowało go, ale dzisiaj mu się przydali. Nie obawiał się, że agenci odkryją prawdziwy powód jego wizyty w Palm Beach, bo nie mieli pojęcia, z kim spotkał się w Breakers. Z drugiej strony był pewien, że dwaj agenci w samochodzie, nie wspominając o samym J. Edgarze Hooverze, dobrze

wiedzieli, kto mieszka teraz przy North Ocean Drive 1095.

Wkrótce przez biurko Hoovera przejdzie teczka, w której opisane zostaną wydarzenia dzisiejszego dnia, z precyzyjnie ustalonymi godzinami i miejscami. Jego spotkanie z biskupem też zostanie skrupulatnie odnotowane przez tych biurokratów. W końcu teczka trafi do jakiegoś zakamarka w podziemiach wielkiego szarego budynku przy Pennsylvania Avenue, gdzie pozostanie ukryta niczym najcenniejszy skarb. Jeśli jakiś tragiczny splot wydarzeń sprawi, że plan się nie powiedzie i Farley powędruje na matę, takie dowody jak ten powstrzymają upadek.

Zaczął nucić jeden z kawałków Bobby'ego Breana z *Way Down South*, musicalu, który widział w kinie dzień wcześniej. Zaczął wystukiwać rytm na kierownicy. Zwolnił trochę, pozwalając fordowi tudorowi nadrobić dystans. Za godzinę z lotniska Anderson odlatywał samolot Eastern Airlines, a Farley był już spakowany. Jeśli pogoda się utrzyma, zdąży wrócić do Waszyngtonu, nim podadzą kolację w hotelu Mayflower. Wynajmował tam pokoje, niedaleko Kapitolu i Białego Domu. Czuł, że napięcie ostatnich kilku dni zaczyna powoli opadać. Jego udział w tej okropnej historii się zakończył, przynajmniej na razie. Reszta pozostawała w rękach kogoś innego.

Rozdział 3

14 kwietnia 1939 roku, piątek

Hawana, Kuba

Szczupły rudowłosy prawnik siedział w dziobowym przedziale hydroplanu Pan American Airways i spoglądał w dół na Cieśninę Florydy rozciągającą się trzy kilometry niżej. Miał trzydzieści cztery lata, nazywał się Harold Raines, był młodszym wspólnikiem w nowojorskiej kancelarii prawnej Fallon i McGee. W fotelu obok na pękatej teczce, stanowiącej jego jedyny bagaż, leżał płaszcz, którym młody prawnik osłaniał się przed ostrym wiatrem i deszczem, kiedy wyjeżdżał z Nowego Jorku. Na fotelach po drugiej stronie przejścia gruchała jakaś świeżo poślubiona parka. Kobieta wtulała się w kołnierz mężczyzny, a on przytulał ją i pieścił jej ucho, szepcząc obietnice, których na pewno nie dotrzyma. Kobieta bez przerwy obracała kciukiem obrączkę na środkowym palcu lewej ręki. Raines zauważył, że czerwony lakier na jej paznokciach jest doskonale dobrany do koloru szminki. To wszystko było zbyt słodkie i Raines odwrócił się, by znów wyrzeć przez okno.

Skrzywił się, czując burczenie w brzuchu. Godzinę temu w terminalu lotniska Biscayne Bay w Miami zjadł kilka owoców. Nie służyły mu najlepiej w połączeniu z trzema filiżankami kawy wypitymi później. Spojrzał na zegar na przepierzeniu między przedziałami. Była dziewiąta trzydzieści. Do Hawany jeszcze kwadrans lotu. Silniki podwieszane pod skrzydło monotonnie jęczały, a powietrze w kabinie było gęste od dymu z papierosów zmieszanego

z lekko niepokojącym odorem rozgrzanego oleju i benzyny.

Samolot był prawie pełny, typowe dla tej pory roku. Na liście trzydziestu pięciu pasażerów na ten poranny lot najwięcej było nowojorczyków, takich jak Raines. Wszyscy wystarczająco bogaci, by stać ich było na ucieczkę z mokrego, gwarneho miasta. Mogli sobie pozwolić na tydzień lub dwa na słonecznych plażach Playa del Este lub na to, by przepuścić parę dolarów na wyścigach konnych czy w kasynach. Było wśród nich kilku nerwowych młodych prawników, których pamiętał z gazet lub służbowych spotkań.

Na pokładzie była też Martha Gellhorn, pisarka i obecna kochanka Ernesta Hemingwaya. Dostrzegł też Reda Levine'a i Bo Weinberga, dwóch doradców Meyera Lansky'ego - pewnie mieli spotkać się z szefem w hotelu Nacional. W rufowym przedziale podróżował Ernest „Grubas” Cuneo, wiecznie ubrudzony okruszkami i ważący ponad sto pięćdziesiąt kilogramów słynny „asystent” burmistrza La Guardii. Mówiło się o nim, że jest zakulisowym „silnym ramieniem” nowojorskich demokratów. Towarzyszyło mu kilku młodych chłopców na posyłki i koszyk piknikowy. Brakowało tylko Waltera Winchella wymyślającego najrozmaitsze historie o pasażerach.

Raines znów zerknął na zegar i poprawił się w fotelu. Powoli zaczynał odczuwać niewygodę całonocnej podróży. Ziewnął i przeciągnął się. Już wkrótce będzie po wszystkim. Miał zarezerwowany powrotny bilet na trzecią po południu tego samego dnia. Wróci do Miami tak, by zdążyć na dziewiątą na lot linii Florida Limited do Nowego Jorku. W pokoju, który zarezerwował, łyknie jeszcze dwa mocne drinki na sen i następnego dnia po śniadaniu wróci na Manhattan, a złowieszcze zadanie będzie miał za sobą.

Spojrzał na nowożeńców po drugiej stronie przejścia. Wciąż

zajmowali się tylko sobą. Poczuli potęgę swojej tajemnicy. Nie wiedzieli, kim jest ani po co leci. Nie mieli bladego pojęcia, że ten facet po drugiej stronie przejścia wkrótce zmieni przyszłość świata, zatrzyma rozwój niewypowiedzianej jeszcze wojny, ocali miliony ludzkich istnień. Unosili się bezwiednie niczym śmiecie na powierzchni rwącej rzeki, płynąc z prądem historii, którą w tej chwili tworzył właśnie on.

Uśmiechnął się do siebie, oparł wygodniej i zamknął oczy. To uderzało do głowy, choć w grze, która się zaczynała, on sam był ledwie pionkiem. Odetchnął głęboko i położył ręce na oparciach fotela, starając się odprężyć. Lepiej być nawet pionkiem, niż w ogóle nie być na szachownicy. Jeśli coś z tej gry wyjdzie, jest szansa, by w tym nowym świecie, który nadchodzi, pełnić rolę gońca.

Hydroplan dotarł do Hawany zgodnie z rozkładem. Szybko zaczął schodzić z bezchmurnego gorącego nieba, wzdłuż szerokiej linii Canal del Puerto aż do samej zatoki. Ostrze kadłuba rozcięło powierzchnię morza, wzbijając bryzgi wody po obu stronach. Kiedy hydroplan kołysał się na falach, silniki przełączono na wsteczny bieg. Maszyna zrobiła ostry zwrot w prawo i majestatycznie podpłynęła do przystani.

Howard Raines siedział w dziobowej części kabiny, więc był jednym z pierwszych do wyjścia. Miał tylko teczkę, szybko przeszedł przez minimalne procedury celne i przedarłszy się przez gwarą, zatłoczoną halę przylotów, wyszedł na Alameda de Paula. Zatrzymał taksówkę. W ostrym upale i przy dużej wilgotności jego pognieciony garnitur jeszcze bardziej stracił świeżość.

Rozgadany kierowca wiózł go przez poranne korki, trąbiąc od czasu do czasu. Pędzili nadmorskimi bulwarami aż do stóp Calle Obispo. Tam skręcili ostro w lewo i lawirowali wąskimi uliczkami za

Palacio de Los Capitanes Generales, masywnym budynkiem z szarego kamienia, w którym mieścił się hawański ratusz. Niecałą minutę później dotarli do skrzyżowania Calle Mercaderes i taksówka ostro zatrzymała się przed pięciopiętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Był to hotel Ambos Mundos.

Kierowca wykrzyknął opłatę za kurs w peso, czego Raines nie potrafił przeliczyć, więc wyciągnął z kieszeni garść amerykańskich drobnych. Taksówkarz wyglądał na zadowolonego. Prawnik wysiadł z samochodu i nim zdążył zamknąć drzwi, samochód ruszył z miejsca. Zapewne kierowca popędził na przystań Pan American, by złapać kolejnego klienta.

Raines dźwignął teczkę, wszedł do małego, ciemnego holu i podszedł do biurka recepcjonisty. Po lewej dostrzegł łukowate wejście do słabo oświetlonego baru, po prawej schody. Pośrodku jeździła winda z żelaznych prętów. Zielononiebieski dywan pod stopami Rainesa był stary i wytarty, kępki doniczkowych palm i sztucznych kwiatów w rogach holu pokrywał kurz. Gęste powietrze rozcinały drewniane płyty skleconych byle jak wentylatorów. Z każdym obrotem delikatnie drżały.

Zgodnie z poleceniami, jakie dostał przed wyjazdem z Nowego Jorku, podszedł do recepcjonisty i zapytał, w którym pokoju mieszka *señor Delmonico*. Zgodnie z planem recepcjonista poprosił, by Raines się przedstawił, a on w odpowiedzi pokazał mu jedną z tłoczonych wizytówek kancelarii. Pracownik hotelu otworzył zamkniętą na klucz szufladę i podał prawnikowi kopertę. Raines znalazł w niej klucz i owalną metalową plakietkę z wygrawerowanym numerem 503 oraz krótką wydrukowaną wiadomość bez podpisu:

Daj mu dwadzieścia dolarów.

Jak za tak drobną przysługę była to absurdalnie wielka suma -

więcej niż zapłacił za lot z Miami - ale wypełnił polecenie co do joty i dał recepcjoniście mocno zużyty banknot z pliku, który dostał na wydatki.

- *Piso cinco* - powiedział recepcjonista. Pochylił się, by zobaczyć klucz, i wyjaśnił, że pokój znajduje się na piątym piętrze.

- *Muchos gracias*. - Raines tyle tylko umiał powiedzieć po hiszpańsku.

- *De nada* - uśmiechnął się pracownik hotelu.

Amerikanin wrzucił klucz do kieszeni marynarki i pojechał skrzypiącą windą na piąte piętro. Odnalazł pokój 503 na końcu wąskiego korytarza, który zalatywał nieco kocim zapachem. Otworzył drzwi kluczem i wszedł do pokoju. Był mały, ledwie trzy i pół na trzy i pół metra. Stało w nim zapadające się żelazne łóżko, szafa i emaliowana miska na stojaku. Pod łóżko wsunięto podobny nocnik. Ani śladu łazienki.

Małeńki balkonik wychodził na ulicę Obispo oraz na zniszczoną przez pogodę i gołębie tylną elewację ratusza. Szum dochodzący z ruchliwej ulicy na dole był ogłuszający, a kiedy zamykało się drzwi balkonowe, pokój przypominał klaustrofobiczną łaźnię parową bez tlenu. Z trudem znosząc hałas, Raines przysiadł na brzegu łóżka i zamarł w oczekiwaniu. Teczkę położył na kolanach, a klucz ścisnął w rękę niczym talizman.

Dziesięć minut później rozległo się krótkie pukanie do drzwi.

Raines odchrząknął.

- Proszę!

Wszedł niski gruby mężczyzna w niebieskim, kiepsko skrojonym garniturze. Spojrzał nerwowo na prawnika.

- *Senor Delmonico?*

Amerikanin przytaknął. Grubas wskazał drzwi za plecami.

- *Viene eon me, por favor.*

Raines skinął głową - doskonale zrozumiał polecenie. Wciąż ściskając teczkę i klucz, wstał z łóżka i wyszedł za grubym z pokoju. W milczeniu zjechali windą przeszli przez hol i wyszli na ulicę. Przed głównym wejściem stała inna taksówka. Grubas usiadł za kierownicą Raines wsunął się na tylne siedzenie. Wszystko to było męczące, ale Amerykanin dostrzegwał sens takiego postępowania. Każdy krok był odizolowany od kolejnego, dając niemal całkowitą anonimowość. Recepcjonista z hotelu nie miał żadnego związku z mężczyzną który wręczył mu kopertę, a kierowcę taksówki nie łączy nic z recepcjonistą. Zapewne nim dotrze do mężczyzny, z którym ma się spotkać, czeka go jeszcze jeden lub więcej takich kroków.

Taksówka jechała krótko. Dotarli z powrotem do zatoki i Raines wysiadł na Avenida San Pedro, przy schodach do doków San Francisco, dokładnie naprzeciwko historycznej bryły klasztoru Świętego Franciszka z Asyżu. Doki stanowiły labirynt wąskich nabrzeży i baseników. Cumowała tu większość hawańskich kutrów rybackich, mnóstwo łodzi do wynajęcia i tuziny prywatnych jachtów.

- Dokąd teraz? - Wysiadając z taksówki, Raines sięgnął po portfel. Kierowca machnął ręką na pieniądze.

- *Que date* - powiedział, wskazując ziemię pod stopami Rainesa. Zostań tutaj. Taksówka odjechała w chmurze niebieskiego dymu z rury wydechowej.

Prawnik popatrzył w dół na morze łodzi kołyszących się przy nabrzeżach. Nad kutrami rybackimi krążyły mewy, dziko krzyczały w powietrzu. Cała okolica śmierdziała rybami. Westchnął - zdecydowanie zaczął żałować, że wziął tę robotę, choć dzięki niej zdobył wdzięczność i łaski u starszych wspólników w kancelarii Fallon i McGee. Stojąc w pełnym słońcu bez kapelusza, poczuł

nudności jeszcze gorsze niż w czasie lotu z Miami. Garnitur był praktycznie do wyrzucenia.

Po schodach wbiegł ciemnowłosy mężczyzna w poplamionych smarami białych bawełnianych spodniach i swetrze w paski. Skinął na Rainesa.

- *Senor Delmonico?*

Wzdychając po raz kolejny, nowojorski prawnik skinął głową i podążył za nieznajomym po stromych schodach i przez labirynt nabrzeży. Dotarli do sfatygowanego szerokiego jachtu typu Elco. Za kabiną przywiązana była do niego niewielka szalupa. Na dziobie można było przeczytać, że łódź nazywa się „Spindrift”. Farba, jaką wykonany był napis, wydawała się znacznie świeższa niż sam jacht. Czarne litery były wyraźne i błyszcząły, jakby jeszcze nie do końca wyschły. Raines gotów był się założyć, że jeszcze tydzień albo i kilka dni temu „Spindrift” nazywał się zupełnie inaczej.

Mężczyzna w poplamionych spodniach odsunął się, gestem zaprosił Rainesa, odwiązał cumy i wskoczył na pokład jachtu. Sterówka i tylna kabina zajmowały większość pokładu, aż po samą rufę. Kiedy ruszyły silniki i jacht oderwał się od nabrzeża, Amerykanin nie miał wyboru - pochylił głowę i wszedł do sterówki.

Była zaskakująco obszerna. Samo koło i sfatygowany fotel dla sternika mieściły się po lewej stronie. Po prawej, tuż przy lewej ręce Rainesa stał szeroki stół nawigacyjny, a za nim kilka szafek i wąska prycza. Drzwi z tyłu prowadziły do kabiny rufowej, drugie drzwi - do dziobowej.

Na pozór „Spindrift” wyglądał dość niewinnie, trochę jak jachty rekreacyjne, którymi Raines od czasu do czasu pływał z klientami podczas weekendów w Hamptons. Jednak dźwięk silników wibrujących pod stopami był inny - głębszy i mocniejszy. „Spindrift”

- o ile tak się nazywał - był czymś więcej niż tylko zabawką jakiegoś bogacza.

Ciemnowłosa mężczyzna za sterem powoli prowadził jacht w główny kanał za dokami, po czym skręcił w stronę ujścia długiego kanału, gdzie po lewej stronie stał zamek San Salvador de le Punta, a po prawej jeszcze starszy zamek Morro. Sternik pociągnął do tyłu dźwignie przepustnic obu silników, „Spindrift” uniosł się lekko i przyspieszył. Kilka minut później dotarli do zamków i przemknąwszy między ich wielkimi białymi murami, wypłynęli na ciemniejsze wody otwartego morza.

Mężczyzna za sterem trzymał kurs przez kolejny kwadrans. Nabrzeże Hawany szybko znikało. Nagle, bez słowa wyjaśnienia, sternik zablokował koło małym drewnianym pierścieniem, odwrócił się i wyszedł do kabiny rufowej, zamykając za sobą drzwi.

Raines został sam w sterówce. Przełknął ślinę i zaczął się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi. Po raz pierwszy, od kiedy wyszedł z hotelu, wypuścił teczkę z ręki. Wstał od stołu nawigacyjnego i podszedł do zablokowanego koła sterowego. Na zewnątrz słońce jak z katalogu świeciło na błyszczące, niegroźne morze, ale młody prawnik nagle poczuł strach. Sięgał do koła sterowego, kiedy powstrzymał go ostrożny głos z lekkim akcentem:

- Nie dotykaj tego.

W otwartych drzwiach kabiny dziobowej stał mężczyzna średniego wzrostu w granatowym swetrze i brązowych płóciennych spodniach. Miał kruczoczarne włosy przerzedzone na czubku głowy, siwiejące na skroniach, a skórę bladą, niemal przezroczystą. Nosił niebieskawe okulary w drucianej oprawie, jednak nie zdołały skryć zimnego spojrzenia spod lekko przymkniętych powiek.

Miał małe dłonie o długich i delikatnych, ale silnych palcach,

niczym pianista. Na nadgarstkach widać było grube żyły. Na prawym policzku, dokładnie w miejscu, gdzie stykał się z kolbą karabinu, widniała jaśniejsza plama. Choć Raines nie widział wcześniej żadnych fotografii, od razu wiedział, że to jego właśnie dotyczyła zawartość cienkiej teczki, jaką dano mu do przejrzenia w Nowym Jorku. To był John Bone.

Raines w ciszy wrócił na swoje miejsce przy stoliku nawigacyjnym. Bone bez słowa zamknął drzwi od kabiny dziobowej i podszedł do obrotowego fotela przy kole sterowym. Pozostawił „Spindrift” na dotychczasowym stałym kursie, usiadł w fotelu sternika, złożył dłonie na kolanach i czekał. Oddychał spokojnie i równo. Siedział absolutnie bez ruchu, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Prawnik znów głośno przełknął ślinę. Bone patrzył na niego niczym dzierzba - ptak o zakrzywionym dziobie, który właśnie wybrał właściwy kolec, by nadzieć nań swoją ofiarę. Rainesowi momentalnie wyostrzyły się wszystkie zmysły. Nagle zaczął wyraźnie słyszeć głośny chlupot fal o kadłub. Raziły go refleksy słońca na białym suficie kabiny. Skrzypienie drewnianej belki brzmiało niczym gruchotanie małych kosteczek.

W końcu Bone przerwał milczenie.

- Nasz wspólny znajomy poinformował mnie, że coś od pana dostanę. Prawnik skinął głową. To akurat wiedział - wspólnym znajomym był Frank Hague, przez wiele lat burmistrz Jersey City. Hardy Irlandczyk wychowany w zaułkach Jersey City Horseshoe, w pobliżu doków przy rzece Hudson. Publicznie Hague grał żelaznego kalwina, który nie palił i nie pił mocnego alkoholu. Ale przyjmował łapówki z obu stron rzeki, regularnie jadał kolacje z Charliem Yanowskim i Eddiem Florio - gangsterami, którzy zwali się szefami

związku zawodowego dokerów. Wysyłał też gwiazdkowe prezenty innemu wielkiemu mafioso - Longy'emu Zwillmanowi. Jeśli wierzyć plotkom, Frank Hague miał długie ręce - na tyle długie, by umieścić w Kongresie swoją przedstawicielkę, Marię Teresę Norton.

Prawnik otworzył teczkę i wyciągnął cienką szarą kopertę. Była zaklejona i zalakowana woskową pieczęcią. Spojrzał na zamknięte drzwi rufowej kabiny.

- Proszę się nie obawiać - uspokoił go Bone. - Carlos jest bardzo dyskretny i prawie nie mówi po angielsku.

Raines znów skinął głową i podał mu kopertę. Bone wziął ją i wstał.

- Proszę poczekać minutę lub dwie. Prawnik uśmiechnął się nerwowo.

- Czy to bezpieczne zostawiać tak ster? Bone wyjrzał przez przednią szybę sterówki.

- Nie ma tu nic, tylko Golsztrom - odparł i odwrócił się do prawnika. - I rekiny, do których tak lubią strzelać pan Hemingway i jego znajomi. - Przeszedł do kabiny dziobowej, zamykając za sobą drzwi. Zostawił Rainesa samego z myślami o głębokim morzu i rekinach.

Nie było go ponad siedem minut. Wrócił do sterówki bez szarej koperty. Usiadł w obrotowym fotelu, odblokował koło sterowe i skrzył je ostro w prawo. „Spindrift” zaczął zataczać leniwe szerokie koło, by w końcu popłynąć tam, skąd przybyli.

- Wracamy - odezwał się Raines, potwierdzając oczywisty fakt, ale nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

- Tak - odparł Bone.

- Zapoznał się pan z zawartością koperty.

- Tak.

Raines odchrząknął.

- Czy ma pan jakieś pytania?

Bone odwrócił się do niego.

- Czy gdybym miał jakieś pytania, potrafiłby pan odpowiedzieć?

Prawnik poczuł, że twarz oblewa mu rumieniec, i nie odezwał więcej. Wydało się, że blefuje. Nie miał pojęcia, co zawierała koperta i Bone o tym wiedział.

- Nic panu nie powiedzieli?

- Tylko tyle, by postępować zgodnie z otrzymanymi instrukcjami.

Aby skontaktować się z panem w Hawanie.

- I udało się panu.

- Tak. Udało się - powtórzył Raines z cieniem goryczy w głosie.

- Czy dostał pan jakieś inne polecenia?

- Mówiono mi, że może pan udzielić odpowiedzi.

- Owszem, owszem. Może im pan przekazać, że jestem zainteresowany, ale będę potrzebował więcej pieniędzy. O wiele więcej. Jeśli chcą się ze mną skontaktować w tej sprawie, niech zamieszczą ogłoszenie drobne w „Hawana Post”. Ma się zaczynać od słów „Drogi wujku Charlesie” i ma zawierać nowojorski numer, pod którym można się z nimi skontaktować, podany w odwrotnej kolejności. - Bone przerwał. - Zapamiętał pan?

- „Drogi wujku Charlesie”. Numer w odwrotnej kolejności.

- Świetnie. A zatem to wszystko. - Lewą ręką popchnął dźwignie przepustnic i „Spindrift” zareagował. Silniki zagrały głębszym głosem, a dwie śruby zaczęły żywiej ciąć spienioną wodę. Dziób jachtu uniósł się nieco w stronę odległego brzegu. Pół godziny później dotarli do Zatoki Hawańskiej i Bone wysadził Howarda Rainesa przy nabrzeżu Waszyngtona. Nim nowojorski prawnik zdołał wejść po schodach na Avenida San Pedro, „Spindrift” już ponownie

wypływał w morze.

Raines złapał kolejną taksówkę, ale tym razem kazał się zawieźć do hotelu Nacional, bo było to jedyne znane mu ze słyszenia miejsce. Z pieniędzy na wydatki postawił sobie obiad w obficie zaopatrzonym bufecie na tarasie, w hotelowym sklepie kupił ogromne cygaro Romeo y Julietta i paląc je, wszedł do Grand Salon. U młodego kelnera o smutnych oczach - Fidela, jeśli wierzyć naszymu na fartuchu - zamówił lampkę courvoisiera. Przez godzinę leniwie obserwował strumień ludzi, którzy przy stolikach tracili małe fortuny. Niezależnie od tego, ile ich pieniędzy zagarniał krupier, uśmiechy nie schodziły z twarzy bogaczy.

Czas jednak było iść. Dopił ostatnie krople koniaku, pozwolił, by przy wyjściu z hotelu portier w uniformie gwizdnął na taksówkę. Wrócił do terminalu Pan American przy nabrzeżu i wsiadł do samolotu. Już z powietrza szukał na ciemnej wodzie Zatoki Florydzkiej kilwatera „Spindrift”, chociaż wiedział, że go nie znajdzie i że po raz ostatni widział Johna Bone’a z dziwnym wyrazem twarzy.

Szkoda.

Rozdział 4

16 kwietnia 1939 roku, niedziela

Nowy Jork

Jane obudził koszmary wrzask papugi i ogłuszający terkot telefonu. Jęknęła, zrzuciła cienki koc i usiadła na łóżku. W głowie czuła łupanie po zbyt wielu szklankach burbona poprzedniej nocy w China Doli, a na języku smak niczym z dna klatki Ponce de Leona. Uświadomiła sobie, że położyła się do łóżka w ubraniu, i westchnęła z niesmakiem. Torchy Blane na pewno nie poszłyby spać w ubraniu, chyba że w wyjątkowych warunkach, jeśli tego wymagałoby wykonywane zadanie. Jane zakryła oczy dłońmi i próbowała przełknąć ohydny smak w ustach, ale nie udało się. Telefon wciąż dzwonił, a papuga wydawała z siebie potok soczystych włoskich przekleństw, kołysząc się na drążku w otwartej klatce.

- *Eh, paisan! Fungulo mi!*

- Zamknij się! - krzyknęła na nią Jane niemrawo. Ani ptak, ani telefon jej nie posłuchał. Wstała, pokuśtykała do biurka i opadła na stary obrotowy fotel z drewna. Podniosła słuchawkę, a kiedy ustało terkotanie telefonu, zamilkł też Ponce de Leon. - Słucham?

- Tu Hennessy. - Dan Hennessy detektyw sierżant, pracujący w tak zwanym zespole specjalnym komisarza Lewisa J. Valentine'a, był jej najlepszym źródłem w komendzie głównej policji przy Centre Street. Jego hobby stanowiło przekazywanie jej poufnych wiadomości i wysłuchiwanie w zamian, gdzie może sobie je wsadzić. Mimo to nie zrażał się.

- Mam cię gdzieś, irlandzki złamasie. Jest niedziela. - Jane zerknęła na zegarek marki Lady Bulova. - Jezu, Dan, wpół do dziewiątej rano.

- A ja mam gdzieś jaki to dzień i która godzina - roześmiał się Hennessy. - Zwlecz swe słodkie dupsko z tego zapchlonego wyra. Mam coś, co pewnie cię zainteresuje.

- Co takiego? - Sięgnęła po paczkę cameli, zapaliła. Smak w ustach stał się jeszcze gorszy, ale z każdym pociągnięciem papieros budził ją coraz bardziej.

- Zwłoki.

A co takiego interesującego jest w tych zwłokach? - Przysunęła sobie notatnik i ołówek. Codziennie w Nowym Jorku znajdowano mnóstwo zwłok, w których można było przebierać, ale zwłoki rekomendowane przez Dana Hennessy'ego musiały być wyjątkowe.

- Znaleziono je w Engelwood.

- W Engelwood w New Jersey? - upewniła się zaskoczona Jane. Co gliniarz z centrali robił po drugiej stronie rzeki Hudson?

- Tak naprawdę bliżej Tenaflly. Palisades przy Dziewiątej Zachodniej. Mała przydrożna tancbuda o nazwie Rustic Cabin.

- Brzmi uroczo. Taka Copacabana w Jersey?

- Raczej w stylu czarno i ciemno - odrzekł detektyw. „Czarno i ciemno” oznaczało nocny klub, który obsługiwał zarówno białych, jak i ludzi o innym kolorze skóry. W Tenaflly biali to zapewne Włosi, bo do większości porządnych night-clubów makaroniarzy nie wpuszczano.

- Kto to? - indagowała Jane.

- Prawnik. Niejaki Howard Raines. Według wizytówki pracuje w kancelarii Fallon i McGee. - Nastąpiła chwila ponurej ciszy. Jane poczuła, że serce zabiło jej mocniej. - Tak się składa, że znaleźliśmy

w jego portfelu także twoją wizytówkę. Może oświecisz mnie nieco na ten temat, Jane, nim będę musiał odpowiedzieć na parę niewygodnych pytań moich przełożonych?

Fallon i McGee to kancelaria słynąca ze swoich powiązań zarówno z politycznymi lobbystami, jak i z mafią. Jane obróciła się na fotelu i wyrzała przez przybrudzone okno na ulicę. Sześć kondygnacji niżej na opuszczonym wybrukowanym placu Belgijskim spotykały się Piąta Aleja, Broadway i Dwudziesta Trzecia ulica. Jak zwykle przy ostrym końcu budynku Flaitron, przy aptece Walgreens stało kilka taksówek.

Westchnęła i zaczęła wspominać.

- Kiedyś był moim przyjacielem.

- Był?

Razem dorastaliśmy. Chodziliśmy do jednej szkoły. Był jedynym znajomym, który nie wyśmiewał się z mojej siostry.

- I co się stało?

Jane zamilkła na dłuższą chwilę. Zastanawiała się, ile powinna ujawnić Hennessy'emu.

- Ja poszłam swoją drogą, on swoją.

- A ta wizytówka?

- To tylko interesy. Spotykaliśmy się od czasu do czasu.

- Co mu dałaś?

Moje dziewictwo w wieku osiemnastu lat, na tylnym siedzeniu duranta jego ojca, przemknęło jej przez głowę. Ale powiedziała tylko:

- Nic, co byłoby niezgodne z prawem. Absolutnie nic. Raz czy dwa wypiliśmy drinka w Plaža. Nie widziałam go od roku, może nawet dłużej. Nie sądzę, by miał wielu znajomych. I chyba nie był zbyt dobrym prawnikiem, jeśli sądzić z tego, co mówił.

- Tak czy siak, teraz jest martwym prawnikiem. Chcesz tu

przyjechać i zrobić parę zdjęć czy nie? Upieczesz dwie pieczenie przy jednym ogniu, bo przy okazji możesz oficjalnie zidentyfikować zwłoki, jak już tu będziesz.

- Podaj mi dokładny adres tego klubu. Już biorę taksówkę. - Jane znów obróciła się na fotelu i zdusiła papierosa w popielniczce ze Stork Club, którą zwędziła podczas swej jedynej wizyty w tym lokalu. - A ty mi powiedz, czemu tak bardzo cię podnieca ta historia.

- Ano dlatego, że już na nas naciskają, by natychmiast to wyciszyć. Ktoś bardzo nie chce, żeby to wyciekło do prasy.

- Adres - rzekła Jane.

- East Clinton Avenue i Dziewiąta Zachodnia. Wygląda jak dom z drewnianych bali. Na pewno trafisz.

- Będę za pół godziny.

- Czekam. Mam kilku świadków, z którymi muszę pogadać, właściciela i jakiegoś artystę, który śpiewał z orkiestrą.

- Już jadę. - Jane odłożyła słuchawkę. Po drugiej stronie pokoju Ponce de Leon wy dostał się z klatki i hałaśliwie przefrunął na wieszak na kapelusze przy wejściu. - Spróbuj narobić na mój płaszcz, a zjem cię na kolację - ostrzegła papugę. Wzięła kolejnego papierosa, zapaliła i poszła do łazienki.

Pięć minut później wyszła stamtąd z mokrymi włosami i z umyтыми zębami. Ze stojącej przy drzwiach szafy wyciągnęła spodnie, bluzkę i stare półbuty. Włożyła świeżą bieliznę. Z drugiej szuflady komody wyjęła kontaksa z nowym filmem, chwyciła torbę i posyłając po drodze całusa papudze, wyszła. Dwie minuty później wsiadała do jednej z taksówek stojących pod Walgreens. Kierowca ruszył Broadwayem w stronę mostu Jerzego Waszyngtona.

Jak zwykle w niedzielę ulice były praktycznie puste. Szybko przejechali przez Broadway, a jeszcze szybciej przez most. Jane

niewiele się spóźniła. Kiedy szofer hamował na żwirowym podejździe zajazdu, już podawała mu piąta i dwie jedynki. Mniej zapłaciłaby za wynajęcie na godzinę limuzyny u Careya, ale kierowcy się należało - teraz musiał przecież na pusto wrócić na Manhattan zza rzeki. Zmrużyła oczy przed ostrym gorącym słońcem, wyciągnęła z torby okulary Ray-Ban i papierosy. Nim taksówkarz zdążył wykręcić i ruszyć z powrotem w stronę mostu, już paliła.

Zajazd Rustic Cabin wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Dan Hennessy - duży budynek z drewnianych bali. Na dachu wzdłuż drucianych krat biegł napis z żarówek. Zajazd stał pośrodku trójkątnego parkingu z wyjazdami zarówno na Dziewiątą Zachodnią, jak i na wąską dróżkę, która krzyżowała się z Clinton Avenue. Tyl trójkąta wyznaczony był przez pas rachitycznych drzew, wysoką trawę i zielsko porastające brzeg czegoś, co można było uznać za kanał czy mały strumyk. Dalej Jane dostrzegła pole uprawne. Nie był to z pewnością pępek świata, ale Tenafly znajdowało się zaledwie o kilka kilometrów od Clinton Avenue, a i Hoboken nie było tak dużo dalej. Nie takie złe miejsce, by wyrwać się od żony i dzieci, a może postawić co nieco na jakiegoś konia czy zagrać w pokera w pokoju bez okien na tyłach budynku.

Na parkingu stały trzy pojazdy - dwa motocykle Indian oddziału policji w Hoboken i znajomy ciemnozielony la salle Dana Hennessy'ego. Nie było ambulansu ani dziennikarzy. Hennessy, bez swej regulaminowej brązowej marynarki, w białej koszuli z krótkim rękawem, stał z policjantami z Hoboken przy linii drzew na dalekim końcu posesji. Wszyscy palili i wpatrywali się w rów. Na werandzie przy drzwiach wejściowych stał chudy dzieciak o rysach ostrych jak żyłeta. Palił papierosa krótkimi, nerwowymi ruchami. Chłopak był nieźle wystrojony - buty wyglądały na wyrób Johnstona &

Murphy'ego, a garnitur zdecydowanie do najtańszych nie należał. Był za młody jak na właściciela, więc pewnie to był ten artysta, o którym wspominał Hennessy. Detektyw odwrócił się, zobaczył Jane i machnął do niej. Przeszła przez parking, a chłopak na werandzie obserwował jej każdy krok. Chłonał widok jej piersi poruszających się pod jedwabną bluzką i kołysanie biodrami. Kiedy go mijala, skrzywiła nos, jakby poczuła coś niemiłego. Wiedziała, że chłopak uśmiecha się cwaniacko, ale nie mogła nic na to poradzić. Westchnęła i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek przyjdzie czas, że mężczyźni nie będą się wobec kobiet zachowywać jak wilki polujące na owieczki.

Doszła do odległego końca posesji, gdzie Hennessy przedstawił ją policjantom z Hoboken. Oni pierwsi przyjechali na miejsce. Jane spojrzała w rów i po raz pierwszy zobaczyła zwłoki. Znów lekko zabiło jej serce, ale przygryzła wargi i zmusiła się do stłumienia emocji. Gdyby je ujawniła, Hennessy nigdy by jej tego nie zapomniał.

Martwy prawnik leżał na plecach, stopami w stronę wzniesienia. Nogi miał skrzyżowane w kostkach, a głowa leżała w wodzie sączącej się powoli korytem strumienia. Ubrany był w ciemnobrązowy garnitur i białą koszulę z wielką czerwoną plamą pośrodku klatki piersiowej. W lewej skroni widniała inna rana - mała ciemna dziura oznaczona kępką zakrwawionych rudych włosów. W Jersey było równie upalnie jak na Manhattanie i z rowu cuchnęło zgnilizną.

- To on? - zapytał Hennessy.

- Tak. - Jej pierwszy martwy przyjaciel. Pewnie nie ostatni. - Nie tak dużo krwi - zauważyła Jane. - Wyrzucili go tutaj?

Hennessy skinął głową.

- Tak właśnie sądzimy. - Odchrząknął i wymownie spojrzał na

policjantów stanowych, którzy skinęli głowami i wrócili do swoich motocykli. - Będiesz robić zdjęcia?

Przytaknęła, wciąż wpatrzona w zwłoki. Torba z aparatem zwisała jej z ramienia. Odwróciła się w stronę detektywa i nagle dotarło do niej, że została oszukana.

- Z ciebie naprawdę jest niezły kawał sukinsyna.

Wielki Irlandczyk o płaskiej twarzy starał się zachować wygląd niewiniątka i otworzył szeroko oczy.

- O co ci chodzi?

- O to, że jest niedziela i nie udało ci się namówić policyjnego fotografa, żeby zwlókł się aż tutaj.

- Wybierał się z rodziną do kościoła, a potem na grób ukochanej matki - odparł Hennessy. - Poza tym znałaś tego tutaj.

- Gówno prawda - pokręciła głową i westchnęła. - Ile?

- Dolar za odbitkę. Dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

- Taksówka kosztowała mnie siedem.

- Zapłacimy.

- Ile?

- Przynajmniej dziesięć.

- Szesnaście.

- Zgoda - odparł Hennessy i Jane wyjęła contaksa z torby.

Zeszła do rowu i przykucnęła nisko. Zrobiła zbliżenie rany w głowie, starając się nie myśleć, czyja to głowa.

- To mi wygląda na robotę mafii - odezwała się, wciskając migawkę. - Dwa razy w serce i jeden w głowę, żeby mieć pewność.

- Tak właśnie myślałem - odparł Hennessy. Wyjął z kieszeni drewniany znacznik kierunków geograficznych i rzucił jej. - Masz, skorzystaj z tego - powiedział.

Urządzenie składało się ze skrzyżowanych patyczków z oznaczeniami stron świata. Jane położyła je na podmokłej ziemi obok głowy. Ramię ze znacznikiem północ leżało niemal równoległe do Dziewiątej Zachodniej.

- Tak dobrze? - zapytała, patrząc w górę na Hennessy'ego.

- Wystarczy - przytaknął.

Zauważyła, że Howie miał na ręku swój śliczny zegarek Omega Chronograph, który dostał od ojca za zdanie egzaminu adwokackiego. Tydzień później ojciec zmarł. Zrobiła zdjęcie zegarka na wypadek, gdyby któryś z pracowników prosektorium miał lepsze ręce.

- Mówiłeś, że macie jakieś naciski.

- Właściciel knajpy wezwał policję. Znaleźli portfel ofiary i przez radio podali jego nazwisko do swojej centrali. Jako że Raines mieszkał na Manhattanie, połączyli się też z komendą przy Centre Street.

- Ty odebrałeś meldunek?

- Tak - odparł Hennessy. Często darł koty ze swoją żoną Maureen. Spał wtedy na pryczy w jednym z pokojów gościnnych komendy. - Nie zdążyłem dojść do drzwi, a już miałem telefon z biura dowódcy. Znali nazwisko Rainesa i powiedzieli mi, żebym się nie spieszył z dochodzeniem. Wszystko ma być zgodnie z regulaminem.

Jane skończyła fotografować. Zabrała znacznik i zaczęła wdrapywać się na górę.

- Co to znaczy? - zapytała, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę Hennessy'ego. Chwyciła za wystający korzeń i wspięła się z powrotem na żwirowy parking.

- Odeślij ciało do kostnicy i zapomnij o sprawie aż do odwołania.

- Wzruszył ramionami. - Gonzales i jego ludzie mają u siebie całe stosy zwłok do zbadania. Ten trafi na koniec kolejki. I tyle. - Thomas

A. Gonzales był głównym patomorfologiem w nowojorskiej policji i pracował w szpitalu Bellevue.

- I co, będziesz siedział cicho? - zapytała Jane.

- Lubię swoją pracę. Nie zamierzam jej stracić. - Odwrócił się i spojrzał w stronę dwóch policjantów z Hoboken. Odjeżdżali właśnie na dymiących motocyklach. - Oni też chcą dalej pracować.

- Dostali takie same polecenia z góry?

- Rozkaz dnia brzmi dzisiaj: zapomnieć o wszystkim. - Skinął głową w stronę rowu. - Nasz pan Raines musiał nieźle namieszać.

Jane schowała aparat do torby.

- Znalazłeś coś w kieszeniach?

- Kwitek z Aristona i rachunek z Glorii.

Pokiwała głową. Ariston był luksusowym hotelem z apartamentami na rogu Broadwayu i Zachodniej Pięćdziesiątej Piątej. W podziemiach znajdowała się łaźnia parowa. Gloria to bar na rogu Trzeciej Alei i Czternastej ulicy. Znała oba te miejsca i ludzi, którzy tam chadzali.

- Ktoś chciał sprawić wrażenie, że Raines jest homo?

- Na to wygląda. Ale przecież go znałaś. Był homo?

- O ile mi wiadomo, nie. A co z twoimi świadkami? Widzieli coś?

- Właściciel twierdzi, że nie.

- A ten chłopak na werandzie? Ten w fikuśnym garniturze i ze świdrującym spojrzeniem.

- Nazywa się Frankie Sinatra. Wołają też na niego Frankie Satin. Właściciel twierdzi, że to kelner, który od czasu do czasu śpiewa. On sam nie wspomina o kelnerowaniu. Pierwszy trafił na zwłoki.

- Jak to się stało?

- Mówi, że była mniej więcej czwarta rano. Lokal właśnie pustoszał. W knajpie toalety były pozapychane, więc wyszedł tutaj,

żeby się odlać. I wtedy zobaczył pana Rainesa. - Hennessy ponownie skinął głową w stronę rowu.

- Nic poza tym nie widział?

- Nie.

- Może to on go zabił?

- Siostró, ten chudzielec nie zabiłby nawet muchy.

- Sinatra - powtórzyła Jane. - To jakiś Włoch? Hennessy wybuchnął śmiechem.

- Nie snuj zbyt wielkich teorii, mała. Sprawdziłem wszystko. Frankie jest nikim. Mamusia zabijała króliczki, a ojciec był strażakiem. - „Zabijanie króliczków” w policyjnym żargonie oznaczało aborcję. - Jeśli mają jakiegokolwiek związki z mafią to na pewno nie przez to dziecko - dodał detektyw.

Z Dziewiątej Zachodniej zjechała czarna furgonetka marki Willys i zaczęła przedzierać się na parking przy zajeździe. Jedynie biały napis KOSTNICA na tylnych drzwiach wskazywał przeznaczenie tego auta. Z furgonetki wysiedli dwaj mężczyźni w czarnych mundurach i podeszli do Hennessy'ego.

- Gdzie leży? - zapytał starszy.

- W rowie - odparł Hennessy i ruszył do własnego samochodu. Jane podreptała za nim.

- A więc to koniec? - Pokręciła głową. - Młody prawnik z kancelarii obsługującej mafię dostaje w czapę, a dowódca mówi ci, żebyś wyciszył sprawę. Coś tu śmierdzi.

- Jasne, że śmierdzi - przytaknął, zatrzymując się na chwilę, by zapalić papierosa. Ona również zapaliła. Oboje patrzyli, jak pracownicy kostnicy kładą ciało Rainesa na noszach i ładują je na tył czarnej furgonetki.

- Mówisz mi, że powinnam o tym zapomnieć? Howie nie był

może wielkim przyjacielem, ale zasługuje na coś lepszego.

Hennessy zaciągnął się lucky strikiem i zmrużył oczy od słońca. Drzwi furgonetki trzasnęły.

- Zrób dwa komplety zdjęć. Jeden wyślij do mnie, żebym mógł go dołączyć do akt. Drugi schowaj w jakimś bezpiecznym miejscu na wypadek, gdyby ten pierwszy nagle gdzieś zniknął.

- A potem co? - dopytywała się Jane. Pracownicy kostnicy wsiedli do willysa i odjechali.

- Ta sprawa śmierdzi tak bardzo, że żaden gliniarz nigdy niczego się nie dowie.

- Więc to ślepa uliczka?

- Mówiłem, że niczego nie dowie się żaden gliniarz. Ale nie wspominałem o dziennikarzach.

- To co mam zrobić? Od dawna się znaliśmy. Nie byłam jego żoną. Prawnik od rozwodów z mojej kamienicy lepiej zna się na morderstwach niż ja.

- Nie mają kluczy do jego mieszkania. - Hennessy sięgnął do kieszeni spodni, wyjął mały pęk kluczy i włożył w jej dłoń. - Mieści się w suterenie przy północnej części placu Waszyngtona, numer 26B. - Wzruszył ramionami. - Kto wie, co tam można znaleźć. - Otworzył drzwi od strony kierowcy. - Chodź. Zawiozę cię z powrotem do miasta.

Rozdział 5

16 kwietnia 1939 roku, niedziela

Londyn, Anglia

Zgodnie z otrzymanym poleceniem zachowania dyskrecji, detektyw inspektor Thomas Barry postanowił udać się do wyznaczonego miejsca piechotą. Wyszedł przez główną bramę Scotland Yardu i skręciwszy w lewo, poszedł na bulwar Wiktorii. Po drugiej stronie ruchliwej ulicy znajdowało się nabrzeże, przed nim rozciągały się nadrzeczne ogrody, jeszcze dalej wznosił się ponury masyw mostu kolejowego Hungerford.

Niebo było zachmurzone, co w kwietniu w Londynie nikogo nie dziwiło. W powietrzu czuło się lekki chłodek, ale po całym dniu w dusznych wnętrzach budynku z szarej i czerwonej cegły Barry był szczęśliwy, że w ogóle oddycha powietrzem. W środku w ciasnych pomieszczeniach tysiące mężczyzn w wełnianych garniturach lub mundurach tłoczyło się i wciąż paliło papierosy albo śmierdzące fajki.

Pozwolił sobie na uśmieszek. Gdyby nie łotrzyki i złodziejaszki, gliniarze, tacy jak on, podusiliby się tam w środku. Gardło miał wyschnięte na pieprz, w piersiach coś mu lekko, ale wyraźnie rzęziło i piekły go oczy. Mimo to sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął niemal pustą papierośnicę z playersami i zapalił dwudziestego już tego dnia papierosa. Pierwszy haust dymu wciągnął głęboko do płuc, po czym wypuścił go w zimne powietrze.

Zapadał zmierzch i większość aut miała włączone światła. Po drugiej stronie Tamizy błyskały światła Southwark. Tuż obok

przemknęła taksówka z uchyloną szybą i Barry przez chwilę słyszał perlisty kobiecy śmiech. Trudno to było uznać za odgłosy miasta szykującego się do wojny, ale w końcu nawet premier zaprzeczał, jakoby miało do niej dojść.

Tego popołudnia Thomas Barry jadł obiad w Overton z Bobem Fabianem i Morrisem Blackiem, kolegami z Wydziału Dochodzeń Kryminalnych. Kiedy jedli rybę, próbował poruszyć kwestię poczynań Hitlera. Jego zdaniem niemiecki przywódca wcale nie miał zamiaru zadowolić się ostatnimi zdobyczami - Czechosłowacją i litewskim portem Memel. Jednak żaden z panów nie był zainteresowany tym tematem.

Morrisa można było jeszcze zrozumieć. Biedak kilka miesięcy temu stracił żonę. Fay zmarła na raka, a Morris wciąż nosił żałobę. Po Bobie Barry spodziewał się znacznie więcej, jednak detektyw inspektor Fabian wydawał się bardziej przejęty tym, że jego kuzyn, dozorca w Clivenden, wiejskiej posiadłości lady Astor, zarabiał więcej na napiwkach od sławnych i niesławnych gości właścicielki, niż wynosiła policyjna pensja Boba. Wyglądało na to, że nikt nie przejmował się nadciągającą zagładą dopóki strach nie zajrzy im w oczy.

Trzymając się okrzężnej drogi przy Horseguards Avenue, Barry oddalił się od nadrzecznego bulwaru i szedł w stronę Whitehall. Wezwanie na to spotkanie przyszło, kiedy wrócił z obiadu. Doręczył mu je w zapieczętowanej kopercie nie kto inny, tylko sam PC. Childers, sekretarz Ronalda Martina Howe'a, zastępcy komisarza wydziału dochodzeń kryminalnych, czyli wydziału C Scotland Yardu. I ten właśnie człowiek był szefem Barry'ego.

Notatka napisana schludnym pismem Howe'a była jak sam Howe - zwięzła i ścisła. Z zachowaniem jak największej dyskrecji detektyw

inspektor Barry miał zgłosić się przy wejściu do Ministerstwa Skarbu od strony Horseguards Avenue dokładnie o szóstej po południu tego samego dnia. Tam spotka się z panem Charlesem Calthropem, urzędnikiem ministerstwa, który zaprowadzi go we właściwe miejsce.

Calthrop miał czekać w recepcji po prawej stronie drzwi, ubrany w ciemny garnitur, czerwony krawat i okulary. Detektyw inspektor Barry powinien mu pokazać swoją legitymację policyjną. Wszystko to wyglądało jak fragment powieści z gatunku płaszcz i szpada i Barry przypuszczał, że chodziło o coś, co ma związek z sytuacją w Irlandii. Bóg jeden wiedział, co miało to wspólnego z Ministerstwem Skarbu, chyba że irlandzcy bojownicy podłożyli tam jedną ze swych spapranych bomb. Jednak w świetle ostatnich wydarzeń wydawało się to mało prawdopodobne. W tym tygodniu republikanie wzięli odpowiedzialność za prawie dziesięć zamachów w Birmingham i Londynie, ale wszystkie wybuchy miały miejsce w toaletach.

Od stycznia IRA działała w Londynie i w całej Anglii. Choć dokonano wielu zatrzymań, nic nie wskazywało na to, by sytuacja miała się uspokoić. Zwykle tymi z Sinn Fein zajmowała się sekcja specjalna, ale ataki stały się tak powszechne, że Barry, Morris Black, Fabian i kilku innych detektywów inspektorów również zostało wciągniętych do działania. Barry był szczególnie przydatny, bo miał wystarczająco charakterystyczny akcent, by zadawać pytania tam, gdzie inni nie mogli tego robić.

Thomas Patrick Barry urodził się dziewiętnastego stycznia 1899 roku w ponurym szarym Szpitalu Miłosierdzia w irlandzkim Cork, dokładnie trzy minuty po północy. Następnego dnia przeniesiono go na oddział sierot, a jego matkę Mary Margaret Barry w towarzystwie księdza i dwóch zakonnic przeprowadzono przez starą żelazną kładkę nad rzeką Lee, do pralni sióstr magdalenek w Sunday's Weil. Kiedy

urodził się Thomas, Mary Margaret miała osiemnaście lat i była pokojówką w starym hotelu Wiktorii przy ulicy Świętego Patryka. Nigdy nie ujawniła nazwiska mężczyzny, z którym zaszła w ciążę, nawet kiedy w tajemnicy dostała lanie od ojca, specjalisty od mieszania słoju w pobliskim browarze Murphy'ego.

Młody Thomas Barry wychowywał się w sierocińcu w Cork prowadzonym przez zakon kapucynów. Otrzymał dobre wykształcenie, ale uciekł stamtąd, kiedy miał piętnaście lat, i zaciągnął się do wojska, kłamiąc, że jest starszy. Był w piechocie i udało mu się przeżyć cztery lata wojny praktycznie bez ran, choć walczył i w pierwszej bitwie pod Marną, i w drugiej bitwie pod Sommą, w końcu także pod Amiens. Poszedł na wojnę jako szeregowiec, a do cywila wrócił w stopniu sierżanta. W 1919 roku znalazł się w Londynie. W Cork ani w ogóle w Irlandii nie miał czego szukać poza powstaniami i biedą. Jako dwudziestolatek pomyślnie zdał egzaminy wstępne na brytyjskiego urzędnika państwowego, zgłosił się w Peel House i został przyjęty na kandydata do londyńskiej policji miejskiej.

Osiem tygodni spędził przy Strand, w szkole dla młodych policjantów. Nazwano ją Eagle Hut, od ośrodka dla żołnierzy prowadzonego tu wcześniej przez YMCA. Po tych ośmiu tygodniach Thomas Patrick Barry, mając za sobą dzieciństwo w Cork i młodość na wielkiej wojnie, został konstabłem kuratorem. Niecałe dwa lata później dostał awans na detektywa sierżanta. Potem w ciągu dwunastu lat przeszedł całą drogę awansów i w końcu trafił do słynnych Lotnych Brygad, mniej więcej w tym samym czasie co Morris Black i Bob Fabian. W 1929 roku, w czasie przymusowego urlopu po pęknięciu kości biodrowej - efekt pościgu, Barry po piętnastu latach wrócił do Irlandii. Wsiadł na parowiec z Fishguard do

Rosslare, stamtąd pociągiem dotarł do Cork.

Dzięki pomocy lokalnej policji dowiedział się, że komercyjne pralnie prowadzone w całym kraju były tylko nieco lepsze od więzień. Zamykano w nich kobiety, które zgrzeszyły, ale ponieważ nie były aresztowane czy formalnie oskarżone, nie miały żadnego oparcia w prawie. Kobiety przekazywał w ręce Kościoła lokalny proboszcz lub rodzice. I tylko Kościół miał prawo je wypuścić. Zdarzało się to rzadko, ponieważ pracowały po piętnaście godzin dziennie za marną strawę i kąt. Kościołowi nie opłacało się ich wypuszczać na wolność.

Wy tłumaczono Barry'emu, że bezpośrednia konfrontacja z matką przełożoną lub lokalnym biskupem będzie ostra i nie przyniesie żadnego skutku. Przeprowadzono za to w jego imieniu dyskretny wywiad. Dowiedział się, że jego matka zmarła na zapalenie płuc, a wcześniej przez niemal siedemnaście lat była więźniem w jednej z pralni magdalenek, nad Sunday's Weil. Skierowano go na cmentarz, gdzie chowano zmarłe pracownice pralni. Przekonał się tam, że niemal wszystkie groby są anonimowe, stoją na nich tylko pobielone drewniane krzyże. Wyjechał z Irlandii tego samego dnia i nigdy więcej tam nie wrócił. Nigdy też nie postawił stopy w katolickim kościele.

Przeszedł przez długi cień rzucany przez zwieńczoną czarnymi wieżami bryłę Whitehall Court, minął zwałisty budynek Ministerstwa Wojny i dotarł do samego Whitehall. Zatrzymał się tylko na chwilę, by przepuścić dwa mijające się ze stukotem omnibusy numer 18. Potem przeciął szeroką ulicę i znów skręcił na zachód. Lawirując, zatoczył w końcu trzy czwarte koła i uznał, że taki sposób zachowania dyskrecji spotkałby się z aprobatą wicekomisarza Howe'a. Wszedł po niskich schodach do budynku Ministerstwa

Skarbu. Zgodnie z jego zegarkiem i dźwięcznym kurantem znajdującego się o kilka przecznic dalej Big Bena wybiła właśnie szósta.

Zgodnie z planem w recepcji czekał na niego Calthrop, wysoki szczupły mężczyzna z rzednącymi włosami, w okularach i czerwonym krawacie. Kiedy Barry przedstawił się i pokazał legitymację, Calthrop odwzajemnił się nieznacznym uśmiechem i poprowadził go przez labirynt połączonych schodów i wąskich korytarzy. Większość z nich zdawała się prowadzić mniej więcej na południowy zachód. Było po oficjalnych godzinach urzędowania i wysokie okna miały zamknięte okiennice. Po dwóch czy trzech minutach Barry zupełnie stracił orientację.

W końcu dotarli do wąskich nieoznakowanych dębowych drzwi, strzeżonych przez młodego konstabla w mundurze. Policjant miał znudzony i nieco zboląły wyraz twarzy, jakby odbywał tu jakąś karę. Calthrop odsunął się.

- Po drugiej stronie ktoś się panem zajmie - wyjaśnił. Skinął głową na konstabla, który otworzył Barry'emu drzwi.

Detektyw przeszedł przez nie i omal się nie potknął, trafiawszy na schodki. Wszedł do długiego wąskiego pokoju. Nagle uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Widział to miejsce w „Picture Post” tydzień wcześniej. Tak jak na zdjęciach, na końcu pokoju w niszy nad małym kominkiem węglowym stało marmurowe popiersie Wellingtona. Po prawej stronie kominka do ściany przymocowano rząd wieszaków, na których wisały kapelusze i płaszcze. To jakieś szaleństwo. Stał właśnie w przedpokoju Sali Gabinetowej przy Downing Street 10, oficjalnej rezydencji premiera Anglii.

Z lewej strony zauważył szerokie schody, z prawej rząd ciemnych drzwi z politurowanego dębu. Obejrzał się za siebie, pewien, że

Calthrop się pomylił, i zaczął powoli wycofywać, kiedy jedne z drzwi się otworzyły. Wszedł mężczyzna nieco młodszy od Barry'ego.

Miał elegancki czarny garnitur, białą koszulę z celulooidowym kołnierzykiem, dzięki któremu wyglądał jak nieco niższy i gładko ogolony premier Chamberlain. Na palcu nosił sygnet z wojskowym półksiężycem i krawat z emblematami swojego regimentu. Z butonierki wystawały trzy rogi chusteczki, najwyraźniej wykrochmalonej i wyprasowanej.

- Alec Douglas-Home - przedstawił się, wymawiając ostatni człon nazwiska ze szkocka, „Hume”. - Zdaje się, że to pan jest tym policjantem. - Głos miał miły, słychać było w nim ślady Eton i Oksfordu. Było w nim też dość władczego tonu, by zirytować Barry'ego, który odpowiedział nieco zbyt swobodnie.

- Nie inaczej, proszę pana. Detektyw inspektor Thomas Patrick Barry, do usług.

- Aha - odparł Douglas-Home z pewną rezerwą. - Barry, tak jak nazwa herbaty?

Policjant uśmiechnął się.

- Nie, proszę pana. Tak jak architekt, który zaprojektował budynek Parlamentu. Zdaje się, że to jakiś mój przodek. - Oczywiście blefował, ale nie miało to znaczenia.

- Hmm... Jestem PPS pana Chamberlaina. Nie mógł przybyć na to spotkanie, więc będę występował w jego imieniu.

Barry nie miał zamiaru dopytywać się, co oznacza skrót PPS. Zapewne chodziło o Prywatnego Parlamentarnego Sekretarza albo Prywatnego Pierwszego Sekretarza premiera. W milczeniu skinął głową.

- Inni już czekają - dodał Douglas-Home.

Odwrócił się, przeszedł kawałek korytarzem, otworzył kolejne

drzwi i przepuścił policjanta. Barry wszedł do maleńkiego westybulu z niewielkim, zaskakująco wyleniałym dywanem Axminstera w niebiesko-zielonej tonacji. Przez wysokie okno na wprost wejścia widać było ogród, za nim niski kamienny mur. Zmierzch skrywał paradę straży konnej. Po prawej znajdowały się kolejne proste ciemne drzwi, a po lewej podwójne pomalowane na biało.

Sekretarz Chamberlaina minął go, zapukał lekko w lewe podwójne drzwi, otworzył je i znów przepuścił Barry'ego. Policjant wziął głęboki wdech, minął Douglasa-Home'a i wszedł do Sali Gabinetowej, którą też rozpoznał ze zdjęć widzianych w „Picture Post”.

Miała ponad dziesięć metrów długości i wysoki sufit. Ogromny stół pokryty zielonym sukniem ciągnął się przez całą długość sali i oświetlały go trzy elektryczne kandelabry. Ściany pomalowane na kremowo były puste, jeśli nie liczyć jednego małego portretu nad kominkiem. Pod obrazem, na półce nad kominkiem tykał skrzynkowy zegar. Dywan na podłodze miał ten sam wzór i kolor co Axminster w westybulu. Dwa wysokie okna wychodziły na północ, dwa kolejne na zachód. Wszystkie cztery zasłonięte były ciężkimi zielonymi kotarami, dobranymi do koloru sukna na stole. Całość wyglądała zaskakująco obskurnie.

Przy odległym końcu stołu siedziało czterech mężczyzn. Z jednej strony sztywny wicekomisarz Wydziału Dochodzeń Kryminalnych Ronald Howe z zaciśniętymi ustami i sir Norman Kendal, szczupły, oschły szef sekcji specjalnej, w hierarchii policyjnej o oczko wyżej od Howe'a. Naprzeciwko tych dwóch przedstawicieli Scotland Yardu siedział wysoki łysiejący mężczyzna w okrągłych okularach w drucianych oprawkach i mundurze podpułkownika Królewskich Wojsk Inżynieryjnych. U szczytu stołu jedyne krzesło z podpórkami

na ręce zajmował minister spraw wewnętrznych sir Samuel Hoare. Przed każdym z miejsc leżał na stole zielony notatnik, skórzana teczka, kałamarz i popielnica z ciętego szkła. Hoare i mężczyzna w wojskowym mundurze palili papierosy, Kendal ćmił fajkę.

Douglas-Home zamknął drzwi do Sali Gabinetowej, przeszedł wzdłuż stołu i usiadł po prawej stronie wojskowego. Barry stał przy drugim końcu stołu i czekał. Wreszcie odezwał się Howe lekko poirytowanym głosem:

- Proszę usiąść, inspektorze.

- Tak jest. - Odsunął jedno z krzeseł na końcu stołu i usiadł. Na udzie czuł metalową papierośnicę, ale nie zamierzał palić, dopóki mu tego nie zaproponują. Złożył ręce na pokrytej skórą teczce i czekał, aż Douglas-Home dokona prezentacji. Dowiedział się, że mężczyzna w mundurze to Joseph Holland, oficer wywiadu.

- Czy domyśla się pan, po co go tu zaprosiliśmy? - zapytał Hoare z przeciwnej strony stołu.

- Absolutnie nie, sir.

- Jakież teorie?

- Żadnych, sir.

- Mamy problem - zaczął minister. Zaciągnął się głęboko papierosem i nieznośnie powoli wypuścił dym przez nozdrza.

- Słucham, sir.

- O tak - mruknął Hoare. - Wielki problem. - Odwrócił lekko głowę i skinął na Hollanda.

Łysiejący mężczyzna poprawił okulary na nosie i otworzył skórzaną teczkę, która leżała przed nim na stole.

- Otrzymaliśmy informację o spisku na życie Ich Królewskich Mości podczas zbliżającej się wizyty w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Mamy powody przypuszczać, że zamieszana jest w

to Irlandzka Armia Republikańska. - Holland przerwał i spojrzał ponad stołem na Kendala i Howe'a. Barry, choć widział tylko czubek jego głowy, zauważył, że Kendal przytakuje. Holland odwrócił się i spojrzał w stół.

- Zapewne wie pan, kim jest Sean Russell?

- Szefem sztabu IRA - odparł cicho Barry. - Nie jest zbyt lubiany.

- Zgadza się - potwierdził Holland. - To dziwny człowiek. Tuż po czterdziestce. Wielki, rudowłosy, pije za dużo i gada za dużo. Dwa lata temu wyrzucono go z organizacji za defraudację pieniędzy na samochód. Chodziło o czerwone sportowe coupe. W zeszłym roku wybrano go szefem sztabu. - Barry zauważył, że kąciki ust wojskowego unoszą się w lekkim uśmiechu. - To naprawdę dziwni ludzie.

- Czy są dowody, że Russell jest w to zamieszany? - zapytał Barry.

- Podpułkownik Holland nie został upoważniony do ujawniania tych informacji - wtrącił się Hoare. - Na razie musi panu wystarczyć, że takie dowody istnieją. Niezależnie od tego, inspektorze Barry, co pan sądzi o takim spisku i o zaangażowaniu weń tego Russella?

- Wątpię, czy wiem na tyle dużo, by móc wyrazić opinię na ten temat - odparł dyplomatycznie policjant. Wystarczy, że powie nie to co trzeba, a skończy jako konstabl patrolujący uliczki East Endu. Nadal nie miał pojęcia, dlaczego wezwano go na spotkanie na takim szczeblu. Na pewno nie ze względu na jego opinie, bo te nie mogły być wiele warte dla ministra spraw wewnętrznych czy tajemniczego podpułkownika Hollanda.

- Nie bój się, człowieku! - warknął Howe. - Zaryzykuj jakąś odpowiedź.

Barry próbował zebrać myśli. W końcu wyprostował się na

krześle.

- Nie wierzę w to. W każdym razie nie w udział Russella.

- Dlaczego? - zapytał Hoare.

- Bo to nie ma sensu, sir. Russell walczy o pełną niepodległość Irlandii, północy i południa. Jeśli IRA weźmie udział w takim zamachu, Russell osiągnie tę unifikację, ale w postaci angielskiej inwazji, której dodatkowo będzie towarzyszyć stan wojenny na terenie całej Irlandii. - Barry spojrział na ministra. - Nie sądzę, by premier Chamberlain miał wówczas inne wyjście. - Pokręcił głową. - Tak jak mówiłem, nie ma w tym żadnej logiki.

- Ale spisek istnieje - rzekł Holland. - Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. - Wzruszył ramionami. - I nie ma wątpliwości, że Sean Russell jest jakoś weń zamieszany. Dziś po południu wypłynął z Hawru do Nowego Jorku na pokładzie niemieckiego statku „Orinoco”. Zasugerowano nam, że pojechał zbierać fundusze. Wiemy też, że ma powiązania ze znanym amerykańskim gwiazdorem filmowym. - Mrugnął. - Jeśli chodzi o ścisłość, to też Irlandczyk. Niejaki Flynn.

- Czyli można sądzić, że do zamachu dojdzie na terenie Kanady lub Stanów Zjednoczonych.

- Na terenie Stanów - przytaknął Holland.

- To dziwne - rzekł Barry. - Wydawałoby się, że łatwiej byłoby ich zabić tutaj. Jego Wysokość lubi strzelać, a królowa spędza dużo czasu na wsi.

- Zakładamy, że za takim wyborem miejsca kryją się motywy polityczne - wyjaśnił Holland. Barry skinął głową. Szybko zerknął w stronę Hoare'a. Minister spraw wewnętrznych znany był z silnego poparcia dla pokojowych rozwiązań. Śmierć króla i królowej na amerykańskiej ziemi wywołałaby konflikt między Anglią a Stanami

Zjednoczonymi, który trudno byłoby załagodzić przez lata. - Ta wizyta to także niezmiernie ważna misja dyplomatyczna. Wiemy wszyscy, jak źle Jego Wysokość znosi wystąpienia publiczne, a mimo to decyduje się na to, w dodatku w tak trudnym czasie.

- Rozumiem, że podjęto odpowiednie środki bezpieczeństwa – odezwał się Barry.

Kendal, szef sekcji specjalnej, wydał z siebie krótkie prychnięcie, jakby był zirytowany wątpliwościami detektywa.

- Doskonale pan rozumie, inspektorze. Już wysłaliśmy grupę ludzi badającą każdy metr linii kolejowej w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, którą będzie jechał królewski pociąg. Kanadyjska Królewska Policja Konna zgarnia wszystkich potencjalnych mściwistów. Podobnie współpracuje z nami FBI. Ich Królewskim Mościom będą towarzyszyli królewscy ochroniarze Cameron i Perkins, a w samym pociągu i wszędzie indziej króla i królową ochraniać ma przynajmniej dziesięciu moich ludzi. W Stanach Zjednoczonych parę królewską będą osłaniać też lokalne i stanowe siły policyjne. Zostaną im również przydzieleni agenci specjalni z Biura Ochrony Departamentu Stanu.

- Moim zdaniem tej ochrony jest aż nadto - wtrącił minister. - I wszystko, jak widać, w najlepszym gatunku.

Barry nie odezwał się, ale w uszach dźwięczał mu głos brata Emmetta z sierocińca, gdy ten drań w habicie zrywał ze ściany przy jego łóżku odznaki za pierwsze miejsce w meczu rugby. „Pycha to pierwszy krok do upadku, chłopcze. Lepiej sobie to dobrze zapamiętaj”. Stało się to w dzień po zatonięciu „Titanica” w kwietniu 1912 roku. Barry miał wtedy trzynaście lat.

- *Qui bono?* - odezwał się, przypominając sobie strzępy łaciny włożonej mu do głowy przez kapucynów. - Kto na tym skorzysta?

Hoare jeszcze bardziej ściągnął wąskie usta.

- Słucham?

- W przypadku każdej zbrodni zawsze zastanawiamy się, kto mógł odnieść z niej korzyść. Aby odnaleźć sprawcę, trzeba poznać motyw. Najlepszą obroną przed zagrożeniem jest odkrycie i eliminacja jego źródła.

- I mniej więcej do tego właśnie wszystko się sprowadza - rzekł Holland z wdzięknością. - Jeśli takie zabójstwo się powiedzie, kto na nim skorzysta? - Postukał nerwowo papierosem w brzeg popielniczki i rozejrzał się dookoła. Nikt się nie odezwał. - Naziści - odezwał się w końcu. - Niemcy.

- Naród zabijający suwerena innego narodu? - rzekł Hoare. - To nie do pomyślenia! Takich rzeczy się nie robi!

Holland nic się nie przejął tym wybuchem.

- Obawiam się, że to najbardziej logiczna odpowiedź na pytanie inspektora. Morderstwo króla i królowej na terenie Ameryki byłoby katastrofalne w skutkach. Spowodowałyby konflikt między naszymi krajami na cały wiek, a co dopiero na okres wojny w Europie. - Przerwał i zerknął w papiery leżące na stole. - Niemiecki rząd nie mógłby zorganizować tego bezpośrednio, ale mógł się posłużyć kimś takim jak Russell. Wiemy też, że naziści od lat aktywnie wspierają IRA. - Odchrząknął. - Upiękliby w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, podzieliliby nasze kraje i ruszyli na podbój. Po drugie, wywołaliby bezkrólewie.

- Nadal nie bardzo rozumiem, co pan sugeruje - odezwał się Douglas-Home.

- Mamy dowody, że niedawno w hotelu Meurice w Paryżu doszło do spotkania pana Flynna z bratem króla - odpowiedział Holland z nutą irytacji w głosie. - Uczestniczyło w nim także dwóch wysokich

rangą członków partii nazistowskiej.

- Mówiąc brat króla, ma pan na myśli księcia Windsoru? - upewnił się Douglas-Home.

- Księżę wypadł już z oficjalnej kolejki do tronu, ale księżniczka Elżbieta nie jest wystarczająco dorosła, by objąć rządy. Dopóki nie osiągnęłyby pełnoletności, potrzebny byłby regent. - Holland znów przerwał, by pociągnąć łyk wody ze szklanki. - Wątpię, czy gdyby do tego doszło, ktokolwiek zdołałby przebić popularnością kandydaturę księcia Windsoru. W efekcie znów zostałby królem, a księżna byłaby tytułarną królową.

- To jakiś absurd! - oburzył się Hoare. - Czyste szaleństwo!

- Być może tak - odezwał się łagodnie Douglas-Home. - Ale jestem pewien, że premier by nam nie darował, gdybyśmy w tej sprawie nie zachowali maksymalnej ostrożności.

- No tak, zapewne ma pan rację - odrzekł Hoare.

- Sam przeglądałem te materiały - ciągnął Douglas-Home. Spojrzał na Hollanda. - Zdecydowanie coś jest na rzeczy.

- A zatem co panowie sugerują? - zapytał Hoare. Douglas-Home uśmiechnął się w stronę Kendala siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Sądzę, że możemy założyć, iż sekcja specjalna zrobiła wszystko co w jej mocy, by zapewnić bezpieczeństwo Ich Królewskim Mościom, ale nie zaszkodziłoby przeprowadzenie dyskretnego, niezależnego śledztwa w tej sprawie.

- Co byłoby potrzebne? - zapytał Hoare.

- O tym już rozmawialiśmy - odparł Kendal. - Potrzebna nam jest tylko pańska zgoda. - Skinął głowę w stronę Howe'a. - Wicekomisarz Howe zaproponował przydzielenie inspektora Barry'ego do sekcji specjalnej, a nasi wspólni znajomi z St Anne's Gate zgodzili się, byśmy na razie korzystali z usług obecnego tu podpułkownika

Hollanda. Inspektor podlega Hollandowi. Holland podlega mnie.

Siedzący na końcu stołu Thomas Barry zaczął sobie uświadamiać, że nie ma nic do powiedzenia w kwestii własnego losu. Przypomniał sobie, że kapucyni w sierocińcu w Cork robili dokładnie to samo - rozmawiali o nim, jakby nie było go w pokoju, rozważali najrozmaitsze warianty jego przyszłości, głównie religijne. Nikt nie brał zupełnie pod uwagę takich rzeczy jak osobista satysfakcja czy przyjemność. Niedługo później uciekł stamtąd, by zaciągnąć się do wojska. Jednak tym razem nie było o tym mowy.

Douglas-Home pochylił się i spojrzął na koniec stołu, wrywając Barry'ego z krótkiego zamyślenia.

- O co chodzi, Barry? Nie wygląda pan na szczególnie zainteresowanego tematem rozmowy. A mnie się wydawało, że każdy Irlandczyk marzy o wyjeździe do Ameryki.

Policjant spojrzął na tego pompatycznego małego dupka i uśmiechnął się.

- Teraz mnie pan zainteresował, panie Douglas - odrzekł lekko śpiwnie, z premedytacją opuszczając fragment nazwiska tego bufona. - Problem w tym, że ja nie jestem każdym Irlandczykiem. - Sekretarz Chamberlaina wyraźnie poczerwieniał na twarzy. Rozbawiło to nawet Hoare'a. Douglas-Home z hukiem zatrzęsął swoją teczkę.

- Zdaje się, że to już wszystko - powiedział chłodno i spotkanie dobiegło końca.

Podpułkownik Holland zaprosił Barry'ego na kolację. Jedli w jego klubie wojska i marynarki przy Pall Mail. Była niedziela i mała jadalnia na tyłach klubu świeciła pustakami. Barry zamówił rybę, Holland zjadł z apetytem trzy kotlety jagnięce. Do stołu podawał zgarbiony, siwiejący i utykający kelner o odpychającym wyrazie

twarży - pewnie był kiedyś sierżantem. W czasie posiłku prawie nie rozmawiali. Wymieniali się tylko szczegółami biografii, choć mówiąc o sobie, Barry pomyślał, że Holland zna jego życiorys na wylot.

Opowieść Hollanda była tak nudna, że wyglądała na prawdziwą, ale zważywszy na jego związki z wywiadem, mogła się okazać równie dobrze całkowitą blagą. Łysiejący podpułkownik opowiedział, że kształcił się w Królewskiej Akademii Wojskowej, dostał się do Królewskich Wojsk Inżynieryjnych, a w 1916 roku został obserwatorem przy Królewskim Korpusie Lotniczym. Służył na Bałkanach. Kiedy dostał Krzyż Lotnictwa, wspomniano o nim nawet w kronice wojskowej. W końcu odesłano go do cywila w stopniu majora.

Od tamtego czasu miał się rozmaitych nudnych zadań w Whitehall, był także krótko w Dublinie. Napomknął też o ranie w piersi, jaką otrzymał w czasie operacji w Sofii. Od tamtego czasu miał problemy z płucami, co - jak sądził - wykluczy go z frontowych szeregów w razie wybuchu wojny. W sumie jego życiorys pasował do spokojnego wojskowego biurokraty o mało interesującej przeszłości. Kolejny kandydat do klubu nudziarzy.

Po kolacji Holland poprowadził detektywa wąskim korytarzem do obszernej wykładanej dębową boazerią kawiarni wychodzącej na Pall Mail. Wskazał mały stolik przy jednym z wysokich łukowatych okien. Stały przy nim dwa wygodne fotele obite czerwoną skórą. Podobnie jak jadalnia, kawiarnia również była prawie pusta. Jedyne od czasu do czasu rozlegał się szelest składanej gazety i syczenie węgla w kominku na końcu sali. Zamówili kawę i brandy. Kiedy przyniesiono napoje, Holland zaproponował Barry'emu cravena ze swojej paczki i przypalił go dunhillem z czystego złota.

- Nadal nie do końca wiem, po co było to spotkanie - rzekł Barry.

- Howe lub Kendal mogli mi to wszystko zreferować prywatnie w Scotland Yardzie.

- Szok - odparł Holland, uśmiechając się szeroko.

- Słucham?

- Szok. To mój skrót od Spietrać, Zadziwić, Onieśmielić Kmiotka. Chcieli wywrzeć na panu odpowiednie wrażenie, zapraszając do Sali Gabinetowej. Zaskoczyć i onieśmielić. To taka gierka, w którą bawią się ci z Eton i Oksfordu, ludzie pokroju Douglasa-Home'a. - Holland przerwał i wydmuchnął dym z papierosa. - Czy pan zna jego życiorys?

- Ani trochę - odparł Barry.

- Dziedziczny szkocki lord. Home coś tam, coś tam. Skończył Eton. Trzeciorzędne magisterium z historii w Oksfordzie. Nie przepracował w życiu ani dnia. Grał w krykieta i polował na bażanty, aż pewnego dnia postanowił zająć się polityką. Nie ogląda się na nikogo. W końcu dadzą mu tytuł szlachecki za samo wypinanie piersi. A jeśli będzie ją wypinał dostatecznie długo, może sam kiedyś zostanie premierem. Polityczny dyletant, który lubi upajać się władzą. W czasie wojny najmniej nam takich potrzeba.

Barry uśmiechnął się.

- Jak widzę, nie przepada pan za nim.

- Nie chodzi tylko o niego. - Holland zareagował żywo. - Chodzi o typów takich jak on. Przekazaliśmy Kendalowi informacje na temat Russella, a on przesłał je do tego szkockiego owczarka Chamberlaina. Home nie wierzy, że istnieje jakiś spisek, podobnie jak Hoare. Im się wydaje, że to będzie wojna dżentelmeńska, a dżentelmeni nie strzelają przecież do królów i królowych. - Pokręcił głową. - Niech pan mi wierzy, Herr Hitler nie ma w sobie nic z dżentelmena.

- Jeśli oni nie wierzą w spisek na życie króla, to czym ja mam się

zajmować?

- Pan i ja jesteśmy ich wymówką - wyjaśnił Holland. - Musieli jakoś zareagować na informacje, które otrzymali. Nasze tak zwane niezależne śledztwo to ich pomysł. Jeśli jakimś tragicznym zbiegiem okoliczności rzeczywiście coś pójdzie nie tak, pan i ja będziemy kozłami ofiarnymi. - Uśmiechnął się ponuro. - Właśnie takimi gierkami żyje nasz szkocki lordzik. Źle jeśli coś zrobimy, źle jeśli nie zrobimy niczego i tak dalej, dopóki kiedyś to wszystko nie zakończy się źle dla niego.

- A pan co sądzi o tym spisku? - zapytał Barry. Zgasił papierosa i upił łyk kawy. - Traktuje pan to poważnie?

- Z historycznego punktu widzenia wszelkie zamachy są bez sensu, zwykle to czyny szaleńców albo fanatyków.

- Takich jak Russell.

Sądzę, że pan wie o tym lepiej niż ja, inspektorze. Russell nie jest ani szaleńcem, ani fanatykiem. Rozbija się po O'Connell Street w jasnoczerwonym MG pasującym do koloru jego włosów i popisuje przed dzierlatkami. Ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i jeśli wierzyć kartotekom, nigdy w życiu do nikogo nie strzelił. Dużo pije, dużo gada, zbiera pieniądze. W życiu nie wybrałbym go na zabójcę.

- Czasami Irlandczycy potrafią zwodzić - uśmiechnął się Barry.

Holland odwzajemnił uśmiech.

- O tak, wiem coś o tym, inspektorze. Nie mam co do tego wątpliwości. I dlatego pan doskonale nadaje się do tego zadania.

Barry wybuchnął śmiechem.

- Jako kozioł ofiarny?

- Jako detektyw. I to dobry, jak wynika z pańskiej kartoteki. - Przerwał i wysunął z paczki na stół kolejnego papierosa. - Oczywiście mogę się mylić, ale w takich sprawach ufam mojej intuicji.

Niezależnie od tego, w co wplątał się Sean Russell, pewne jest, że nie ma dymu bez ognia, a dziś większość pożarów nosi imiona takie jak Fritz, Ernst czy Heinrich, nie wspominając o takich jak de Valera czy McGarrity.

- W Scrubs mamy pod kluczem dziesięciu członków IRA, ale nie sądzę, by powiedzieli panu czy mnie cokolwiek na temat Russella.

Holland roześmiał się i zapalił papierosa.

- Nie, nie znajdziemy odpowiedzi w Wormwood Scrubs.

- W takim razie gdzie? - zapytał Barry.

- Zaczniemy od Dublina - odparł Holland.

Rozdział 6

16 kwietnia 1939 roku, niedziela

Nowy Jork

Dan Hennessy wysadził Jane przy budynku Flatiron, zawrócił i pojechał na Centrę Street, by sporządzić raport. Jane weszła do sklepu Wallgreens. Kupiła kubek kawy, pączka i wyjąca leniwą windą pojechała do siebie. Po drodze rozmyślała o martwym mężczyźnie, którego właśnie uwieczniła na kliszy.

Howie Raines, chłopak, z którym bawiła się w doktora. Z całą pewnością nie był homoseksualistą. Pracował dla jakiejś szemranej kancelarii Fallon i McGee, by skończyć z kulką w głowie w rowie w New Jersey, w niedzielę nad ranem. Dlaczego zginął? Równanie zjedna niewiadomą. Jeszcze bardziej intrygujące było to, dlaczego Danowi Hennessy'emu kazano trzymać buzię na kłódkę. Howie nie był przecież słynnym adwokatem mafii. Na razie nic nie układało się w logiczną całość. Winda szarpnęła i zatrzymała się pięć centymetrów poniżej poziomu piętra. Jane wyszła na cichy korytarz i dotarła do swojego mieszkania.

Ponce de Leon wykrzyknął obsceniczne powitanie. Dała ptakowi kawałek pączka, żeby się zamknął. Zniosła contaksa do łazienki, gdzie miała ciemnię. Włożyła rolkę z filmem do specjalnego pojemnika i wywołała negatyw. Kiedy skończyła, powiesiła film na spinaczach nad umywalką, żeby wysechł. Po wyjściu z łazienki dopiła stygnącą kawę. Spojrzała na zegarek. Było wpół do drugiej - miała mnóstwo czasu, by przed wizytą u siostry pojechać i rozejrzeć

się w mieszkaniu zmarłego.

Wychodząc, wyjęła z szafki drugi aparat. Tym razem wybrała najmniejszy, jaki miała; leica E z łatwością mieściła się w kieszeni marynarki.

Nie szukała taksówki, lecz ruszyła na przystanek autobusowy przy Piątej Alei. Czekając na jeżdżącą według niedzielnego rozkładu jedynek, wypaliła dwa camele. Kiedy autobus wreszcie się zjawił, ucieszyła się, że to jeden z tych starych dwupoziomowych. Wsiadła, zapłaciła dziesięć centów za przejazd i wspięła po małych krętych schodkach na górny pokład. Tam zapaliła kolejnego papierosa. Czuła się trochę jak turystka, oglądając z wysokości Nowy Jork.

Autobus dojechał do końca linii na placu Waszyngtona. Jane znowu wyszła na słoneczną ulicę. W wielkim prostokątnym parku tętniło życie. Włoskie dzieciaki w najlepszych niedzielnych strojach ganiały się pomiędzy rzadkimi dębami i akacjami. Ich rodzice wypoczywali na kocach. Tatusiowie opalali się rozebrani do podkoszulków. Studenci siedzieli na ławkach i czytali albo po prostu leżeli na trawie, zamiast dusić się w ponurych budynkach New York University po wschodniej stronie parku.

Jane sięgnęła do torebki i namacała pęk kluczy, które dał jej Dan Hennessy. Szła ścieżką wiodącą na północną stronę placu Waszyngtona. Zastanawiała się, ile z wypoczywających tu osób wie, że kiedyś w tym miejscu mieściło się nowojorskie cmentarzysko dla biedaków i pod ich stopami znajduje się ponad dziesięć tysięcy bezimiennych grobów. Z kolei konary wielkich wiązów, dziś dające cień, kiedyś służyły za szubienice.

Północna strona placu rozciągała się na szerokość jednej przecznicy po obu stronach Piątej Alei. Stał wzdłuż niej rząd niemal nietkniętych kamienic z początku XVIII wieku. Domy z czerwonej

cegły i białego wapienia zbudowano w stylu klasycystycznym. W tym miejscu była kiedyś posiadłość Warrena. Wtedy uważano ten rejon za jedną z najbardziej eleganckich dzielnic mieszkaniowych Nowego Jorku, ale czasy się zmieniły. Co najmniej połowa budynków została przekształcona na kamienice czynszowe, kilka było zamkniętych, z okiennicami zabitymi deskami, a dwie czy trzy wystawiono na sprzedaż, choć tabliczki z informacją o tym były tak stare, że wyblakła na nich farba.

Numery posesji rosły ze wschodu na zachód. Numer 26 znajdował się więc na zachód od Piątej Alei, w pobliżu tej części parku, która sąsiadowała z MacDougal Street. Poza elegancko przystrzyżonym żywopłotem, od frontu budynek numer 26 nie różnił się niczym od sąsiednich kamienic - trzy i pół kondygnacji, trzy okna na każdej z nich, sześć kamiennych schodków prowadzących do drzwi wejściowych z niby-portykiem. Po obu stronach dębowych drzwi stały przyrośnięte kolumny jońskie. Okna i drzwi osłaniały zielono-białe markizy, ale materiał wyblakł i pokrył się plamami, a tu i ówdzie widać było dziury. Kamienica numer 26 przy placu Waszyngtona dni świetności miała zdecydowanie za sobą.

Za niskim żelaznym płotkiem były strome schody prowadzące do mieszkania w suterenie. Dwa małe okna wypełniały popękane tafle szkła. Jane zeszła po schodkach, wyjęła klucze i otworzyła drzwi.

Znalazła się w wąskim korytarzu z wieszakiem na kapelusze po prawej i owalnym lustrem po lewej stronie. Na wieszaku wisiał filcowy kapelusz i płaszcz, a na sizalowej macie pod wieszakiem stały kalosze. Zaryglowała za sobą drzwi i zaczęła węszyć. Zaduch, z nikłym śladem dymu papierosowego. Żadnego zapachu krwi czy odoru śmierci. Howard Raines został porzucony w rowie, ale na pewno nie zginął tutaj.

Łukowate przejście prowadziło do niewielkiego, nisko sklepionego salonu. Ściany były tandetnie obwieszane plakatami filmowymi, na podłodze leżał owalny zdeptyany dywan, a po prawej stała brązowa sofa, naprzeciwko której, pod oknami, ustawiono obity ciemnozieloną tapicerką fotel. Między nimi znajdował się gazowy kominek. Na niskim stoliku przy fotelu leżała niewielka kupka czasopism i popielniczka. Jane przerzuciła magazyny. „Saturday Evening Post”, „Liberty”, „Newsweek”, „Baseball” i „Flying Aces”. Dwie ulubione rzeczy Rainesa. Gra w piłkę i dziecięce marzenia o tym, by zostać pilotem myśliwca. Czy homoseksualista mógł czytać takie pisma jak „Flying Aces” czy „Baseball”?

Zerknęła na plakaty filmowe. Kolejna skryta pasja Howiego. Kiedy już rozmawiali, mówił głównie o kinie. Większość plakatów miała kilka ładnych lat, żaden nie reklamował nowości. *Patrol o świcie* z Basilem Rathbonem i Errolem Flynnem, *Niewidzialny promień* z Borisem Karloffem, *Ostatni Mohikanin* i *Trade Winds*. Jane widziała je wszystkie, poza *Trade Winds* - najwyraźniej była to romantyczna historia dziejąca się na pokładzie transatlantyka, z Frederikiem Marchem i Joan Bennett w rolach głównych. Film nie w jej typie, ale do homo też raczej taki typ kina nie pasował. A może jednak?

Kolejne wejście prowadziło do kuchni - wąskiej i starej. Błat pokryty żółtym linoleum, na nim odrapana lodówka General Electric z głośnym agregatem. Obok wysoka, lekko rdzewiejąca terma na wodę i mała kuchenka gazowa. Pod boczną ścianą stolik śniadaniowy przykryty niebieską ceratą i trzy białe krzesła. Jane zerknęła do lodówki - dwie butelki coca-coli, trzy puszki pabsta, jajka, masło, kawałek żółtego sera i dwa czy trzy zawiniątka w szarym papierze. Opróżniona do połowy puszka ananasów Dole w kawałkach - trudno

było cokolwiek wnioskować na podstawie tych rzeczy. W szafkach znalazła zupełną w puszcze, herbatę i kakao Ovaltine. Pod zlewem stała butelka whisky Teachers i dzin Fleischmann's. Howard Raines zaczął wyrastać na normalnego kawalera.

Nieco więcej można się było dowiedzieć w łazience, a jednak nie znalazła tam nic szczególnego. Dorosły Howie Raines leczył łupież za pomocą toniku do włosów Vaseline, zęby mył pastą Ipana, a pod pachami perfumował się Odo-Ro-No. Znalazła też kilka saszetek sal hepatica i saraka, w tym kilka wykorzystanych, co znaczyło, że często miewał zatwardzenia. Do golenia używał pianki Colgate i żyletek Gem. Jane uśmiechnęła się. W każdym calu prawnik na dorobku - zatwardziały, słodko pachnący i gładko ogolony. Tyle że już do niczego nie dojdzie w życiu. Dorobił się kulki w głowie.

Sypialnia znajdowała się na końcu mieszkania. Światło wpadało tu przez kolejne okno, które pewnie wychodziło na zaułek. W małym pomieszczeniu ustawiono łóżko, nocny stolik, biurko i komodę. Na łóżku leżała ciemnozielona narzuta. Stolik nocny był byle jaki, komoda miała chyba więcej lat niż Jane, bo warstwa pokrywającej ją politurę pożółkła ze starości. Biurko pochodziło z tego samego okresu. Na nim zielona podkładka do pisania, popielniczka ze Stork Club, taka sama jak u Jane, lampka i telefon. Odczytała numer na tarczy: Orcie 6-7350.

Sprawdziła najpierw szuflady biurka. Stare rachunki, kilka nowych. Plik papierów i kopert firmowych z kancelarii Fallon i McGee, spinacze, kilka znaczków, trzy czy cztery ołówki Mongoł numer 2 i temperówka, butelka niebieskiego atramentu Waterman, stare, wyschnięte pióro Shaeffera z szylkretu wyglądało na dawną własność ojca Howarda. Znalazła też zmiętą paczkę skeetów z dwoma bardzo starymi papierosami w środku. Żadnego notatnika z

adresami. Trochę ją to zdziwiło.

W wąskiej szafie były trzy pary brązowych butów, jeden niebieski garnitur i jeden brązowy, identyczny z tym, który Howie miał na sobie, kiedy ktoś strzelił mu w głowę. Na każdym z wieszaków z garniturami wisiał krawat Arrow w paski. Nisko na półce leżało kilka paczek z kartkami z pralni - zapewne białe koszule, takie jak ta, w której go znaleziono. Jane nawet nie otwierała żadnej z nich. Sprawdziła za to kieszenie marynarek i spodni, ale nic nie znalazła. Nawet nitki. Na podłodze w szafie stała mała walizka Hartmanna pokryta kurzem - nie używano jej od dawna.

W szufladzie stolika Jane również nic nie znalazła. Na blacie stała tylko lampka i budzik, który już się zatrzymał. W końcu trafiła na coś ciekawego. W drugiej szufladzie komody pod stosem slipków znalazła pełną talię kart z nagimi kobietami i żółtą paczkę z trzema prezerwatywami Caravan. Jednej brakowało. O ile Jane się orientowała, homoseksualiści raczej nie gapili się na nagie kobiety i raczej nie stosowali kondomów. Historia o homoseksualizmie Howarda przestawała trzymać się kupy. Wyglądało na to, że rachunki z łaźni Ariston i baru Gloria podrzucono mu w kieszeniach, żeby go oczernić.

Ale kto to zrobił i dlaczego? Odłożyła karty i paczkę z prezerwatywami do szuflady, usiadła na brzegu łóżka. Wydawało jej się, że wie, czemu podrzucono te kompromitujące dowody - po to, by wyglądało, że biedny Howie stał się ofiarą tragicznego finału związku dwóch zbrojców. Gazety nie interesowały się tego rodzaju historiami, a i policja nie będzie przejmować się tego rodzaju morderstwem. Jeśli nie pojawiłyby się inne fakty, sprawa po prostu by przyschła. Pewnie ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby tak się właśnie stało.

To znaczyło, że Howard Raines z jakiegoś powodu był ważną postacią. A stąd ślady prowadziły prosto do kancelarii Fallon i McGee. Zarówno Jimmy Fallon, jak i Eugene McGee od lat już nie żyli, ale kancelaria kontynuowała zapoczątkowaną przez nich tradycję - reprezentowała każdego, kto pochodził z półświatka lub zajmował się brudną miejską polityką. Krążyły nawet plotki, że na początku roku właśnie ta kancelaria wynajęła Lloyda Paula Strikera, by reprezentował Jimmy'ego Hinesa, przywódcę Tammany.

Jane zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć Howiego tamtej nocy. Zdejmował tę głupią klubową marynarkę i zaplątał się w rękawy, a ona leżała cały czas na siedzeniu samochodu jego ojca, z suknią balową podciągniętą do pasa, już bez majtek. Czuła się jak stado kretynek i czekała na tę magiczną chwilę, by w końcu przekonać się, że faktycznie to chwila, tylko magii zabrakło. Leżeli potem oboje niewinni jak owieczki; Howie nie miał w sobie nic z wilka, ale był taki wdzięczny i taki słodki. To nic, że szybki jak błyskawica i raczej kiepsko obdarzony przez naturę.

Siedziała na łóżku z zamkniętymi oczami i pozwoliła sobie na coś, na co nie zdecydowałyby się w obecności Hennessy'ego. Zapłakała nad Howiem i nad tą chwilą kiedyś, w samochodzie, nad ich wspólną przeszłością i nad przyszłością w której Howiego już nie będzie. Umrzeć w rowie. Ten drań nie zasłużył na taki koniec.

Wyciągnęła z dna torby białą rękawiczkę, otarła łzy i przywołała się do porządku. Zapaliła papierosa i pomyślała o twardej rzeczywistości. Howie nie żył. Cokolwiek dla niej kiedyś znaczył, teraz już się nie liczyło. Należało odszukać tych, którzy go zabili. Rozwikłać zagadkę. Znaleźć temat. Tak sobie przynajmniej wmawiała, starając się odesłać obraz chłopca, którego znała, gdzieś do zakamarków pamięci, gdzie zszarzeje tak jak zdjęcia, które

zrobiła.

Dan Hennessy był dobrym gliną i czuł, że coś śmierdzi. A kiedy Dan czuł, że coś śmierdzi, Jane widziała w tym temat na artykuł, artykuł zaś oznaczał pieniądze. Jednak smród szybko się ulatniał. Próba odkrycia, co poza pracą łączyło biednego Howarda z kancelarią Fallon i McGee, była jak ślepa uliczka. Nikt w kancelarii nie powie nic na temat Howarda Rainesa - ani czym się zajmował, ani jakich miał klientów. Jane przygryzła wargę i rozejrzała się po niewielkim pokoju. Nie znosiła poddawać się od razu na początku gry, ale nie widziała innego wyjścia. Czasami, kiedy odwiedzała siostrę w przytułku, wydawało jej się, że przez krótką chwilę widzi przebłyski świadomości jak błyskawice w ciemności, mówiące: „Jestem tutaj, tylko nie potrafisz mnie zobaczyć”. Dokładnie tak samo czuła się teraz, tyle że chodziło o Howiego. „Umarłem i nie ma mnie już, ale byłem tutaj. Istniałem. Zasługuję na lepsze epitafium, niż to, które dostanę, więc opowiedz za mnie moją historię”.

Jane położyła się z rękoma pod głową i zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie, co zrobiłby w takiej sytuacji Hennessy. Znów stanęło jej przed oczyma całe mieszkanie. W myślach chodziła z pokoju do pokoju i zastanawiała się, czy nie przeoczyła czegoś istotnego, ale niczego nie zauważyła - wszystko było na swoim miejscu, nic jej nie zaskoczyło poza brakiem notatnika. Nic, co wskazywałoby na motyw morderstwa.

Wstała z łóżka i wróciła do drzwi wejściowych. Położyła rękę na klamce i nagle się zatrzymała. Tak na wszelki wypadek sięgnęła do kieszeni płaszcza wiszącego na wieszaku. Nie padało od czwartku, więc pewnie wtedy Howie miał go ostatni raz na sobie.

W jednej z kieszeni coś namacała. Wyciągnęła paczkę papierosów i wsunięty za celofan kartonik zapalek. Zapalki pochodziły z Pan

American Airways. Kiedy wyciągnęła je z celofanu, zauważyła, że papierosy są jakiejś nieznannej marki - Alas. Obróciła paczkę i spojrzała na dno. „Hecho in Habana”. To by się zgadzało. O ile dobrze pamiętała, „alas” po hiszpańsku oznaczało skrzydła, i tak też wyglądał stylizowany symbol na czerwono-niebiesko-białym opakowaniu.

Wysunęła z paczki papierosa, podniosła go do ucha i okręciła w palcach. Nie chrzęścił zbyt mocno i nie wypadał z niego tytoń. Zapaliła i zaciągnęła się dymem. Jak dla niej był trochę za mocny, ale nie był ostry. Można powiedzieć, że nawet orzeźwiający. Wyglądało na to, że Howie był na wakacjach.

- No, Howie, może jednak będzie z tego jakiś artykuł.

Schowała papierosy do torby i wróciła do sypialni. Usiadła przy biurku, podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer centrali. Kilka sekund później połączono ją z biurem Pan American Airways przy Wschodniej Czterdziestej Drugiej. Główne biuro było nieczynne, ale po kilku pytaniach dyżurny na centrali połączył ją z biurem Terminalu Morskiego w Port Washington na Long Island.

- Tu Terminal Morski linii Pan American Airways. Mam na imię Doris. Czym mogę służyć? - Kobieta wyrecytowała tekst jak wykuty na pamięć, co pewnie było prawdą.

Jane zamknęła oczy i zaczęła grać swoją rolę.

- Witaj, Doris. Nazywam się Sara Wackerman. Jestem księgową w Fallon i McGee. To taka kancelaria prawna.

- Słucham, panno... Wackerman.

- Widzisz, Doris, mam taką sprawę. Siedzę właśnie nad rachunkami Howiego i nie ma na nich żadnych dat. Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi pomóc w wyjaśnieniu kilku rzeczy. - Przerwała i odezwała się swoim najśłodszy głośem. - Pomożesz mi,

Doris?

- Zrobię co w mojej mocy, panno Wackerman. Mówiła pani Howie?

- Howard Raines. Mam tu napisane, że leciał z Nowego Jorku do Hawany.

- Kiedy to było?

Jane pomyślała o płaszczu i zaryzykowała.

- Chyba w czwartek, kiedy była ta wielka burza.

- Chwileczkę. - Doris odeszła od telefonu, a Jane strąciła popiół do popielniczki ze Stork Club. Kilka chwil później Doris znów odezwała się w słuchawce. - Panno Wackerman?

- Jestem przy telefonie.

- Mamy pana Rainesa na liście pasażerów lotu do Miami w czwartek trzynastego, z przesiadką do Hawany o ósmej trzydzieści rano w piątek.

- A kiedy wracał?

- Miał wykupiony bilet powrotny z Hawany do Miami na lot o trzeciej po południu tego samego dnia.

- I z powrotem do Nowego Jorku?

- Miał bilet na tę trasę, ale go zwrócił. - W głosie Doris słychać było lekkie rozczarowanie.

- Podał jakiś powód?

- Hmm... W opisie jako przyczynę podano: „Postanowił jechać pociągiem”.

- To wszystko wyjaśnia. - Jane zastanowiła się przez chwilę. - Jeszcze jedno, Doris, jeśli mogę.

- Oczywiście, panno Wackerman. - Kobieta zaczęła się lekko irytować.

- Jak pan Raines zapłacił za bilety? - Dziennikarka zgasiła

papierosa. Po kolejnej chwili przerwy Doris odpowiedziała:

- Zapłacono przelewem.

- A kto go autoryzował? Doris zawahała się.

- Nie wiem, czy powinnam to ujawniać, panno Wackerman.

- Doris, chodzi o konto Fallon i McGee, a ja jestem księgową w Fallon i McGee.

- Ale za bilety nie zapłacono z tego konta. I w tym kłopot.

Teraz dopiero zaczęło się robić intrygująco. Jane postanowiła trochę ponaciskać.

- Daj spokój, Doris. Wiesz, mam już tego po dziurki w nosie. Powinnam cieszyć się pięknym niedzielnym popołudniem, tak jak reszta Nowego Jorku, a utknęłam w biurze i próbuję dojść do ładu z rozliczeniem podróży Howiego. - Westchnęła głęboko i boleśnie do słuchawki. - Oczywiście pewnie było tak, że pan Raines wykonywał zlecenie dla któregoś z klientów i to klient, a nie kancelaria, zapłacił za podróż. Teraz wszystko mi się pomieszało.

Doris też westchnęła.

- Mnie również.

- Ale gdybym dowiedziała się, który to klient, mogłabym szybko rozwiązać ten problem.

- Shalleck - odparła Doris po chwili wahania. - Chodzi o konto pana Josepha Shallecka.

Kto to może być, u licha?

- Doris, jesteś cudowna. Ogromnie ci dziękuję.

Jane rozłączyła się, poczekała, aż usłyszy sygnał i znów wykręciła numer. Tym razem połączyła się z Billym Tinkerem, jednym z asystentów Winchella w „Mirror”. Ten chudzielec o dziobatej twarzy nie zachwycał osobowością, ale miał fotograficzną pamięć i był niczym chodząca encyklopedia. Jak zwykle, kiedy nie było go w

redakcji „Mirrora”, tuż obok rzeźni przy Wschodniej Czterdziestej Piątej, siedział w domu na Brooklynie ze swoimi trzema siostrami. Telefon odebrała jedna z sióstr. Po dłuższej chwili Billy podszedł do słuchawki. Miał głos człowieka, który więcej czyta, niż mówi.

- Tinker, słucham.

- Tu Jane Todd, Billy. Dostaniesz dwa dolce, jeśli powiesz mi, kim jest Joseph Shalleck.

- Przegrasz te dwa dolce.

- Zaskocz mnie - odparła Jane. Otworzyła szufladę biurka i wyjęła kartkę firmowego papieru Fallon i McGee oraz zatemperowany ołówek.

- Jak odbiorę wygraną?

- Wybieraj.

- Stawiasz obiad. W tej greckiej knajpce na Zachodniej Dwudziestej Piątej.

- Spartacus Club - przypomniała sobie nazwę. Mała brudnawa buda między Siódmą a Ósmą Aleją.

- Właśnie tam - odrzekł Tinker. - Tam gdzie kozi ser polewają alkoholem i podpalają.

- Niech ci będzie. A co z tym Shalleckiem?

- Potrzebujesz materiału na opowiadanie czy na powieść?

- Na jedno i drugie.

- Krótsza wersja jest taka, że od dawna jest na usługach mafii. Ma też powiązania polityczne.

- Tammany?

- Kiedyś może tak, ale od dwudziestu lat działa na zapleczu lokalnego komitetu demokratów.

- Dobrze, a teraz podaj mi trochę szczegółów.

- Za dwa dolce chcesz też szczegóły?

- Do kebaba postawię ci jeszcze piwo.

- Shalleck zaczął praktykować u Jimmy'ego Fallona tuż po wojnie. W końcu reprezentował wszystkich, od Arnolda Rothsteina po Franka Costello i Eddiego Morettiego. Owney Madden, Lepke Buchalter, Dutch Schultz - wszystkich. Jest też adwokatem Dandy'ego Phila.

- Kastela?

- Właśnie - potwierdził Billy. Dandy Phil Kastel był mózgiem co najmniej pięciu afer finansowych polegających na sprzedaży na Wall Street nieistniejących akcji. Wszyscy wróżyli mu wielką przyszłość w mafii.

- A jakie ma teraz powiązania z demokratami?

- Był adwokatem Jimmy'ego Hinesa, więc bliżej już się związać nie da. Dopóki nie pojawił się Dewey i nie podzielił partii, Hines miał w kieszeni prokuraturę, nie mówiąc o tym, że zbierał pieniądze dla Farleya. Niektórzy twierdzą, że Shalleck ma też dojścia do samego FDR i wie, gdzie są pogrzebane pewne trupy. - Billy zamilkł.

- I to wszystko?

- Jeśli chcesz więcej, musisz dorzucić kawę i deser.

- Na razie pasuję - odparła, uśmiechając się do słuchawki.

- Ale ja naprawdę chcę ten obiad - ostrzegł Billy.

- Nie martw się, postawię ci - obiecała Jane.

- No, myślę - powiedział i rozłączył się.

Jane spojrzała na notatki. Młody adwokat pracujący dla kancelarii, która obsługuje mafię, jedzie na Kubę w interesach innego, jeszcze większego prawnika mafii, a za swoje usługi dostaje kulkę w głowę i kończy w rowie w New Jersey. Zaczęła stukać ołówkiem w kartkę i próbowała sobie wyobrazić ostatnie dni Howiego jak serię fotografii. Czarno-białe klisze wiszące nad umywalką. Zaczęła od

tego, jak Raines wraca do Nowego Jorku po błyskawicznej wycieczce do Hawany.

Prawnik, który jedzie w interesach, ale nie bierze ze sobą walizki. To znaczy, że wychodząc z pociągu na Penn Station, musiał mieć ze sobą teczkę. Skoro za wszystko płaci Shalleck, zapewne Howie bierze przed dworcem taksówkę i jedzie do domu. Mija chyba niewiele czasu, bo nie zdążył nawet wyjąć z kieszeni płaszcz z zagranicznych papierosów, kiedy przychodzi ktoś z wizytą. Zapewne obserwowali jego mieszkanie i czekali, aż wróci. Nie był to Shalleck, bo na pewno nie chciał się w to mieszać osobiście. Jeden z jego kumpli z mafii albo ktoś, kogo Howard znał, bo nie ma śladów walki, bałaganu. Raines zabiera teczkę, chodzi o interesy. Ale nie bierze płaszcz, bo już świeci słońce.

Zapaliła kolejnego kubańskiego papierosa i oparła się wygodniej. Raines pewnie kupił kuszetkę w ekspresie Seaboard Silver Meteor, więc musiał po tym pozostać jakiś ślad. Może udałoby się jej odszukać taksówkarza, który odwiózł go z Penn Station do domu, ale po co? Nie dowiedziałyby się wiele więcej, niż wiedziała teraz. A jak się bliżej temu przyjrzeć, wiedziała tylko tyle, że to prawdopodobnie Shalleck zlecił zabójstwo młodego prawnika bezpośrednio po powrocie z Kuby. Aby ruszyć dalej, Jane musiała się przede wszystkim dowiedzieć, po co Shalleck wysłał Howarda Rainesa do Hawany.

Spojrzała na zegarek. Spędziła w mieszkaniu dobre pół godziny i zaczęło się już robić późno. Posprzątała na biurku, włożyła notatki do kieszeni i wyjęła leicę. W środku miała film DuPont Superior. Otworzyła przesłonę i przez kolejne dziesięć minut fotografowała mieszkanie, nie dlatego, że chciała zachować wspomnienia, ale Hennessy pewnie będzie chciał je zobaczyć. Kiedy skończyła,

wsunęła leicę do kieszeni i wyszła, zamykając drzwi na klucz.

Dwoma autobusami i tramwajem przedostała się na północ, na drugi koniec miasta, do Yorkville i Germantown. Kiedy dotarła do Cherokee Place i do przystani promowej przy Siedemdziesiątej Ósmej ulicy, było wpół do piątej. Nad starymi szarymi budynkami zaczął zapadać zmierzch nadchodzący od strony Rzeki Wschodniej. Jane pokazała przewoźnikowi swoją stałą przepustkę do szpitala, zapłaciła pięć centów i dostała skasowany bilet.

Usiadła na dziobie płaskodennej krypy. Po chwili silnik promu zakaszłał i ruszyli w poprzek rzeki. Tak jak zawsze, kiedy płynęła tędy o zmierzchu, pomyślała o Edmondzie Dantesie, który w *Hrabim Monte Christo* płynął zakuty w kajdany do koszmarne go więzienia Chateau d'If i zastanawiał się, czy kiedykolwiek odzyska wolność i wróci na stały ląd.

Trzy minuty później dotarli na wyspę. Wysiadła na wąskiej pustej przystani.

- Ostatni kurs o szóstej - zapowiedział przewoźnik. - Żadnych wyjątków.

- Przyjdę.

- Jeśli nie, zostanie paniusia tu na noc - ostrzegł.

- Przyjdę - powtórzyła.

Przewoźnik skinął głową i odbił od przystani. Jane przez chwilę patrzyła na słońce, które chowało się za miastem. W końcu jednak odwróciła się i ruszyła zwirową dróżką do głównego budynku z ośmiokątną niczym w fortecy wieżą i dwoma schodzącymi się pod kątem masywnymi skrzydłami. Każde z nich miało swoją własną mniejszą wieżyczkę. Wyglądały jak zaciśnięte pięści monstrualnych, rozłożonych ramion.

Wąskie okna zabito mosiężnymi blachami, odbijającymi gasnące

słońce. Jak zwykle, ilekroć przekraczała próg tego budynku, ogarnęło ją przerażenie. Dusila się na myśl o tym, że wejdzie do środka, zgubi drogę i nigdy już stamtąd nie wyjdzie. Czując, jak coraz bardziej tłucze jej serce, dotarła do głównego wejścia i pociągnęła za skrzydło ciężkich drewnianych drzwi. Weszła do ośmiokątnej wieży. Zatrzymała się, by oczy przywykły do mroku.

Niewiele się tu zmieniło od czasu, kiedy Karol Dickens odwiedził ten przytułek pod koniec jego budowy - prawie sto lat temu. Ciemno bejcowane drewniane belki, a nad nimi zimna cegła i kamień. Nikłe żółte światło sączące się z przytwierdzonych do ściany świeczników i wielkie granitowe posadzki dudniące przy każdym kroku. Już Dickens opisał to miejsce jako nieznośne. I takie pozostało.

Główną część ośmiokątnej wieży stanowiła elegancka, spiralna klatka schodowa, która wiła się w górę poprzez kolejne piętra i otwarte galerie. Na dole niczym w hotelu stała szeroka wysoka lada. Siedziały tam dwie osoby. Jedna z nich - kobieta - miała na sobie strój pielęgniarki. Barczysty mężczyzna o wielkich dłoniach i płaskiej twarzy boksera nosił białą czapkę i fartuch sanitariusza.

Jane okazała swoją przepustkę. Pielęgniarka skinęła głową, ale sanitariusz patrzył podejrzliwie. A może pożądlivie? Nie zwracając na niego uwagi, Jane poszła dalej i zaczęła wchodzić po schodach. Z każdym krokiem hałasy dochodzące z góry przybierały na sile. Jęki, wrzaski i potępieńcze krzyki odbijały się wielokrotnym echem. Bełkot idiotów, koszarne sny i dyszenie udreńczonych dusz. Na trzecim piętrze znalazła się wśród nich.

Byli wszędzie na korytarzach, poruszali się we wszystkich kierunkach niczym ludzie na ruchliwej ulicy. Mężczyźni i kobiety, wszyscy wychudzeni, część z nich w piżamach albo staromodnych długich koszulach. Niektórzy szurali po podłodze kapciami i

mamrotali coś do siebie. Inni chodzili na bosaka po zimnym kamieniu, z rozwichrzonymi włosami, błędnym wzrokiem, z powykręcanyymi lub żywo gestykułującymi rękoma. Palce mieli uniesione w oskarżycielskich gestach, dłubali nimi w uszach albo drapali się pod pachami i po piersiach. Przygryzali wargi.

Jeden wyglądał jak żołnierz wracający z wojny, z dumnie wypiętą piersią pełną medali. Tyle tylko, że na jego nagiej, zapadniętej starczej piersi nie było żadnych odznaczeń. Kobieta siedząca na podłodze ubrudzona własnymi wydzielinami śmiała się przerażająco z siebie tylko znanego dowcipu. Szalony dyrygent z niewidoczną batutą dyrygował orkiestrą wariatów.

Nikt tu nie miał imienia.

Kiedyś, dawno temu, jeszcze nim wyjechała do Kalifornii i zostawiła siostrę na kilka lat, pomyliła schody i trafiła do piwnicy przytułku. Poraziło ją, co tam zobaczyła: tysiące zakurzonych pudeł, walizek, worków i kufrów ustawionych w rzędach w korytarzach. Plon stu lat istnienia placówki, ostatni dowód życia poza ścianami tego przybytku, resztki dobytku tych ludzi skazanych na okropne anonimowe wygnanie. Czasami śnił się jej ten widok.

Otrząsnęła się ze wspomnień i ruszyła wraz z falą szaleńców, torując sobie drogę korytarzem, aż doszła do wielkiej sali z łózkami, w której przebywała jej siostra. Pokazała przepustkę kolejnej pielęgniarki dyżurującej przy biurku. Ta, podobnie jak jej koleżanka na dole, przepuściła Jane skinieniem głowy.

Tu, w ciemnej sali o oknach z zamkniętymi okiennicami, słychać było tylko chrapanie śpiących oraz delikatne mruczenie, szepty i ciche jęki. Skrzypiały sprężyny łóżek, od czasu do czasu ktoś kaszlnął, a nad tym wszystkim unosił się monotony szum wentylatora. Odór szarego mydła, uryny i mocny zapach

krochmalonej pościeli. Rzędy żelaznych łóżek, na nich ciała już za życia spowite w całuny. Pełna pomruków i szeptów poczekalnia śmierci.

Annie leżała bez ruchu na boku, skulona niczym zgarbiona staruszka. Rzadkie włosy odcinały się na tle pasiastej poduszki. Twarz miała wtuloną w pościel, widać było tylko jedno ślepe, ruchliwe oko. Strzelała nim bez ustanku na prawo, lewo, w górę i w dół, a jednak przez wszystkie te lata nic nie widziała, nic nie rozumiała. Jeśli oczy są oknem duszy, to jej duszy już dawno nie było.

- Witaj, Annie - odezwała się Jane cicho i przysiadła na krawędzi łóżka. - Jak się masz, siostrzyczko. - Nie było odpowiedzi. Nigdy nie było, ale czasami wmawiała sobie, że siostra rozpoznaje jej głos, wie, że Jane przychodzi do niej, że nie zapomniała. Sięgnęła do jej ręki, dotknęła miękkiej skóry, której ciepło zaskoczyło ją po raz kolejny. Trzymała jej dłoń w swojej, pochyliła się i cichym głosem zaczęła opowiadać.

Przez godzinę mówiła jej o Howardzie Rainesie, o Kubie i o Doris z linii Pan American oraz o tym, jak przegrała zakład z Billym Tinkerem. Szeptała jej o prawniku mafii Josephie Shallecku, o wyraźnych obawach Dana Hennessy'ego, że ktoś chce zatuszować sprawę, i o własnym przeczuciu, że to dopiero początek czegoś większego niż morderstwo drobnego adwokata.

Wszystko to było złowieszcze. Złowieszcze jak drzenie liści przed burzą jak nagła cisza przed nadejściem huraganu. Złowieszcze jak nieustające parcie do kolejnej wojny - oczywiście jeśli wierzyć w to, co można było zobaczyć i przeczytać na stronach magazynu „Life”.

Czas minął, na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Jane spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie, że dochodzi szósta. Niedługo

przewoźnik wykona swój ostatni kurs. Ścisnęła rękę siostry.

- Lepiej dla ciebie, że tu jesteś. Lepiej, że nie wiesz, co dzieje się teraz na świecie.

Wstała. Szerokie, wypolerowane deski starej podłogi skrzypiały pod jej stopami. W mroku ktoś gniewnie niczym klątwę wyrecytował Psalm 23.

Jane spojrzała w dół na siostrę. Pokręciła w ciemności głową. Zadrżała i spojrzała w wysoki sufit. Była niemal pewna, że za chwilę zobaczy wielkie czarne skrzydła jakiegoś stwora, jego bliskość budziła grozę. Wśród tych udręczonych, śpiących dusz obudził się jej własny koszmar.

- Idą straszne czasy, Annie - szepnęła, drząc. - Straszne.

Rozdział 7

17 kwietnia 1939 roku, poniedziałek

Dublin, Irlandia

Zgodnie z ustaleniami Barry spotkał się z podpułkownikiem Josephem Hollandem w biurze Irish Sea Airline przy Belgrave Street - dokładnie o dziewiątej rano następnego dnia po spotkaniu w Sali Gabinetowej. Holland miał na sobie lekki wełniany garnitur, Barry zaś ubrał się w swój nieśmiertelny tweed. Z Belgrave Street pojechali autobusem aż na lotnisko w Croydon, gdzie złapali samolot do Bristolu.

Lecieli eleganckim ósmiomiejscowym de havillande rapide - dwusilnikowym dwupłatowcem świeżo pomalowanym w zielono-białą koniczynkę linii Aer Lingus. Dzień był wiosenny, na niebie ani jednej chmurki. Wystartowali punktualnie i ruszyli na zachód, w stronę morza. Szum silników uniemożliwiał rozmowę, ale Barry cieszył się, że może podziwiać przez, okno wspaniałe widoki, jakie rozpościerają się kilka kilometrów pod nimi.

Pierwszy raz leciał samolotem i bardzo mu się to podobało. Nie zważał na trafiające się od czasu do czasu turbulencje ani na towarzyszące im jęki jednej z dam w tylnym rzędzie. Siedzący obok Holland przez całą godzinę spał. Obudził się dopiero przy lądowaniu na aerodromie Whitechurch, kilka kilometrów na południe od Bristolu.

Samolot zatankował paliwo, a Barry i Holland, zanim ruszyli w dalszą drogę, zjedli na lotnisku jajecznicę i wypili kawę. Przez

pierwszą godzinę Barry wciąż wyglądał przez okno. Lecieli na północny zachód nad Severn, potem nad walijskimi górami Monmouth, Brecknock i Cardigan. W Aberystwyth zostawili łąd za sobą i sunęli nad zatoką Cardigan, a w końcu nad Morzem Irlandzkim.

Silniki warczały monotonna, wprawiając kadłub samolotu w lekkie drzenie. Z dołu pomarszczone morze odbijało blask słońca. Barry odwrócił się od okna, oparł wygodnie głowę, zamknął oczy. Kiedy otworzył je ponownie, niebo było szare i ponure. Zbliżali się do nowego dublińskiego lotniska Collinstown. Policjant zerknął na zegarek. Dochodziła dopiero pierwsza po południu. Wyczerpująca i nużąca podróż, która pociągiem i promem trwałaby co najmniej dwadzieścia godzin, samolotem zajęła niespełna cztery. Wspomniał o tym, kiedy opuścili samolot i szli betonową płytą lotniska w stronę szerokiego, wielopiętrowego i śnieżnobiałego terminalu wygiętego na kształt łuku.

- Tak, to wspaniałe - przytaknął Holland, kiedy mijali wahadłowe drzwi hali przylotów. - I jeśli wszystko dobrze pójdzie, przed północą będziemy z powrotem w Londynie.

Nie mieli bagażu, więc odprawa celna była tylko formalnością. Pokazali paszporty. Rzuciwszy okiem miejsce urodzenia i zawód Barry'ego, celnik przyjrzał mu się uważniej.

- Wracamy do domu do pracy w policji? - zapytał oficjalnym tonem. - A może w sekcji specjalnej?

- Ani tu, ani tu - odparł Barry, nie zwracając uwagi na ton celnika.
- Wpadłem na kufel Guinnessa i spacer po St Stephen's Green.

- *Milefailte*, witamy po tyśiąckroć - powiedział sarkastycznie urzędnik.

- *Go raibh mile maith agat*, i wzajemnie życzę ci tego samego -

odparł Barry bez wahania.

W pierwszej chwili urzędnik był zaskoczony, a potem się zmieszał. W końcu zmarszczył brwi i dał znak, żeby policjant przeszedł. Hollanda nie powitał po tysiąckroć. Ani szczerze, ani nieszczerze.

Minęli odprawę, przemierzyli dudniącą echem halę i wyszli na chodnik. Niebo pociemniało od czasu, gdy wylądowali, co sprawiało, że biały betonowy terminal jaśniał jeszcze bardziej, a trawa wokół niego nabrała jaskrawozielonego koloru.

Przy chodniku stał mały mikrobus ze ściętą maską, pomalowany w kolory Aer Lingus. Widać też było pięć taksówek w różnym wieku i stanie technicznym.

- Co wybieramy? - zapytał Holland. - Taksówkę czy autobus?

Barry wzruszył ramionami. Celnik z terminalu niemal na pewno zaczął rozpowszechniać wieść o ich przylocie - telefonicznie lub pocztą pantoflową. Kierowca autobusu i taksówkarze albo sami byli w IRA, albo mieli tam znajomych. Tak czy inaczej przed zmrokiem o ich przyjeździe do Dublina będą wiedzieć wszyscy. Dziwne było to uczucie, ale Barry nie miał wątpliwości, że to złudnie znajome miejsce potencjalnie było groźnym terytorium wroga.

- Nie sądzę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie - odparł w końcu.

- Tak naprawdę nie lubię autobusów - rzekł Holland, patrząc, jak w mikrobusie przybywa ludzi. - Zaszalejmy i weźmy taksówkę. - Poszli na koniec kolejki, odczekali swoje i w końcu wsiedli do delikatnie wyglądającego swifta liczącego co najmniej dziesięć lat. Zamiast korka miał wetknięty w chłodnicę kawał szmaty, a na lichych oponach nie został nawet ślad bieżnika. Kierowca był stary i gruby. Przerażająco czerwoną czaszkę pokrywały rzadkie białe włosy. Czytał „Irish Press” i ćmił dymiącego papierosa bez filtra.

- Dokąd? - rzucił, nawet nie odwracając się na siedzeniu, kiedy wsiadali do tyłu.

- Foster Place 2 - odpowiedział Holland. - Wie pan, gdzie to jest?

- Ma się rozumieć. Trzy funciaki.

- Dwa.

- Zgoda, bo nie macie ze sobą bagażu.

Taryfiarz wyrzucił niedopałek za okno, przekręcił kluczyk i wcisnął rozrusznik. Silnik zaskoczył i taksówka ruszyła. Przebili się przez obwodnicę, dojechali nowo otwartą drogą do Swords Road, tam skręcili w prawo i pomknęli na południe w stronę rzeki Santry i leżącego za nią Dublina.

Kierowca wyciągnął kolejnego skręta z rdzewiejącej papierośnicy Playersa leżącej na fotelu pasażera i przypalił go zapalniczką Vesta, wydmuchując kłęby dymu na przednią szybę.

- Piękny mamy dziś dzionek - zagaił, obracając nieco głowę w stronę pasażerów. Uśmiechnął się z papierosem przyklejonym do dolnej wargi.

- W rzeczy samej. - Barry wyraźnie akcentował słowa. Kierowca zerknął w lusterko.

- Panowie z Londynu, tak?

- Owszem.

- Ale nie stamtąd rodem? Przynajmniej nie pan.

Barry uśmiechnął się.

- Nie, nie stamtąd. Ma pan rację. Na świat przyszedłem w Cork - w słowie „Cork” położył akcent na samogłoskę tak, że zamiast „o” wymówił szerokie płaskie „a”.

- Aha. Pan jest *culchie* - odparł kierowca. To słowo było nieprzetłumaczalne. Oznaczało nieokrzesaną wiejską głupotę w połączeniu z plotkarstwem, oszustwem i obmawianiem. Tym słowem

dublińczycy określali mieszkańców Cork od wieków.

- *Culchie* jest się niezależnie od miejsca urodzenia, to kwestia tego, co ma się w głowie - rzekł Barry. - Widziałem takich i nad rzeką Liffey, i na brzegach Lee. A po Lee przynajmniej pływają łabędzie. Choć one mogą być *culchie*.

- Co prawda, to prawda - uśmiechnął się kierowca. Zamilkł na chwilę i zaciągnął się papierosem. - Z drugiej strony ja słyszałem, że w Cork poluje się na te biedne ptaszyska i od czasu do czasu podaje je na obiad. To jest dopiero *culchie*.

- Racja - mruknął Holland. - Gdzie dwóch Irlandczyków, tam trzy zdania. - Pokręcił głową. - Jesteście szaleni.

- Bo bez wątpienia doprowadziło nas do tego tysiąc lat brytyjskiej niewoli i okupacji - odrzekł kierowca uprzejmie. - Walczymy między sobą, żeby potem dać sobie radę z takimi jak pan.

Dalej jechali w milczeniu. Puste równiny zaczęły ustępować miejsca domkom i niewielkim fabryczkom, a kiedy minęli niewielką dolinę rzeki Santry, zieleń prawie zniknęła. Trzymając się Swords Road, przejechali przez Whitehall i Drumcorda. Im dalej na południe jechali, tym bardziej gęstniała brązowa mgła. Kiedy przejeżdżali przez Kanał Królewski i podziwiali wielkie kamienne gmaszysko więzienia Mountjoy, powietrze gęste było od smrodu trocin i słodu, rozchodzącego się z beczek i kadzi potężnego browaru Guinnessa przy St James Gate. Śmierdziało w promieniu co najmniej trzech kilometrów po obu brzegach Liffey.

- Mój Boże! - Holland zmarszczył czoło i poprawił okulary. - Zapomniałem, że tu tak cuchnie.

- Gdyby piwo mogło robić kupę, właśnie tak by zalatywała - podsumował Barry.

- Dla mnie to jak dobry obiadek - odezwał się taksówkarz

niepytany o zdanie. - W Dublinie nawet żebrak nie umrze z głodu, jeśli tylko ma nos. Guinness to pokarm bogów.

- Niezła reklama - roześmiał się Holland.

Kierowca zdołał w końcu zjechać w szeroką O'Connell Street i sunęli nią, mijając elegancką fasadę hotelu Gresham, czarny obelisk kolumny Nelsona, Poczta Główną, wciąż noszącą jeszcze ślady po kulach z powstania w 1916 roku, i wreszcie statuę samego O Connella, spoglądającego złowieszczo na ciemnozielone wózki klekoczące po noszącym jego imię moście nad Liffey.

Przed nimi skręcił omnibus linii 17 z wielką reklamą tytoniu Gold Flake na bocznych drzwiach. Barry kątem oka dostrzegł na dachu Hopkins Store ogromny neon z napisem „Dla mnie Players”. Po przeciwnej stronie szerokiej ulicy widniał kolejny neon, tym razem pionowy, reklamujący Craven A. Potęga brytyjskiego imperium nie zdołała podbić serc Irlandczyków, ale brytyjski handel z pewnością wygrał walkę o ich płuca.

Taksówka skręciła lekko w prawo, w Westmorland Street i wkrótce dotarła do College Green. Po prawej stronie mieli ponure georgiańskie gmazysko Banku Irlandzkiego, po lewej wznosiły się białe mury Trinity College. Minęli kolumnadę banku, gdzie niegdyś mieścił się irlandzki parlament i Izba Lordów, i skręcili w pierwszą uliczkę w prawo, ślepy zaułek wysadzany drzewami.

- Foster Place - oznajmił taksówkarz, hamując. Przed nimi majaczyła kamienna ściana, po prawej widać było boczne wejście do Banku Irlandzkiego. Po lewej stał szereg kamienic ze średniego okresu wiktoriańskiego. Ostatni miał neoklasyczną werandę wspartą na żelaznych kolumnach. - Panowie pewnie do Royal Bank? - zapytał kierowca.

- Zgadza się - odparł Holland.

Zapłacili i wysiedli ze swifita. Chwilę czekali na chodniku, aż samochód zawróci w wąskiej uliczce. Tymczasem siwy taksówkarz po prostu zapalił kolejnego papierosa i wziął do ręki gazetę. Spojrzał na nich.

- Co, zmieniliście panowie zdanie?

- Nie. - Holland uśmiechnął się. Kierowca potrząsnął gazetą i złożył stronę.

- Pomyślałem, że mogę się przydać, kiedy już skończycie załatwiać swoje sprawy.

- Bardzo miło z pana strony - odparł podpułkownik. - Nie zajmie nam to długo. - Odwrócił się i wszedł po niskich schodkach na werandę banku.

- Pilnuje nas - rzekł Barry.

- Oczywiście - skwitował Holland. - A czegoż innego można się spodziewać? - Otworzył drzwi i odsunął się, by przepuścić Barry'ego.

Główna sala banku była ogromna. Piękny łukowato sklepiony kremowo-brązowy sufit w kasetony wspierał się na żelaznych kolumnach w porządku korynckim. Oświetlony był zręcznie ukrytymi lampami, dzięki którym górna część pomieszczenia tonęła w powodzi światła. Podłoga była z marmuru. Wejście zagradyła wysoka do pasa lada z ciemnego dębu, przed nią w kilku łukowatych niszach stały wygodne skórzane fotele dla czekających klientów. Na końcu lady przymocowano bramkę, przez którą można było wejść do głównej sali z rzędami biurek.

- Mają szpiegów wszędzie - uśmiechnął się Holland. - Moim zdaniem zaczęło się już rano w biurze Irish Sea Airlines.

Barry przytaknął. Umundurowany urzędnik wziął wtedy od nich paszporty, by wpisać nazwiska na listę pasażerów. Mógł przecież zadzwonić do Dublina. Taryfiarz o truskawkowej twarzy jeżdżący

swiftem nie odstąpi ich na krok, dopóki nie opuszczą Irlandii.

- Co z nim zrobimy?

- Proszę za mną - odrzekł Holland. Minął bramkę i uśmiechnął się uprzejmie do młodego człowieka z marsem na twarzy.

Portier wstał zza lady. Nosił ciemny garnitur z nieco przykrótkimi spodniami i białą koszulę z mocno przetartym kołnierzykiem. Miał piaskowe włosy i piegi na nosie. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat.

- Mogę panu w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję - odparł Holland szorstkim i władczym tonem. - Idę na spotkanie z panem Louthem w sprawie moich rachunków.

- Oczywiście, sir - powiedział młodzieniec. - Czy mam go poprosić?

- Nie ma potrzeby. Znam drogę. Poza tym chciałbym najpierw skorzystać z toalety, jeśli można.

- Naturalnie, sir. Proszę bardzo - rzucił portier za nimi. - To po...

- Znam drogę, młodzieńcze - odparł Holland, machając ręką. Ruszyli między biurkami. Minęli szklane drzwi na tylny podest. Wąskie schodki prowadziły na górę. Inne, krótsze - na dół. Anglik wybrał drogę w dół, potem skręcił w prawo i obaj przeszli obok drzwi oznaczonych WC PANOWIE i WC PANIE. Dotarli do kolejnych schodków, ruszyli w nimi w górę, skręcili w prawo, znów zeszli w dół i trafili do jeszcze węższego korytarza. Barry zupełnie się pogubił, ale Holland sprawiał wrażenie doskonale zorientowanego.

Na końcu korytarza przeszedł przez wahadłowe drzwi ze sfatygowaną mosiężną blachą i nagle znaleźli się w pomieszczeniu, które pewnie było stołówką banku. Stało tu pięć prostych drewnianych stolików z krzesłami i ekspres z kawą. Kolejne drzwi prowadziły do małej kuchni na tyłach. Barry poczuł zapach parówek i tłuszczu. Przy stolikach siedziało kilka osób, wszyscy ubrani w

ciemne garnitury, tak jak młody portier na górze. Dwaj pili herbatę i czytali gazety, trzeci, starszy mężczyzna, spał na krześle z głową odchyloną do tyłu i z otwartymi ustami.

Na końcu pomieszczenia były ciężkie drewniane drzwi. Ktoś zablokował je starym butem, by wpuścić do środka świeże powietrze. Kiedy przechodzili przez jadalnię, dwaj zaczytani pracownicy banku nawet nie podnieśli głów znad gazet. Barry zauważył, że drewniane drzwi mają wielką mosiężną zasuwę i kilka rygli oraz że na zewnątrz nie było żadnej klamki. Wychodząc na wąską, brukowaną uliczkę na tyłach banku uśmiechnął się do siebie. Drzwi opracowano tak, by nie wpuszczać niepożądanych gości. Można było nimi tylko wyjść.

- Tędy - polecił Holland, skręcając w lewo i kierując się na Dame Street.

- Nie pierwszy raz pan to robi - zauważył Barry z uśmiechem.

- Zdarzyło się raz czy dwa.

- Mieliśmy szczęście.

- Wcale nie. Naprawdę mam w tym banku konto i obsługiwał mnie tu pan Louth. Jeśli mnie w ogóle pamięta, to jestem dla niego dziwnym Anglikiem, który wychodzi do toalety i już nie wraca.

Dotarli do końca wybrukowanej uliczki i wyszli na Dame Street. Miała cztery pasy ruchu rozdzielone wąską kamienną wysepką. Ruch panował tu tak wielki, jak na głównych ulicach Londynu. W obu kierunkach płynęły nieprzerwanie fale rowerów, taksówek, autobusów, ciężarówek i trolejbusów.

- Dokąd teraz? - zapytał Barry.

- Niedaleko - odparł Holland. - Ale postarajmy się najpierw oddalić od naszego ciekawskiego taksówkarza.

Skręcili w prawo i żwawo przemaszerowali Dame Street, mijając boczne Crow Street i Tempie Lane. Przeszli na drugą stronę ulicy, w

miejscu gdzie Great George Street zakręcała, by skrzyżować się właśnie z Dame Street. Szli na południe. Znacznie oddalili się od taksówkarza, który czekał na nich przy Foster Place, ale Holland wolał nie ryzykować. Szli dalej Great George Street, aż dotarli do wejścia na stary, zadaszony bazar. Szybko lawirowali między straganami przesyconymi zapachem mięsa, serów, ryb i innych produktów. W końcu wyszli na Drury Street.

Przystanęli tam na papierosa i obserwowali, czy ktoś ich nie śledzi. Potem skręcili w lewo i z powrotem ruszyli na północ. Szli obok siebie wąskim dziurawym chodnikiem przez coś, co wyglądało na dublińską dzielnicę krawców - na parterze ciągnęły się sklepy odzieżowe i pracownie modystek, nad nimi widać było wąskie okna szwalni. Dotarli do Exchequer Street i zatrzymali się przed kościołem Świętego Andrzeja, przysadzistym, mało atrakcyjnym gmachem z XVII wieku wzniesionym z granitu.

- Idziemy na mszę? - zdziwił się Barry, kiedy stanęli przed wrotami. Do środka wchodziła właśnie kobieta równie przysadzista jak sam kościół. Naciągnęła na głowę czarny szal i zniknęła w mroku wnętrza.

- Idziemy na piwo, tak jak powiedział pan temu urzędasowi na cle. - Holland wskazał elegancki wiktoriański budynek z polichromowanej cegły, z oknami w drewnianych futrynach, dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Na parterze znajdował się pub. Na zielonej desce zawieszanej nad wysokimi oknami widniał złoty napis „U O’Neilla”. Przeszli na drugą stronę i wkroczyli do pubu.

W środku było gwarno, ciemno i aż gęsto od dymu. Najwyraźniej siedzieli tu jeszcze ci, którzy wyszli na obiad - głównie prawnicy i bankierzy, sądząc po eleganckich garniturach. Po lewej stronie znajdował się długi bar, po prawej przez całą długość sali biegły

nisze, każda z kilkoma stolikami i ławami.

Znaleźli wolne miejsce w połowie sali i usiedli.

- Pan niech przyniesie napoje - polecił Holland. - Ja zwróciłbym na siebie uwagę.

- Czego się pan napije? - zapytał Barry.

- Guinnessa.

Policjant przepchał się między gośćmi siedzącymi wzdłuż baru i zamówił guinnessa dla podpułkownika, a dla siebie mieszane piwo jasne i ciemne. Zaniósł wysokie szklanki do stolika i usiadł.

Holland pociągnął mały łyk piwa i oblizał piankę z ust.

- Mówią, że kiedy już się człowiek napije tego dostatecznie dużo, to nawet nie przeszkadza mu smród miasta.

- Kiedy człowiek napije się tego dostatecznie dużo, to nie przeszkadza mu już żaden smród - odparł Barry. Pociągnął łyk swojego mieszanego piwa i próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pił w dublińskim pubie. Tak dawno, że już nie pamiętał okoliczności. Zapalił papierosa i spojrzął na Hollanda. - Mówił pan, że jedziemy tu, by poznać odpowiedzi - przypomniał mu, ścisząc głos.

- Wszystko w swoim czasie - odparł Anglik.

Barry westchnął. Miał już dość tajnych spotkań i niejasnych wyrażeń.

- Czekamy na kogoś?

- Tak. - Anglik pociągnął kolejny łyk guinnessa i zerknął ponad ramieniem policjanta w stronę drzwi.

- Na kogo?

- Na młodego chłopaka. Nazywa się Brendan. Nasza wtyczka.

- Wtyczka?

- Pośrednik. Tak naprawdę po prostu krąży tu i tam.

- Zna go pan?

- Korzystałem już z jego pomocy. - Podpułkownik przerwał i znów spojrzął nad ramieniem Barry'ego. - Oto i on. - Podniósł rękę i pomachał. - Behan!

Po chwili przy ich stoliku pojawił się młody chłopak i usiadł na ławie. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Był niski, barczysty, miał niesforną czuprynę mysiego koloru, pełną twarz, duży nos i małe, niemal dziewczęce usta. Jego głębokie spojrzenie przypominało wzrok basseta. Spojrzął na szklanę guinnessa.

- Już pan skończył, prawda? - zapytał.

Holland uśmiechnął się i popchnął szklanę w stronę chłopca. Ten podniósł ją i wypił prawie wszystko. Odstawił szklanę z niewielką ilością piwa na dnie i westchnął z zadowoleniem.

- Spragniony? - zapytał Holland.

- Jak zwykle. - Chłopak zerknął na Barry'ego po drugiej stronie stolika i odwrócił się do podpułkownika. - A ten to kto?

Przyjaciół, Brendanie. Chłopiec zmrużył oczy.

Ale nie mój.

To jeden z waszych - dodał Anglik.

Nastolatek popatrzył, podniósł guinnessa i wypił do końca, nie spuszczać wzroku z twarzy Barry'ego. Odstawił szklanę, cicho beknął i zaczął śpiewać na melodię *Wschodzącego księżycy*:

- „Mówili mi, Franciszku Hinsley, mówili, żeś na stryczku...” Przerwał, zapraszając do kontynuacji piosenki.

Barry uśmiechnął się, pociągnął łyk swojego mieszanego piwa i dokończył zwrotkę:

- „Że gały masz na wierzchu, a ozór wisi ślicznie...” Behan roześmiał się i dalej sprawdzał umiejętności Barry'ego.

- „Hej, w górę po drabinie...”

- „I w dół na krótkim sznurze...”
- „Niech szczerze szybko król...”
- „Papież niech żyje jak najdłużej...”
- „A jeśli mu to nie w smak...”
- „Rozniesiem go na strzępy...”

- „Do piekła z nim pošlemy czerwień, biel i błękit”. - Brendan szturchnął Hollanda w żebra. - Oczywiście nikt nie miał zamiaru obrażać sztandaru.

- Nikt się przecież nie obraża - odparł Anglik.

Nastolatek pokazał na piwo Barry’ego.

- Pan też już skończył?

- Chyba tak - odrzekł policjant i przesunął szklanke w stronę chłopaka.

- Wszystko przygotowane? - zapytał Holland, kiedy Brendan skończył piwo.

Chłopiec o pyzatej twarzy skinął głową i odstawił szklanke.

- Ja pójdę pierwszy, wy za mną. Będę jechał na rowerze jakieś trzydzieści metrów przed wami. Jeśli będzie coś nie tak, zsiądę i dam wam sygnał.

- Jaki sygnał? - zapytał podpułkownik.

- Może podrapię się po tyłku? - odparł Brendan. - Czy to wystarczająco wyraźny znak?

- W zupełności.

- Kiedy zobaczycie, że to robię, natychmiast znikajcie. Bo to znak, że albo są chłopcy z IRA, albo Garda. A to znaczy, że następnego dnia znajdą mnie *bolg anairde* w wodach Liffey lub będę jadł jakieś pomyje w Joy. To nie ucieszyłoby ani mnie, ani mojej świętej matki. Dziękuję, postoję. - Podniósł się i wysunął zza stolika.

- Dajcie mi minutę. - I już go nie było.

- Niezły materiał na potwora - powiedział Barry. - Albo udaje. - W wieku szesnastu lat chłopiec wiedział już o ciałach informatorów unoszących się w odmętach rzeki z przetrąconymi kręgosłupami i o tym, jak kiepsko karmią w więzieniu Mountjoy.

- Uważa się za pisarza - powiedział Holland. - Kiedy miał dwanaście lat, wstąpił do Fianna Eireann i zaczął publikować w ich gazetce.

Barry skinął głową. Fianna Eireann to organizacja typu skautowskiego, ale niepokojąco przypominała niemieckie Hitlerjugend. I podobnie jak tam, Fianna Eireann kształciła rekrutów do poważniejszych zadań przygotowywanych przez starszych działaczy.

- Orientuje się pan, dokąd trafimy? - zapytał Barry.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Holland.

Jak się okazało, chłopak na rowerze zaprowadził ich z powrotem na drugą stronę rzeki, na O'Connell Street, potem przez Talbot Street, gdzie mijali antykwariaty i sklepy z męską galanterią, aż do dworca Amiens. Ani razu młody Brendan nie zsiadł z roweru, by podrapać się w pośladek, więc uznali, że przynajmniej na razie są bezpieczni. Poszli za nim do prostego dworca z cegły i usiedli na ławce, patrząc, jak chłopak opiera rower o ścianę. Podeszedł do jednej z kas, zamienił kilka słów, a potem przy wózku z owocami kupił sobie pomarańczę. Stanął nad koszem na śmieci i zaczął obierać pomarańczę tak, by uzyskać jeden długi pasek skórki.

- Za pięć minut z toru piątego odchodzi pociąg do Wicklow Town. Tam ktoś was przejmie. - Skończył obierać owoc, podzielił go i włożył sobie kawałek do ust. - To na skorbut. - Uśmiechnął się, zjadł kolejną częśćkę i zniknął. Postąpili zgodnie z poleceniem. Kupili bilety i weszli do wagonu, kiedy pociąg już ruszał.

Rozdział 8

17 kwietnia 1939 roku, poniedziałek

Hrabstwo Wicklow, Irlandia

Pociąg jechał z Dublina do Rosslare wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się po drodze w każdym najmniejszym nawet miasteczku. Siedzieli w nim głównie mieszkańcy wsi, kobiety i dzieci wracające z zakupów lub z wizyty u miejskich krewnych. Śmiali się, pili, jedli, palili i rozmawiali. Od czasu do czasu ktoś kupił herbatę z przejeżdżającego wózka.

Barry siedział najbliżej okna i oglądał morze o odcieniu żelaza. Minęli przystań promową Dun Laoghaire, plaże w Dalkey i dotarli do Bray, gdzie tory przytulały się do zwietrzałych klifów i przebiegały przez pięć krótkich tuneli.

Pogoda nieco się poprawiła, zrobiło się trochę jaśniej. Gdyby nie okoliczności, Barry cieszyłby się z takiej wycieczki, ale w tej sytuacji czuł się coraz bardziej bezradny. Był tylko uczniem albo towarzyszem Hollanda. Irytowało go to tym bardziej, że przecież znajdowali się w jego ojczyźnie i to siedzący obok Anglik powinien czuć się obco. Podpułkownik był jednak spokojny, okulary zsunął na czoło i przeglądał porzucone przez kogoś poranne wydanie „Independent”.

Po godzinie od wyjazdu z Dublina pociąg dotarł do Wicklow. Wyszli na peron wraz z tłumem innych, a do wagonu wsiadło kilku nowych podróżnych. Po chwili rozległ się ostrzegawczy gwizd i pociąg ruszył ociężale, mijając pobielany budynek dworca, by

zniknąć za zakrętem.

Peron szybko opustoszał. Pasażerowie opuścili teren stacji przez otwór w wysokim kamiennym murze kilka kroków dalej. Zostali tylko oni i zawiadowca z wzniesioną wysoko latarką. Po drugiej stronie torów na łagodnie schodzącym stoku stał budynek dworca, a po obu stronach wejścia od muru odcinały się dwie czerwone donice z czarną ziemią. Zapewne w sezonie kwitły w nich stokrotki. Na ścianie widniała irlandzka nazwa Wicklow - Ciii Maintain.

- Podobno ktoś miał po nas wyjść - odezwał się Barry, wodząc wzrokiem dookoła.

- Ktoś się pojawi - odparł Holland. Zabrał ze sobą gazetę i wsunął ją pod ramię. Brytyjczyk w każdym calu, taki że aż boli, pomyślał policjant. Idealny cel.

- A jeśli to jakaś wyrafinowana pułapka?

- Wątpię. Gdyby chcieli nas skrzywdzić, zrobiliby to w Dublinie, nie na wsi.

- Niech pan to powie Michaelowi Collinsowi - prychnął Barry. Collins, dawny przywódca Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego, szef Irlandzkiej Armii Narodowej, został zamordowany w wąskiej dolinie Beal Na Blath w hrabstwie Cork, niedaleko od Clonakilty, gdzie się urodził. Barry, podobnie jak Holland, doskonale wiedział, że IRA mogła ich zabić wszędzie.

- Ani pan, ani ja nie jesteśmy Michaeliem Collinsem - zbył go podpułkownik i zapalił papierosa. - Nic by im nie przyszło z zamachu na nas.

- Z wysadzania toalet w Londynie i Manchesterze też nic nie mają, a jednak to robią. - Barry pokręcił głową. - Tu nie chodzi o logikę, pułkowniku. To kwestia fanatyzmu i zapalczywości.

- Dobrze powiedziane. Ale nadal nie sądzę, żebyśmy musieli się

czegoś obawiać. - Holland ćmił papierosa z uśmiechem. - Młody Brendan miał się przecież podrapać w tyłek, gdyby coś poszło nie tak. Pamięta pan?

Barry westchnął.

- Zostawmy już w spokoju tyłek Brendana. Nie chcę być zaskoczony, więc chciałbym wiedzieć, z kim mamy się spotkać, o ile to nie naruszy tajemnicy państwowej.

- Pan nie podpisał oświadczenia o dostępie do informacji niejawnych?

- Nie.

- A zatem gdybym to panu powiedział, faktycznie naruszyłbym tajemnicę państwową. Ale w tej sytuacji to nie ma znaczenia, bo niedługo i tak pan wszystkiego się dowie. - Przerwał. Zza muru dobiegł odgłos opon toczących się po żwirze. Na mały parking przy dworcu zajechał samochód. Holland rzucił niedopałek papierosa na peron i zdusił go butem. - Idziemy na spotka nie ze Stephenem Hayesem.

Barry otworzył szeroko oczy.

- Jezu Chryste Nazarejski! Przecież Stephen Hayes to prawa ręka Russella!

- W rzeczy samej. Tak się składa, że jest również informatorem sekcji specjalnej.

- Pułkownik Holland? - Usłyszeli. Odwrócili się zaskoczeni. Głos należał do siwego mężczyzny około sześćdziesiątki ubranego w prosty czarny garnitur i koloratkę. Nowo przybyły dał krok do przodu i wyciągnął dłoń. Grube palce miał pozótkłe od tytoniu, a w zmęczonym głosie słyhać było niejedną szklaneczkę whisky. - Jestem ojciec O'Hara. Samochód już czeka.

Określenie „samochód” okazało się mocno na wyrost, bo przed

dworcem czekał na nich czarny austin 10-4, niemal tak stary jak taksówka, którą jechali w Dublinie. Wcisnęli się na tylne siedzenie, a ojciec O'Hara usiadł sam z przodu. Ruszyli wznoszącą się polną drogą.

Prawie kilometr dalej, przy głównej szosie wznosiła się stroma góra porośnięta kolcolistami i skarłowaciałymi drzewami. Po obu stronach majaczyły niższe wzniesienia oraz pocięte żywopłotami pola koniczyny, na których pasły się owce. Nastął czas rui i wszystkie tryki miały podbrzusza pomalowane buraczanym barwnikiem, który miał się odciskać na grzbietach pokrywanych przez nie samice.

Barry wciąż nie mógł się otrząsnąć. Wkrótce mają się spotkać ze Stephenem Hayesem! Jeszcze bardziej zszokowała go rzucona niby mimochodem informacja, że Hayes, drugi w hierarchii działacz Irlandzkiej Armii Republikańskiej, jest informatorem sekcji specjalnej. Barry nie był specjalistą od IRA, ale wiedział, że Hayes od urodzenia był republikaninem i służył z oddania sprawie.

W ciągu ostatnich dwóch lat z okładem w Irlandii południowej i na Północy dokonano dziesiątków aresztowań, które jeszcze bardziej przerzedziły i tak już niezbyt liczne szeregi IRA. Równie zgubne były kłótnie wewnątrz organizacji, w której o wpływy walczyły najrozmaitsze frakcje - od Tymczasowych z Belfastu, aż po Brygadę z Cork. Z tych właśnie powodów niegdyś mało ważni działacze IRA nagle znaleźli się na eksponowanych stanowiskach.

W 1937 roku Russell, dubliński stolarz, był kwatermistrzem IRA, ale ówczesny tymczasowy szef sztabu, prawnik Sean McBride, oskarżył go o defraudację funduszy. McBride, będący członkiem Rady Wojskowej, doprowadził do wydalenia Russella z IRA. Już samo to było zaskakujące, bo zwykle jedynym sposobem na odejście z IRA była kulka w tył głowy.

Niezrażony tym Russel, czujący głód władzy, sprzymierzył się z inną dublińską frakcją i dwanaście miesięcy później - z braku większego wyboru - został szefem sztabu i pociągnął za sobą Hayesa. Dotychczas bowiem Hayes sporadycznie wspierał IRA jako radny w Wexford. Znany był raczej z miłości do piłki nożnej i nie mniejszego pociągu do alkoholu. Teraz, kiedy Russell prawdopodobnie wyjechał do Ameryki, Hayes będzie faktycznym przywódcą całej Irlandzkiej Armii Republikańskiej. A jeśli to, co mówił Holland, okaże się prawdą będzie także jej zdrajcą.

Ojciec O'Hara zdołał dojechać dychawicznym austinem do głównej drogi, skręcił w lewo i zmierzał wzdłuż rozciągających się po prawej stronie wzgórz pokrytych kolcolistem i orlicą. W oddali Barry dostrzegł ciemne spadziste dachy budynków na obrzeżach miasta i wąską ulicę między nimi, ale O'Hara nagle ostro zakręcił w prawo, ze zgrzytem zmienił bieg na niższy i skierował samochód na wąską ścieżkę pnącą się stromo pod górę, która wyrosła jak spod ziemi. Po obu jej stronach ciągnął się wysoki kamienny mur. W przelocie Barry dojrzał na poboczu pobielony głaz z wymalowanym czarnym napisem: „Wzgórze Zakonnika”.

Kiedy austin piął się mozolnie po wijącej się wąskiej ścieżce, za oknami niewiele było widać. Po obu stronach wyboistej drogi rosły stare i gęste krzewy tarniny i ostrokrzewu. Równie nagle jak w nie wjechali, wydostali się spomiędzy zarośli i wtaczali się pod nieporośniętą niczym górę.

Po lewej widać było kamieniste łąki, na których pasły się owce. Od zieleni łąk odcinały się ledwo widoczne ruiny jakichś kamiennych budowli, być może pozostałość dawno porzuconego klasztoru, od którego wzgórze wzięło nazwę. Po prawej strome zbocze góry nieco opadało, widać było stację kolejową w dole i pojedynczą nitkę toru

biegnącą na północ wzdłuż wybrzeża. Za nią rozciągała się plaża, a jeszcze dalej szare morze. Po drugiej stronie torów Barry dostrzegł zagajniki, pola i inne wzgórza, ale poza tym nie było tu nic oprócz drogi i samotnej chaty otoczonej niskim kamiennym murem. Takie właśnie miejsca Yeats opisywał słowami: „okropnie pięknie”. Rzeczywiście okropne, pomyślał Barry. I tak jak ciemna skała w jego sercu, niewymownie smutne.

Chata wyglądała jak tysiące innych wiejskich chat - niska, jakby skulona przed zimnymi wiatrami od morza, które hulały dookoła po kamienistych polach. Szare ściany były grube i nierówne, poplamione wilgocią. W niewielkie okna wstawiono byle jakie szyby, zwichrowane, pełne zniekształceń, pęcherzyków powietrza. Popękane dachówki porosły mchem. Było to coś więcej niż byle jaki szałas, ale nikt z dumą nie nazwałby tego budynku swoim domem. Proste drzwi z desek połączonych żelaznymi sztabami, niegdyś niebieskie, wiatr i z czas pokryły szarym nalotem.

Ksiądz zatrzymał austina przed pozbawionym bramy otworem w murze na tyłach chaty. Wyszli z samochodu i natychmiast poczuli wiatr, który szarpał ubrania, włosy i wdzierał się w kąciaki oczu. O'Hara zacisnął marynarkę pod szyją i poprowadził gości do drzwi. Nacisnął klamkę, nie pukając. Wchodząc, pochylił głowę. Holland ruszył za nim, ale Barry go zatrzymał.

- Ksiądz? I Hayes jako informator? - Pokręcił głową. - Nie wierzę w to.

- Katolicy księża od samego początku opowiadali się przeciwko IRA, dobrze pan o tym wie. Kościół nigdy łatwo nie oddawał władzy. Przynależność do IRA kwalifikuje wiernego do ekskomuniki.

- W takim razie jest tu wielu sprzyjających IRA księży, którzy bezprawnie odprawiają msze - stwierdził z przekąsem Irlandczyk. -

Ale to nadal nie wyjaśnia sprawy Hayesa. W tym musi się kryć jakaś pułapka.

- Nie ma żadnej pułapki - odrzekł Holland, delikatnie zdejmując rękę Barry'ego ze swojego ramienia. - Hayes zdradza swoich, bo nie ma innego wyjścia.

- Jak to?

- Jest pedałem - odparł podpułkownik beznamiętnie. - Miał pecha. Przyłapaliśmy go pewnej nocy w publicznej toalecie na St Stephen's Green. Gdyby koledzy z organizacji dowiedzieli się o jego upodobaniach, urządziliby go tak, że lepiej nawet o tym nie myśleć, a w końcu dostałby czapę. W szeregach heroicznego bractwa cholernej IRA nie ma ciot i nigdy nie będzie.

- Czy ksiądz o tym wie?

- To właśnie ksiądz powiedział nam, gdzie powinniśmy zajrzeć - wyjaśnił Holland. - A teraz chodźmy. Robota czeka. - Wszedł za O'Harą do chaty.

Detektyw ze Scotland Yardu przeszedł przez próg i zatrzymał się, by oczy mu przywykły do słabego światła. Wnętrze chaty wyglądało równie prosto i spartańsko jak to, co widać było na zewnątrz. Z drzwi wchodziło się do nisko sklepionej sieni, która biegła przez całą długość domu. Przez wąskie łukowate wejście po lewej można było przejść do kuchni, drzwi po prawej prowadziły do małej ciemnej sypialni. W całej chacie unosił się ciężki, duszny zapach palonej nafty i wszechobecnej wilgoci. Kiedy Barry zrobił pierwszy krok, podłoga zaskrzypiała mu pod stopami.

W pobliżu kominka na wprost wejścia, przy biele jak nakrytym stole siedział Stephen Hayes. Za jego plecami stał O'Hara. Hayes był wielkim barczystym mężczyzną około czterdziestki, dość wysokim jak na Irlandczyka. Miał gęste rude włosy, silną szczękę i czerwone

policzki alkoholika. Na stole stały przed nim dwie puste butelki po piwie Beamish Stout. Trzecią napoczętą trzymał w ręku. Podniósł wzrok, by spojrzeć na przybyszy, potem znów patrzył na swoje ręce i butelkę.

- Zostawię was samych - powiedział cicho ksiądz. - Kiedy skończycie, odwozę was bezpiecznie do miasta. - Poklepał Hayesa po ramieniu i poszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

- W kuchni jest herbata, jeśli chcecie się napić - odezwał się Hayes. - Tak mi się przynajmniej wydaje. To nie mój dom, więc tak naprawdę nie wiem. - Skinął głową w stronę sypialni. - Należy do jednej z owieczek z trzódki księżula.

Barry z trudem powstrzymał uśmiech. Określenia „księżulo” nie słyszał od dzieciństwa.

- Nie wpadliśmy tu na herbatkę, panie Hayes - odparł Holland. Odsunął krzesło od stołu i usiadł na wprost Irlandczyka. Policjant usadowił się po lewej. - To detektyw inspektor Barry - ciągnął podpułkownik. - Chciałby się dowiedzieć, gdzie przebywa teraz pański zwierzchnik.

- Chodzi wam o Seana? - Hayes już trochę bełkotał.

- Tak, o Seana Russella.

- Pojechał do Ameryki.

- To już wiemy.

- W niedzielę tydzień temu - ciągnął Hayes - wypłynął norweskim liniowcem z Hawru. „Stavangerfjord”.

Barry szybko obliczył w myślach. Osiem dni. Nawet najmniejszy statek pasażerski miał dość czasu, by zdążyć do Nowego Jorku.

- Plotka głosi, że pojechał zbierać fundusze u swoich znajomych z Clan na Gael - rzucił Holland. Clan na Gael był najbogatszą i najbardziej wpływową irlandzką organizacją w Ameryce, od początku

swego istnienia dostarczał pieniądze i broń republikanom.

- To źle głosi - mruknął Hayes. - Mamy mnóstwo pieniędzy. Brakuje nam oleju w głowie.

Sięgnął do kieszeni płaszcza, a Barry zamarł. Hayes wyciągnął z niej jednak tylko kilka papierowych kartek i paczkę tytoniu Players. Zaczął zwijać sobie skręta, jego szerokie palce pracowały zaskakująco sprawnie.

- W takim razie po co tam pojechał? - naciskał Holland. - To musi być coś ważnego dla IRA, skoro sam szef sztabu zdecydował się opuścić posterunek w trakcie wielkiej ofensywy.

- Chodzi o te bomby? - prychnął Hayes. - To nic. To tylko... - urwał nagle. Poślinił bibułkę, zakleił, zawinął jeden z końców i podpalił swoje dzieło zapalką wyjętą z pudełka z tytoniem.

- To tylko... co? - indagował Anglik.

- Nic - burknął Hayes uparcie. - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Proszę bardzo - odrzekł Holland. - Ale wiesz, jakie będą tego skutki. - Odsunął krzesło i wstał.

- Zaczekajcie. - Barry widział, jak szybko Hayesa opuściła odwaga. Ramiona zapadły mu się jak pod wielkim ciężarem.

Podpułkownik zatrzymał się z rękoma na oparciu krzesła.

- A więc?

- Sean nie pojechał po pieniądze. Chodzi o coś więcej.

- Mów wreszcie.

Część z nas uważa, że niedługo wybuchnie nowa wojna. Część jest zdania, że jeśli tak się stanie, zostaniemy w nią wciągnięci tak jak poprzednio. De Valera twierdzi, że będziemy neutralni, ale część z nas nie wierzy już ani jemu, ani nikomu z rządu.

- Na przykład Sean? Hayes przytaknął.

- Tak, on też. Jego motto brzmi: wrogowie moich wrogów są moimi przyjaciółmi.

- Niemcy? - zapytał Holland. Irlandczyk ponownie przytaknął.

- Zwłaszcza jeden z nich. Nazywa się Goertz. Wspólnie wymyślili plan, niech ich szlag.

- Aby zabić w Ameryce króla i królową? - podpowiedział Anglik. Hayes spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Wiecie o tym?

- Wiemy o planie, ale nie znamy szczegółów. Dlatego tu jesteśmy.

- Wiem tylko tyle, że przez to Sean narobił sobie wrogów w samej organizacji. Grupa Gilmore'a, Ryan iCDonnell, McCaughey z północy, Liam Rice i Charlie McGlade - wszyscy uważają że ten plan to szaleństwo. Gdyby Frankie Ryan nie pojechał na wojnę w Hiszpanii, sam by obalił Seana za jego głupotę.

- Więc on nie ma poparcia?

- Nie jest mu potrzebne. Sean ma dość przyjaciół, by dać sobie radę w Stanach Zjednoczonych. A do tego ma jeszcze pomoc ze strony Goertza i Niemców. Zabijmy króla i królową, a jankesi nie pójdą na wojnę, oto jego plan. A kiedy jankesi nie będą się wtrącać, banda Hitlera napadnie na Anglię i Irlandia będzie w końcu wolna.

- I Russell rzeczywiście w to wierzy? - zapytał z niedowierzaniem Barry. Prosta logika do pewnego stopnia się sprawdzała, ale czemu Russell uznał, że Hitler poprzestanie na podboju Anglii? Kiedy jego heinkle i dorniry będą mogły startować z Liverpoolu czy Manchesteru, jednego dnia zbombardują Dublin, następnego - Belfast. Morze Irlandzkie nie powstrzymało Cromwella i na pewno nie powstrzyma Luftwaffe Goeringa.

- Sean wierzy w to z całego serca - potwierdził Hayes. - Musi w to wierzyć, bo w tym przeklętym kraju nic innego się nie udaje i

zaczynamy wychodzić na głupców. - Strzepał popiół ze skręta do jednej z butelek. - Bomby, które nie wybuchają. Eksplozje w sraczech. Ładunki rozrywające samych zamachowców. - Hayes znów przerwał i pokręcił głową. - Ta organizacja to jakiś żart. Sean to wie, podobnie jak ja. - Zaśmiał się głucho. - Banda koleśki marzących o udawaniu żołnierzy i głupi kretyńscy ćwiczący musztrę z kijami od szczotek w oczekiwaniu na akcję, która nigdy nie nadejdzie. - Pociągnął kolejny łyk piwa i z hukiem odstawił butelkę na stół. - Sean chce w końcu coś zrobić! Coś, co będzie miało jakieś znaczenie, co ludzie zapamiętają!

- Nie znasz żadnych szczegółów?

Hayes lekko wzruszył ramionami.

- *Faic* - odparł. - Ani trochę.

- Russell ci się nie zwierzał?

- Sean nie zwierza się nikomu, a już na pewno nie mnie.

- W ogóle nic nie mówił?

- Powiedział mi tylko, że to walka na dwa ostrza. Nie wiem, co to miało znaczyć. Pewnie sądził, że to świetny żart.

Znów podniósł butelkę, ale tym razem Barry chwycił go za nadgarstek i zatrzymał.

- Musimy go znaleźć, Stephen - powiedział cicho. - Jeśli wykona to, co zaplanował, i to z pomocą Niemców, cofnie irlandzką sprawę o tysiąc lat. Winston Churchill przejdzie przez tę waszą kałużę i zacznie tu takie piekło, że to, co robił Oliver Cromwell, będzie wyglądało przy tym jak amatorszczyzna. Irlandia nigdy już nie odzyska wolności. Rozumiesz? - Puścił w końcu rękę Hayesa.

Rudy Irlandczyk sam odstawił butelkę. Spojrzał na Barry'ego i nie zwracając uwagi na Hollanda, pokiwał głową.

- Jest pewna kobieta - odezwał się wreszcie. - Pełni rolę kuriera,

wozi mu niezbędne dokumenty i wieści o tym, kto spiskuje za jego plecami.

- Nazwisko - naciskał Barry.

- Connelly - odparł Hayes. - Sheila Connelly. Podróżuje z fałszywym paszportem na nazwisko Mary Coogan.

- Gdzie ją znajdziemy?

- Za pięć dni wypływa z Southampton. Na pokładzie „Empress of Britain”.

Rozdział 9

20 kwietnia 1939 roku, czwartek

Nowy Orlean, Luizjana

Kiedy w „Havana Post” ukazało się odpowiednie ogłoszenie drobne, John Bone i jego przyszli zleceniodawcy skontaktowali się telefonicznie i ustalili, że spotkają się osobiście w Nowym Orleanie w piątek dwudziestego pierwszego kwietnia. Data i miejsce odpowiadały obu stronom. W ramach tego spotkania Bone otrzymał bilet linii Chicago and Southern Airlines na lot, którym miał dotrzeć do lotniska Shushan na jeziorze Ponchartrain w piątek rano. Jednak postanowił zrezygnować z tej oferty i zamiast tego zamówił bilet na rejs parowcem „Tivives” należącym do United Fruit Company. Komfortowa dwudniowa podróż dobrze wyposażonym statkiem towarowo-pasażerskim pozwoliła Bone’owi odprężyć się i wypocząć. W Nowym Orleanie był całą dobę przed uzgodnionym terminem.

„Tivives” powoli przebył ostatni odcinek podróży od Zatoki Meksykańskiej i zacumował przy nabrzeżu obok Thalia Street kilka minut po ósmej rano. Było upalnie, na błękitnym niebie ani jednej chmurki, ale powietrze przesycone było wilgocią. Bone zszedł na ląd, przebrnął przez pobieżną kontrolę celną i imigracyjną, pokazując sfatygowany kanadyjski paszport, według którego był inżynierem naftowym o nazwisku Edwin Dow. Dokument był w zasadzie prawdziwy, tyle że Dow od sześciu lat już nie żył - padł ofiarą żółtej febry w urugwajskiej dżungli, szukając dla British Petroleum złóż ropy naftowej.

Kiedy paszport trafił w ręce Bone'a, jego termin ważności prawie się kończył. Bone zastąpił zdjęcie zmarłego swoim i w konsulacie kanadyjskim w Montevideo zwrócił się z prośbą o jego przedłużenie. Rok temu znów go odnowił, tym razem w ambasadzie w Hawanie, jeszcze bardziej zacierając ślad przybranej tożsamości.

Wyszedł na ulicę z ogromnego, upiornie gorącego baraku dla pasażerów. Miał tylko jedną małą torbę. Szybko minął falę mdlącego odoru dobywającego się z pobliskiego magazynu z bananami. Przed głównym wejściem hali znalazł taksówkę. Zgodnie z poleceniami Bone'a kierowca pojechał w stronę Tchoupitoulas Street, potem skręcił w prawo, aż dotarli do Canal Street. Wjechali w szeroką aleję rozdzieloną bulwarem. Pojechali na północny zachód, do dzielnicy hoteli i teatrów. Za sobą zostawili zamgloną wstęgę Missisipi.

Kierowca skręcił w lewo w Baronne Street i wysadził Bone'a przed wielkim gmachem z czerwonej cegły. W hotelu Roosevelt mieściło się siedemset pokoi. Bone wszedł do recepcji, przedstawił się jako Edwin Dow i powołał na rezerwację, której dokonał telegraficznie z Hawany. Wziął od recepcjonisty klucz, zbył machnięciem dłoni chłopca hotelowego i sam pojechał windą na górę. Położył walizkę na łóżku, wyjął z niej lekką jasnozieloną koszulę, równie lekkie bawełniane spodnie, świeże skaipekty i przewiewne rattanowe pantofle. Wydobył też lornetkę Zeissa i najnowsze wydanie atlasu samochodowego wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Potem wziął prysznic.

Odświeżony wrócił do pokoju i przebrał się. Poszukał w atlasie wypożyczalni, gdzie mógłby wynająć na trzy, cztery dni jakiś samochód. Znalazł jedną przy Gravier Street, zaledwie kilka przecznic od hotelu. Obiecali, że podstawią samochód w ciągu godziny.

Bone był zadowolony. Wziął lornetkę i zszedł do kawiarni, gdzie kupił gazetę, zjadł lekkie śniadanie z sadzonych jajek i tosta, potem zajrzał do sklepu tytoniowego w hotelowym holu. Kupił tam plan Nowego Orleanu i okolic, mały notatnik z ołówkiem, dwie butelki pepsy-coli prosto z lodówki i dziwnie wyglądający pamiątkowy otwieracz do butelek w kształcie spłaszczonego kraba. Ze stojaka przy kasie wybrał też okulary przeciwsłoneczne Cool Ray z zielonymi szklami. Założył je od razu, wychodząc ze sklepu.

Przeszedł z powrotem do holu. Przez ramię miał przewieszony pasek od lornetki, w brązowej papierowej torbie zakupy, a pod pachą zwiniętą w rulon gazetę. Przy recepcji czekał już młody kierowca z wypożyczalni. Bone wypełnił odpowiedni formularz i zapłacił dwadzieścia dolarów kaucji. Ogryzkiem ołówka pracownik wypożyczalni pokazał mu na planie najlepszą i najkrótszą drogę do celu, potem podeszli do samochodu.

Przy krawężniku stał ciemnoniebieski ford. Sądząc po kanciastych kształtach, miał jakieś sześć lub siedem lat, ale był zadbany i według słów chłopaka chodził jak złoto. W aucie uzupełniono olej i wodę, a zbiornik był pełen paliwa. Bone usiadł za kierownicą. Kiedy zapoznał się ze wszystkimi licznikami i dźwigniami, odwiózł młodego kierowcę do wypożyczalni. Obiecał, że zwróci samochód przed poniedziałkiem. Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta.

Wyjechał z wypożyczalni na Gravier Street, z której nie zbaczał, dopóki nie znalazł się z powrotem w dzielnicy nad rzeką. Przyspieszył nieco i skręcił w o wiele węższą Canal Street. Przejechał krzyżujące się tory kolejowe i dotarł do przystani promowej wciśniętej między dwa potężne magazyny o rdzewiejących dachach. Poranny ruch już zmalął, więc bez kłopotu znalazł miejsce na pokładzie szerokiego promu. Dziesięć minut później, pokonawszy

blisko kilometrowe koryto mętnej rzeki, prom przybił do nabrzeża przy Boumy Street w Algiers Point.

Nowy Orlean po wschodniej stronie Missisipi stał się współczesną przemysłową aglomeracją ale dzielnica Algiers na zachodnim brzegu, gdzie nie prowadził żaden most, jedynie przeprawa promowa, zachowała swój pierwotny charakter nadrzecznego miasta. Nie stawiano tu wieżowców ani wielkich katedr. Najwyższymi budynkami w Algiers były elewatory zbożowe, a wierni gromadzili się w małych drewnianych kościołach.

Na ulicach leżał już asfalt i doprowadzono elektryczność, ale przypadkowy turysta mógł odnieść wrażenie, że Algiers to awanturnicze miasteczko z dawnej epoki, a nie piętnasty oddział i piąta dzielnica aglomeracji nowoorleańskiej. Najlepsze dania w Algiers - marynowane jaja i precle - podawano w barach przy Opelousas Avenue, najlepsza rozrywka czekała w półlegalnych jaskiniach hazardu prowadzonych przez Sylvestra „Sama” Carolle i jego znajomych, najlepsze kobiety można było znaleźć w pokojach na godziny i burdelach w ciemnych niebezpiecznych zaułkach wokół stoczni Southern Pacific.

Trzymając się drogi zaznaczonej na planie ołówkiem, John Bone skręcił w lewo. Dojeżdżając do starej Kuźni i Stoczni Johnsona, skręcił w prawo w Patterson Avenue. Jechał zgodnie z nurtem rzeki, aż dotarł do wysokiego ogrodzenia z siatki wokół porzuconej bazy lotnictwa marynarki wojennej w Algiers. Drut kolczasty na szczycie płotu był brązowy od rdzy, farba na budynkach i hangarach poblakła, szyby w oknach, jeśli ocalały, pokrywała warstwa kurzu. Jeszcze z drogi zauważył, że beton na pasach startowych popękał, a szczeliny porostały chwasty. Wysoka jak zboże trawa na trawnikach między budynkami od dawna nie widziała kosiarki.

Bone objechał opuszczony teren z trzech stron i wrócił na ubitą drogę biegnącą wzdłuż grobli trzymającej w ryzach błotnisty nurt szerokiej, wijącej się rzeki. Po drugiej stronie, ledwo widoczne przez mgiełkę upału, znajdowały się doki przy Poland Street i wąskie wejście do kanału dla statków, prowadzącego do jeziora Ponchartrain.

Przy starym punkcie kwarantanny Bone znów skorzystał ze wskazówek i skręcił w prawo, w wąską, poplamioną olejem drogę. Pojedynczy znak informował, że jedzie w stronę wioski Behrman i autostrady stanowej numer 31. Algiers zostawił za sobą. Wokół miał teraz wielkie parkingi dla ciężarówek i niezagospodarowane pastwiska, na których stały szyldy reklamowe kuszące do wyłożenia dziesięciu procent zaliczki na wymarzony przyszły dom. Sądząc po stopniu zniszczenia szyldów i otaczającej je pustce, oferty raczej nie cieszyły się popularnością.

Na autostradzie znów skręcił w lewo i jechał tak przez blisko dwa kilometry, mijając zjazd do pierwszego w Nowym Orleanie lotniska Alvina Callendera. Z pojedynczego pasa i przestarzałych budynków korzystali teraz przewoźnicy towarowi i firmy czarterowe. Według znaków drogowych znajdował się około piętnastu kilometrów od centrum Nowego Orleanu.

W końcu znów dojechał do Missisipi. Było to w Belle Chasse, chylącej się ku upadkowi wiejskiej rezydencji, która stanowiła kruchy, nadgryziony zębem czasu pomnik przeszłości. Po drugiej stronie rzeki klekotały dźwigi, maszyny przeładunkowe i pociągi przetaczające się przez morski terminal kolejowy, gdzie na pokłady czekających statków przenoszono całe wagony towarowe. Statki wiozły je w dół rzeki, do zatoki, a dalej do Hawany lub Edge-water w New Jersey.

W Belle Chasse autostrada skręcała ostro w prawo, tak jak grobla

wzdłuż rzeki. Bone wjechał jednak na jednopasmową wiejską drogę prowadzącą na północ. Po stronie przeciwległej do rzeki mijał drobne uprawy bawełny i całe połacie porośnięte piniami. Od strony Missisipi ciągnęły się dawne plantacje indygowców, teraz porośnięte chwastami i krzakami. Granice dawnych pól wyznaczały rozpadające się, na pół przegniłe drewniane płoty oraz szpalery niskich drzew sadzone mniej więcej co sto metrów, mające chronić przed wiatrami.

Przy wjeździe na plantację stała dwuskrzydłowa zardzewiała brama i kamienny mur zarośnięty dzikim winem. Po drugiej stronie znajdowała się rozjeżdżona aleja z dwoma szpalerami dębów jakby pokręconych artretyzmem. Aleja prowadziła na szczyt niskiego wzgórza w pobliżu grobli. Nad wszystkim górowała stara rezydencja z widokiem na rzekę i pola. Była nieco mniejsza niż Belle Chasse i nie tak stara, ale w dużo gorszym stanie. Wkomponowane w żelazną bramę litery tworzące nazwę plantacji wciąż dawały się odczytać: LA FLORA.

Bone przejechał jeszcze niecały kilometr, by upewnić się, że nikt jadący na plantację nie dostrzeże samochodu. Skręcił na pobocze w cień kępki cyprysów rosnących przy drodze. Z ich gałęzi zwisały długie szare ramiona oplątwy. Zgasił silnik, wysiadł z samochodu i podniósł maskę. Wrócił do auta po lornetkę i torbę z zakupami z hotelowego sklepu - miał w niej dwie butelki pepsi, otwieracz do butelek i notatnik. Ktoś przejeżdżający obok pomyśli, że kierowca udał się na poszukiwanie mechanika, który naprawiłby zepsuty samochód.

Wziąwszy swój dobytek, ruszył na przełaj przez pole w kształcie klina dochodzące do niskiego wzniesienia zakręcone jak bumerang. Na jego szczycie rosły wierzby i olchy. Pola indygowców od dobrych trzydziestu, czterdziestu lat nie widziały pług, ale mimo rosnących tu

od lat samosiejek wciąż można było rozróżnić wijące się rzędy roślin sadzonych tak, by zapobiegać erozji gleby. Na końcu wzniesienia stała zniszczona szopa, a tuż za nią Bone dojrzał błyszczący pośród drzew, spływający po kamieniach niewielki strumyczek. Najwyraźniej było to źródło, a w budynku mieściła się kiedyś pompownia dostarczająca chłodną świeżą wodę do rezydencji.

Bone zmierzał do źródła spływającej po kamieniach wody, małego oczka niemal dokładnie nad starą pompownią. Zbiornik - obrośnięty mchem i co najwyżej wielkości stołu - sprawiał, że powietrze wokół nabierało świeżości i pachniało ziemią. Niecałe pół metra pod powierzchnią wody znalazł kamienną półkę i postawił na niej w lodowatej wodzie dwie butelki pepsi. Ruszył dalej na zadrzewiony szczyt. Pilnował, by nie wychodzić z cienia rzucanego przez gałęzie drzew.

Po drugiej stronie wzgórze opadało stromo w stronę ogromnej łąki pokrytej wysoką trawą. Końce źdźbeł zbrązowiały i wyschły od słońca. Jedynie w promieniu stu metrów wokół rezydencji trawa była skoszona, pewnie ręczną kosą. Takimi samymi ścinano jęczmień w Drumdean dawno temu, w latach jego dzieciństwa.

Dwupiętrowy budynek był duży. Miał co najmniej piętnaście metrów długości. Okalały go kolumny charakterystyczne dla stylu klasycystycznego z początku XIX wieku. Prosty mansardowy dach pokryty był zmatowiałą miedzianą blachą z pasmami śniedzi. Wbudowano też kwadratowe poddasze z oknami po obu stronach. Większość szyb na strychu była wybita, podobnie jak w całym domu.

Choć trawę świeżo skoszono, posiadłość wyglądała na wymarłą. Jedynie drobne szczegóły zdradzały, że ktoś ostatnio zaczął dbać o ten budynek. Dwa wysokie okna po lewej stronie ciężkich

podwójnych drzwi miały wszystkie szyby, błyszczące, niedawno umyte. Od frontu i na bocznych werandach liście i inne śmiecie zmieciono na kilka zgrabnych kupek gotowych do wywiezienia. Bone położył się w zaroślach na ziemi, wyjął z futerału lornetkę i przyjrzał się bliżej rezydencji, starając się przy tym unikać słońca, by nie zdradzić swej obecności odbiciami w soczewkach.

Zauważył ciemniejsze ślady opon na niedawno skoszonej trawie i wyszedł, że prowadziły do szopy za rezydencją. Jedne z drzwi ktoś zostawił lekko uchylone i Bone dostrzegł w nich błysk światła odbijającego się od karoserii samochodu. Ponownie przyjrzał się domowi, uważnie wpatrując się w okna. Po chwili spostrzegł jakiś ruch na poddaszu. Trzymał lornetkę bez ruchu i czekał, aż ruch się powtórzy. W oknie widać było sylwetkę siedzącego mężczyzny, który regularnie podnosił rękę do ust - ktoś palił papierosa, siedząc na straży.

Bone odłożył lornetkę i zamknął oczy, nasłuchując. Gdzieś w oddali ćwierkała cykada, świdrując uszy wysokim dźwiękiem. Zza pleców dochodził do niego cichy szmer strumyka. Skupił się jeszcze bardziej, szukał innych, nienaturalnych dźwięków. W końcu usłyszał. Z wnętrza domu dobiegło ciche kasłanie. Dwukrotnie. Potem rozległ się odgłos ciężkich butów stąpających po drewnianej podłodze.

Otworzył oczy. O dwa kroki przed nim, w jaskrawej plamie słońca leżała martwa sówka. Z piersi ptaka sterczały kości, pośród nich kłębiły się dziesiątki błyszczących much. Ich larwy złożone pod drobnymi żebrami ptaka wyglądały niczym ruloniki pergaminu. Tkanka na głowie była wyczyszczona aż do białej czaszki i żółtego dzioba. Wyschnięte oczy wyglądały jakby słońce wyssało z nich resztki życia. Do zakrzywionych nówek maszerowała kolumna mrówek i zniknęła w czeluściach martwego korpusu.

Bone uśmiechnął się na widok prostej elegancji tej małej ukrytej tragedii i metamorfozy. Odczołgał się głębiej w cień i dopiero wtedy wstał z ziemi. Wrócił do oczka wodnego, wyjął jedną z butelek pepsu i otworzył ją. Powoli sączył napój, rozkoszując się jego chłodem i słodyczą. Rozmyślał o tym, co przed chwilą zobaczył. Odstawił butelkę, wyjął notatnik i dołączonym ołówkiem szybko sporządził szkic posiadłości La Flora. Poza jednym pokojem na poddaszu pozostałe na górnej kondygnacji pominął, bo spotkanie na pewno odbędzie się na dole.

Jeśli La Flora wygląda w środku tak jak inne podobne rezydencje, które widział wcześniej, to podzielona jest na trzy główne pomieszczenia: jadalnię po prawej, większy salon po lewej i kuchnię z tyłu. Między jadalnią a salonem zapewne rozciągał się wielki hol ze schodami prowadzącymi na piętro. Wejście od frontu, wyjście z tyłu przez kuchnię, a jedyny swobodny dojazd aleją między szpalerami dębów ciągnącą się od głównej bramy. Za domem stały zabudowania gospodarskie, dalej ciągnęła się podmokła łąka wznosząca się aż do grobli, za którą płynęła rzeka. La Flora była jak siatka do polowania na kraby - kiedy już się tam weszło, praktycznie nie sposób było uciec.

Bone skończył pierwszą pepsu i wrócił do swego zacienionego punktu obserwacyjnego. W ciągu następnych trzech kwadransów pojawiło się pięciu mężczyzn. Jeden był Murzynem i niósł miotłę oraz szufelkę. Czterech miało ciemne garnitury i ciężkie buty. Trzej byli średniego wzrostu z czarnymi kręconymi włosami i śródziemnomorską cerą. Na tyle podobni do siebie, że prawdopodobnie byli braćmi lub bliskimi kuzynami. Może Sycylijczycy, a na pewno Włosi. Pewnie członkowie nowoorleańskiej mafii Sama Carolli.

Czwarty mężczyzna niósł strzelbę myśliwską i Bone uznał, że właśnie jego widział na straży na poddaszu. Był wyższy od trzech pozostałych, miał szeroką klatkę piersiową i blond włosy oraz bladą, poparzoną przez słońce skórę. Podał broń jednemu z Włochów i zapalił papierosa. Zmiana warty, pewnie kłócili się, czyja teraz kolej, by iść na górę. Właśnie minęło południe i na poddaszu musiało być gorąco jak w piekle.

Bone nie ruszał się z miejsca i czekał. Minęła kolejna godzina, podczas której nie wydarzyło się nic szczególnego poza tym, że od czasu do czasu na pobliskim lotnisku lądowały samoloty, a raz z oddali dobiegł gwizd pociągu. Tuż po pierwszej aleją między dębami nadjechały dwa packardy, oba czarne i zakurzone. Zaparkowały przed domem. Z pierwszego wysiedli kolejni czterej mężczyźni w ciemnych garniturach. Wyglądali jak wycięci z tego samego żurnala co ci trzej, których widział wcześniej.

Z drugiego samochodu wysiadło trzech. Weszli na frontową werandę. Ci byli starsi, lepiej ubrani w lżejsze i jaśniejsze garnitury. Nie zwracali uwagi na młodszych. Bone rozpoznał pięćdziesięciolatka z twarzą zdradzającą nadmierną skłonność do alkoholu i rzędzącymi ciemnymi włosami. Widywał go od czasu do czasu w kasynie hotelu National w Hawanie. Pojawiał się też w gazetach. To był Sam Carolla, boss nowoorleańskiej mafii i wyglądało na to, że oprowadza pozostałych dwóch po La Flora.

Niższy i tęższy z dwóch gości Carolli najwyraźniej źle znosił upał, bo co chwila wielką białą chustką ocierał pot z czoła. Drugi był bardzo wysoki, z dużymi uszami i długim nosem. Miał niezwykle jasną skórę, którą chronił przed słońcem białym stetsonem. Chwilę spędzili na werandzie, potem Carolla wraz z gośćmi zniknął we wnętrzu domu.

Napatrzył się już dość. Ponownie odczołgał się głębiej w zarośla, poszedł do oczka wodnego i wyjął zeń drugą butelkę pepsi. Schował do papierowej torby obie butelki - pustą i pełną - oraz kapsel z tej otwartej. Lornetkę wsunął do futerału i wrócił do samochodu, starając się cały czas kryć za wzniesieniem i nie dać zauważyć z poddasza rezydencji.

Wróciwszy do samochodu, opuścił maskę, usiadł za kierownicą i otworzył drugą butelkę pepsi. Jadąc połą drogą, popijał chłodny napój, próbując uporządkować myśli. Wybór La Flora był jasny i oczywisty. Posiadłość leżała z dala od ciekawskich oczu, dość łatwo było ją zabezpieczyć i była niedaleko lotniska, więc każdy, kto przylatywał na spotkanie, mógł się pojawić anonimowo. Jednak ów poziom anonimowości był niepokojący, to oznaczało, że uczestnicy spotkania są tak dobrze znani, że wymagają najdalej posuniętej dyskrecji.

Równie niepokojąca była obecność Carolli. Wbrew sensacyjnym doniesieniom prasy brukowej w mafii nowoorleańskiej ani w żadnej innej nie było przysięgi milczenia. W odpowiednich warunkach i przy odpowiedniej zachęcie każdy z tych ludzi mógł zostać zmuszony do wyśpiewania wszystkiego, co wie. Spiski były niebezpieczne, spiski polityczne tym bardziej, a wszystko wskazywało na to, że ten zaczyna wymykać się spod kontroli. Wracając do Algiers i na drugi brzeg Missisipi, Bone zauważył, że na południu gromadzą się ciężkie szare chmury. Zaraz zacznie padać, i to mocno.

Dotarł do Nowego Orleanu tuż po trzeciej. Zaparkował obok hotelu, wrócił na chwilę do pokoju, by zostawić lornetkę i papierową torbę, potem przespacerował się kilka przecznic dalej do głównej biblioteki publicznej przy Lee Circle. Wielki budynek, zaprojektowany według - jak określał to Bone - tradycji rzymskiej

świętyni, miał ogromny wybór gazet i czasopism w czytelni oraz doskonale archiwum wycinków prasowych. W ciągu godziny uzbrojony w notatnik i ołówek odszukał nazwiska większości mężczyzn, których widział tego popołudnia.

Nie pomylił się co do Sama Carolli. Trzej podobni do siebie młodzieńcy włoskiego pochodzenia nazywali się Carlos, Peter i Michael Marcello, a wszyscy w ten czy inny sposób byli związani z różnymi przedsięwzięciami Carolli. Wysoki blondyn ze strzelbą to niejaki James Moran, również pracownik Carolli, dawniej ochroniarz zabitego w zamachu byłego gubernatora Luizjany, niesławnego Hueya Longa o przydomku Rekin.

O wiele ważniejsi wydawali się dwaj mężczyźni, których Sam Carolla oprowadzał po starej rezydencji. Tęższy, wciąż ocierający czoło z potu, niegdyś wymachujący Biblią pastor z Wisconsin, Gerald L. Smith, był zastępcą Hueya Longa. Rzut oka na teczkę z najnowszymi wycinkami na jego temat mówił wiele - była prawie pusta. Od czasu zabójstwa Longa notowania Geralda Smitha spadły do rekordowo niskiego poziomu. Już kilka dni po śmierci jego byłego szefa we wrześniu 1935 roku rozmaite frakcje w stworzonym przez Rekina systemie zaczęły walczyć między sobą o senacką sukcesję po swoim przywódcy o to, kto będzie kolejnym gubernatorem, i co najważniejsze, kto będzie zarządzał potężną fortuną zgromadzoną przez Longa.

Smith wypadł z gry już na samym początku, odsunięty przez ludzi z Luizjany, w tym przez brata Longa. Pastor zdołał się jedynie wkłęcić do szalonego, ale popularnego ruchu na rzecz nowego systemu emerytalnego, energicznie promowanego w Kalifornii przez Francisca Everetta Townsenda, siwowłosego lekarza z Black Hills w Dakocie Południowej. Najwyraźniej Smith wkłęcił się także na

spotkanie w La Flora.

Drugi gość Carolli był równie interesujący, ale z zupełnie innych powodów. Trzydziestosześcioletni, niedawno wybrany kongresman z teksaskiej Partii Demokratycznej pochodził z bogatego w ropę Dziesiątego Okręgu i miał silne związki ze swoim mentorem Johnem Nanc Garnerem. Garner przez trzydzieści lat sam był kongresmanem i senatorem z Teksasu, a teraz - wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Młody Teksaszczyk nazywał się Lyndon Baines Johnson i według teczek z wycinkami wiedział, jak szukać odpowiedniego wsparcia w Waszyngtonie. Co za ekipa: lokalny mafioso, przegrany Richelieu i kongresman handlujący przysługami, obecny na Kapitolu zaledwie pierwszą kadencję. Bone zwrócił koperty z wycinkami i wyszedł z biblioteki.

Wracając do hotelu, zauważył, że chmury z południa, które widział po drodze z La Flora, teraz zbierały się tuż nad jego głową. Kiedy dotarł na miejsce i wszedł pod daszek przed głównym wejściem, lunęło jak z cebra. Bone poszedł do pokoju i położył się, patrząc, jak rześysty deszcz rozlewa się po szybach, stuka w nie, wydając dźwięk przypominający grzechot kości, jak z innego świata, niepokojący i niedający się zignorować.

Na ścianie naprzeciw łóżka wisiała tanio oprawiona i kiepsko namalowana akwarela przedstawiająca wyścig jachtów na jeziorze Ponchartrain. Niebo było niewiarygodnie niebieskie. Dwa jachty pędziły naprzeciw siebie, a każdy z wiatrem w żaglach. Co więcej, powierzchnia wody nie była nawet pomarszczona. Robota amatora.

Amator - z tym określeniem często się spotykał. Z jego doświadczeń wynikało, że właśnie z powodu własnego amatorstwa ludzie musieli korzystać z jego usług. Z definicji on musiał je wykonywać na najwyższym poziomie. Niemal wszyscy, którzy

zabijali dla sprawy, w końcu sami dla niej umierali. Naoglądał się tego w Irlandii, gdzie ginęli jego bracia, jeszcze częściej widział to w czasie swoich podróży.

Wysłuchując się w deszcz, Bone podniósł ręce do oczu i zaczął je oglądać. Stosunkowo małe, ale palce długie i bardzo silne. Przez lata jednak pogrubiały knykcie, zaczęły się pojawiać żyły i ścięgna. Skóra też straciła swą dawną elastyczność i zaczęła przypominać lekko błyszczący pergamin. Przypomniwał sobie martwego ptaka na wzgórzu przy La Flora i zaczął się zastanawiać, dlaczego zginął. Nieostrożny ruch? Ułamek sekundy nieuwagi? Oślepiający błysk słońca?

Zacisnął pięści i poczuł drobne ukłucie bolesnego napięcia, którego nie było jeszcze dziesięć lat temu. To nie artretyzm. Po prostu się starzał. Nigdy nie przypuszczał, że dożyje prawie czterdziestki. Jeśli nie zdradzą go wkrótce ręce, to zawiodą go oczy. Zakup okularów przeciwsłonecznych w hotelowym butiku był koniecznością, oczy coraz gorzej znosiły jaskrawe światło. W nocy wycucie głębi miał dwa razy gorsze niż kiedyś. Jakikolwiek zadanie pod osłoną ciemności było teraz nie do pomyślenia. Jeszcze to zlecenie, potem jedno, góra dwa i będzie musiał odejść na emeryturę przez fizyczne niedołęstwo.

Tuż po powrocie w pierwszym odruchu chciał spakować walizkę i wrócić jak, najszybciej do Hawany. Jednak zamiast tego podszedł do nocnego stolika i podniósł słuchawkę telefonu. Najpierw zadzwonił na lotnisko Shu-shan przy jeziorze Ponchartrain, a potem, z pomocą telefonistki z hotelu, połączył się z numerem w Nowym Jorku. Odebrano po drugim dzwonku.

- Słucham? - w głosie słychać było przytłumione echo rozmowy międzymiastowej.

- Chciałbym rozmawiać z wujkiem Charlesem - rzekł cicho Bone.

- Mówi wujek Charles.
- Wie pan, kto mówi?
- Tak - odpowiedział głos z Nowego Jorku. - Czy coś się stało?
- Miejsce spotkania jest nie do przyjęcia.
- Poprzednio zgodził się pan na nie.
- Ale teraz się nie zgadzam.
- Czy mogę wiedzieć dlaczego?

- Oczywiście. Zdaje się, że pańscy ludzie korzystają z usług rodziny Carolla z Nowego Orleanu. Zdaje się również, że w spotkaniu mają uczestniczyć także inni ludzie, tacy jak kongresman z Teksasu i były asystent jednego ze świętej pamięci senatorów. - Przerwał na chwilę. - Obecność tych mężczyzn na ewentualnym spotkaniu jest również nie do przyjęcia.

- Dlaczego? - W głosie nie było słycać pretensji, raczej ciekawość.

- W tę sprawę zamieszanych jest już zbyt wiele osób. Ci ludzie to politycy. A oni z natury są niezdolni do dochowania tajemnicy.

- Dwoje ludzi jest w stanie nie puścić pary z gęby, o ile jeden z nich nie żyje - odparł głos z Nowego Jorku.

- Słucham?

- Cytat z Beniamina Franklina - wyjaśnił głos. Nastąpiła dłuższa przerwa. - Musimy się spotkać, by sfinalizować naszą transakcję. - Znów cisza. - Jest kilka warunków, które trzeba przedyskutować.

- Ale nie w obecności tych panów. I nie w tamtym miejscu.

- A zatem kto?

- Pan - odrzekł Bone. - I nikogo poza panem. Nikogo.

- Jutro?

- Tak - odparł Bone. - Nie zaryzykuję kolejnego dnia tutaj.

- Zdaje się, że mogę wylecieć dzisiaj wieczorem.

- Może pan - przytaknął Bone. - Sprawdziłem to na wszelki wypadek. O dwudziestej drugiej trzydzieści z lotniska Newark odlatuje samolot Eastern Airlines przez Waszyngton i Atlantę. W Nowym Orleanie ląduje o siódmej trzydzieści rano.

Tym razem milczenie było krótsze.

- Dobrze.

- Będzie pan sam? - zapytał Bone.

- Nie, będzie ze mną jeszcze ktoś, o ile uda mu się wsiąść na pokład w Waszyngtonie.

- W porządku.

- Jak się z panem skontaktować?

- Proszę zameldować się w hotelu Roosevelt pod nazwiskiem Thorn. Zostawię dla pana wiadomość, gdzie i kiedy odbędzie się spotkanie. - Bone odłożył słuchawkę. Wyrzął przez okno. Ulewa skończyła się równie szybko, jak zaczęła.

Przez resztę dnia przygotowywał się do jutrzejszego spotkania. Wynajął pokój nad restauracją w dzielnicy francuskiej. Następnie poszedł na Canal Street, a potem kilka przecznic dalej na Royal Street. W lombardzie na rogu kupił starą walizkę. Poszedł kolejną przecznicę dalej do hotelu Monteleone, niemal tak wielkiego jak Roosevelt i równie anonimowego.

Zameldował się, zapłacił z góry za trzy noce i zostawiwszy pustą walizkę w pokoju, wypił drinka w hotelowym barze Corousel z idiotycznym obrotowym barkiem, w hotelowej jadalni rozkoszował się kolacją z ciasteczkami krabowymi, potem wrócił do pokoju i nastawił radio na wewnętrzną stację hotelową WSDU. O tej porze nadawali program sieci NBC Blue. Przez dobre pół godziny Bone leżał w ciemności, słuchając Guya Lombarda i kanadyjskiej orkiestry królewskiej, która grała wiązanekę melodii ze *Snów Boat*. W końcu

zasnął.

Następnego dnia o dziesiątej rano stał w cieniu klatki schodowej na wprost restauracji, którą wybrał. Obserwował, jak przy chodniku zatrzymuje się jaskrawożółta taksówka Nola. Restauracja Antoine'a przy St Louis Street zajmowała dwie z czterech kondygnacji dobrze utrzymanego budynku. Poprzedniego popołudnia Bone odkrył, że do pokojów na trzecim i czwartym piętrze można dojść po schodkach z bogato zdobionej werandy.

Z taksówki wysiedli dwaj mężczyźni. Obaj byli ubrani w ciemne trzyczęściowe garnitury, zdecydowanie za ciepłe jak na pogodę w Nowym Orleanie. Niższy miał siwe włosy, okulary w metalowych oprawkach i wąsy. Wyglądał na czterdzieści kilka lat. Drugi, o szerokiej klatce piersiowej i wielkim brzuchu, był co najmniej o dziesięć lat starszy. Miał ciemne rzednące włosy zaczesane do tyłu. Pod szerokim czołem widać było duże, lekko wyłupiaste oczy. Gładko ogolony, nie nosił okularów, palił wielkie czarne cygaro.

Zamienili parę zdań z Murzynem w białym fartuchu, który zamiatął chodnik przed obitym na czarno wejściem do restauracji. Mężczyzna w okularach i z wąsikami wcisnął zamiataczowi do ręki banknot. Murzyn skinął głową oparł miotłę o ścianę przy wejściu i poprowadził ich do restauracji. Po chwili dwaj mężczyźni, już sami, pojawili się na schodkach pożarowych i weszli powoli na czwartą kondygnację. Tęższy miał najwyraźniej problemy z wejściem i kilka razy przystawał. W końcu dotarli do małego metalowego podestu na szczycie schodków, przez otwarte drzwi balkonowe dostali się do części hotelowej i zniknęli w pokoju, który Bone wynajął na to spotkanie.

Bone stał na swoim posterunku blisko godzinę przed ich przyjazdem. Odczekał jeszcze pięć minut, upewniając się, że

przyjechali sami. Kiedy uznał, że wszystko jest w porządku, przebiegł na drugą stronę ulicy, wszedł do restauracji i schodkami pożarowymi dotarł na górę.

Na prośbę Bone'a usunięto z pokoju wszystkie meble poza małym prostym stolikiem i trzema krzesłami. Dwa stały tyłem do drzwi balkonowych, trzecie do drzwi prowadzących na wewnętrzną klatkę schodową. Na polecenie Bone'a te drzwi były zamknięte. Jediną drogą ucieczki mogły być zewnętrzne schodki pożarowe. Przyjezdni zajęli przeznaczone dla siebie krzesła. Kiedy wszedł do pokoju, odwrócili się, by na niego spojrzeć. Zauważył, że siwy mężczyzna w okularach zdążył już położyć na biurku notatnik i pióro.

- Nie radziłbym niczego notować - odezwał się Bone. - Dla bezpieczeństwa nas wszystkich. - Obszedł stolik, sprawdził, czy drzwi nadal są zamknięte na klucz, i usiadł naprzeciwko nieznanym. - Który z panów to wujek Charles?

- Ja - odezwał się siwy. Płaski, lekko nosowy akcent zdradzał nowojorskie pochodzenie. - Zawsze robię notatki - podkreślił stanowczo.

- Nie tym razem - sprzeciwił się Bone.

- Posłuchaj go, Allen - odezwał się drugi mężczyzna. W jego cichym głosie słyhać było głęboki teksaski zaśpiew, co Bone'owi wydawało się wewnątrznie sprzeczne.

- Kim pan jest?

Tęgi mężczyzna uśmiechnął się i pociągnął dym z cygara.

- Po prostu wiejskim chłopakiem - odparł łagodnie. - Robię, co do mnie należy. - Ze wzrokiem utkwionym w Bone'a przesunął sporny notatnik w stronę swego towarzysza. Wuj Charles zrozumiał jasną aluzję i schował notes. - Widzi mi się, że nie spodobało się panu miejsce, któreśmy wybrali. Tak?

- Zgadza się - potwierdził Bone.

Mężczyzna po drugiej stronie starał się zrobić z siebie wiejskiego kmiotka, ale wzrok miał twardy, zimny i wyrachowany.

- Ludzie, co mieli przyjść z nami, też nie byli w pana guście?

- Tak jak mówiłem, to politycy.

- Młody Lyndon to więcej niż polityk, wierz mi pan. Ten chłopak zrobi karierę. Kto wie, jak daleko zajdzie. - Tekszańczyk uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Wszystko zależy od sytuacji.

- Ile on wie? - Bone patrzył na siwego nowojorczyka.

- Nic. - Wujek Charles wskazał na tekszańczyka. - Mój przyjaciel poprosił go o uczestnictwo w ważnym spotkaniu.

- A inni?

- Tak samo - odparł tekszańczyk. - Lyndon zna tu w Luizjanie trochę ludzi. Sąsiedzi przez miedzę, można rzec. Rozmawiał z Gerrym Smithem. Właśnie Smith zaproponował środki bezpieczeństwa, które się panu nie spodobały. To znaczy pana Carolę i jego ludzi. - Wzruszył wielkimi ramionami, nie przestając się uśmiechać. - Przykro nam, że poczytał pan to za obrazę, ale proszę mi wierzyć, nie robimy takich rzeczy codziennie. - Przerwał. - Jesteśmy zawodowcami, ale w tych... sprawach jesteśmy amatorami.

- Rozumiem - odrzekł Bone.

- Może przejdziemy do rzeczy - zaproponował nowojorczyk. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Mnie to pasuje - rzucił tekszańczyk.

Bone nic nie powiedział. Nastąpiła długa, niemal fizycznie nieznośna, chwila milczenia. Na ulicy Bone usłyszał, jak sprzedawca Pelican Lottery zachęca do kupna losów:

Cztery, jednaście, czterdzieści cztery, Cztery, jednaście, czterdzieści cztery, Brać losy, panny i kawalery, Bo tylko ze mną takie

numery!

W końcu odezwał się ten z Nowego Jorku:

- Obecny tu mój przyjaciel i ja reprezentujemy interesy ludzi, których przerażeniem napawa myśl, że Ameryka mogłaby wziąć udział w kolejnej wojnie. Wyraźnie jednak widać, że prezydent Roosevelt zamierza nas wciągnąć w taki konflikt. - Przerwał i odchrząknął. - Trzeba go powstrzymać. Za wszelką cenę.

Bone milczał. Tęgi mężczyzna palił cygaro i czekał, aż jego znajomy znów zacznie mówić. Tak też się stało.

- Wielu z nas uważa, że dzięki manipulacjom politycznym, różnego rodzaju sztuczkom i wręcz kłamstwom prezydent wykreował się w oczach amerykańskiej opinii publicznej na swego rodzaju zbawcę. Cały naród owinął sobie wokół palca.

- A panowie zamierzacie ocalić ów naród przed Rooseveltem? - Bone nie mógł się powstrzymać. Uczestniczył już w co najmniej dziesięciu takich spotkaniach i słyszał najrozmaitsze wariacje tego rodzaju wyjaśnień. Przed zabójstwem Abła Kain zapewne też się podobnie usprawiedliwiał przed samym sobą.

Teksańczyk wyjął cygaro z ust i pochylony nad stołem, wpatrywał się w Bone'a wielkimi, lekko wyłupiastymi oczyma.

- Nie, proszę pana - powiedział łagodnym głosem. - Zamierzamy ocalić przed Rooseveltem samych siebie i ludzi, których reprezentujemy. Potężnych ludzi, którzy mają gdzieś, co Roosevelt zrobił dla gospodarki tego kraju, a jeszcze mniej ich obchodzi, co zamierza zrobić, kiedy, uchowaj Boże, zostanie wybrany na następną kadencję.

- I to właśnie ci ludzie chcą mnie zatrudnić?

- W rzeczy samej - odparł teksańczyk. Zacisnął zęby na cygarze i rozparł się wygodniej.

- Mieliśmy uzgodnić warunki kontraktu - przypomniał nowojorczyk.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów - odparł Bone głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. - Połowa płatna na konto w banku na Bermudach w ciągu siedmiu dni. Reszta po pomyślnym wykonaniu zadania.

- Dobry Boże! Przecież to fortuna!

- Zgadza się - przytaknął Bone. - Ale w zamian za to pan i pańscy znajomi robicie świetny interes.

- Pan ma rację - wtrącił się teksańczyk. - Wizyta pary królewskiej to bez wątpienia część kampanii Roosevelta na rzecz trzeciej kadencji. Ma być sukcesem. A przerodzi się w tragedię. - Przerwał. - Nie będzie trzeciej kadencji.

- Jest pan przekonany, że podoła temu zadaniu? - zaniepokoił się nowojorczyk.

- Oczywiście. Gdybym w to nie wierzył, nie umawiałbym się na to spotkanie.

- Jak pan to zrobi? - zaciekawiał się teksańczyk.

- Jeszcze nie wiem. Ale to was nie dotyczy.

- Kiedy?.

- Tego też jeszcze nie wiem.

- Ale musi to się stać na amerykańskiej ziemi - przypomniał nowojorczyk. - To najważniejsze. Nie może do tego dojść w czasie pobytu w Kanadzie.

- Rozumiem.

- Czy możemy panu w czymś pomóc? - zapytał teksańczyk. - Ludzie, których reprezentujemy, mają pewne środki, mogłyby się panu przydać.

- Wolę pracować zupełnie sam. Z doświadczenia wiem, że

większość podobnych spisków kończy się przedwcześnie z braku ostrożności. - Popatrzył na obu mężczyzn. - Jestem przekonany, że już teraz zbyt wiele osób wie za dużo. Ale temu można zaradzić.

- W takim razie jesteśmy umówieni? - upewnił się teksańczyk. - Możemy zaczynać?

Nowojorczyk wahał się i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale towarzysz położył mu swą wielką rękę na ramieniu. Siwowłosa skinął głową.

- Zgoda.

- Jak się z panem skontaktujemy? - zapytał teksańczyk.

- Nie skontaktujecie się - odparł Bone. - To ja was poszukam, jeśli będzie to konieczne. - Wstał. - A teraz panowie pozwolą...

- A nazwisko? - dopytywał się teksańczyk. - Musimy mieć jakieś nazwisko. - W jego głosie słychać było emocje, jakby jeszcze nie chciał kończyć tego spotkania i żałował, że muszą się rozejść. - Nie sądzę, żeby nadal używał pan tego, które znamy.

- Green - rzucił Bone. - Równie dobre jak każde inne. - Spojrzał na nowojorczyka. - Zadzwoń do pana i podam niezbędne dane dotyczące konta. - Skłonił się lekko. - Panowie zechcą zaczekać pięć minut po moim wyjściu. - Zerknął na zegarek. - Możecie nawet zjeść obiad na dole. Ostrygi są tu wyśmienite. - Obszedł stół, przez balkonowe drzwi wyszedł na metalowy podest. I zniknął.

Mężczyźni siedzieli, po chwili teksańczyk wyjrzał na zewnątrz. Nikogo nie zobaczył.

- Już poszedł.

- Może jest niezły w tym, co robi - odezwał się nowojorczyk. - Ale kiepski z niego biznesmen.

- A to czemu?

Siwy mężczyzna wstał z krzesła i dołączył do kolegi przy oknie.

- A jeśli wykona zadanie, a my nie zapłacimy mu drugiej raty?

- Nie zrobimy tego, Allen - teksańczyk pokręcił głową. Cygaro mu zgasło, więc zapalił je ponownie małą złotą zapalniczką, która wyglądała zabawnie w rękach kogoś jego postury. Wydmuchnął do wnętrza pokoju chmurę gęstego dymu.

- Dlaczego nie?

- Ano dlatego - wyjaśnił, zaciągając się mocno cygarem - że gdybyśmy okazali się na tyle głupi, ten błady sukinsyn dowiedziałby się, kim jesteśmy, wytropiłby nas i zabił.

Nowojorczyk sięgnął do kieszeni i wyjął fajkę. Zapalił ją pożyczoną od kolegi zapalniczką i wypuścił niebieski obłoczek dymu.

- No cóż, przynajmniej nie wie nic o tej drugiej sprawie.

Wyjął cybuch z ust i zajrzał do fajki, bo coś w niej zaskwierczało.

- Tak - odparł teksańczyk. - To nasz as w rękawie. - Przez twarz przebiegł mu cień niepokoju. - Módlmy się tylko, żeby pan Green nigdy się o tym nie dowiedział.

Rozdział 10

22 kwietnia 1939 roku, niedziela

Southampton, Anglia

Thomas Barry wszedł do porannego pociągu z Euston i tuż po dwunastej w południe dotarł na obszerny dworzec w Southampton z jedną walizką w ręku. Hala odjazdów wielkiego ponurego terminalu portowego roiała się od pasażerów, tragarzy i odprowadzających. Wokół kłębiły się też dziesiątki samochodów, które dowoziły pasażerów do doków. Ogromny statek stojący przy nabrzeżu, prawie tuż przy dworcu, przyciągał ciężarówki przywożące ostatnie zapasy, dziesiątki taksówek, autobusy i limuzyny z Londynu oraz sporo aut prywatnych. W jedną i w drugą stronę toczyły się wózki bagażowe. Pasażerów drugiej i trzeciej klasy odprawiano przy stolikach ustawionych w pobliżu drzwi prowadzących na nabrzeże, skąd rozciągał się widok na wysoką, błyszczącą białą burtę statku. Pasażerowie klasy pierwszej i odprowadzające je osoby mogły skorzystać z kilku sporych wind, który wwoziły ich na górną kondygnację dworca, skąd po osłoniętym baldachimem trapie można było przejść na pokład D.

Zgodnie z umową Barry i Holland spotkali się przy kiosku z gazetami naprzeciwko stolika do odprawy biletowej. Barry dotarł tam wraz z falą pasażerów, którzy wysiedli z pociągu. Można było odnieść wrażenie, że w tym przepastnym budynku wszyscy do wszystkich krzyczą, ale nawet mimo gwaru słyszał monotony pomruk silników statku na jałowym biegu. Nagle poczuł ściśnięcie w

dołku, które zaskoczyło go, a nawet zakłopotало. Przypomniał sobie Drake'a i Cooka. Pomyślał o powieściach Jamesa Fenimore'a Coopera, o czerwonoskórych i o tysiącu innych opowieści, które słyszał każdy chłopiec, bogaty i biedny. Przy kiosku dojrzał znajomą łysiejącą głowę Hollanda. Podpułkownik leniwie palił papierosa i przeglądał „Timesa”. Barry przybrał najbardziej marsową minę i starał się ukryć podniecenie przygodą. Nagle rozległ się głęboki gwizd syreny statku, który wstrząsnął całym budynkiem i zelektryzował jeszcze bardziej tłum wokół Barry'ego. Holland stał niewzruszony niczym latarnia. Złożył gazetę i zgasił papierosa w skrzynce z piaskiem przymocowanej do ścianki kiosku.

- Chyba powinniśmy się udać na pokład. - Zerknął na pokrytą płótnem kremową walizkę Barry'ego. - To pana jedyny bagaż?

- Tak.

- Zatem nie ma pan pewnie stroju wieczorowego.

- Nie sądziłem, że będzie niezbędny - odparł policjant, unikając niezręcznego tematu. - - Jedyny strój wieczorowy, jaki miał na sobie, wypożyczył na ślub przyjaciela.

- Nie szkodzi - rzekł Holland. - Poradzimy sobie. - Wziął Barry'ego pod ramię. - Chodźmy.

Pułkownik szedł przodem, delikatnie, lecz stanowczo przepychając się przez tłum. W końcu dotarli do wind. Wraz z pięcioma innymi pasażerami ruszyli powoli w górę. Po kilku chwilach wysiedli w przestronnym holu na drugim poziomie. Szeroki zadaszony korytarz ciągnął się przez całą długość terminalu. Policjant dostrzegł trap przerzucony nad przepaścią, która dzieliła dworzec od transatlantyku. Statek był śnieżnobiały, z granatowym paskiem wokół kadłuba przeciągniętym na poziomie głównego pokładu i żółtymi kominami. Pasażerowie rzucili wstążki, krzyczeli do znajomych i

kłębili się na tarasach widokowych dwóch górnych pokładów.

- Niesamowite - rzekł Holland, kiedy szli w stronę trapu. - Za rok będziemy mieli wojnę, a oni zachowują się jak na odpuszcie.

- Mówi pan to z dużym przekonaniem - zauważył Barry.

- Herr Hitler nie bawi się ołowianym żołnierzami, a Goering nie puszcza samolocików z papieru. Nie produkuje się broni, jeśli nie ma się zamiaru jej użyć. - Dotarli do trapu i Holland sięgnął do kieszeni płaszcza, by wyjąć zawiniątko z biletami związanymi gumką. - Niech mi pan wierzy, wojna wybuchnie. Już od trzech lat ćwiczą w Hiszpanii.

Barry na trapie starał się nie patrzeć w dół. Kilka dni wcześniej po raz pierwszy leciał samolotem, a teraz miał wyruszyć w pierwszą w swoim życiu podróż transatlantykiem. Dotarli do końca trapu i weszli do korytarza pierwszej klasy, w którym oszałamiała wielość wykorzystanych gatunków drzew, hartowanego aluminium i piaskowanego szkła. Szerokie, pokryte dywanem schody prowadziły w górę, na pokłady C i B.

- Gdzie mamy kabiny? - zapytał policjant.

- Na pokładzie B - odparł podpułkownik, wskazując schody. - Tak jak panna Connelly.

- Podróżuje pierwszą klasą? - zdziwił się Barry. Holland skinął głową.

- Zbierają skwapliwie te szylingi i pensy od zwolenników Sprawy, a potem jeden z kurierów wydaje je na to, by codziennie zmieniano mu pościel i składano łóżko. - Dotarli na pokład B i Holland zatrzymał się, by złapać oddech. Pasażerowie kłębili się wokół nich. - Ale tak naprawdę to ma sens. W klasie trzeciej i turystycznej podróżuje się w jednej kabine z dwiema, czasami nawet trzema zupełnie obcymi osobami. Panna Connelly wykupiła coś, co nazwano

kabiną specjalną, opracowaną z myślą o jednej osobie. Ekstrawagancka, ale nie aż tak jak apartament. Nikt nie będzie jej przeszkadzał.

- Nie bardzo rozumiem, w czym można jej przeszkadzać - rzekł Barry. - W końcu wiezie tylko informacje dla Russella, i to pewnie wykute na pamięć.

- Tak twierdzi Hayes. Ale kto wie, czy on zna wszystkie sekrety. - Holland wskazał wielki klubowy hotel. - Niech pan tu zaczeka chwilę, dobrze? - Podszedł do długiej lady na wprost schodów. Zamienił kilka słów z umundurowanym pracownikiem, który podał mu telefon. Podpułkownik wykręcił numer i przez chwilę słuchał. Odłożył słuchawkę i wrócił do Barry'ego.

- Jest na pokładzie prawie godzinę i nie wyszła nawet ze swojej kabiny. Przyjechała z Londynu jednym z omnibusów linii Canadian Pacific.

- Ma pan swoich ludzi na pokładzie?

- Oczywiście. Na przykład stewarda obsługującego jej kabinę i jednego z pracowników ochmistrza.

- A co z jej bagażem?

- Nie było specjalnej kontroli na cle. Nie chcieliśmy jej niepokoić. Zajmiemy się tym później, pan i ja. - Holland przerwał z uśmiechem. - Tymczasem może zaniemiemy pańską walizkę do kabiny i pójdziemy gdzieś na drinka?

„Gdzieś” nazywało się Bar Knickerbockera i mieściło się na pokładzie wypoczynkowym. W niewielkim pomieszczeniu dominował bar w kształcie podkowy. Ściany w morskim kolorze pokryte były osobliwym malowidłem Arthura Rackhama przedstawiającym odkrycie, pogoń i schwywanie stwora o nazwie Ptak Koktajlowy. Statek jeszcze nie wypłynął, a w barze był już tłok.

Wzięli więc zamówione drinki i poszli do czytelnicy po drugiej stronie osłony komina. Oprócz nich siedziała tam tylko jedna osoba - kobieta w średnim wieku ubrana w tweed. Zmagająca się z górką identycznych kartek pocztowych Canadian Pacific - pisała, adresowała i naklejała znaczki metodycznymi, niemal hipnotycznymi ruchami.

- Nauczycielka - wyjaśnił Holland, popijając whisky z wodą sodową. - Pisz do swoich uczniów. Nim rzucimy cumy, napisze je wszystkie, a nim dotrzemy do Solentu, zaniesie kartki do ochmistrza. - Rozległ się trzask systemu nagłośnienia i spiker zapowiedział nosowym głosem, by z pokładu zeszli wszyscy odprowadzający. Kobieta nawet na chwilę nie przestała pisać kartek. - Słyszał pan o gazecie „New Yorker Staats Zeitung und Herold”?

- Oczywiście - odparł Barry, smakując zimne kanadyjskie piwo. Na zębach czuł igielki lodu. Jak to się mówi o Kanadzie? Ziemia dana przez Boga Kainowi. - Cały czas ją czytam i bardzo lubię.

- Wydaje ją niejaki Victor F. Ridder.

- Niemiec?

- Oto jest pytanie - odparł Holland. - Właściwie jest obywatelem amerykańskim, naturalizowanym. Zasiada między innymi w Krajowym Komitecie Skautowskim, jest członkiem Nowojorskiej Rady Organizacji Dobroczynnych, a sam Roosevelt mianował go administratorem nowojorskiej filii programu zapobiegania bezrobociu.

- Słowem sól amerykańskiej ziemi - rzucił Barry, czekając na dalszy ciąg historii.

- Herr Ridder ma kontakty nie tylko ze skautami. W ciągu ostatnich dziesięciu lat spotykał się prywatnie także z fuhrerem. Z Nowego Jorku do Berlina wyskakuje sobie tak, jakby jechał z Londynu do Greenwich. Jeśli jest prawdą to, co twierdzi nasze

wiarygodne źródło, zatrudnia w gazecie pięć osób, które nie istnieją.

- Słucham?

- Papierowi pracownicy. Zbiera pieniądze na coś, co eufemistycznie zwie się współpracą niemiecko-amerykańską

- Nie rozumiem, jak to się wiąże z panną Connelly.

- W ciągu pięciu ostatnich lat Ridder jedenaście razy podróżował na Stary Kontynent. Dwa razy leciał sterowcem „Hindenburg”, dziewięć razy płynął rozmaitymi statkami z północnych Niemiec - z Bremy i Hamburga. W czasie tych jedenastu podróży ani razu nie postawił stopy na brytyjskiej ziemi.

- Jest tu na pokładzie? - zapytał Barry.

- Cóż za przenikliwość! - Holland uśmiechnął się ironicznie. Nauczycielka skończyła pisanie kartek, ułożyła je w zgrabny stosik i wyszła. - Zarówno kabina panny Connelly, jak i ta dla Riddera zostały zarezerwowane przez tę samą agencję podróży w odstępie dwudziestu czterech godzin. Ta sama agencja obsługuje wszystkie wyjazdy pracowników niemieckiej ambasady w Londynie.

- Więc zakładamy, że oni się znają.

- W tej chwili niczego nie zakładamy. Ridder mieszka w kajucie B217. Panna Connelly w B241. Ridder ma problemy z kręgosłupem i musi chodzić o lasce, a czasami porusza się na wózku. Być może umieszczono ich w pobliżu, żeby łatwiej było im się kontaktować.

- Wydaje mi się to trochę naiwne - rzekł Barry. - Wystarczyło sprawdzić w kilku miejscach, by połączyć wszystko jak kropki w zagadce rysunkowej dla dzieci. Jeśli mają ze sobą coś wspólnego, to nie zrobili nic, żeby się ukryć.

Holland wpatrywał się w dno szklanki. Wzruszył ramionami i odstawił ją na stolik. Pokład pod stopami zaczął drżeć i silniki statku zagrały głębszym basem.

- Za wysoko pan ich ocenia, Barry. Nie są mistrzami zbrodni. Nie są nawet bardzo dobrymi szpiegami. To amatorzy. A nawet gorzej - prawdziwi fanatycy. - Pokręcił głową. - Musi pan zrozumieć, że fanatyk uwierzy we wszystko, nawet jeśli istnieje tylko cień prawdopodobieństwa. Ridder sądzi, że on i jego nazistowscy przyjaciele w Stanach Zjednoczonych są forpoczta nowego porządku świata, a panna Connelly tak głęboko wierzy w sprawę zjednoczenia Irlandii, że i ona, i Russell, i wielu im podobnych sądzi, że pójdą do łóżka z Niemcami i zdołają z niego wstać, zachowawszy dziewictwo. - Roześmiał się i zdjął okulary, by wyczyścić szkła rękawem płaszcza. - Hayes sam to powiedział: banda kolesi marzących o udawaniu żołnierzy i głupi kretyńcy ćwiczący musztrę z kijami od szczotek w oczekiwaniu na akcję, która nigdy nie nadejdzie.

- Pan widzi życie raczej w ciemnych barwach, prawda?

- Bo bywałem w różnych ciemnych i nieprzyjemnych miejscach - odparł Holland. - Takich jak Belfast czy Belgrad. - Potarł czubek głowy i uśmiechnął się. - Przejdźmy się na pokład, dobrze? Pożegnamy Stary Świat i zwrócimy się ku Nowemu. - Mlasnął z rozkoszą. - A potem kolejny drink.

Jane spotkała się z Kapelusznikiem Levine'em pod wyniesioną na powierzchnię stacją metra przy Chatham Square. W tanim teatrze Venice grano dwuaktówkę Randolpha Scotta, ale o jedenastej rano nie widać było przesadnego zainteresowania. Gruba kasjerka w szklanej budce nie spała tylko dlatego, że od czasu do czasu górami przejeżdżały z ogromnym hukiem pociągi.

Kapelusznik krążył wzdłuż nieprzerwanego szeregu sklepów z

damską odzieżą przy Division Street, ciągnącym się na południe od Eldridge do Bowery. Zachwalał, a często wręcz kłamał, by zachęcić potencjalne klientki do wejścia do sklepu. Miał też dostęp do niezłych źródeł informacji na temat mafii i jej poczynąń. Przydomek Kapelusznik pochodził stąd, że Levine wciąż zmieniał nakrycia głowy. Dziś paradował w homburgu. Kiedy Jane zeszła po schodkach z peronu, opierał się o jeden z filarów, czytał gazetę i palił papierosa. Poczula jego oddech z odległości metra - mieszanka nikotyny, pasty miętowej i dżinu.

- Kapelusznik.

- Cześć, Jane. - Odepchnął się od filara i szybkim ruchem zwinął gazetę pod ramię. Rozejrzał się nerwowo, czy ktoś ich obserwuje, co nie było takie dziwne. Wciąż był przekonany, że ktoś go śledzi, tak jakby pod swoimi kapeluszami skrywał tajemnice piramid, anie urywki informacji, jakie dochodziły do niego, kiedy wałęsał się po sklepach odzieżowych lub kiedy udało mu się podsłuchać jakąś rozmowę na tyłach Old Sicily Club przy Mullberry Street.

- Przejdźmy się - zaproponował.

Wyprowadził ich spod cieni rzucanych przez tory krzyżujące się nad placem. Przeszli przecnicę wzdłuż New Bowery i dotarli do małego cmentarza między James a OHver Street. Otwierając zardzewiałą bramę, Kapelusznik zdjął homburg, odsłaniając wielkie łyse czoło okolone powyżej uszu linią kręconych włosów. Jane weszła za nim na cmentarz, zauważając, że na każdym nagrobku widnieje gwiazda Dawida.

- Nie wiedziałam, że tu jest żydowski cmentarz.

Kapelusznik znalazł kamienną ławkę stojącą naprzeciwko wysokiego pomnika z czerwonego granitu. Usiedli.

- To najstarszy kirkut na Manhattanie - wyjaśnił Levine. - Leżą tu

sami Portugalczycy i Hiszpanie, tak jak ten tu. - Wskazał nazwisko na pomniku, od którego dzieliła ich tylko wąska żwirowa ścieżka. - Gersholm Mendez Seixis. Czy to jest żydowskie nazwisko? - Wzruszył ramionami. - Zdaje się, że około 1776 roku był wielkim rabinem czy kimś w tym rodzaju. - Pokręcił głową. - Ciekawe, że makaroniarze i hiszpance nie kojarzą się z Żydami, a przecież Żydzi są wszędzie. Zwykle kojarzy się z nimi szwabów, rusków i polaczków, takich jak ja. - Roześmiał się. - Może nawet wśród czarnuchów trafiają się Żydzi. Kto wie?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Zapadła chwila ciszy. Jane wpatrywała się w macewę rabiego Gersholma Mendeza Seixisa. W końcu odezwał się Kapelusznik:

- Przyjechałaś tu, żeby zapytać mnie, która godzina, czy jak?

- Żeby zapytać o Howarda Rainesa.

- Nie znam człowieka.

- Młody prawnik z Fallon i McGee, ale pracował za pieniądze niejakiego Shallecka.

- Shalleck to wielka szycha. O co chodzi z tym Rainesem?

- Znaleziono go w rowie w New Jersey nafaszerowanego trzema kulkami.

- To ten gość, którego znaleźli przy Rustic Cabin?

- Ten sam.

- Jakoś nie mogłem skojarzyć nazwiska.

- Był moim starym przyjacielem.

- Przykro mi. Przyjaciele powinni umierać spokojnie w łóżku, najlepiej jakiś rok przed tobą żeby nie trzeba było za długo opłakiwać ich straty. - Pokręcił głową. - Nie powinnaś mieć przyjaciół, których ktoś morduje.

- Co możesz powiedzieć na ten temat?

- O twoim przyjacielu? Nic. Ale mogę ci powiedzieć, dlaczego trafił do tego rowu.

- Mów.

- Rustic Cabin to niezależna knajpa, nie należy do organizacji Willy'ego. - Mówił o Willym Morettim, osiłku pracującym kiedyś dla Abe'a Zwillmana. Moretti trzymał w ręku wszystkie koncesje na punkty hazardu w New Jersey, a razem z Frankiem Costello miał też połowę zezwoleń na Manhattanie.

- Co Moretti ma wspólnego z moim przyjacielem Howiem?

- Pewnie nic, poza tym, że akurat chcieli narobić koło pióra właścicielowi Rustic Cabin. Jest tam piosenkarz, który bardzo podoba się Willy'emu. Chce z niego zrobić gwiazdę, ale ten chłoptaş jest związany umową.

- Chodzi o Franka Sinatrę?

- Słyszałem, że mówią na niego Frankie Satyna.

- To ten sam. Chudzielec w drogich ubraniach.

- W życiu go nie widziałam. Zresztą Moretti uważa, że Frankie może śpiewać gdzie indziej. Może zwłoki koło Rustic Cabin dadzą właścicielowi do myślenia i dobrze się zastanowi, nim zacznie przeszkadzać w karierze Frankowi Satynie?

- Sądysz, że ten piosenkarz coś wie?

- Może. Na pewno musi znać Morettiego. A bez pozwolenia tego faceta nikt nie ma prawa podrzucić sztywniaka w całym Jersey. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Można jakoś porozmawiać z tym śpiewakiem i nie doznać przy tym uszczerbku na ciele? - Moretti znany był z tego, że zazdrośnie strzegł swoich „skarbów”. Jane nie chciała skończyć w rowie tak jak biedny Howard.

- No, takiego ciała byłoby szkoda. - Kapelusznik wyszczerzył

zęby w uśmiechu.

- Odpowiedz lepiej na pytanie.

- Umówię cię z nim.

- Dzięki. Dobry z ciebie kumpel. Możesz mi opowiedzieć coś o tym chłopaku? Coś, od czego mogłabym zacząć?

- To cię będzie kosztowało dwadzieścia dolców i wielkiego buziaka, mała. Będziemy w kontakcie.

Machnął ręką na pożegnanie i wyszedł z cmentarza, zostawiając ją na ławce. Wysoko nad ulicą przejechał, zgrzytając i piszcząc, ekspres z Drugiej Alei. Strzelał wokół iskrami i wył niczym duch. Jane wpatrywała się w macewę Gesholma Mendeza Seixisa. Jak stary rabin może leżeć w spokoju, skoro co kilka minut wyrosłe wokół wielkie miasto trzęsło jego trumną? Howard Raines miał się chyba nieco lepiej w kostnicy szpitala w Bellevue. Tyle że pewnie jest siny z zimna. Wstała i ruszyła między nagrobkami do wyjścia. Kiedy się głębiej zastanović, najlepszą śmiercią było coś, co spotkało jej siostrę Annie - żyła, ale nie wiedziała o tym.

Wyjęła dziesięć centów i zadzwoniła z budki pod schodami stacji. Potem weszła na górę i złapała pociąg jadący Trzecią Aleją, którym dojechała aż do Plaza. Tam w Pokoju Dębowym czekał już na nią Noel Busch. Siedział przy jednym z eleganckich stolików we wnęce. Pokój był ponury od drewnianych paneli, nad głową Buscha widać było okopcone malowidło, które w założeniu miało przedstawiać romantyczny zamek nad Renem. Jak zwykle Busch, autor artykułów w różnych czasopismach, był nienagannie ubrany. Dziś miał na sobie blezer ze srebrnymi guzikami i białe flanelowe spodnie, zapewne od Arnolda-Constable'a, a na pewno nie prosto z wieszaka w domu towarowym Gimbles. Na nogach miał idealnie wypastowane buty Rogers-Peet. Włożył też szytą na miarę białą jedwabną koszulę,

dzieło jakiegoś genialnego chińskiego krawca z Mott Street. Dopełnieniem stroju był skromny krawat z uniwersyteckiego klubu.

Ten wysoki, elegancki absolwent Princeton pracował kiedyś dla „Daily News” i „New Yorkera”, potem był krytykiem teatralnym i filmowym w „Timie”, teraz pisał artykuły w „Life”. Kiedy pracował w „News”, Jane dostarczała mu zdjęcia. Od kiedy pisał dla „Life”, zdarzało się to znacznie rzadziej - tu zdjęcie musiało przejść przez sito pięciu fotoedytorów ćmiących fajki.

Busch sączył wódkę z sokiem cytrynowym i palił papierosa. Usiadła naprzeciw niego.

- O, Margaret Bourke White w spódnicy - rzekł na powitanie. - Jak się ma dzisiaj nasza pani fotograf?

- Nie nabijaj się ze mnie, Bushy. Nie mam nastroju na żarty. Trudne dni, sam rozumiesz. - Nie chodziło o okres, ale lubiła patrzeć, jak się oblewa rumieńcem. - Nie wspomnę już o tym, że mój pierwszy chłopak właśnie chłodzi się w lodówce kostnicy w Bellevue.

- Tak mi przykro - powiedział Busch. - Zamów sobie martini i opowiedz o swoich kłopotach.

Kelner przyjął od Jane zamówienie na kawę. Spojrzała na zegarek. Minęło właśnie południe. Byli jedynymi gośćmi w sali, co nie dziwiło o tej porze. Tłoczno robiło się tu dopiero po zachodzie słońca.

- Szkoda, że nie było cię na pokerze w zeszłym tygodniu - powiedziała.

- Miej pretensje do Hitlera. Ilekroć napada na jakiś kraj, muszę siedzieć po nocy i pisać coś nowego i interesującego o tym sukinsynu.

- Sądzisz, że dojdzie do wojny?

- Oczywiście. Cała gospodarka Niemiec jest przestawiona tak, by do niej doszło. Teraz już za późno, by przekuć czołgi na lemiesz.

- My też będziemy się do tego mieszać?
- O ile będzie to uzasadnione ekonomicznie.
- Naprawdę w to wierzysz?
- Oczywiście. Wojny to świetny interes. Kiedy okaże się, że to dobry interes dla amerykańskiej gospodarki, to się do niej włączymy.

- Wiesz, jesteś cynicznym draniem.
- Dość cynicznym, by wiedzieć, że nie przyszedł tu na pogaduszki o sytuacji międzynarodowej. - Uśmiechnął się. - O tym można poczytać w „Timie”.

- Albo w „Newsweeku” - odgryzła się Jane. Kelner przyniósł kawę. Zapaliła papierosa.

- W takim razie opowiedz mi, jak twój pierwszy chłopak trafił do kostnicy - poprosił Busch.

Opowiedziała mu wszystko, łącznie z niedawną rozmową z Kapelusznikiem.

- Mam wszystkie kawałki układanki, ale nie mogę znaleźć między nimi połączeń - poskarżyła się. Zapaliła drugiego papierosa i usiadła wygodnie w fotelu. Nad jej głową wieże magicznego zamku unosiły się na ścianie niczym pozostałość jakiegoś zapomnianego królestwa z mitycznych czasów szarmanckich rycerzy, kiedy w rowach Jersey nie porzucano zwłok. - Jesteś świetnym analitykiem. Co o tym sądzisz?

- Zastanówmy się. - Busch i pogładził palcami lniany obrus. - Uporządkujmy to wszystko. Joe Shalleck, jeden z największych drańskich prawników skumanych z mafią, każe pojechać do Hawany młodemu adwokatowi z Fallon i McGee, niejakiemu Howardowi Rainesowi. Howard wykonuje tam jakieś zadanie, potem odwraca się na pięcie i wraca do domu. Następnie zostaje zabity przez zawodowca i porzucony w rowie przy jakimś zajeździe w New Jersey. Czy coś przeoczyłem?

- Na razie nie.

- Dobrze. Ktoś znajduje ciało, gliniarze z New Jersey dzwonią do gliniarzy z Nowego Jorku, bo prawnik jest z Manhattanu i oni nie chcą się w tym babrać. Sprawę bierze twój znajomy Hennessy i gdzieś po drodze ktoś mu każe, by się za bardzo nie spieszył, a może nawet wszystko wyciszył. Jego zdaniem cała sprawa śmierdzi jak targ rybny przy Fulton Street, więc daje ci przeciek i klucze do mieszkania młodego prawnika. - Busch przerwał i popatrzył na Jane. - Czy Hennessy mógłby cię wystawić?

- Wystawić? Do czego?

- Wrobić cię.

- Nie. Przyjaźnimy się od dawna. Czegoś takiego by mi nie zrobił.

- Nawet gdyby sam się musiał ratować?

- Nie. - Jane zmarszczyła czoło. - Do czego zmierzasz?

- Gdyby to była prosta robota mafii, to nikt by się nie bawił w podrzucanie kompromitujących dowodów sugerujących, że Raines był homo i padł ofiarą jakiejś miłosnej sprzeczki zbrojeńców. Niepokoi mnie raczej wątek policyjny.

- Dlaczego?

- A słyszałaś kiedykolwiek, by jacyś policjanci sami z siebie oddawali innym jakąś sprawę? Gliniarze z Jersey powinni się bić o tego Rainesa. Tymczasem bez zmrżenia oka oddali sprawę facetom z Nowego Jorku, a tamci próbują ją zmieścić gdzieś pod dywan. Raines będzie leżał przez miesiąc w lodówce w Bellevue, a potem wywiezą go na Hart Island, gdzie zamiast nagrobka dostanie numerek. Sprawa zostanie zamknięta i zapomniana. Nie tak to wygląda?

- Właśnie tak mi się wydaje.

- A może nie. Może trzeba tylko postawić właściwe pytania?

- Na przykład jakie?

- Na przykład dlaczego.
- Dlaczego co?
- Dlaczego poleciał do Hawany? Co takiego tam zrobił, że musiał zginąć?
- Z tego co wiem, w Fallon i McGee Raines był raczej nikim.
- Doskonały posłaniec. Można się go po wszystkim pozbyć, jak papieru toaletowego.
- Doręczenie wiadomości oznaczało wyrok?
- To ma sens, jeśli chce się chronić osobę, dla której wiadomość była przeznaczona, albo jeśli chce się zataić sam fakt jej doręczenia. To ma sens, gdyby taki gość jak Shalleck chciał się od wszystkiego zdystansować. Coś w tym może być, bo z pewnością sprawa jest duża. Osobiście zabrał się do niej jeden z szefów policji.
- Ale na razie nic tu nie pasuje.
- Zadaj kolejne pytanie.
- Na przykład jakie?
- Na przykład dlaczego kierownik Rustic Cabin zadzwonił na policję w Hoboken? Właściwy okręg to Tenafly albo Fort Lee, znacznie bliżej.
- To wszystko było ukartowane?
- Od samego początku. Jak korale nanizane na sznurek. Daj sobie spokój z mafią. To sprawa polityczna.
- Wyjaśnij mi to - zażądała Jane. - Jestem fotografem, nie omnibusem.
- Shalleck to prawnik mafii, ale także Partii Demokratycznej. Kto rządzi New Jersey jak udzielnym księstwem? Demokrata Frank Hague. Gdzie mieszka Hague? W Hoboken, gdzie rządzi rodzina McFeeley - opanowali wszystko, od fotela burmistrza, aż po wydział policji i komisję miejską. Wystarczy odrobinę pogrzebać, a założę się,

o co chcesz, że kierownik Rustic Cabin zadzwonił do któregoś z McFeeleyów.

- Chcesz powiedzieć, że Partia Demokratyczna morduje ludzi?
- Nie - odparł Busch. - Ale zdaje się, że coś bardzo pragną ukryć.

Rozdział 11

25 kwietnia 1939 roku, wtorek

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

John Bone siedział przy jednym z długich stołów na ósmym piętrze południowej czytelnicy w filii Biblioteki Kongresu przy Południowej Drugiej ulicy. W grubym brulionie od pewnego czasu robił notatki idealnie zaostrzonym ołówkiem. Pracował w czytelnicy od dwóch dni i zebrał ogromną ilość informacji, które uważał za niezbędne do wykonania zadania. W Europie czy Ameryce Łacińskiej takie informacje były pilnie strzeżone. Tu można było dotrzeć do nich, szperając w trzynastu tysiącach szuflad z kartami bibliotecznymi w holu za drzwiami albo w pokoju informacji prasowych na parterze.

Zgodnie z tym, co o podróżach angielskich monarchów pisały rozmaite gazety i autorzy kilku książek, które Bone przejrzał, ochrona królewska była zaskakująco słaba. Podczas podróży po Anglii król i królowa ochraniani byli tylko przez osobistych konstabli pochodzących z wydziału A londyńskiej policji miejskiej. Ochroniarz króla nazywał się Hugh Cameron, policjant chroniący królową - Giles. Obaj królewscy strażnicy mieli swoje biura w pałacu Buckingham i, w przeciwieństwie do swoich kolegów ze Scotland Yardu, byli uzbrojeni w belgijskie pistolety automatyczne Browning 9 mm, które nosili w szelkach pod pachami. Cameron chronił angielskich władców od 1932, Giles od 1934 roku. Wcześniej pracowali jako normalni mundurowi policjanci. Obaj byli znacznie

wyżsi od króla i królowej i obaj dobrze wysportowani.

W czasie podróży zagranicznych królowi i królowej towarzyszył też specjalny kontyngent policjantów sekcji specjalnej, ale ich głównym zadaniem była koordynacja środków bezpieczeństwa z lokalną policją miasta czy kraju, do którego jechała królewska para. Zgodnie z tym, co przeczytał do tej pory, podczas kanadyjskiej części podróży większość ochrony weźmie na siebie Kanadyjska Królewska Policja Konna, a w Stanach Zjednoczonych ten obowiązek - przynajmniej na poziomie federalnym - przypadnie w udziale Departamentowi Stanu i mało znanej agencji rządowej ogólnie zwanej Biurem Tajnego Wywiadu.

Biuro utworzono pierwotnie po to, by sprawdzać wnioski wizowe i paszportowe, ale z czasem zakres jego kompetencji poszerzono; agenci biura zaczęli zajmować się ochroną amerykańskich dyplomatów za granicą i dbaniem o bezpieczeństwo zagranicznych dygnitarzy, dyplomatów i głów państw odwiedzających Stany Zjednoczone. Zwiększenie zakresu obowiązków biura miało zapewne na celu uniknięcie takich żenujących incydentów, jak zabójstwo jugosłowiańskiego króla Aleksandra Karadziorzewicia na francuskiej ziemi.

Między wierszami Bone wyczytał jednak, że nawet gdyby wszystkich czterdziestu agentów biura przydzielono do królewskiego orszaku, nie mogliby oni zapewnić pełnej ochrony królowi i królowej. Kiedy monarchowie będą przebywać w towarzystwie Roosevelta, ochroną otoczy ich wydział specjalny, ale większość czasu w Stanach Zjednoczonych królewska para będzie spędzać na terenie Waszyngtonu i Nowego Jorku, więc odpowiedzialność za ochronę spadnie głównie na waszyngtońską policję miejską oraz nowojorską policję stanową i miejską. Innymi słowy, zapowiadał się logistyczny,

taktyczny i jurysdykcyjny koszmar. Sprawa komplikowała się jeszcze bardziej, zapowiedziano bowiem wypad do Mount Vernon w Wirginii, być może przejażdżkę po Potomacu na pokładzie prezydenckiego jachtu oraz podróże pociągiem, samochodem, a nawet niszczycielem „Warrington” amerykańskiej marynarki wojennej. Początkowo Bone dziwił się, że w przygotowaniach do królewskiej wizyty nie brało udział Federalne Biuro Śledcze i jego głodny sławy dyrektor. Teraz zrozumiał dlaczego - plan ochrony królewskich gości był jak statek bez kapitana, a skoro Hooverowi nie powierzono roli sternika, nie zamierzał pełnić roli jednego z pionków.

Informacje na temat ochrony prezydenta Stanów Zjednoczonych również były dostępne publicznie i Bone przekonał się, że ogólne środki bezpieczeństwa ulegną tylko niewielkim zmianom w czasie wizyty króla Jerzego i jego małżonki. Cały czas - w Białym Domu, w uzdrowisku dla chorych na polio w Warm Springs w stanie Georgia czy w posiadłości Roosevelta w Hyde Park w stanie Nowy Jork - prezydenta będą strzegli agenci wydziału specjalnego. Służbą tą dowodził pułkownik Edmund Starling, były detektyw kolejowy, który trafił do niej w 1914 roku i kierował wydziałem specjalnym od czasów administracji prezydenta Coolidge'a. Zgodnie z oficjalnymi informacjami Roosevelt miał też dodatkowo dwóch osobistych ochroniarzy jeszcze z czasów, kiedy pełnił funkcję gubernatora Nowego Jorku. Byli to Gus Gennerich, niegdyś nowojorski policjant, i Earl Miller, weteran nowojorskiej policji stanowej.

W dzień i w nocy prezydenta strzegło od ośmiu do trzydziestu agentów wydziału specjalnego. Prezydenckie samochody, głównie lincolny, packardy i cadillaki, były kulooodporne, miały dodatkowe podesty i zewnętrzne uchwyty dla sześciu agentów. Auto prezydenckie było zawsze chronione z przodu i z tyłu przez

samochody wydziału specjalnego. W każdym jechało po czterech agentów uzbrojonych w pistolety automatyczne, krótkolufowe strzelby i minikarabiny maszynowe Thompsona. Roosevelt uważał, że ochrony jest zbyt dużo, ale podjęto już jedną próbę zamachu na jego życie - w lutym 1933 roku w Miami, tuż przed inauguracją. W materiałach cytowano pułkownika Starlinga, który zapowiadał, że za jego czasów żaden prezydent nie padł ofiarą zamachu. Bone zerknął na wysokie okno, po czym spojrzął na zegarek. Było wpół do siódmej, zmierzchało. Wyłączył małą lampę z pergaminowym abażurem, stojącą na stole. Zamknął brulion i wstał, uśmiechając się pod nosem. Wkrótce deklaracje pułkownika Starlinga zostaną poddane weryfikacji.

Zjechał windą na parter i wyszedł z budynku prosto w ciepły deszcz. Wsunął brulion pod pachę, postawił kołnierz i przeszedł na drugą stronę Alei Niepodległości. Obszedł Kapitol, idąc Pierwszą ulicą. Bure niebo i deszcz sprawiły, że mało kto wychodził na dwór. W mieście panowała cisza przerywana tylko świstem opon taksówek na mokrych ulicach. Bone szedł w stronę ulicy D, rozkoszując się wiosennym kapuśniaczkami. Rozmyślał o śladach, jakie zostawiał za sobą i zastanawiał się, czy powinien się tym przejmować. Z Luizjany do Waszyngtonu przyjechał pociągiem, wynajmując salonik na nazwisko Nash. W Waszyngtonie zameldował się w hotelu pod tym samym nazwiskiem i jak dotąd nikt nie poprosił go, by się wylegitymował.

W Bibliotece Kongresu też używał nazwiska Nash, wyjaśniając bibliotekarce, że jest dziennikarzem „Oakland Tribune” i korzysta z materiałów, by przygotować się do nadchodzącej wizyty króla i królowej. Królewska para miała się pojawić w Ameryce za mniej więcej sześć tygodni, stąd jego zainteresowanie szczegółowymi

informacjami na jej temat i na temat prezydenta Roosevelta. Najprawdopodobniej za sześć tygodni bibliotekarka w ogóle nie będzie o nim pamiętała, ale ślad po tym, jakie zamawiał książki i czasopisma, będzie gdzieś zapisany. Zważywszy na osoby będące celem, można było założyć, że śledztwo, jakie zostanie wszczęte po tym, kiedy Bone wykona zadanie, będzie niezwykle drobiazgowe. Nie miał też wątpliwości, że poprowadzi je FBI Hoovera. Wprawdzie jego wizyty w Bibliotece Kongresu pod nazwiskiem Charlesa Nasha z „Oakland Tribune” nie były godne zapamiętania, ale na pewno nie zostaną zapomniane i kiedy ktoś do nich dotrze, będą ukrytym, drobnym tropem. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Przeszedł na drugą stronę Louisiana Avenue i doszedł do North Capitol Street wychodzącej na ośmiopiętrowy gmach hotelu Continental. Odebrał klucz w recepcji i pojechał windą do swojego pokoju. Spakował małą walizkę i zjechał z powrotem. Wymeldował się z hotelu, podziękował portierowi, który chciał dla niego zamówić taksówkę. Przeszedł na drugą stronę Capitol Plaża, na gigantyczny dworzec kolejowy Union Station z potężnymi łukami z białego granitu. Wszedł z deszczu do wielkiej hali ciągnącej się przez całą długość dworca. Kupił bilet na kuszetkę do Nowego Jorku na nazwisko Bill Joyner. Zobaczył je na plakietce recepcjonisty w hotelu Continental. Godzinę później, kiedy zapadła już ciemność, a deszcz przybrał na sile, pociąg ruszył z Waszyngtonu do Nowego Jorku. Następnego dnia rano Charles Nash i Bill Joyner znikną na zawsze. Po latach wiernej służby odejdzie także Edwin Dow, geolog zajmujący się poszukiwaniem ropy.

Jane Todd siedziała w restauracji Schafft na rogu Czterdziestej Siódmej ulicy i Piątej Alei, czekając, aż pojawi się ten młody śpiewak, Sinatra. Kelner z Rustic Cabin miał podobno wystąpić z piętnastominutowym recitalem w lokalnym radiu WNEW, kilka kroków dalej przy Piątej Alei, ale spóźnił się już godzinę. W restauracji jak zwykle panował nastrój dyskretnej elegancji - miękka skórzana tapicerka, sztuczne kwiaty i menu dopasowane do potrzeb matron wybierających się na zakupy. Siwowłose staruszki i ich równie wiekowe pieski mogły znaleźć tu coś na tyle słodkiego i miękkiego, że bez trudu dadzą sobie z tym radę ich zęby i żołądek. Jane piła trzecią filiżankę herbaty i kończyła drugi talerzyk biszkoptów w czekoladzie. Jeśli nie będzie uważać, niedługo będzie miała cerę jak Ricky ze stoiska ze słodyczami w Walgreens. Zjadła ostatnie ciasteczko i pod nosem przeklęła samą siebie, że zgodziła się na spotkanie w miejscu, gdzie nie można wypić piwa ani zapalić papierosa.

Według informacji Kapelusznika Levine'a Sinatra wcale nie był dzieciakiem. W wieku dwudziestu czterech lat po prostu chłopięco wyglądał. Chciał zostać kolejnym Bingiem Crosbym, ale na razie miał na swoim koncie jedynie krótki epizod w zespole Hoboken Four, dziś Hoboken Trio. Teraz zaś był śpiewającym kelnerem i mistrzem ceremonii w Rustic Cabin. Ożenił się z dziewczyną o imieniu Nancy. Matka mówiła na niego Lalus, bo kupował mnóstwo ubrań. Matka Sinatry rzeczywiście dokonywała aborcji i teraz przebywała na zwolnieniu warunkowym po tym, jak omal nie wybebeszyła jakiejś nastolatki. Od lat obracała się w towarzystwie, oddając przysługi lokalnym politykom i sąsiadom z okolic Madison Street. Uważała, że Frankie ma nierówno pod sufitem, skoro chce zostać piosenkarzem, ale nie robił nic innego, od kiedy skończył siedemnaście lat.

Wykorzystała więc swoje znajomości i załatwiła mu członkostwo w lokalnym związku muzyków, by mógł dalej śpiewać w Rustic Cabin czy w innych miejscach, takich jak rozgłośnia WNEW.

Sinatra wsunął się do wnęki, w której siedziała Jane, i usiadł naprzeciwko. Jego zaciśnięte usta rozciągnięte były w uśmiechu. Miał na sobie ciemnozielony garnitur, białą koszulę, biało-niebieską muszkę w groszki i nieco przyciasny kapelusz. Zdjął go i położył obok. Włosy miał błyszczące od brylantyny i przylizane, co uwydatniało odstające uszy. Wysokie czoło i ostre jak żyłotka wystające kości policzkowe nadawały mu wygląd gryzonia o błyszczących oczach. Kilka razy poprawił mankiety, by zwrócić uwagę na wielką bransoletę ze złota i onyksu. Omiótł Jane wycwiczonym spojrzeniem, które zapewne doskonale działało na siedemnastolatki. Nawet ona nieco mu się poddała. Skrzyżowała nogi pod stołem i starała się o tym nie myśleć. Kiedy się odezwał, od razu wiedziała, że musiał poświęcić mnóstwo czasu na szkolenie głosu i pozbycie się samogłosek charakterystycznych dla New Jersey.

- To ty jesteś tą panienką którą widziałem przy Rustic Cabin? - Ta uszczypliwość mogła zirytować, ale nie rozzłościć.

- A ty jesteś tym śpiewającym kelnerem.

- Wcale nie kelnerem. Kelnerów nie zapraszają na koncerty w radiu.

- A panienki nie fotografują zwłok - odcięła się Jane z uśmiechem. Sinatra zignorował ripostę.

- Dolly mówiła, że powinienem z tobą porozmawiać. - Jane wiedziała, że matka Sinatry miała na imię Dolly. Dwudziestoczterolatek robiący to, co każe mamusia? To znaczyło, że albo matka była tyranem, albo on maminsynkiem. A może jedno i drugie.

- Dlaczego tak powiedziała? - zapytała Jane. Była naprawdę ciekawa.

- Bo ten koleś, którego załatwili i wrzucili do rowu, nie był tym, kim ci się wydaje. Dolly i pewni nasi znajomi nie chcą, żebyś wyciągnęła jakieś błędne wnioski.

- Błędne wnioski? Czyli jakie?

- Na przykład takie, że z tym zabitym i z jego porzuceniem mieli coś wspólnego pan Moretti albo jego ludzie.

- Wszystko wskazuje na to, że to robota mafii, Frankie.

- Mam na imię Frank, nie Frankie. A ci, co porzucili zwłoki w rowie, na pewno nie byli z żadnej mafii, o jakiej słyszałem.

- Widziałeś to?

- Widziałem, jak wyrzucano ciało.

- Powiedziałeś glinom, że poszedłeś się odlać w rowie i wtedy zobaczyłeś ciało.

- Ale ładnie świntuszysz.

- Bo lubię. Czemu nie powiedziałeś glinom, co się naprawdę stało?

- Moja sprawa, co mówię glinom.

- Więc widziałeś, jak to się stało?

- Nie widziałem, jak go załatwiali. Mówiłem ci, że widziałem tylko, jak wyrzucali zwłoki. Z ciemnoczerwonego lincolna na nowojorskich numerach.

- Założę się, że rejestracji nie zapamiętałeś.

- No i przegrałabyś. - Znów uśmiechnął się swobodnie i równie szybko uśmiech zniknął z jego twarzy. Dwoma palcami sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął złożoną karteczkę, położył ją na stole i przesunął w stronę Jane.

- 5N 30-94 - przeczytała.

- Doskonale, maleńka. - Wstał z za stołu. -I więcej ode mnie nie wyciągniesz.

- Jeszcze jedno - poprosiła Jane.

- Co? - Sinatra zatrzymał się w pół kroku.

- Mówiłeś, że ci faceci, których widziałeś, nie byli z żadnej mafii, jaką znasz. Skąd wiesz?

- Goście z mafii tak się nie ubierają. - Kciukiem i palcem wskazującym poprawił klapę marynarki. - Większość facetów z mafii ma klasę. Ubierają się modnie, może nawet za bardzo.

- A ci tacy nie byli?

- Nie. Albo ten lincoln. Jaki mafioso jeździłby ciemnoczerwonym lincolnem zephyrem? Jeśli już, to na pewno byłby to model z tego roku. - Wyprostował się i znów poprawił mankiety. - W mafii nie ma takich samochodów i nie ma brązowych garniturów. Wszyscy trzej mieli brązowe garnitury, brązowe buty i brązowe kapelusze. - Sinatra parsknął śmiechem. - Gdybym miał zgadywać, maleńka, powiedziałbym, że to agenci FBI albo ktoś w tym guście. - Sięgnął po kapelusz, wsunął go na głowę i pstryknął w rondo. - Na razie, ślicznotko. Do zobaczenia. - Odwrócił się i wyszedł z restauracji tanecznym krokiem niczym Fred Astaire.

Jane zerknęła na karteczkę, którą miała w dłoni.

- To jest ślad - rzekła. - Niech mnie diabli.

Holland i Barry siedzieli w barze Mayfair i popijali popołudniową herbatkę, obserwując, jak obiekt ich zainteresowania robi to samo na drugim końcu schowanej pod szklanym dachem sali o wymiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia metrów. Było to największe

pomieszczenie na statku dostępne dla pasażerów. Wystrój wnętrza przywodził na myśl edwardiański klub dla dżentelmenów. Dominowały głębokie wygodne fotele i orzechowa boazeria, tłem sceny na końcu sali było potężne arcydzieło tkactwa z myśliwskimi dokonaniem cesarza Maksymiliana I.

W motywach ornamentu biegnącego wzdłuż bursztynowego szklanego dachu były rakiety śnieżne, klonowe liście i wiosła do canoe. Stanowił dyskretne nawiązanie do kanadyjskiego armatora statku. Na scenie grała sześćoosobowa orkiestra kameralna, po sali krążyło dziesięciu kelnerów z tacami z herbatą, ciasteczkami i małymi kanapkami o najrozmaitszych smakach. Po czterech dniach podróży Barry doszedł do wniosku, że najbardziej smakują mu kanapki z pastą z łososia, a najmniej te z korniszonami, bo miał po nich wzdęcia. Z obserwacji wiedział, że panna Sheila Connelly, znana też jako Mary Coogan, najprawdopodobniej pochodząca z Enniscorthy, najczęściej wybiera kanapki z serem i szynką, a od herbaty woli kawę. Zauważył też, że jest niezwykle atrakcyjną kobietą o klasycznej irlandzkiej urodzie. Miała długie kruczoczarne włosy zwinięte w kok i ciemne oczy, w których nieostrożny mężczyzna mógł utonąć. Starał się za wiele nie myśleć o jej oczach i o tym, jak jej nogi poruszały się pod spódnicą. Prawda była taka, że czasami przerażała go siła tego, co czuł jako mężczyzna. Wiedział bowiem, że tych uczuć nie jest w stanie odwzajemnić ktoś taki jak panna Sheila Connelly. Choćby dlatego, że był policjantem, co gorsza policjantem, którego nieporadność wobec kobiet widać było z daleka jak światło latarni morskiej. Chyba mnisi mieli rację, lepiej w ogóle porzucić takie myśli.

- Mój Boże, niezła z niej sztuka, co?

- Słucham? - Barry poczuł, że wychodzi na głupca. Twarz

pokraśniała mu ze wstydu niczym sztubakowi.

- Człowieku, nie bądź takim sztywniakiem. Ta panna ma kawał niezłego ciała i nie mów mi, że tego nie zauważyłeś.

- Mieliśmy ją obserwować.

- No właśnie. I jest na czym oko zawiesić.

- Mam prośbę. Wolałbym, żeby pan nie mówił w ten sposób.

- Czuje się pan niezręcznie?

- Zdaje się, że tak można powiedzieć. - Rumieniec pogłębiał się i Barry poczuł się zupełnie jak krety, bo jego tajemnica wyszła na jaw. Oczywiście, że dostrzegł wszystko - jej piękną cerę, kształt szczęki, piersi wypychające tkaninę bluzki, oczy, włosy. Zacisnął zęby i zaczął odganiać obrazy, jakie roily mu się w głowie.

- Ciekawe, czy Ridder w ogóle się pokaże - mruknął Holland, zmieniając temat.

W salonie ani nigdzie indziej nie było śladu Herr Riddera. Od kiedy wypłynęli z Southampton, wydawca opuszczał kabinę jedynie na kolację i siedł z trudem o dwóch laskach do stolika w jadalni Salle Jacques Cartier. Niezmiennie przychodził na pierwszą turę, podczas gdy panna Connelly zwykle pojawiała się w drugiej turze gości. Nic nie wskazywało na to, by tych dwoje się znało.

- Może jednak nic ich nie łączy. - Barry włożył do ust w całości jedną z miniaturowych trójkątnych kanapeczek.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności, Barry. Pan zresztą też nie. Ridder mógł przecież popłynąć statkiem bezpośrednio do Nowego Jorku, a nie okrężną drogą przez Montreal. To nie ma sensu. - Holland wypił łyk herbaty wpatrzony w kobietę po drugiej stronie sali. - Zauważył pan książkę? Barry przytaknął.

- *Maska Dimitriosa.*

- Napisana przez Amblera. Podobno całkiem niezła, o ile ktoś lubi

tego typu literaturę. - Barry lubił takie książki, ale nie zamierzał się do tego przyznawać. - Zauważył pan coś dziwnego? - ciągnął podpułkownik.

- Nigdy jej nie czyta - odparł Barry. - Przynajmniej nie tutaj.

- Nie sądzę, by w ogóle ją czytała - rzekł Holland. - Nie ma zakładki, nawet skrzydełko obwoluty nie jest wetknięte między kartki. Panna Connelly po prostu nosi tę książkę ze sobą.

- Sądzi pan, że ta książka ma jakieś znaczenie?

- Raczej nie. To po prostu dziwne. Podobnie jak kaleka płynący statkiem nie tam, dokąd powinien.

- Pojutrze zawijamy do Montrealu. Kiedy zejda z statku, stracimy z oczu albo ją, albo jego.

- Sugeruje pan jakieś działanie?

- Tak.

- Zgadzam się. To może być nasza ostatnia szansa. Obyśmy tylko przedwcześnie nie spłoszyli naszych ptaszków. Jeśli któreś zauważy, że ich śledzimy, ostrzegą Russella, a on zapadnie się pod ziemię. Na to nie możemy sobie pozwolić.

- A zatem?

- A zatem proponuję, byśmy przy najbliższej okazji odwiedzili kabinę pana Riddera.

Barry zerknął na zegarek.

- Jest wpół do szóstej. Pierwsza tura przychodzi na kolację za pół godziny.

- I to nasza tura - rzekł Holland z lekkim żalem. - A dzisiaj na deser podają Gateaux St Honore.

- No cóż, wszyscy musimy się zdobywać na jakieś poświęcenia - odparł Barry.

Kabina Riddera na pokładzie B znajdowała się przy lewej burcie

pośrodku statku, niemal dokładnie naprzeciwko salonu fryzjerskiego i centrali telefonicznej. Holland poszedł po zapasowy klucz do swojego znajomego z biura ochmistrza, Barry stał przy centralce i udawał, że próbuje zamówić rozmowę telefoniczną z lądem. Pięć po szóstej na korytarzu pojawił się Ridder. Szedł o dwóch laskach, elegancko ubrany do kolacji. Zamknął drzwi do kabiny i mozolnie ruszył w stronę windy. Poruszał się wolniej niż zwykle ze względu na kołysanie statku. Barry wyjrzał przez drzwi centralki i obserwował kalekę, który wcisnął guzik i czekał. Winda przyjechała szybko, Ridder wsiadł do niej i zniknął. Kilka sekund później od strony schodów wrócił Holland. Nie zwróciwszy uwagi na Barry'ego, pożyczonym kluczem otworzył kabinę 217. Barry wyszedł z centralki i obaj weszli do kabiny, zamykając za sobą drzwi.

Tak jak wszystkie kabiny na „Empress”, także i 217 miała bulaj z widokiem na ocean. Pomieszczenie było długie i wąskie. Ściany obito lekką boazerią z jakiegoś drzewa owocowego. Zasłony, oprawki oświetlenia i pościel miały najrozmaitsze odcienie koloru bladożółtego. Między łózkami stała ozdobna komoda. Pod bulajem ustawiono stolik i kilka krzeseł. Na ścianie naprzeciwko łóżek wisiał ośmiokątny zegar w obudowie z mosiądzu. Na łóżku bliższym drzwi leżała zmięta pościel, obok na małym stoliku stała pusta filiżanka. Pewnie w tym łóżku spał Ridder.

Holland rozsunął lustrzane drzwi szafy i zaczął przeszukiwać stojące tam dwie walizki. Tymczasem Barry przejrzał zawartość szuflad komody, a potem stolika nocnego przy łóżku. Z okrzykiem zdziwienia wyjął coś z szuflady.

- Kolejny egzemplarz książki Amblera - powiedział.
- Może to tylko przypadek - rzucił Holland, zasuważąc z powrotem drzwi szafy. Podeszedł do łóżka i usiadł obok Barry'ego.

Obydwaj przyglądali się książce. Nie dostrzegali w niej nic szczególnego. Standardowe wydanie, okładka z teatralną maską na jasnoniebieskim tle. Czcionkę i kolory dobrano tak, by przywodziły na myśl Grecję. Barry przekartkował książkę. Żadnych zagiętych rogów, żadnych wyraźnych znaków czy podkreśleń.

- Ja nic tu nie widzę.

- Niech ją pan podniesie do światła. Może zaznaczał słowa ukłuciami szpilki - poradził Holland.

Barry zbliżył książkę do lampy i powoli przerzucał strony. Wszystko to wyglądało idiotycznie, zupełnie jak ćwiczenie z podręcznika Badena Powella dla skautów albo fragment powieści Johna Buchana.

- Nic.

Holland poprawił okulary na nosie.

- To musi coś znaczyć.

- Sygnał rozpoznawczy?

- Trochę niewygodny, nie sądzi pan? - odparł Holland. - Dlaczego nie czerwony goździk w butonierce albo jakiś wers z sonetu? *Wiatr łaskawy był dla Francji*. - Wziął od Barry'ego książkę. Policjant zerknął na zegar nad łóżkiem. Przebywali w pokoju nie więcej niż dziesięć minut. Ridder pewnie dopiero zaczął jeść.

Holland rozchylił okładki niemal płasko, tak że kartki zwisały swobodnie z grzbietu. Potrząsnął, ale między stronami nic się nie kryło. Zajrzał w szparę między zszywką a grzbietem książki i też nic tam nie znalazł.

- Cholera jasna - zaklął pod nosem.

Barry czuł, że kąciaki warg same unoszą mu się do góry. Szybko uniósł pięść do ust i odchrząknął, by się nie roześmiać. Holland, twardy zawodowiec, samouk i weteran Bałkanów i Ulsteru, został

zapędzony w kozi róg przez dwoje amatorów, z których jednym była kobieta.

- I co teraz? - zapytał Barry. Znów spojrzął na zegar. Ridder pewnie dopiero skończył zupę. Nadal mieli mnóstwo czasu, ale nie wiedzieli, jak go wykorzystać.

Holland wstał, podparł się rękoma pod boki.

- Sądzę, że teraz moglibyśmy przeszukać jej kabinę.

- Co nam z tego przyjdzie? - rzucił Barry. Według informacji Hollanda Ridder był na usługach pułkownika nazistowskiego wywiadu wojskowego Erwina von Lahousena, który specjalizował się w sabotażu i rebeliach, a także kierował Sekcją do spraw Irlandii. Ponieważ Ridder był Amerykaninem, uznano, że to on będzie przekazywał informacje pannie Connelly, a nie odwrotnie.

- No dobrze, w takim razie co pan proponuje?

- Czekać. Ich Królewskie Moście przyjadą do Kanady dopiero za kilka tygodni, a nim przekroczą granicę Stanów Zjednoczonych, upłyną kolejne dwa tygodnie. Zresztą i tak nie chcieliśmy aresztować panny Connelly, tylko ją śledzić, by doprowadziła nas do Russella.

- I doprowadzi. Ale przydałyby się jakieś namacalne dowody tego spisku. Pomogłoby nam to w przekonaniu do naszej sprawy braci Amerykanów. Tak czy siak będziemy musieli skorzystać z ich pomocy. Sprawa Irlandii ma wielkie poparcie w Stanach. Jeśli uda nam się przyskrzynić Russella, to będziemy mieli kłopot z utrzymaniem go pod kluczem, o ile nie udowodnimy, że naprawdę zamierzał zabić Roosevelta i parę królewską.

- Zdaje się, że tu i tak nie znajdziemy żadnych dowodów. - Barry wzruszył ramionami. - W kabinie panny Connelly też pewnie nic nie znajdziemy. - Odłożył książkę do szuflady nocnego stolika i wstał.

- Chyba ma pan rację. - Holland ponownie poprawił okulary. -

Ale to cholernie frustrujące.

- Widzi pan, właśnie tak się czują Irlandczycy. - Barry uśmiechnął się. - Chodźmy. Jeśli się pospieszymy, może zdążymy jeszcze na to pańskie Gateaux St Honore.

Sir Stewart Menzies, wicedyrektor angielskiego wywiadu MI-6, jadł późną kolację w jednej z prywatnych sal w klubie wojskowym przy Pall Mail. Metodycznie odkrawał tłuszcz od wielkiego żeberka i czekał, aż sekretarz Chamberlaina przejdzie do rzeczy. Jako rasowy polityk Douglas-Home potrafił mówić, nic nie mówiąc. Menzies cierpliwie wytrzymywał te uniki przez całe pierwsze i drugie danie. To, że Douglas-Home był sekretarzem premiera, nie miało najmniejszego znaczenia - premierowie zmieniali się co jakiś czas, ale Douglas-Home tak jak Menzies miał znajomości, a to było najważniejsze, jeśli myślało się o karierze. O tego odrażającego typka trzeba było po prostu dbać.

Menzies odkroił sobie kwadratowy kawałek chudego mięsa. Dodał kosteczkę puddingu z Yorkshire i włożył do ust. Odłożył sztucce, przeżuł i połknął jedzenie. Otarł usta i elegancko przystrzyżone wąsy, po czym znów wziął sztucce. Cały czas uśmiechał się uprzejmie do Douglasa-Home'a. Sekretarz premiera odchrząknął i Menzies wstrzymał się z kolejnym kęsem, czekając, aż się odezwie.

- Mamy do czynienia z delikatnym problemem.
- Aha - odrzekł Menzies. - My, czyli...?
- Kancelaria premiera.
- Rozumiem.

- Jak zapewne pan wie, premier nie czuje się najlepiej.

Delikatnie powiedziane, pomyślał Menzies, zważywszy, że Chamberlain miał raka krtani.

- Tak, wiem o tym.

- Ze względu na jego stan zdrowia postanowiono, że nie powinien dowiadywać się o pewnych... wydarzeniach i okolicznościach, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

- Wydarzenia i okoliczności? - Menzies zjadł kolejny kawałek mięsa.

- Takie, które mogłyby premiera szczególnie... zaniepokoić.

- Czyli?

- Kwestie bezpieczeństwa królewskiej podróży do Ameryki Północnej.

- Aha - odparł Menzies.

- W rzeczy samej - rzekł Douglas-Home.

Menzies znów odłożył sztućce i postanowił wybawić sekretarza z kłopotu.

- Zapewne ma pan na myśli kwestię irlandzkiego spisku na życie Ich Królewskich Mości?

- Seana Russella.

- Wiemy, że krąży plotka o takim spisku, ale miałem wrażenie, że to tylko plotka.

- Tak. Na razie nie mamy zbyt wielu punktów zaczepienia.

- Sądziłem, że sekcja specjalna oraz władze Kanady i Stanów Zjednoczonych zadbają o bezpieczeństwo króla i królowej.

- Oczywiście - potwierdził Douglas-Home. - Chodzi tylko o to, że... Sekretarz miał irytujący zwyczaj urywania zdań w połowie. Menzies pozwolił sobie na małe westchnienie i znów się uśmiechnął.

- Chodzi tylko o to, że chciałby pan wiedzieć o wszystkim, co

ewentualnie odkryje MI-6.

- Dokładnie. - Douglas-Home usiadł wygodniej na krześle, najwyraźniej zadowolony, że teraz może mówić otwarcie. Wyglądził palcem nieistniejącą fałdę na obrusie. - A co do tego pańskiego człowieka, Hollanda...

- Co z nim?

- Wygląda na nieco... niezależnego, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Nie, nie wiem - odparł Menzies. Dodał nieco chrzanu do kolejnego kawałka wołowiny i czekał, aż Douglas-Home powie coś więcej.

- Niektórzy mają różne przemyślenia na temat śledztwa w sprawie Russella.

No wreszcie, pomyślał Menzies. Wreszcie zaczyna przechodzić do rzeczy.

- Jakie przemyślenia?

- Istnieją pewne obawy, że jakkolwiek negatywny rozgłos wokół tego śledztwa mógłby zaostrzyć sytuację w kraju.

- Czyli kolejne bomby w toaletach?

- Otóż to.

Menzies na dobre odłożył sztucce. Zupełnie stracił apetyt. Jasne było, że Douglas-Home ani przez chwilę nie wierzył w żaden spisek i uważał, że znacznie istotniejsza jest perspektywa kolejnych zamachów bombowych IRA w Anglii. Menzies otarł usta i położył serwetkę na stole.

- Innymi słowy chce pan przerwać to śledztwo.

- Powiedziałbym raczej, że czym prędzej doprowadzić je do końca.

- Wycofując Hollanda?

- Pojawił się taki pomysł.

- Na jakiej podstawie?

- Sądziłem, że znajdzie pan jakieś dyskretne sposoby.

Menzies uśmiechnął się. Ten gówniarz z drugiej strony stołu daleko zajdzie. I Menzies zamierzał iść razem z nim. Chamberlain był chory, ale admirał Sinclair, szef MI-6, był jeszcze bardziej chory i powszechnie sądzono, że nie dożyje końca roku.

- Był ranny na Bałkanach - rzucił Menzies.

- O mój Boże - zatroskał się Douglas-Home. - Czyli ma problemy ze zdrowiem?

- Bez przerwy - wpadł mu w słowo Menzies. - Zwłaszcza z płucami. - Była to dobra wymówka, by sprowadzić go z powrotem do Anglii i posadzić gdzieś za biurkiem.

- A co z tym drugim, z tym policjantem?

- To zależy od Scotland Yardu. - Obaj wiedzieli, że bez Hollanda śledztwo stanie praktycznie w miejscu. Detektyw inspektor Barry mógł zostać przydzielony do grupy agentów sekcji specjalnej podróżującej z królewską parą albo po prostu zostanie odwołany.

- Będzie mnie pan informował na bieżąco?

- Nie widzę przeszkód. - Menzies zaryzykował: - Rozumiem, że wolałby pan, by zamiast formalnie przez kancelarię premiera osobiście przekazywać informacje panu.

- Otóż to - odrzekł Douglas-Home.

- Aby niepotrzebnie nie niepokoić premiera Chamberlaina?

- Właśnie.

Informacje to władza, pomyślał Menzies. A tajne informacje to władza najpotężniejsza. Douglas-Home rzeczywiście daleko zajdzie. Menzies sięgnął do koszyka po omszałą butelkę.

- Jeszcze wina?

Rozdział 12

26 kwietnia 1939 roku, środa

Nowy Jork

John Bone przybył do Nowego Jorku rankiem dwudziestego szóstego kwietnia i natychmiast pojechał taksówką z Dworca Centralnego do hotelu Gramercy Park na rogu Dwudziestej Pierwszej i Lexington. Wybrał go na chybił trafił z przewodnika kupionego w Waszyngtonie. Zameldował się w średniej wielkości podwójnym pokoju na czwartym piętrze z oknem wychodzącym na ogrodzony skrawek zieleni, od którego wziął nazwę hotel. Wrócił do holu i w jadalni urządzonej w starym europejskim stylu zjadł na śniadanie jajka na bekonie. Po posiłku krótko porozmawiał z recepcjonistą. Zgodnie ze wskazówkami młodego człowieka pojechał do sklepu Walgreens na rogu Broadwayu i Dwudziestej Trzeciej, na parterze budynku Flatiron. Znajdował się o jakieś sto metrów od mieszkania Jane Todd w budynku Tamblin.

W sklepie kupił okulary do czytania w czarnych oprawkach, paczkę dwudziestu żyletek Grand, mały słoik kleju uniwersalnego Dart, butelkę czarnej farby do włosów Instant Clairol i stugramową butelkę Golden Hair Wash firmy Marchand, czyli pięcioprocentowy roztwór wody utlenionej. W dwóch innych sklepach kupił po jeszcze jednej butelce farby Clairol, blond i rudą.

Z zakupami w papierowej torbie ruszył do hotelu. Szedł Broadwayem i po drodze zatrzymał się w domu towarowym Woolworth na rogu Dwudziestej Pierwszej, gdzie w dziale

technicznym kupił szeroki pilnik, w pasmanterii tani słomkowy kapelusz panama i sześć metrów kolorowej wstążki, w odzieżowym za dolara i osiemdziesiąt osiem centów koszulę Excello z kołnierzykiem usztywnionym celuloidem, a w stoisku papierniczym - paczkę małych kopert. Wrócił do hotelu, zatrzymując się tylko przy stojaku z gazetami, gdzie zaopatrzył się w „New York Timesa”, „Herald Tribune”, „Daily News”, „Journal-American”, „Post”, „Brooklyn Daily Eagle”, „Bronx Home News” i „Mirror”.

W pokoju rozłożył gazety na stole pod oknem i zaczął przeglądać nekrologi oraz informacje o statkach. Przez półtorej godziny uważnie studiował strony i za pomocą żyłki oraz kleju skompletował w swoim waszyngtońskim notatniku zestaw jedenastu możliwych nekrologów oraz listę statków pasażerskich, które w czwartek i w piątek miały przybić do Nowego Jorku. Sprawdził nazwiska z nekrologów w książce telefonicznej i dopasował do nich telefony i adresy. Sprawdził też adresy biur odpowiednich linii morskich i również wpisał je do notatnika.

Opracowany przez Bone'a plan stworzenia kilku nowych tożsamości był prosty i mało ryzykowny. Z tej metody korzystał już kilkakrotnie, między innymi przygotowując się do zabójstwa Karadziordziewicia. Za każdym razem osiągał zamierzony skutek. Sprawdziło się to w Rumunii i Bułgarii, gdzie wykonywał kilka zleceń, a ostatnio także w Nikaragui, podczas sprawy Sandino. Z doświadczenia wiedział, że najlepsze są ceremonie katolickie. Te pogrzeby były zwykle dłuższe niż protestanckie czy żydowskie, a jeśli miała im towarzyszyć specjalna msza żałobna, zwykle wspominano o tym w nekrologu. Taka uroczystość mogła trwać nawet cztery godziny. To oznaczało, że przez ten czas dom zmarłego jest pusty i nikt go nie pilnuje.

Pierwszy pogrzeb z listy miał się odbyć następnego ranka, a msza żałobna odprawiana była w kościele Świętego Andrzeja przy Duane Street, niedaleko Foley Square i Ratusza. Zmarłego miano pochować na cmentarzu Świętego Krzyża w Queens. Nazywał się Harold E. Moss. Czterdziestodwuletni prawnik zostawił żonę, ale najwyraźniej był bezdziejny. Jedyne Harold E. Moss, jaki występował w książce telefonicznej, mieszkał przy 410 Central Park West, co według planu zamieszczonego w przewodniku oznaczało wysokość mniej więcej Sto Pierwszej ulicy.

Następnego dnia rano Bone zjadł śniadanie w hotelowej restauracji i wrócił do pokoju. Wypchnął soczewki z okularów i schował do kieszeni marynarki same oprawki. Dorzucił tam również usztywniacz kołnierzyka od koszuli i jedną z kopert, którą zaadresował do „Pani Haroldowej E. Moss”. Wrzucił słomkowy kapelusz z powrotem do torby z Woolwortha, zjechał do holu i wyszedł przez obrotowe drzwi na Lexington. Przeszedł piechotą jedną przecnicę, by nie korzystać z pomocy portiera, i dopiero tam zatrzymał taksówkę. Kazał się zawieźć do Central Parku od wschodniej strony, przy Piątej Alei. Wsiadł z taksówki przy Wschodniej Setnej, przeszedł na drugą stronę Piątej Alei i skorzystał z publicznego automatu, by zadzwonić do mieszkania Harolda Mossa. Odczekał, aż telefon zadzwoni jedenaście razy, w końcu odłożył słuchawkę przekonany, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Potem wszedł do parku przy miejscu zabaw dla dzieci w okolicach Transverse Road. Włożył puste oprawki okularów, słomkowy kapelusz i niespiesznie przespacerował się przez plac zabaw, wychodząc dokładnie przy Sto Pierwszej Zachodniej ulicy.

Mieszkanie, którego poszukiwał, mieściło się w szesnastopiętrowym domu na południowo-zachodnim rogu Sto

Pierwszej. Na baldachimie w zielono-białe pasy osłaniającym wejście ktoś wypisał nazwę - Edith. Portier w liberii stał za ladą wewnątrz budynku. Za jego plecami widać było ścianę przegródek na listy z ciemno bejcowanego drewna.

- Czym mogę służyć? - zapytał portier.
- Byłem umówiony na spotkanie z panią Moss.
- Jest na pogrzebie.
- W takim razie może zostawię jej wiadomość.
- Oczywiście.

Bone wyjął z kieszeni kopertę. Portier zerknął na adres i wcisnął ją do przegródki z numerem 601. W przegródce było już pięć innych listów.

Bone znowu sięgnął do kieszeni i wyjął banknot dolarowy. Podał go portierowi.

- Dopilnuje pan, by pani Moss dostała tę kopertę?
- Ma się rozumieć - odparł portier, chowając dolara do kieszeni na piersi marynarki. - Kiedy tylko wróci.
- Dziękuję.

Bone odwrócił się i wyszedł z budynku. Tylne wejście do Edith znajdowało się w głębi małej uliczki łączącej Zachodnią Sto Pierwszą ulicę ze Sto Drugą. Stał tam rząd poobijanych koszy na śmiecie. Znalazł też ciężkie, metalowe ciemnozielone drzwi z adresem budynku namalowanym niezbyt wprawnie białą farbą.

Drzwi zamknięte były na ogromny zamek zapadkowy, ale nie zabezpieczono ich żadną blokadą w futrynie. Bone wyjął celuloidowy usztywniacz do kołnierzyka i wsunął go między drzwi a futrynę. Powoli przesuwał go w przód i w tył, opuszczając celuloid na rygiel zamka. Powoli wypychał go z zagłębienia w futrynie, by odblokować drzwi. Gdyby drzwi były wyposażone również w blokadę, musiałyby

ją usunąć za pomocą pilnika. Gdyby jednak miały jakiś bardziej skomplikowany zamek, Bone po prostu wycofałby się i poszukał kolejnego adresu z listy, licząc na więcej szczęścia.

W końcu schował usztywniacz z powrotem do kieszeni i otworzył drzwi. Znalazł się na tylnej klatce schodowej śmierdzącej trochę śmieciami. Przystanął i przez chwilę nasłuchiwał. Wszędzie panowała cisza, jeśli nie liczyć bzyczenia muchy i odległego szurania szczurów gdzieś głęboko w piwnicy. Przekonany, że nikt nie zauważył jego wejścia, przymknął drzwi, zostawiając je lekko uchylone. Pojemniki na śmieci były puste, unosił się tu tylko niewielki odór, co oznaczało, że śmieciarze już wykonali swoją robotę. Najprawdopodobniej w ciągu godziny nikt się nie pojawi, a nawet jeśli, to pomyśli, że drzwi zostawiono otwarte przez przypadek.

W piwnicy na pewno było wejście do windy towarowej, ale Bone nie zamierzał z niej korzystać, gdyż mógł istnieć jakiś wskaźnik informujący portiera o ruchu windy. Sześć kondygnacji pokonał schodami. Uchylił drzwi o kilka centymetrów. Spoglądał na niewielki hol z marmurową podłogą w czarnobiałą szachownicę. Po przeciwnej stronie znajdowały się wejścia do dwóch wind, krótki korytarz odchodzący w lewo, po prawej widać było troje drzwi z numerami 602, 603 i 604. Na każdym piętrze znajdowały się cztery mieszkania. Numer 601 mieścił się na końcu korytarzyka odchodzącego w lewo.

Zamki we wszystkich drzwiach przypominały ten sam zapadkowy, który znalazł w tylnym wejściu i równie łatwo było je otworzyć. Nie przypuszczał, by w lokalu 601 miało być inaczej. Wyjął usztywniacz z kieszeni, otworzył drzwi klatki schodowej i wszedł na korytarz. Kilka sekund później był już w mieszkaniu numer 601 i drzwi miał bezpiecznie zamknięte za sobą.

Znów znieruchomiał. Nasłuchiwał, węszył. W ciszy słychać było

tylko tykanie dużego zegara i stłumione odgłosy ruchu ulicznego na Central Park West. W powietrzu nie unosiły się kuchenne zapachy, panował jednak zaduch, w którym dało się wyczuć nabłyszczacz do mebli i wosk do podłóg. Bone spojrział na zegarek. Postanowił, że nie będzie przebywał w mieszkaniu dłużej niż trzydzieści minut. Szybko obejrzał pokoje, chodząc cicho wzdłuż ścian na wszelki wypadek, gdyby ktoś na dole mógł usłyszeć jego kroki.

Znalazł salon połączony z jadalnią przesuwanymi drzwiami ze szkła. Po drugiej stronie korytarza była kuchnia, a dalej trzy pokoje - dwie sypialnie, każda z własną łazienką i ubikacją oraz wciśnięty między nie mały gabinet. Okna salonu i jednej z sypialni wychodziły na Central Park, gabinet zaś, druga sypialnia i kuchnia nie miały okien. Przedpokój i korytarz wyłożone były parkietem w romby. W kuchni leżało ciemnoniebieskie linoleum, w pokojach wykończony na wysoki połysk jasny dąb.

Salon i jadalnia przesycone były złotem i tkaninami w stylu Ludwika XVI. Nad marmurowym kominkiem wisiał wielki obraz w ozdobnej ramie - portret prostej kobiety w średnim wieku ubranej w niebieską suknię wieczorową. Na półce nad kominkiem stało mnóstwo bibelotów z laki i japońska miseczka ze zwiedłą ikebaną.

Korytarz prowadzący do gabinetu i sypialni obwieszony był kolorowymi zdjęciami roślin dopasowanymi odcieniem do pastelowych pasków tapety. Jedna sypialnia wyglądała nieco jak buduar dziewiętnastowiecznej księżnej angielskiej - pysznił się burgundami, zieleniami i purpurą. Masywne lustro odbijało łóżko z wysoko ułożonymi poduszkami. U szczytu łóżka upięto misternie zdobioną draperię. To na pewno kobiecy pokój, być może należy do osoby z obrazu nad kominkiem.

Druga, mniejsza sypialnia wyraźnie urządzona była dla

mężczyzny. Zamiast wschodnich dywanów na drewnianej podłodze leżał chodnik. Meble w wiktoriańskim stylu były brązowe i politurowane. Na oparciu wąskiego krzesła wisiała rzucona niedbale ciemna marynarka. Pod krzesłem stała para drogich butów. Z łóżka ściągnięto wszystko, aż do materaca, ale na stoliku obok zostawiono portfel, pęk kluczy i okulary. Zmarłemu na nic się już nie mogły przydać. Bone wziął do ręki klucze. Trzy do zamków typu Yale, jeden do stacyjki samochodu, jeden cienki mosiężny kluczyk od sejfu i drugi mosiężny klucz z wytłoczonym napisem „Sears-Roebuck”. Zapewne otwierał wewnętrzną kasetkę w sejfie. Mały kluczyk pewnie pasował do biurka. Bone wsunął klucze do kieszeni i sprawdził zawartość portfela.

Prawo jazdy na nazwisko zmarłego, piętnaście dolarów w drobnych banknotach, kilka wizytówek - głównie od prawników - wszystkie wsunięte za gładki materiał, jakim wyłożona była przegródka na banknoty. Znalazł też małe zdjęcie młodej kobiety w kostiumie kąpielowym. Siedziała na plaży, za plecami miała rząd piaskowych wydm. Zdecydowanie nie była tą osobą, której portret wisiał w salonie nad kominkiem. Włożył portfel tam, gdzie klucze. Szybko przeszukał szafę i łazienkę, ale nie znalazł nic interesującego. W apteczce nad umywalką stała buteleczka z tabletkami nitrogliceryny. W kieszeni jednego z płaszczy wiszących w szafie Mossa znalazł paczkę zapalek ze Stork Club. Spojrzał na zegarek i przeszedł do gabinetu.

Kolejny męski pokój. Na ścianach bogata napoleońska zieleń, na podłodze współcześnie wyglądający wschodni dywan, przy małym gazowym kominku dwa klubowe fotele obite zieloną tapicerką i z mosiężnymi okuciami. Na półce nad kominkiem stały dwie ozdobne urny, nad nimi wisiał portret - mniejszy i w skromniejszych ramach

niż ten w salonie, ale przedstawiał tę samą kobietę, tym razem ubraną w strój do konnej jazdy. Rękę opierała o półkę nad jakimś innym kominkiem. W lustrze widocznym na portrecie odbijało się wnętrze bawialni jakiejś wiejskiej posiadłości. W gabinecie stała poza tym mała kozetka, palma z szarymi od kurzu liśćmi, wielki sekretarzyk z politurowanego ciemnego dębu z zasuwanyymi szafkami na górze i drewniane obrotowe krzesło. W rogu, nieco zakryty przez palmę, stał stalowy sejf na mosiężnych kółkach.

Bone usiadł przy sekretarzyku i odsunął pokrywę. Pięć minut później wiedział już mniej więcej, jakie życie wiedli Harold Moss i jego żona. Ona pochodziła z którejś gałęzi rodu Whitneyów, nic więc dziwnego, że kontrolowała większość pieniędzy. Zapewne Moss miał przynieść dynastii Whitneyów młodych dziedziców, ale mu się nie udało. Adwokat Moss nie prowadził własnej praktyki, pracował na synekurze w jednej z fundacji dobroczynnych Whitneyów. Większość czasu spędzał w Nowym Jorku, a jego żona Deirdre mieszkała w wielkiej rezydencji w Connecticut. Bone otwierał wszystkie szuflady biurka i w końcu znalazł szyfr do sejfu wypisany ołówkiem na bocznej ścianie.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy, ukląkł przed sejfem i wybrał kolejne numery na obrotowej tarczy. Przy ostatniej kombinacji usłyszał głośne stuknięcie. Chwytał za niklowaną rączkę i pociągnął. Sejf stanął otworem. Akty notarialne, polisy ubezpieczeniowe - Mossa, nie jego żony. Do tego koperta z gotówką i dwie księgi rachunkowe, w których spisywano domowy budżet.

Za pomocą jednego z mniejszych kluczy otworzył pudełko przyspawane do wnętrza sejfu po lewej u góry. Znalazł tam to, czego szukał - aktualny paszport. Najświeższy stempel świadczył o podróży do Anglii poprzedniej wiosny.

Pod dokumentem leżała kupka listów związanych czarną sznurówką, cztery obrazki erotyczne i kilka kolorowych paczuszek z prezerwatywami Ramses. Było też małe czarne pudełko obite skórą, w środku strzykawka i zielona fiolka ze słodko pachnącym białym proszkiem. Napis na niej informował, że została przepisana przez tego samego lekarza, który przepisał nitroglicerynę stojącą w apteczce. Na fiolce nie było poza tym żadnego napisu, informującego o zawartości, ale Bone przypuszczał, że to morfina. Może Harold Moss dostawał ją na receptę, może nie, ale na pewno był narkomanem.

Przejrzał małą kolekcję fotografii. Na wszystkich uwieczniono tę samą kobietę, której zdjęcie znalazł w portfelu Mossa. Ładna, młoda, na jednym miała strój tenisowy, na trzech innych prezentowała się w lekkich bawełnianych sukienkach. Bone zerknął na kilka listów. „Moje najukochańsze kochanie”, „Mój najśłodszy”, „Mój jedyny”. Listy do Mossa od kobiety podpisującej się Allison. We wszystkich przyrzekała wieczną miłość i opisywała głębię i bezmiar łączącego ich uczucia, a o pożądaniu pisała obficie i z takimi szczegółami, że można się było zaczerwienić.

Córka jednej z przyjaciółek Deirdre? Sekretarka z biura? A może przypadkowa znajomość ze statku podczas podróży powrotnej z Anglii? Wszystkie listy nadawano z Long Island od maja poprzedniego roku. Najświeższy pochodził sprzed trzech tygodni. Przez chwilę Bone zastanawiał się, czy przyszła na pogrzeb, wstrzymując łzy, by nie zdradzić się przed wdową. Przemknęło mu także przez myśl, że mógłby zrobić dobry uczynek i usunąć z sejfu listy, strzykawkę i prezerwatywy. Po co sprawiać wdowie ból wywołany słabością i niewiernością męża? Wsunął paszport do kieszeni marynarki, tam gdzie portfel, a resztę rzeczy odłożył do

metalowej kasetki. W życiu Deirdre Moss i śmierci jej męża był tylko przelotnym duchem. Przyszedł tu w konkretnym celu. Nie miał prawa mieszać się w ich sprawy.

Zamknął sejf i przekręcił tarczę. Pozwolił sobie na uśmiech i wstał. Przelotne współczucie dla Deirdre Moss było mu równie obce i równie wymowne, jak coraz słabszy wzrok w nocy i lekkie artretyczne bóle w rękach. Dziesięć lat temu taki sentymentalny pomysł nigdy by mu nie przyszedł do głowy w trakcie wykonywania zadania. Znowu zerknął na zegarek. Dwadzieścia trzy minuty. Czas wyjść. Wrócił do sypialni Mossa, odłożył klucze na nocny stolik i opuścił mieszkanie. Pół godziny później siedział już w pokoju w Gramercy Park i przeglądając zapiski w notatniku, planował kolejny ruch.

Rozdział 13

29 kwietnia 1939 roku, sobota

Nowy Jork

Mimo kry w Zatoce Świętego Wawrzyńca „Empress of Britain” przybyła do Montrealu zgodnie z rozkładem, tuż po północy dwudziestego siódmego kwietnia. Po śniadaniu pasażerowie zaczęli schodzić ze statku, ale jeszcze wcześniej Holland i Thomas Barry usiedli w małym pokoiku za stanowiskiem do odprawy celnej. Obserwowali uważnie, jak Ridder i Sheila Connelly przechodzą przez odprawę bez najmniejszych kłopotów, odbierają bagaże i jadą osobnymi taksówkami na dworzec Windsor. Oboje mieli wykupione bilety aż do Nowego Jorku - z przesiadką w Albany na „Ekspres XX wieku”. Ridder wykupił salonik, Connelly zaś, wciąż podając się za Mary Coogan, wybrała tańszą kuszetkę w tym samym wagonie. Tropiący patrzyli, jak najpierw Ridder, później Connelly wymieniają w kantorze na dworcu funty na amerykańskie dolary. Zaraz potem Ridder, poruszając się niezdarne o laskach, wszedł do dworcowej restauracji na obiad. Tymczasem irlandzka pani kurier siedziała na jednej z drewnianych ławek w wielkiej, dudniącej echem poczekalni.

- I co teraz? - zapytał Barry.

- Idziemy za nimi - wyjaśnił Holland.

Krótko po pierwszej po południu ich pociąg wyjechał z Montrealu. Minął granicę w Rouses Point, gdzie ponownie wszystkim sprawdzono paszporty. Do Albany przybyli późnym wieczorem. Zjedli kolację w restauracji na dworcu i godzinę później przesiedli się

do „Ekspresu XX wieku”. W ciągu tego dnia Ridder i Connelly nawet na siebie nie spojrzeli.

- Istnieje jeszcze możliwości, że Hayes zrobił z nas durniów - odezwał się Barry, stawiając swoją małą walizkę na podłodze sypialni, którą miał dzielić z Hollandem. Rozległ się przeraźliwy świst gwizdka parowego, zadzwoniły dzwonki i pociąg powoli zaczął wytaczać się z jasno oświetlonego dworca w ciemność.

- Musiałyby chyba zdumieć do końca - odparł Holland i usiadł w jednym z wygodnych foteli pod oknem. Popatrzył na swoje zmęczone odbicie w szybie. - Wie, że gdybyśmy zaczęli podejrzewać kłamstwo, rzucilibyśmy go psom na pożarcie. Poza tym to wszystko jest za bardzo rozbudowane. Connelly rzeczywiście była na statku, podobnie jak Ridder i oboje mają tę idiotyczną książkę. A wszystko tylko po to, by pobawić się z nami w kotka i myszkę? Nie sądzę, Barry. To się nie trzyma kupy.

- A może ona jest w ogóle niewinna? Może nawet nie wie, że pełni rolę kuriera?

- Albo pan oszalał, albo dał się pan wziąć na ładne oczy tej kobiety.

- Niech pan sobie nie dworuje. - Nie chodziło jedynie o ładne oczy, lecz o całe jej ciało. Czuł się jak idiota, ale gdzieś w głębi duszy wierzył, że jest niewinna, a nawet jeśli była zamieszana w sprawę, ktoś ją do tego zmusił.

- Ona należy do organizacji - powiedział Holland beznamiętnie. - Są na to dowody.

- Istnieją setki powodów, dla których ludzie do niej wstępują, i nie wszystkie mają związek z polityką. Strach równie silnie motywuje jak sprawa niepodległości. Dobrze pan wie, że to bezwzględni dranie.

- Mój Boże, pan się naprawdę zakochał - wybuchnął śmiechem

Holland. - Broni jej pan, twierdząc, że jest ofiarą własnych kumpli.

- Wydaje mi się, że w angielskim prawie obowiązuje zasada domniemania niewinności.

- Ale to prawo nie stosuje się do Irlandczyków, bo oni się do niego nie stosują. Rządzą się prawem bomb i pistoletów. Detektywie, ta kobieta jest jedną z nich, proszę mi wierzyć.

- A jeśli nie dojdzie do wymiany, nim dojedziemy do Nowego Jorku?

- To z pewnością za mało, by uznać ją za niewinną. Obserwujemy biuro Riddera i jego dom. Według informacji ochmistrza Connelly poprosiła, by zarezerwować dla niej na trzy noce pokój w hotelu Taft przy Siódmej Alei.

- Mówił pan kiedyś, że nie mamy nikogo w Nowym Jorku.

- My nie - odparł Holland. Zdjął na chwilę okulary, potarł czubek nosa i przyknuął oczy. - Dwaj ludzie w biurze kontroli paszportowej.

- MI-6.

- Mhm. - Podpułkownik włożył z powrotem okulary, zapalił papierosa i zakaszłał, mocno zaciągając się dymem. - Człowiek nazwiskiem Paget i jego dwóch lub trzech asystentów.

- W takim razie kto śledzi Riddera?

- FBI. - Oparł się wygodniej i ziewnął. - Najwyraźniej pan Hoover ma jakieś uprzedzenie do nazistów i z chęcią zgodził się nam pomóc. Ridder jest obywatelem amerykańskim, więc biuro porusza się w ramach swojej jurysdykcji.

Holland zamknął oczy. Pociąg wjechał ze stukotem na most. Barry ujrzał światła miasta odbijające się w szerokiej ciemnej rzece. Nagle poczuł się bardzo daleko od domu.

- Mniemam więc, że koncentrujemy się na panie Connelly?

- Słusznie pan mniema - mruknął Anglik.

- Może zawołam stewarda i poproszę, żeby pościelił górne łóżko?
- zaproponował Barry. - Jeśli zostawimy uchylone drzwi, będziemy mogli obserwować stamtąd przechodzących ludzi. W tym czasie jeden z nas będzie mógł się przespać. - Wagon Riddera znajdował się przed ich wagonem, a wagon Connelly - za.

- Doskonały pomysł - rzekł Holland sennie. - Ale pan bierze pierwszą wachtę, dobrze? Niech pan wypatruje tych pięknych oczu.

- Z przyjemnością - odparł Barry z kwaśnym uśmiechem. Zadzwoił po stewarda.

Tuż po siódmej rano zjedli w swoim przedziale zaskakująco smaczne śniadanie. Tak jak umówili się wcześniej z konduktorem, Holland trafił na przód pociągu, do wagonu towarowego, a Barry został w przedziale. Pociąg wjechał na Dworzec Centralny dokładnie o dziewiątej trzydzieści w niedzielny poranek. Kiedy „Ekspres XX wieku” zatrzymał się na końcu toru, trzydziesty czwarty peron natychmiast zalało morze ludzi zmierzających do wyjścia z dworca. Barry, ściskając swoją małą walizkę, stał w pobliżu schodków wyjściowych z wagonu i omiatał wzrokiem gęsty tłum, próbując wyłuskać w nim tych, których miał śledzić. O dziwo, jako pierwszy pojawił się Ridder. Siedział w wózku inwalidzkim, na kolanach przykrytych kocem miał egzemplarz *Maski Dimitriosa*. Wózek prowadził młody mężczyzna w ciemnym garniturze, który siedł pochylony i zabawiał Riddera rozmową. Ludzie rozstępowali się na boki przed kaleką na wózku. Aby nie spuścić go z oczu, Barry musiał iść tuż za wydawcą i jego opiekunem. W ogłuszającym szumie ludzkiego gwaru i gwizdków parowych słyszał ich rozmowę - niestety mówili po niemiecku, a tego języka nie znał ni w ząb.

Jak na dany znak, ze swojego wagonu wysiadła Sheila Connelly i zaczęła wchodzić w tłum dokładnie wtedy, gdy zbliżał się do niej

wózek z Ridderem.

Zrobiła krok do przodu, przeszukując wzrokiem tłum. Barry nagle zrozumiał, co się wydarzy za chwilę.

Uderzył ją lewy bok wózka. Upadła. Torebka i książka Amblera wypadły jej z rąk. Młody opiekun Riddera rzucił się, by podnieść książkę i torebkę, a sam Ridder pochylił się, najwyraźniej po to, by pomóc panie Connelly wstać. Trudnym do zauważenia gestem przekazał jej książkę, którą miał na kolanach, a opiekun podał kobiecie torebkę, ale zatrzymał jej egzemplarz książki i przestawiając wózek, położył ją na kolanach wydawcy. Cała wymiana trwała zaledwie kilka sekund i jeśli byli to amatorzy, zagrali doskonale. Barry poczuł ból w sercu, bo oto miał wyraźny dowód jej winy. Gorzkim echem wróciła do niego wczorajsza rozmowa z Hollandem.

Mimo to szedł za wózkiem Riddera, trzymając się możliwie daleko z tyłu. Przy bramce na końcu peronu ujrzał, że Holland gniewnie rozmawia z mężczyzną w średnim wieku, ubranym w konserwatywnie skrojony granatowy garnitur, trzymającym melonik w obleczonej rękawiczką dłoni. Na pewno Anglik, najprawdopodobniej dyplomata. Connelly pierwsza minęła bramkę, później Ridder. Wózek przecisnął się za plecami Hollanda oraz jego rozmówcy i jechał dalej w górę, do głównego holu dworca.

Barry zatrzymał się, nie wiedząc, co robić. Spojrzał przez ramię na mężczyznę z melonikiem, ale podpułkownik rzucił mu krótkie ostrzegawcze spojrzenie. Musiało to zaniepokoić człowieka z melonikiem. Lekko odwrócił się i spojrzał na peron, ale Barry już szedł dalej. Najwyraźniej Holland trafił na jakieś biurokratyczne przeszkody, bo człowiek z melonikiem niemal na pewno pracował w konsulacie. Równie jasne było, że podpułkownik chciał, by policjant dalej prowadził obserwację. Ponieważ śledzeniem Riddera miało się

zając FBI, Barry postanowił skupić się na pannie Connelly, zwłaszcza po zamianie książki.

Ruszył lekko wznoszącym się tunelem do głównej sali. Minął Riddera i szedł ze wzrokiem wbitym w Connelly. Miała na sobie podróżny płaszcz burberry długości trzy czwarte, dobraną do niego garsonkę, na szyi jasnozieloną apaszkę. Nie nosiła kapelusza. Po przejściu tunelu znaleźli się w ogromnej głównej hali. Przez chwilę Barry poczuł się kompletnie zagubiony w gmachu wielkości katedry. Wysoko z góry przez potężne łukowate okna wpadały wielkie snopy światła. Mrugnął kilka razy, by wrócić do rzeczywistości. Zauważył, że Connelly schodzi na niższy poziom dworca. Poszedł za nią do dolnej hali, w której mieściły się sklepy i restauracja Rudleya, gdzie przez następną godzinę panna Connelly leniwie jadła śniadanie i czytała „Daily News”. Barry z kolei przy barze pił kawę za kawą. O dziesiątej trzydzieści kurierka IRA zapłaciła rachunek, wróciła na główny poziom i przeszła do stanowiska bagażowego.

Podążył za nią. Przystanął przy ośmiokątnym stoisku informacyjnym pośrodku hali i udawał, że ogląda broszurkę o ekspresie „Super Szeryf”. Próbował przypomnieć sobie z lekcji geografii, gdzie na mapie Stanów Zjednoczonych leżą Los Angeles i Chicago. Kiedy Irlandka stanęła przy stanowisku bagażowym, podszedł do jednej z drewnianych ławek i usiadł. Udawał, że czyta broszurę, ale kątem oka bacznie obserwował, co się dzieje.

W końcu dostrzegł, że pracownik stoiska ubrany w koszulę z krótkimi rękawami wraca z zaplecza i stawia dwie walizki panny Connelly na niskim ocynkowanym blacie. Odszedł na chwilę i wrócił z pomarańczowymi etykietkami, które przywiązał do walizek. Irlandka zatrzymała jedynie *Maską Dimitriosą* i swoją torebkę. Coraz mniej prawdopodobne było, że chce się zatrzymać w hotelu Taft.

Kupony od etykietek bagażowych schowała do torebki, uściśniła dłoń chłopakowi za ladą i ruszyła w stronę długiego rzędu kas zajmującego całą południową ścianę dworca. Podeszła do najbliższego okienka, krótko rozmawiała z kasjerem, kupiła bilet i schowała go do torebki. Odwróciła się, weszła po schodach na główny poziom dworca i wyszła na Aleję Vanderbilta.

Barry zamarł, kiedy zobaczył przed dworcem długi rząd kremowo-zielonych taksówek. Szybko rozejrzał się i spostrzegł, że Connelly dotarła tylko kilka metrów dalej, do rogu, a tam przeszła na drugą stronę Czterdziestej Drugiej ulicy. Ruszył za nią, wciąż niosąc swoją małą walizkę. Zobaczył, że Irlandka zatrzymuje się przed wejściem do kina Ambasad i ogląda plakaty. Zgodnie z napisem nad wejściem, grano właśnie *Union Pacific* z Joelem McCrea i Barbarą Stanwyck. Barry nie był miłośnikiem kina, ale widział Stanwyck w *Stella Dallas* kilka lat temu. Nawet mu się podobało. Kiedy dotarł do rogu i przeszedł na drugą stronę ulicy, zauważył, że Connelly kupuje bilet na pierwszy seans o jedenastej trzydziści. Weszła do środka, chwilę później Barry podążył za nią, zmagając się nieco dłużej z obcymi monetami. Nim doszedł do stanowiska biletera, Connelly zdążyła już wejść do sali. Zostawił walizkę pod opieką bufetowej i dał jej ćwierć dolara wraz z obietnicą że drugie tyle wyłoży po seansie. Wszedł do sali. Przez chwilę stał przy wejściu, żeby przyzwyczaić oczy do mroku. Przed głównym seansem puszczano kreskówkę o niebezpiecznych przygodach wrednego długouchego królika o imieniu Bugs i jego pękatego prześladowcy, myśliwego Fudda.

W końcu oczy policjanta przywykły do ciemności. Nietrudno było dojrzeć tropioną, bo na sali siedziało zaledwie kilkanaście osób. Po każdej stronie ekranu jaśniały oznaczenia wyjść awaryjnych. Barry

obejrzał najpierw kreskówkę, a potem zwiastuny filmów. Nie chciał zostawiać Connelly bez dozoru, ale uznał, że musi zaryzykować. Wrócił do holu, znalazł automat telefoniczny we wnęce przy męskiej toalecie i przez kilka minut próbował rozgryźć jego mechanizm. W końcu nauczył się, że aby dostać połączenie, najpierw trzeba wrzucić monetę, zupełnie odwrotnie niż w automatach brytyjskich. Zadzwoił na centralę i poprosił o połączenie z brytyjskim konsulem. Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Hollandem i zapytał o pana Pageta z biura kontroli paszportowej. Dowiedział się, że James Paget jest kapitanem marynarki wojennej i przysługuje mu tytuł „sir”. Po tym pouczeniu połączono go z jego biurem. Przez niemal dziesięć minut musiał tłumaczyć całą sytuację niejakiemu Bellowi. W końcu jednak usłyszał w słuchawce głos Hollanda.

- Gdzie, do jasnej cholery, pan się podziewa?
- Jestem w kinie Ambasada. Tuż obok dworca.
- A Connelly?
- Ogląda film.
- Czy doszło do wymiany?

Barry milczał przez chwilę i westchnął.

- Tak. Na peronie. Teraz ona ma książkę Riddera.
- A nie mówiłem?
- Może ma swoje powody, dla których to robi.

- Obstawia pan nie tego konia, Barry. Choć trzeba przyznać, że to całkiem ładna klaczka. Niech mi pan powie, dlaczego nie pojechała do Tafta?

- Mam wejść na salę i ją spytać? - Barry umieścił słuchawkę między ramieniem i policzkiem, by zapalić papierosa. - Nie sądzę, by w ogóle wybierała się do hotelu. Bagaże zostawiła na stacji i kupiła bilet na kolejny pociąg.

- Dokąd?

- Nie mam pojęcia.

- To dlaczego nie zapytał pan kasjera, który sprzedał jej ten bilet?

- Zgubiłbym ją. - Nastąpiła chwila ciszy. Holland analizował otrzymane informacje. Barry przerwał milczenie. - A co się stało na dworcu?

- Ten człowiek, którego pan widział, to jeden ze współpracowników Pageta. Według Pageta nadszedł rozkaz od kogoś wysokiego rangą bym natychmiast wrócił do Anglii.

- Podali jakieś uzasadnienie?

- Najwyraźniej mam problemy ze zdrowiem - odparł Holland oschle. - W tych warunkach naprawdę nie mogę więcej powiedzieć.

Innymi słowy Paget albo mężczyzna w meloniku siedział w pokoju razem z Hollandem.

- Nie jest pan sam?

- Zgadza się.

- Czy całe śledztwo zostaje przerwane?

- Tego bym nie powiedział.

- To ma jakiś związek z Seanem Russellem?

- Jak najbardziej.

Barry wypuścił kłęb dymu przez nos i sam próbował to wszystko poskładać do kupy. Russell miał w Ameryce wysoko postawionych przyjaciół, w tym kilku kongresmenów i co najmniej jednego senatora. Jeśli ktoś za bardzo będzie mu deptał po piętach, w Anglii dojdzie do reperkusji - kolejne wybuchy w toaletach, może nawet w skrzynkach pocztowych.

- Czy to pomysł Douglasa-Home'a?

- Powiedziałbym, że to rozsądne przypuszczenie.

- Próbuje nas powstrzymać, prawda?

- Być może.

- I pana zupełnie odsunęli od tej sprawy?

- Na to wygląda.

- A co ze mną?

- Pan jest ze Scotland Yardu. Podlega pan Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

- Jasna cholera! - syknął Barry. Pochylił się i zdusił niedopałek papierosa w skrzynce z piaskiem obok automatu.

- Tak, sądzę, że to dobre podsumowanie całej sytuacji.

- W takim razie co mam zrobić z tą Connelly?

- Sprowadzimy ją na przesłuchanie. Natychmiast. Sam chcę jej zadać kilka pytań, nim wrócę do starej wesołej Anglii.

- A jeśli nie zechce przyjść?

- Jej zachcianki nie mają teraz najmniejszego znaczenia. Jeśli będzie trzeba, doprowadzimy ją siłą. Teraz niech pan jej tylko pilnuje. Sir James załatwił nam pomoc niejakiego Percy'ego Foxwortha z FBI. Za jakieś dwadzieścia minut pojawią się jego ludzie i, jak to mówią w westernach, otoczą tę budę.

- Siedzi w ósmym rzędzie, piąte siedzenie w bok od głównego przejścia.

- Dobra robota. A teraz niech pan idzie i obejrzy sobie film. Resztą zajmiemy się później.

Rozdział 14

29 kwietnia 1939 roku, sobota

Nowy Jork

Po wizycie u siostry w szpitalu na Welfare Island Jane wróciła na Manhattan na spotkanie z Danem Hennessym. Kiedy dotarła do restauracji Reubena przy Alei Madisona, zapadał już zmierzch. Odszukała policjanta siedzącego w cichej wnęce na tyłach sali. Jadł kanapkę z pastrami i ryżem na kwaśno, wszystko to popijał butelkowym piwem Knickerbocker. Na stole stały jeszcze trzy inne butelki. Jane wsunęła się do wnęki, wyjęła papierosa z leżącej na stole pomiętej paczki skeetów i zapaliła.

Hennessy przeżuł jedzenie, połknął i pociągnął łyk piwa.

- Byłaś u siostry?

- Tak.

- Ładnie, że to robisz. Wielu ludziom by się nie chciało.

- Z rodziny została mi już tylko ona.

- Mimo wszystko. - Hennessy wskazał ręką swój talerz. - Powinnaś coś zjeść. - Podniósł butelkę i wypił łyk. - Wypić też.

Wzruszyła ramionami.

- Może później. - Zaciągnęła się papierosem i oparła o zniszczoną skórę siedzenia. - Dowiedziałeś się czegoś o tym samochodzie?

- Jasne. Tablice zdjęto z dodge'a rocznik 1934 należącego do starego pierdziela nazwiskiem Hector Weakes, który prowadzi sklep żelazny w jakiejś małej miejscinie w górze rzeki Hudson. Ciemnoczerwony lincoln pojawił się na liście skradzionych

samochodów w jednym z posterunków na Brooklynie.

- Gabbie Vigorito - powiedziała Jane.

- Zgadłś.

Gabbie Vigorito, zwany też Bla-Bla ze względu na gadatliwość albo Czarny, z powodu śródziemnomorskiej karnacji, zarządzał między stanowym imperium złodziei samochodów. Interesem kierował z centrali na Greenpoincie aż do 1934 roku, kiedy dostał dziesięć lat odsiadki w Ossing. Odsiedział pięć lat w Sing-Sing i dwa miesiące temu wypuszczono go za dobre sprawowanie. Mówiło się, że wrócił do dawnego fachu, a firma, którą prowadził, nazywała się Boro hol Auto Exchange. Plotka głosiła także, że kiedyś kupił sto egzemplarzy książki J. Edgara Hoovera *Podziemny świat*, w której cały rozdział poświęcono jego dokonaniom.

- W takim razie utknęliśmy chyba w martwym punkcie.

- Może nie. - Hennessy dokończył kanapkę, odsunął talerz i zapalił papierosa. Zaczynał się wieczór i u Reubena powoli robił się tłok. W powietrzu unosiła się aromatyczna para, słychać było szcęk naczyń i wykrzykiwane zamówienia na Clarka Gable'a, Carol Lombard czy FDR-a z keczupem. Nieraz Hennessy powtarzał, że umarłby jako szczęśliwy człowiek, gdyby u Reubena nazwali kanapkę jego nazwiskiem.

- No, mów - ponaglała go Jane. Policjant oparł się wygodnie i odprężył.

- Na samochód trafiliśmy dzięki cynkowi od Henry'ego Franzo. - Franzo był kiedyś szwagrem Czarnego i specjalistą od podmieniania tablic rejestracyjnych w kradzionych autach. - Henry twierdzi, że skontaktował się z nim jakiś koleś po Harvardzie i powiedział, że potrzebny mu jest samochód.

- Po Harvardzie?

- Mówił z bostońskim akcentem - wyjaśnił Hennessy. - Wykształcony. W każdym razie Franzo powiedział mu, że nie ma sprawy, że będzie to kosztować tyle i tyle. Facet się zgodził i obiecał zapłacić połowę z góry, w gotówce, a resztę przy odbiorze. Dał Franzo kartkę z numerem telefonu i poprosił, żeby zadzwonił, kiedy będzie samochód. I Franzo tak zrobił.

- Do kogo należy ten telefon?

Do nowojorskiej filii przedsiębiorstwa o nazwie Somerset Importers.

- Co to za firma? - zapytała Jane. - Jeden z interesów Costello?

- Nie. Twój znajomy śpiewający kelner miał rację. To nie byli ludzie z mafii. Somerset Importers zajmuje się dystrybucją alkoholu i należy do Joe Kennedy'ego.

- Chyba żartujesz - szepnęła Jane. - Joe Kennedy? Amerykański ambasador w Anglii?

- Ten sam - odparł Hennessy. - Kumpel Roosevelta, a dawniej przewodniczący Komisji Papierów Wartościowych. - Przechylił butelkę i wypił ostatni łyk piwa. - No i mam jeszcze jedną nowinę.

- Coś ciekawszego niż to, że Joe Kennedy zleca zabójstwo prawnika związanego z mafią?

- Dostałem awans.

- Jak to?

- Tak to. - Hennessy strącił popiół do butelki. - Wczoraj zostałem wezwany do biura Valentine'a. Powiedział mi, że jestem teraz porucznikiem i wiceszefem wydziału zajmującego się napadami na banki i ekskluzywne mieszkania oraz inne obiekty. Moim zwierzchnikiem jest kapitan Ray Mc-Guire.

- Nie wyglądasz na zachwyconego.

- Kiedy Valentine mnie awansował na komisarza, stwierdził, że

mam szczęście, iż trafiłem do tego wydziału. Mogłem skończyć w drogówce albo w kryminalnym. A tak mam przynajmniej szansę dożyć emerytury.

- Groźba?

- Nie, raczej ostrzeżenie. Powiedział, żebym przekazał wszystkie nierozwiązane sprawy Joemu McNally, a szczególnie podkreślił, żebym przekazał wszystko, co mam na temat Howiego Rainesa, naszego znajomego z rowu przy Rustic Cabin. Potem zapytał jeszcze, czy ktokolwiek wie coś na temat Rainesa. Na przykład ta panienska, która robiła fotki na miejscu zbrodni.

- Skąd wiedział, że to nie jeden z twoich fotografów?

- Bo na jego biurku leżały zdjęcia, które wysłałaś do mnie. Każde miało z tyłu pieczętkę z twoim nazwiskiem, adresem i telefonem. Tak jak zwykle.

- Kolejne ostrzeżenie?

- A może po prostu strzelał w ciemno. Chce wiedzieć, czego się dowiedziałaś.

- Wydawało mi się, że kiedyś uznawałeś Valentine'a za jednego z dobrych policjantów.

- Owszem, ale on pracuje w nowojorskiej policji od trzydziestu lat. W tym mieście to nie oznacza od razu, że ktoś jest upaprany. Ale nie oznacza też, że jest do końca czysty. Tak czy inaczej jest komuś winien jakąś przysługę i musi teraz spłacić dług.

- Dlaczego?

- Bo z tą sprawą Rainesa coś jest nie tak. Od początku śmierdziała. Dlatego do ciebie zadzwoniłem. Ale teraz to wszystko zaszło za daleko. Ślad Kennedy'ego to ostatni sygnał ostrzegawczy. To przerasta i mnie, i ciebie, dziewczyno. Czas dyskretnie się wycofać. Daj sobie spokój. To polityka. I to nie w staromodnym stylu

Tammany. To Wielka Polityka.

- Niepokoisz mnie.

- To dobrze.

- Ale i zaciekawiasz.

- To niedobrze.

- Howie pracował dla kancelarii związanej z mafią. Pojechał na Kubę, która też kojarzy się z mafią. Wrócił i ktoś go załatwił. Na razie nie widać w tym nic zaskakującego - kiedy pracuje się dla takich typków, można się spodziewać najgorszego. Może coś spieprzył, może pieprzył nie tego, kogo trzeba, a może po prostu odpieprzyło mu? No i co? Kogo to obchodzi?

Jane przerwała i zdusiła papierosa w maleńkiej srebrnej popielniczce na końcu stolika. Hennessy patrzy! na nią spokojnie, nieco sennym od piwa wzrokiem.

- Skąd więc to nagłe zainteresowanie? - ciągnęła. - Howie nie był nikim szczególnym. A tu nagle takie ciśnienie. Z tego, co słyszałam, maczał w tym palce burmistrz Jersey City, komisarz nowojorskiej policji, a teraz mówisz mi jeszcze, że to wszystko wiąże się na dodatek z Joe Kennedym. Jakby się uprzeć, to pewnie dałoby się nawet znaleźć jakieś ślady prowadzące do Białego Domu.

- Daj sobie spokój, Jane.

- Mam przeczucie, że kroi się jakiś wielki smród.

- Może masz rację, ale taki smród potrafi też wyrzucić wielką krzywdę. - Postukał palcami w brzeg talerza. - Kiedy na świecie ubędzie jednej pani fotograf, to tak jakby ubyło jednego prawnika. Nikt nie będzie po tobie specjalnie płakał.

- Rany, Dan, nie wiedziałam, że tak mnie lubisz.

- Spróbuj przez chwilę zachować powagę, dobrze? - Hennessy pokręcił głową. - Masz rację, dziewczyno. Coś tu śmierdzi, to sprawa

zupełnie poza naszym zasięgiem, więc lepiej się do tego nie mieszać. Rozumiesz?

- W takim razie po diabła opowiedziałeś mi o Somerset Importers i tych innych rzeczach? - zapytała Jane.

Hennessy westchnął ciężko.

- Bo pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, jak wysoko to wszystko sięga. A zresztą i tak wiedziałem, że niezależnie od tego, co ci powiem, i tak nie przestaniesz w tym grzebać. - Przerwał. - Mówię ci, nie mieszaj się w to. Przestań, i to zaraz. Zapomnij, że to się w ogóle stało. Jeśli masz jeszcze odbitki tych zdjęć z Rustic Cabin, pozbądź się ich natychmiast, negatywów też.

- Jak na szkolnej tablicy - odezwała się Jane. - Howard Raines został wytarty i nie pozostał po nim nawet ślad.

- Dokładnie tak się stało - powiedział Hennessy. Wysunął się zza stolika i nieco niepewnie stanął obok. Sięgnął do kieszeni, wyjął kilka zmiętych banknotów i rzucił je na stolik. - Napij się piwa i zjedz kanapkę na koszt mój i komisarza Lewisa J. Valentine'a z nowojorskiej policji. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Pochylił się, opierając swoje wielkie ręce na stoliku. Jane poczuła na twarzy jego oddech przesiąknięty piwem i musztardą.

- A jeszcze lepiej, skarbie, w ogóle o tym nie myśl. Po prostu zrób to, okay? Masz w tym mieście opinię panienki o niewyparzonej gębie, zupełnie jak facet. Postaraj się, żeby nie mówili o tobie jako o martwej panience z niewyparzoną gębą, dobrze?

Wyprostował się, zasalutował, obrócił się na pięcie i wyszedł z restauracji. Jane postanowiła go posłuchać. Przynajmniej w kwestii piwa i kanapki.

Przesłuchanie Sheili Connelly podróżującej pod nazwiskiem Mary Coogan i używającej do tego celu fałszywego paszportu odbyło się na czwartym piętrze budynku sądu przy Foley Square. Całą kondygnację i jeszcze jedną wyżej zajmował nowojorski oddział Federalnego Biura Śledczego. Pokój, w którym przesłuchiowano dziewczynę, zwykle służył jako sala konferencyjna. Na jednej z krótszych ścian umieszczono rozwijane mapy stanu Nowy Jork i nowojorskiej metropolii. Na drugiej krótkiej ścianie wisiała czarna tablica. Na środku pomieszczenia stał niewyszukany prostokątny stół z ośmioma podobnymi krzesłami.

Przy każdym z nich stała popielniczka, obok telefon i notatnik. Na małym stoliku przy drzwiach ktoś postawił karafkę z wodą Bakelite i kilka papierowych kubków.

W pokoju znajdowali się Percival „Sam” Foxworth, wicedyrektor i szef nowojorskiej filii FBI, anonimowy stenografista, agent specjalny FBI William G. Friederman, agent specjalny FBI James C. Ellesworth, sir James Paget z MI-6 oraz tuż przy drzwiach Holland i Barry. Sheila Connelly została w małym, przypominającym celę pokoju obok.

Siedzący na końcu stołu Paget, odchrząkując, zwrócił uwagę wszystkim.

- Sądzę, że zanim zaczniemy, należy rozważyć pewne kwestie protokolarne.

- Jakie? - zapytał cicho Foxworth. W jego głosie słychać było dobre wykształcenie z Missisipi.

- Na przykład, kto kieruje przesłuchaniem.

- Cóż, tak naprawdę nie wiem, czy ma to aż takie znaczenie, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Według panów ta kobieta jest kurierem Irlandzkiej Armii Republikańskiej, łączy ją coś także z

Ridderem, który według nas niemal na pewno jest nazistą. Mówicie, że podróżowała z fałszywym brytyjskim paszportem i wykorzystała go, by nielegalnie przekroczyć granicę Stanów Zjednoczonych. Zdaje się, sir James, że obaj mielibyśmy za co dobrać się jej do skóry. Chyba że chce pan, byśmy ją po prostu deportowali, czyli musiałyby opuścić nasz kraj w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Wiecie informacje dla Seana Russella.

- O tak zwanym spisku na życie króla i królowej, o którym mi pan mówił?

- Tak.

- O tym, który według pańskich ludzi w Londynie, zdaje się nie stanowi w ogóle zagrożenia?

- Tak, według naszych informacji jest mało prawdopodobny.

- Ale mimo wszystko chce pan ją przesłuchać na tę okoliczność.

- Nie tyle chodzi o spisek, ile o miejsce pobytu Russella. - Paget znów odchrząknął. - Tak jak mówiliśmy wcześniej, Russell także posługuje się fałszywym paszportem.

- To pan tak mówi - uśmiechnął się Foxworth. Szczupły bladej mężczyzna miał w sobie coś z arystokraty i Barry bez trudu mógł sobie wyobrazić go konno czy w mundurze Konfederacji.

- Zgodnie z tym, co mi pan powiedział, paszport jest prawdziwy, ale wystawiony na Johna Russella, nie Seana.

- Otóż to. Fałszywa informacja.

- Zawsze sądziłem, że John i Sean to jedno i to samo - rzekł Foxworth. - Ale to zupełnie co innego niż posługiwanie się całkowicie fałszywym dokumentem, tak jak ta pańska Sheila Connelly.

- Mimo wszystko... Foxworth uśmiechnął się.

- Mimo wszystko chciałby pan z nią porozmawiać.

- Tak. - Paget znów odchrząknął. - Bylibyśmy również wdzięczni, gdyby pańscy ludzie mogli przyjrzeć się tej książce, którą miała ze sobą.

- Już nad nią pracujemy - wyjaśnił Foxworth. - A skoro o tym mowa, muszę wspomnieć o moich kwestiach protokolarnych.

- Oczywiście - rzekł Paget.

- Dyrektor Hoover postawił sprawę jasno: pod żadnym pozorem nie będzie tolerował działalności obcych wywiadów na terenie Stanów Zjednoczonych. Bez żadnych wyjątków. Czy to jasne?

Paget nie wyglądał na zachwyconego, ale w końcu skinął pojednawczo głową.

- Tak.

- Świetnie. - Foxworth zrobił głęboki wdech. - A zatem jakiegokolwiek działania będące wynikiem przesłuchania panny Connelly może przeprowadzać jedynie Federalne Biuro Śledcze i żadna inna agencja, łącznie z pańską. Czy to rozumiałe?

Paget niechętnie musiał się zgodzić.

- Tak. Chociaż spodziewam się, że należałoby powołać jakiegoś łącznika między pańską agencją moją.

- Jak rozumiem, obecny tu pułkownik Holland wraca właśnie do Anglii.

- Tak, na to wygląda.

- A więc zostaje nam detektyw inspektor Barry. - Foxworth znów obdarzył Pageta krótkim jasnym uśmiechem. - Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić, ale to chyba jedyny prawdziwy policjant w pańskiej grupie. Nieprawdaż?

- Tak.

- Pan Hoover darzy Scotland Yard ogromnym szacunkiem. Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu, by inspektor Barry popracował

z nami przez jakiś czas i sprawdził, jak wszystko się układa. - Foxworth uśmiechnął się do Pageta. - Czy to panu odpowiada, sir James?

- Sądzę, że nie mam wyjścia.

- Świetnie. - Foxworth odwrócił się do agenta specjalnego Elleswortha. - Proszę przyprowadzić tę kobietę.

Zatrzymano ją w kinie Ambasada po południu. Teraz zbliżała się pora kolacji, ale mimo sześciu i pół godziny w zamknięciu Sheila Connelly wyglądała na spokojną i opanowaną. Ellesworth stanął przy drzwiach, jakby bał się, że zatrzymana desperacko porwie się do ucieczki. Barry bez skutku próbował doszukać się u niej jakichkolwiek śladów zdenerwowania czy strachu. Sprawiała wrażenie pięknej kobiety zirytowanej opóźnieniem.

- Czy dobrze panią traktowano? - zapytał uprzejmie Foxworth. Wzruszyła ramionami.

- Dość dobrze.

- Czy ma pani jakieś życzenia?

- Chciałabym papierosa i trochę kawy - odparła bez wahania.

- Jaką kawę?

- Z mlekiem i z cukrem. Jeśli można, proszę nie żałować jednego i drugiego.

Foxworth skinął na Elleswortha. Agent wyszedł po kawę. Wicedyrektor sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął zielono-czerwoną paczkę lucky strike'ów oraz wąską niemal damską zapalniczkę Ronsona, której galwanizowana powłoka zaczęła ścierać się na rogach. Przesunął papierosy i zapalniczkę po stole, a Barry podał je dalej. Kiedy Sheila Connelly brała od niego paczkę, jej palce dotknęły jego ręki. Zapaliła papierosa, odłożyła paczkę i zapalniczkę na stół, równo je układając.

Paget otworzył cieką teczkę, którą miał przed sobą.

- Nazywa się pani Sheila Grace Connelly?

- Nazywam się Mary Coogan, tak jak napisano w paszporcie.

- Z Craigavon w hrabstwie Armagh.

- Zgadza się.

- Nie zgadza się - odezwał się cicho Barry. - Pani pochodzi z hrabstwa Cork, bez dwóch zdań. Nie dalej na północ niż Mallow, nie więcej niż rzut kamieniem do samego Cork.

- A skąd pan to może wiedzieć?

Barry zauważył, że papieros lekko drży w jej ręce.

- Rozpoznaję to po akcencie - odparł, starając się zachować w głosie troskę, żeby nie wyjść na bezwzględny policjanta, by jej nie wystraszyć. Albo stracić. - Zapewne spędziła pani nieco czasu w Belfaście, ale więcej w Dublinie.

- Domyślam się, że jest pan ekspertem w tych sprawach?

- Wychowałem się w sierocińcu prowadzonym przez kapucynów, niedaleko mostu Parlamentu. Braciszkanie co niedziela prowadzili nas do kościoła Świętej Anny, byśmy śpiewali na mszy. - Uśmiechnął się do kobiety i popatrzył jej w oczy. - Panno Connelly, dorastała pani, słuchając Shandon Bells. Obawiam się, że tego nie da się zataić.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Uśmiechnęła się pogodnie, patrząc mu prosto w oczy. - A nazywam się Coogan, Mary Coogan.

Zdołali przekazać sobie jakiś sygnał, coś w rodzaju rozpoznania, ale nie był w stanie powiedzieć, co to oznacza.

- Sheila to znacznie ładniejsze imię.

- Niestety, nazywam się inaczej. I nadal nie wiem, o czym pan mówi.

- Mówimy o Stephenie Hayesie - wtrącił się Holland. - Opowiedział nam o pani małej wycieczce na rzecz Seana Russella i

Sprawy.

- Nie znam żadnego Seana Russella. - W jej głosie nadal nie było słycać obawy, ale Barry był chyba jedynym, który zauważył, że zaczęła mówić z nieco wyraźniejszym akcentem. W głębi duszy wracała do domu.

- Sean Russell, taki wysoki rudy facet - wyjaśnił Holland. - Rozbija się sportowymi samochodami po całym Dublinie. Za dużo pije i za dużo przebywa z irlandzkimi kurwami.

- Mówiłam już panu, nie znam żadnego Seana Russella.

- Wiemy, że jest już w Ameryce. Przyjechał do Nowego Jorku dwa tygodnie temu norweskim statkiem „Stavangerfjord”. Sir James i wicedyrektor Foxworth zostali ostrzeżeni o jego przyjeździe, ale Russell zdołał się wymknąć. Sądzymy, że pani wie, jak go znaleźć. Sądzymy, że ma pani mu przekazać jakieś informacje od Herr Riddera, pani znajomego z „Empress of Britain”.

- Nie znam nikogo o nazwisku Stephen Hayes, nie znam nikogo o nazwisku Sean Russell i z całą pewnością nie mam żadnego znajomego o nazwisku Ridder. - Zdusiła papierosa.

- Wielu ludzi pani nie zna - zauważył Holland. Zdjął okulary i przetarł je chusteczką. Odchylił głowę i zamknął oczy. - Jest pani uparta, panno Connelly, ale nie jest pani głupia. Wie pani, kiedy gra się kończy.

- To jakaś pomyłka.

Holland postukał się w nos końcem oprawki okularów.

- Nie ma mowy o pomyłce. Sheila Connelly, córka Michaela i Mary Connellych. Oboje zabici przez Niebieskie Koszule w 1933 roku. Kochanka Seana Glynnna, który powiesił się w celi w Arbour Hill trzy lata później. Sheila Connelly, która ma gdzieś Sprawę, bo wie, że przez nią giną ludzie, których kocha. Robi pani to, czego chcą

ci ludzie, bo tak zawsze było. Nie zna pani innego życia.

Barry obserwował, jak twarz kobiety tężeje. Oczy jej zapłonęły.

- Pan jest jednym z tych ze specjalnej, tak? Jednym z tych, którzy zabili mojego Seana!

- Pani Sean sam się powiesił na skręconym kocu, upiwszy się z kumplami jakimś alkoholem, który produkowali w więziennej kuchni. Tuż przedtem słyszano, jak płacze, chodzi po celi i deklamuje na głos wiersze Jimmy'ego Steela z „Wolfe Tone Weekly”. Niektórzy sądzą nawet, że powiesili go sami koledzy, bo był bliski załamania i wyśpiwania wszystkiego, co wiedział.

- To wstrętne kłamstwo! Sean nie był kapusiem! Był patriotą! Bohaterem!

- Ani jednym, ani drugim - odparł Holland i znów pochylił się do przodu, zakładając okulary. - Był młodym chłopakiem. Wpadł w to wszystko za głęboko i nie widział wyjścia. Tak jak pani.

Telefon stojący przed Foxworthem rozdzwonił się głośno, sprawiając, że wszyscy zamarli. Zadzwonił po raz drugi. Wicedyrektor FBI podniósł słuchawkę.

- Foxworth. - Słuchał przez chwilę, notując coś w notatniku, po czym odłożył słuchawkę na widełki. - Dzwoni nasze laboratorium. Rozszyfrowali wiadomość, którą panna Connelly otrzymała od Herr Riddera.

- W książce? - zapytał Holland. Foxworth skinął głową.

- Na wewnętrznej stronie obwoluty. Wykorzystano tlenek rtęci. Pod wpływem oparów amoniaku czernieje.

- Jaka to wiadomość? - pytał dalej Holland.

- Nie jestem pewien, czy obecna tu panna Connelly powinna ją usłyszeć - wtrącił się Paget.

- No nie wiem, sir James - odparł Foxworth i uśmiechnął się,

pozwalając sobie na lekki zaśpiew akcentem z Missisipi. - Może nadszedł czas, by panna Connelly dowiedziała się, z jakimi ludźmi się zadaje.

- Co pan może o tym wiedzieć? - rzuciła gniewnie, również nie kryjąc akcentu. - Mieszkam w kraju, który został rozdarty na dwie części i wciąż krwawi. Tylko dlatego, że tak chcą ludzie tacy jak ten pański sir James.

Foxworth uśmiechnął się.

- Jakiś czas temu też mieliśmy u siebie wojnę domową, panno Connelly. Zdołaliśmy się jednak jakoś pogodzić z jej wynikami. - Przerwał. - Czy pani ma w ogóle pojęcie, co Russell tutaj robi?

- Zbiera fundusze, podobnie jak podczas poprzedniej wizyty.

- Obawiam się, że nie tym razem.

- Panie Foxworth... - zaczął Paget. Foxworth nie zwracał na niego uwagi.

- Informacja przekazana przez Riddera to pełny plan podróży króla i królowej Anglii po Stanach Zjednoczonych, od chwili kiedy przejadą granicę przy wodospadzie Niagara, aż do wyjazdu. Znajduje się tam również kilka numerów telefonicznych do ludzi, którzy mogą mu pomóc w zdobyciu materiałów niezbędnych do sporządzenia bomby. - Skinął głową w stronę Hollanda i Barry'ego. - Ci panowie również mają informacje, które pozwalają nam wierzyć, że Russell zamierza zabić króla i królową, a jeśli będzie stał obok nich nasz prezydent, tym lepiej dla Russella. - Foxworth przerwał. - Zapewne pani wie, że pan Roosevelt nie jest zwolennikiem waszej drogiej Sprawy.

Connelly była wyraźnie wstrząśnięta. Jej twarz zmieniła kolor na popielaty.

- Kłamie pan - szepnęła po dłuższej chwili.

- Dlaczego miałbym to robić? - zapytał Foxworth łagodnie. - Co bym przez to zyskał?

- A co zyskujemy, ujawniając jej te informacje? - warknął Paget.

- Być może współpracę - odparł Foxworth.

- Na pewno nie od kogoś takiego jak ona.

Connelly zapaliła kolejnego papierosa. Holland pochylił się ku niej.

- On ich zabije, Sheilo. Innych pewnie też. Russell i jego banda współpracują z ludźmi Hitlera, by jankesi nie wmieszali się do wojny. Sądzą, że w ten sposób ich poróżnia. Musisz mi uwierzyć.

- Wszyscy to mówicie. Nawet oni - odparła Connelly, zaciągając się mocno papierosem. - „Musisz nam uwierzyć, Sheilo, w imię Sprawy. Sean zginął w imię Sprawy”. Moi cholerni rodzice też zginęli w imię Sprawy. - Zdusiła papierosa w popielniczce. - I niech sam dobry Bóg przeklnie tę cholerną Sprawę. Ja mam dość. Koniec. Wsadźcie mnie do więzienia. Wolę tam zgnieć, niż zmarnować życie, walcząc w imię Sprawy. - Rozejrzała się po zebranych. - Jestem tym tak cholernie zmęczona. - Łzy pociekły jej po policzkach, a ogień w oczach przygasł.

Obserwując ją uważnie, Barry zrozumiał, że nie była to nagła cudowna odmiana. Nie pierwszy raz zastanawiała się nad swoim życiem w IRA i powodami, dla których to robi. Być może myślała o tym i sto razy. Prześladowało ją to przez całe życie, było jak rana, która nigdy się nie goi. W tej chwili myślał tylko o tym, że to dla niej szansa i zrobi wszystko, by ją wykorzystać. Szaleństwo!

Foxworth skinął na agenta Elleswortha. Ten wstał, ostrożnie pomógł Connelly podnieść się z krzesła i wyprowadził ją z sali. Foxworth postukał ołówkiem w blat stołu.

- Nie wiem, jaki był cel tego małego dramatu, który właśnie

obserwowaliśmy - powiedział Paget.

- To zbieranie informacji - odparł Foxworth.

- I czego się w ten sposób dowiedzieliśmy?

- Że ona jest człowiekiem - odparł Barry sztywno, nie zważając na kwaśne spojrzenie Pageta. - Że ma słabości.

- A w jaki sposób zmienia to naszą obecną sytuację? Foxworth uśmiechnął się.

- To oznacza, że można ją wykorzystać.

Kiedy Jane wysiadła z metra, robiło się już ciemno. Większość sklepów była pozamykana, a uliczne światła właśnie się zapalały. Był weekend, więc w budynek Faltiron zalewały ciemności, ale sklep Walgreens był jeszcze otwarty i oświetlony. Przeszła przez Piątą Aleję i weszła pod pasiastą markizę sklepu.

Nie zwracała uwagi na nachalne spojrzenia taksówkarzy jedzących kolację w barku. Na wypadek, gdyby później zgłodniała, wzięła puszkę ciasteczek Golden Bear. Później poprosiła Ricky'ego z cukierni, by zrobił jej kubek kawy. Ricky bujał się w niej bez opamiętania. Zawsze dawała mu podwójny napiwek i najśłodszy z uśmiechów, choć na czole i Bóg wie gdzie jeszcze miał całe stado pryszczycy. Niech chłopak ma o czym pomarzyć, skoro mogła dodać mu pewności siebie, to czemu nie? Z zakupami w ręku wróciła na drugą stronę Piątej Alei i weszła do ciemnego budynku, zonglując kubkiem z kawą, kluczami i torbą z puszką tuczających ciasteczek.

Jadąc klekoczącą windą na górę, próbowała znów poskładać kawałki układanki. Starła się odgonić smutek i skupić na faktach. Od Howiego, podrzędnego mafijnego prawnika, ślad prowadzi do Shallecka, wysoko postawionego prawnika mafii, a dalej do jednej z

firm Joe Kennedy'ego. To z kolei pasowało do sugestii Bushy'ego, że we wszystko zamieszani byli również demokraci. Potwierdzał to fakt, że związany z demokratami komisarz policji ostrzegł jednego z detektywów z wydziału zabójstw, by nie mieszał się do sprawy Howiego. Kółko się zamyka, ale był to krąg sięgający daleko. Nawet po złożeniu tych kawałków zastanawiała się, jaki obrazek jej wyszedł.

Winda zatrzymała się i Jane niemal na pamięć zaczęła iść pogrążonym w mroku korytarzem. Dotarła do drzwi, postawiła na podłodze papierową torbę i kubek z kawą, wyjęła klucze z torebki i przekręciła je w zamku. Pochyliła się, podniosła swoje rzeczy i stanęła bokiem, by popchnąć drzwi ramieniem.

Zaraz po tym sznurek przywiązany do klamki od wewnątrz i przeciągnięty przez oczko przykręcone do framugi naprężył się i wyjął zawleczkę ze sprężynowego zapalnika domowej roboty wciśniętego w ćwierć kilo materiału wybuchowego ustawionego na biurku. Zapalnik wykonany z miedzianej rurki i spłonki od starego pistoletu automatycznego Remington kalibru 38 odpalił główny ładunek.

Potężne ciśnienie wywołane przez wybuch pchnęło drzwi prosto w twarz Jane i odrzuciło ją wielką siłą przez korytarz aż na przeciwległą ścianę. Kawa z kubka zmieszana z ciasteczkami z rozerwanej puszki ochlapała ścianę i sufit korytarza słodką, żółto-brązową papką, która jak klej chwyciła chmurę zakrwawionych, opalizujących niebieskich i zielonych piór wirujących w powietrzu niczym kolorowa śnieżycą. Spódnica Jane podarła się w strzępy, rajstopy Real Silk praktycznie wyparowały z nóg, a brwi spłonęły wraz z pasmami włosów.

Kilka sekund później resztki Ponce de Leona zaczęły osiadać na podłodze, a ogłuszający huk bomby zastąpiły coraz głośniejsze

trzaski małych płomieni. Ze zniszczonego mieszkania dotarło dalekie dźwięczne echo odłamków szkła spadających na bruk chodnika przy placu Belgijskim dziesięć pięter niżej.

Rozdział 15

1 czerwca 1939 roku, czwartek

Jasper, prowincja Alberta, Kanada

Zdaniem królewskiego wicesekretarza Tommy'ego Lascellesa przygotowania do wizyty króla i królowej w Kanadzie były niekwestionowanym pasmem sukcesów. Ostatecznie zamiast statku Cunarda zdecydowano się na podróż jednym z kanadyjskich transatlantyków, „Empress of Australia”. W drodze powrotnej królewska para miała skorzystać z bliźniaczego „Empress of Britain”. Dzień po przybiciu do Montrealu z Barrym, Hollandem, Herr Ridderem i Sheilą Connelly na pokładzie „Empress of Britain” popłynęła w górę rzeki Świętego Wawrzyńca, do Halifax, gdzie przez miesiąc przystosowywano ją do królewskich wymagań.

Podróż rozpoczęła się w Portsmouth szóstego maja, kiedy król, królowa i ich orszak wsiedli na statek. Ich odjazd obserwowali ze specjalnej trybuny członkowie królewskiej rodziny: królowa Mary, matka króla, księżęta Kentu i Gloucester, księżniczka i jej mąż oraz reszta dworu, lokalni dygnitarze i urzędnicy. Ani księżniczka Elżbieta, ani księżniczka Małgorzata nie towarzyszyły rodzicom w podróży; obie przysły ich odprowadzić.

Chociaż pierwotnie zdecydowano się na zwykły transatlantyk, żeby żaden z okrętów wojennych nie opuszczał wybrzeży Anglii, krążowniki HMS „Repulse”, HMS „Glasgow” i HMS „Southampton” odprowadziły „Empress of Australia” daleko na Atlantyk. Trzeciego dnia „Repulse” zawrócił do Anglii, ale pozostałe dwa towarzyszyły

statkowi jako królewska eskorta.

Kiedy dotarli do połowy Atlantyku, pogoda zaczęła się pogarszać. Zaczęło się od gęstej mgły, potem pojawiły się pola i góry lodowe, które król filmował nową kamerą Kodaka, kupioną specjalnie na tę podróż. Rejs zamiast planowanych sześciu dni trwał jedenaście, ale w końcu „Empress of Australia” dotarła do Zatoki Wolfe’a i zawinęła do Quebecu.

Po męczącym dniu pełnym zwiedzania, prezentacji i parad, orszak uczestniczył w wystawnym bankiecie w hotelu Chateau Frontenac. Królewska para wyszła dość wcześnie, choć wokół tysiące ludzi wiwatowały na ich cześć do białego rana. Po prostym prywatnym śniadaniu król i królowa udali się samochodem do królewskiego pociągu na dworcu w Quebecu.

Miał dwanaście wagonów, z czego pięć było pasażerskich. Wszystkie w kolorach królewskiego błękitu i srebra. Dwa ostatnie ozdobiono królewskimi insygniami i oznaczono jako Wagon 1 i Wagon 2. Zwykle używał ich gubernator generalny Kanady lord Tweedsmuir, znany miłośnikom literatury bardziej jako John Suchan. Jego książka *Trzydzieści dziewięć kroków* kilka lat wcześniej była podstawą scenariusza do emocjonującego i popularnego filmu Alfreda Hitchcocka.

Wagon 1, na samym końcu składu, zawierał dwie główne sypialnie. Sypialnia króla obita była niebiesko-białą bawełnianą tkaniną. Sypialnia królowej była niebiesko-szara, z brudno-różowymi adamaszkowymi obiciami foteli i odpowiednio dobranymi zasłonami. Był tu również obity dębową boazerią gabinet dla króla, garderoba, prywatna łazienka dla obojga, salon z radioodbiornikiem i mała biblioteka. W Wagonie 2 znajdowały się dwie sypialnie dla najwyższych rangą urzędników oraz biura, garderoby i łazienki.

W następnym wagonie znajdowała się sypialnia i gabinet kanadyjskiego premiera McKenzie Kinga. W pozostałych podróżowało około pięćdziesięciu osób, w tym członkowie orszaku, urzędnicy gabinetu premiera, stenografowie, pracownicy kolei, pokojówki, pokojowi oraz osobiści ochroniarze króla i królowej, kontyngent Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej i komisarz całej kanadyjskiej policji Stuart Wood. Dwa wagony bagażowe dosłownie pękały w szwach od setek zmian ubrań dla królewskiej pary.

Pociąg ciągnęła potężna lokomotywa Canadian Pacific 2850 wyposażona w masywny silnik Hudsona z nierdzewnej stali, specjalnie odremontowany na tę okazję. Lokomotywę pomalowano w kolorach królewskiego błękitu, srebra i złota. Po bokach przymocowano korony, a nad reflektorem umieszczono herb. Chociaż pociąg podczas prób wytrzymywał prędkość ponad stu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, podczas podróży z Quebecu do Vancouver rzadko przekraczał pięćdziesiąt pięć na godzinę. Szybciej jechał tylko nocami.

Pół godziny przed królewskim pociągiem cały czas jechał pociąg pilotujący, na pozór nieróżniący się niczym od zwykłych składów. W środku jechali specjaliści od łączności, dodatkowi funkcjonariusze kanadyjskiej policji, urzędnicy poczty, telegrafiści i telefoniści. Była tu nawet specjalna ciemnia dla fotografów i ekip filmowych oraz miejsce dla ponad sześćdziesięciu pięciu reporterów. Dziennikarze zdawali sobie sprawę, że pociąg pilotujący to również jedno z zabezpieczeń dla królewskiego orszaku. Napisano to wyraźnie w „New York Timesie”:

Jeśli zawali się most, na trasę wtoczy się pociąg towarowy albo ktoś podłoży pod torami bombę, minie trzydzieści minut, nim pociąg wiozący przez Kanadę króla Jerzego VI i królową Elżbietę trafi na

wrak pociągu pilotującego oraz poszarpane ciała reporterów i fotografów relacjonujących wizytę Ich Królewskich Mości.

Przez następne dwa tygodnie królewska para jeździła po kraju, a pociąg był im domem i schronieniem. W Montrealu uniknęli kontrowersji podczas spotkania ze znanym z faszystowskich sympatii burmistrzem. Ochroniarze i policjanci mieli pełne ręce roboty, w Ottawie bowiem złamano wszelkie reguły bezpieczeństwa. Podczas poświęcenia nowego pomnika pamięci ofiar wojny królowa postanowiła nagle wmieszać się w tłum. Dostojni goście poznali też pięcioraczkę państwa Dionne i zainaugurowali nową gonitwę - King's Plate - na torze konnym Woodbine w Toronto.

W Winnipeg spotkała ich ulewa, podczas której przemokli do suchej nitki, jadąc w otwartych limuzynach Packarda. Z okazji urodzin swojej babki, Wiktorii, król wygłosił chłodne przemówienie radiowe złożone z ośmiuset przesadnie artykułowanych słów. W Manitobie król i królowa otrzymali dwie głowy łośi i dwie skórki czarnych bobrów, jako symbol dawnego czynszu, którego Karol II zażądał od Hudson Bay Company. Jeden z reporterów obliczył, że król uściśnął trzy tysiące rąk i do końca podróży uściśnie kolejnych dziesięć tysięcy.

Gdzieś po drodze koronowany gość otrzymał tytuł Wielkiego Albinosa Klanu Czarnostopych Kaczek, aż w końcu orszak wjechał w góry i dotarł do maleńkiego kurortu Banff z wielkim hotelem wyglądającym jak zamek - Banff Springs. Tam goście wysłuchali chóru półtora tysiąca dzieci śpiewających *Wiosnę w Górach Skalistych*, spacerowali samotnie nad brzegiem rzeki Bow i na kolację zjedli stek z bizona. Po cichu mówiono, że król wygląda na wyczerpanego.

Po jednodniowym odpoczynku w Banff pojechali dalej na zachód

w stronę Pacyfiku. O świcie w poniedziałek dwudziestego dziewiątego maja wyjechali z gór i wtoczyli się do doliny Frasera. O dziesiątej rano królewski pociąg dotarł na stację linii kolejowych Canadian Pacific obok doków w Vancouver. Po krótkiej ceremonii powitalnej w nowym ratuszu, utrzymanym w lekko totalitarnym stylu art deco, królewska para odwiedziła szpital dla weteranów i Uniwersytet Kolumbii Brytyjskiej, zjadła obiad w kolejnym podobnym do zamku, należącym do kanadyjskich kolei, hotelu Vancouver. Później przejechali przez nowy most Lions Gate i wsiedli na pokład należącego również do kolei statku „Princess Marguerite”. Kiedy niewielki stateczek, przez chwilę pełniący rolę królewskiego, dotarł do Victorii, król wypoczął na tyle, że mógł dalej pełnić obowiązki, znosić kolejne spotkania i przyjęcia, między innymi kolejny wystawny obiad w następnym luksusowym hotelu kanadyjskich kolei - tym razem był to porośnięty bluszczem hotel Empress.

Ze względu na problemy króla z mówieniem nawet najkrótsze toasty na wszystkich tych przyjęciach wprowadzały nerwową atmosferę, a najbardziej denerwował się Tommy Lascelles, spod którego ręki wyszła większość owych toastów. Kiedy do królewskiej jadalni w hotelu Empress wtargnęła ekipa filmowa, zalewając główny stół światłem swoich lamp, Lascelles był wściekły i obawiał się, że królowi znów przydarzy się atak nerwowy, zwłaszcza że ten akurat toast nadawano przez radio. Tymczasem król przebrnął przez tekst bez zajknięcia i był bardzo dumny z siebie, a na pamiątkę zażądał nagrania, które oczywiście mu przekazano.

Następnego dnia wyjechali z Victorii i wrócili do Vancouver, by udać się samochodem do New Westminster. Tam znów przesiedli się do królewskiego pociągu, tym razem jadącego torami Canadian

National Railway i ciągniętego przez lokomotywę tej samej firmy. Mknęli nim przez resztę dnia i całą noc, a następnego dnia rano, w czwartek pierwszego czerwca, przyjechali do Jasper w stanie Alberta na dzień odpoczynku.

Ogłoszono, że jest to dzień prywatny, ekipom filmowym i fotografom zabroniono śledzić królewską parę. W południe król i królowa zadomowili się w Outlook Cabin, rezydencji przylegającej do znacznie większej posiadłości Jasper Park Lodge. Kiedy król kręcił kolejne metry domowego filmu, królowa wybierała kwiaty. Reszta towarzystwa, zarówno z pociągu pilotującego, jak i z królewskiego, zrobiła sobie tego dnia wolne. Zajęli się łowieniem ryb, pływaniem, tenisem i golfem.

Tommy Lascelles nie był jednak odprężony, choć dookoła rozciągał się malowniczy krajobraz. Jego zdaniem kanadyjska część podróży była niemal bez znaczenia. Ten kraj był lojalnym dominium powiązanim z Anglią setkami więzów i umów, nie mówiąc już o powszechnej tu, może z wyjątkiem Quebecu, popularności królewskiej pary i patriotyzmie.

Anglia stała na krawędzi wojny, ale do tej pory król nie wspominał o tym nawet słowem. Przez całą podróż kiepsko wykształcona, prosta Szkotka z zamku Glamis dominowała wszędzie, decydowała, jakie przemówienia „drogi Bertie” powinien wygłosić i gdzie, ona stała w świetle reflektorów, najwyraźniej po to, by pomóc mężowi przemóc nieśmiałość, i to ona wygłaszała naiwne, a czasami idiotyczne komentarze na temat obecnej sytuacji politycznej na świecie.

W amerykańskiej prasie kilka razy już o tym wspomniano, między innymi w ostrych artykułach w „Timie” i „Newsweeku”, z których jasno wynikało, że w całej tej wizycie chodzi o to, by

przekonać Roosevelta i mieszkańców Stanów Zjednoczonych do udziału w niepopularnej wojnie z Niemcami. Król i królowa mieli być w Stanach tylko przez pięć dni, ale to może wystarczyć na spolaryzowanie opinii, zwłaszcza jeśli jedno z nich popełni jakąś gafę.

Od godziny Lascelles próbował zebrać myśli i spisać je w dzienniku. Na razie nie zanotował nic poza tym, że w całym pociągu aż huczało od plotki, iż znajdował się na królewskiej liście kandydatów do tytułu szlacheckiego. Po tylu latach poświęconych rodzinie Windsorów wydawało mu się to uczciwą zapłatą.

Rozległo się krótkie nerwowe pukanie do drzwi.

- Wejść.

Do saloniku wszedł Stuart Wood, wysoki, barczysty komisarz kanadyjskiej policji. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy Lascelles widział go bez szkarłatnego munduru gęsto obwieszonego medalami. Komisarz przyniósł coś, co wyglądało jak garść złotych kartek z telegrafu. Królewski urzędnik gestem wskazał mu drugi fotel przy swoim przenośnym stoliku, zaproponował papierosa Senior Service i obaj zapalili.

- Jakiś problem? - zapytał Lascelles, wskazując kartki z telegrafu.

- Niewykluczone. Jak pan wie, przedstawiciele FBI i Scotland Yardu tropią Seana Russella.

- Szefa IRA?

- Tak.

- Podobno jest w Stanach Zjednoczonych i zbiera pieniądze.

- Chodzi o coś więcej. Mamy informacje, które pozwalają przypuszczać, że istnieje spisek na życie Ich Królewskich Mości i że to Russell jest główną postacią spisku.

Lascelles wzruszył ramionami.

- Jeśli są na to dowody, zapewne bez trudu można go aresztować.
- To nie takie proste, jak mogłoby się wydawać.
- Jak to?
- FBI polecono jedynie śledzić Russella.
- Czyj to pomysł?
- Proszę mi wierzyć lub nie, ale jest to podobno polecenie samego

Roosevelta.

- Nie jestem zaskoczony. - Lascelles wzruszył ramionami. - W przyszłym roku wybory. Russell w Anglii jest uważany za bandytę, ale w Ameryce wręcz za bohatera. Roosevelt nie chce sobie zrażać irlandzkich wyborców. Straciłby Nowy Jork, Boston i Detroit, a to kluczowe miasta, potrzebne do zwycięstwa w następnych wyborach.

- Widzę, że sporo pan wie na temat amerykańskiej polityki.

- Kiedy byłem sekretarzem kanadyjskiego gubernatora generalnego, musiałem też nauczyć się wszystkiego o kanadyjskiej polityce. - Lascelles uśmiechnął się złowieszczo. - Wtedy wystarczyło policzyć działka na okrętach wojennych. Teraz to samo robi się za pomocą urn do głosowania i kosztownych kampanii. W skrócie chodzi o to, że Roosevelt nie pozwoli na żadne kroki przeciwko Russellowi, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. - Lascelles zrobił dziwną minę. - Zresztą on nie wygląda na zamachowca. Jest zbyt znany.

- A teraz nawet coraz bardziej - wtrącił Wood. - Niejaki doktor Dinsley wystąpił w Los Angeles na konferencji prasowej i powiedział dziennikarzom, że jest agentem brytyjskich służb specjalnych, wydziału F-10, i oto ogłasza, że Sean Russell przybył do Stanów Zjednoczonych najwyraźniej z zamiarem zabicia króla i królowej.

Lascelles zmarszczył czoło.

- Żadna ze służb specjalnych nie ma wydziału F-10.

- Owszem, i następnego dnia w gazetach nie omieszkało tego podkreślić. W prasie straszliwie wyśmiano Dinsleya i jego pomysł, że Russell może być zamachowcem.

- A co się stało z samym Dinsleyem?

- Zapadł się pod ziemię. Ale narobił szkód.

- Kto zorganizował tę konferencję?

- Niejaki Lechner z działu public relations filii Legionu Amerykańskiego w Los Angeles.

- A FBI?

- Russell przestał ich interesować. Wysłałem telegram do Hoovera z prośbą o fotografie i rysopis Russella na wypadek, gdyby próbował przekroczyć granicę, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

- Mamy jakiegokolwiek pojęcie, gdzie on się teraz znajduje?

- Żadnego. - Komisarz przerwał i przez chwilę gładził sobie wąsy.

- Czy król wie o tym wszystkim?

- Nie.

- Może powinien się dowiedzieć?

- Raczej nie. Na razie lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Król siedział na otwartej werandzie maleńkiej chaty w wielkim hotelu w stylu Adirondack, pałac nie wiadomo już którego playersa. W jeden z podłokietników fotela wbudowano cynową popielniczkę, w drugim znajdowało się wgłębienie na szklankę. Król uważał, że to doskonały pomysł. Choć było dopiero po dwunastej, w zagłębieniu stała już szklanka z podwójnym dżinem i tonikiem. Nieco niżej, na łące Buffy i jedna z dam dworu, lady Nunburnhole, śmiały się i układały bukiety z dzikich kwiatów.

Na królewskich kolanach leżała książka Szarej Sowy, którą otrzymał od jakiegoś urzędnika podczas jednego z postojów na północy Ontario. Uśmiechnął się na wspomnienie, jak odziany w

skóry stary oszust, który naprawdę nazywał się Archie Belaney, odwiedził dwa lata temu pałac Buckingham. Razem z Buffy zakradli się na palcach do bawialni i patrzyli, jak mężczyzna z piórem we włosach splecionych w warkocze łagodnym głosem opowiada o sekretach stolarki, a małe księżniczki słuchają go z szeroko otwartymi oczyma. Później przez wiele dni żaden corgie nie był w stanie uciec przed Lilibeth i Małgorzatą, które, wydając wojenne okrzyki, ściagały psy po korytarzach i strzelały do nich ze swoich skleconych byle jak łuków. Upierały się, że corgie to wilki, a wilcze skóry sprzedane w Hudson Bay dadzą im „kupę dolarów”.

Król odpalił jednego papierosa od drugiego - ten zwyczaj Buffy uważała za „po prostu odrażający”. Potem wypił łyk drinka. Miał ćwiczyć oddychanie i relaksować się, tak jak uczył go Logue, logopeda z Harley Street. Ale dzisiaj nie miał do tego siły. Ćwiczenia były męczące, a większość z nich polegała na ciągłym powtarzaniu skomplikowanych bezsensownych zdań w rodzaju „I cóż, że ze Szwecji”. Uczył się także, jak oddychać przeponą zamiast krtanią. Ponieważ na razie nie zanosił się na to, by miał wygłaszać jakieś dłuższe przemówienia, postanowił dać sobie spokój z ćwiczeniami, przynajmniej tego dnia. Logue nalegał na rzucenie palenia, sugerując, że wpłynie to nie tylko na oddychanie, ale na ogólny stan zdrowia. Uwaga była o tyle słuszną, że ojciec króla, Jerzy V, zmarł z powodu choroby dróg oddechowych. Ale Bertie odmawiał, upierając się, że poza ćwiczeniami Logue’a jedyną rzeczą, która uspokajała go na tyle, by przemawiać długo bez jąkania, były właśnie papierosy. I dżin.

Podniósł książkę z kolan i popatrzył na okładkę. Indianin - bez wątpienia Archie - wiosłował w canoe z brzoźowego pnia wzdłuż brzegu jeziora. W tle wznosiły się wysokie sosny, a wysoko w górze na bezchmurnym niebie krążył jastrząb lub orzeł. Wystarczyło

przypatrzyć się uważniej, by dostrzec pośród drzew głowę daniela. Archie przyszedł na świat w jakichś obskurnych przedmieściach Birmingham czy Manchesteru, ale zdołał zmienić się w Indianina, i to słynnego. A teraz, kiedy ujawnił ten sekret publicznie, stał się słynnym oszustem.

Obaj byli oszustami. Król dlatego, że nie wiedział i nie chciał nic wiedzieć o królewskim rzemiośle, że panicznie bał się kobiet, nawet swojej ukochanej Buffy, że ukrywał leworęczność, którą ojciec i nauczyciele dosłownie wybijali mu z głowy w dzieciństwie. W tajemnicy, niczym dziecko ssące kciuk, pozwalał sobie na robienie wielu rzeczy lewą ręką. Popatrzył na okładkę książki i poczuł, że do oczu napływają mu łzy wściekłości. Ulicznik, taki jak Archie Belaney, mógł sobie chodzić, gdzie mu się żywnie podobało, pływać po rzekach i jeziorach, żyć z tego, co rodzi ziemia, być kimś, bawić się, roztaczać uroki innego świata przed małymi dziewczynkami. Tymczasem on, król i władca, nie mógł nic, był nikim. Absolutnie nikim. Nie liczył się talent, pragnienia, chęci ani możliwości. Nic się nie liczyło poza krwią właściwym dziedzictwem. Kiedy się nad tym zastanowić, król Anglii potrafił jedynie grać w tenisa i strzelać do kuropatw. Trudno było to uznać za powód do istnienia, a tym bardziej do odbywania niekończącej się podróży po tym gigantycznym kraju. Czuł się jeszcze mniejszy i bardziej bezużyteczny niż zwykle.

Na werandę weszła Buffy w niebieskiej sukni. Niosła naręczę kwiatów. Lady Nunburnhole została jeszcze na łące.

- Robiliśmy już nasze ćwiczenia? - zapytała królowa. Król zdobył się na uśmiech i kiwnął głową. Zdusił papierosa.

- Właśnie się do nich zabieram.

Rozdział 16

2 czerwca 1939 roku, piątek

Chicago, Illinois

Thomas Barry stał w oknie apartamentu na jedenastym piętrze, który od trzech dni dzielił z Sheilą Connelly. Patrzył ponad Aleją Michigan na potężne stalowoszare jezioro ciągnące się aż po horyzont. Kilka żaglówek wypuściło się poza płyczną zatoki, ale ciemna woda, spienione fale i ostra bryza od jeziora nie zachęcały do spędzenia dnia na wodzie. Dochodziła dopiero trzecia po południu, a zachmurzone niebo i przelotne deszcze sprawiały wrażenie zmierzchu.

Barry odwrócił się od okna. Spojrzał na tapczan, gdzie siedziała Connelly i czytała „Time’a”. W ręku miała papierosa, a na stoliku obok kubek kawy. Ubrana była w tweedowe spodnie, białą bluzkę i pantofle z miękkiej skóry, wszystko świeżo zakupione po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Za nią, na szerokiej półce pod wielkim lustrem obok drzwi, leżał egzemplarz *Maski Dimitriosa*, który otrzymała od Riddera. Wywołane amoniakiem pismo wyblakło kilka tygodni temu. Ale miało pojawić się ponownie, o czym zapewniali ich przed wyjazdem z Nowego Jorku technicy z laboratorium FBI.

Dopiero po tygodniu Sheila Connelly zaczęła się do Barry’ego odzywać, a po kolejnym tygodniu uzyskała minimum jej zaufania. Kiedy minął trzeci tydzień, poznali się nawzajem dość dobrze, głównie dzięki wyobcowaniu z zewnętrznego świata. Barry był brytyjskim policjantem urodzonym i wychowanym w katolickiej

Irlandii, co wykluczało pełną akceptację w którymkolwiek z obu krajów. Connelly walczyła w imię sprawy, ale dawno już straciła do tego zapał i wiarę. Ta izolacja od świata w pewnym sensie zbliżyła ich trochę, ale nawet teraz Barry wciąż uważał się za strażnika Sheili, a zarazem towarzysza. Na potwierdzenie tego nosił szelki z kaburą i rewolwerem Smith & Wesson kalibru.38. Sam Foxworth nalegał, by Barry nosił broń w obecności Connelly.

- To przynęta - przypomniał mu wicedyrektor FBI przed ich wyjazdem z Nowego Jorku. - Nie zapomnij o tym, Barry. To nie jakaś bohaterka walcząca za swoje przekonania, niezależnie od tego, co ona mówi i co ty o tym myślisz. To przynęta, za pomocą której chcemy wywabić Seana Russella.

- Sheila Connelly położyła „Time’a” na stoliku, wypić łyk kawy i zaciągnęła się papierosem. - Sielska scenka, prawda? Szczęśliwa młoda para w podróży do Chicago.

Barry czuł, że się czerwieni. Od miesiąca mieszkali blisko siebie i ciągle mu o tym przypominała, po to tylko, by zobaczyć, jak się denerwuje.

Uśmiechnęła się do niego. - Czyż nie tak powinno to wyglądać? Tyle tylko że ty chodzisz nerwowo jak ojciec w czasie porodu, a pod ramieniem zwisa ci ten cholerny wielki pistolet. Russell go zauważy i da drapak, zobaczysz.

- Ty się zajmij swoją rolą, a ja się zajmę swoją.

- Ty nie masz roli - odparła. - Wszystko to jest naciągane i on nabierze podejrzeń.

- Nie nabierze, jeśli go uspokoisz. - Wepchnął ręce do kieszeni, bo nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. - Pamiętasz, co ustaliliśmy?

- Nazywasz się Tom Sullivan i jesteś z nowojorskiego oddziału Clan na Gael. - Clan na Gael to półtajna organizacja amerykańskich

Irlandczyków, która wspierała IRA, izolacjonizm i faszystowską organizację America First.

- A gdzie pracuję w Nowym Jorku?

- Jesteś nowojorskim policjantem.

- Co powinno wyjaśnić obecność rewolweru, zwłaszcza że wzięłem urlop po to, by być twoim ochroniarzem w czasie podróży po Ameryce.

- Od początku mówiłam i tobie, i twoim znajomym z FBI, że tego nie było w planie, a człowiek taki jak Russell jest podejrzliwy wobec wszystkiego, co odbiega od planu.

- Musimy zaryzykować.

- Nadal nie rozumiem po co.

- Doskonale rozumiesz. Osoba, z którą miałaś się skontaktować, ten doktor Doyle, mieszka w Detroit. Za kilka dni królewski pociąg przyjedzie do Windsor w prowincji Ontario, tuż za rzeką Detroit. Jeśli Russell chce podjąć jakąkolwiek próbę w Windsor albo kilkanaście kilometrów dalej, w Niagara Falls, trzeba go przyłapać na gorącym uczynku, z bombą albo materiałami do jej produkcji. Według Foxwortha tylko w ten sposób można go będzie skutecznie oskarżyć.

- Naprawdę sądzisz, że jest na tyle głupi i zabierze nas ze sobą?

- Nie będzie wiedział, dokąd ma iść, dopóki nie dasz mu książki, prawda?

- Nadal myślę, że to wszystko głupota.

- Być może, ale co masz do stracenia?

- Choćby własne życie.

- Po to jestem, żeby do tego nie doszło.

- Nieprawda, jesteś tu po to, żeby zobaczyć, czy dotrzymam swojej części umowy. Wydaję wam Seana Russella, a w zamian za to dostaję nowe życie w Ameryce. - Taką przynętą kusił ją Foxworth.

Ucieczka, nowe życie bez organizacji. Wolność.

- Moim zdaniem to uczciwy układ.

Zapaliła kolejnego papierosa i oparła się o poduszki. Barry zmieszał się, widząc jej krągłe piersi wypełniające materiał bluzki.

- Uczciwy układ? Naprawdę uważasz, że twoi znajomi dadzą mi nowe życie w tej Ziemi Obiecanej? Nie bądź idiotą, Thomas. Kiedy dostaną już to, czego pragną, wydadzą mnie na pastwę organizacji, a wiesz, co ona ze mną zrobi. W końcu mnie znajdą i dostanę kulkę w głowę, jak inni zdrajcy.

- Zdrajca to każdy, kto nie wierzy w ideały Republiki, czy tak?

- Kłócimy się jak para Irlandczyków. - Uśmiechnęła się.

- Jesteśmy nimi. - Czuł, że napięcie z jednej strony opada, choć rośnie w zupełnie innym miejscu. Sięgnął po papierosa do stolika przy łóżku. Connelly usiadła i złapała go za nadgarstek.

- Nie masz zbyt wielkiego doświadczenia z kobietami, co? Ani politycznego, ani innego.

- Mam wystarczające. - Uwolnił się z jej uścisku i zapalił. Wrócił do okna, by podziwiać szkwał na jeziorze.

- Kłamiesz, Thomasie Barry. Co by powiedzieli mnisi na taki grzech? - Czuł, że Connelly stoi tuż za nim, nieco z boku, z przeciwnego boku niż jego rewolwer.

- Doprawdy? A skąd niby to wiesz?

- Kobiety wiedzą takie rzeczy, Thomas. - Położyła rękę na jego ramieniu. Choć nie perfumowała się, czuł jej zapach: mydło, talk i coś jeszcze.

Oczywiście miała rację. Dla niego kobiety były zagadką - braciszku w Cork postarali się o to. Później, w wojsku, jedyną rozrywką dla nieżonatych mężczyzn były prostytutki, o których koszmarne opowieści snuł brat Emmett i jego koledzy w brązowych

habitach przepasanych sznurami. W policji od początku mieszkał w kwaterach dla kawalerów i tak już zostało. Choć jego żonaci koledzy, jak Morris Black czy Bob Fabian, próbowali go umawiać z różnymi młodymi kobietami, z żadnej z tych znajomości nic nie wyszło. Te kilka razy, kiedy posunął się dalej niż całus na dobranoc, kończyło się niezdarnie, z rumieńcem na twarzy. Connelly przysunęła się bliżej i Barry poczuł, jak jej jędrna pierś naciska na jego ramię. Próbował odsunąć się trochę, ale trzymała rękę na jego ramieniu i nie dawała mu się poruszyć.

- Czego się boisz? Jakiegoś jezuitę, bękarta, który przyłapał cię z rękami pod kocem? Powiedział ci, że wszystkie kobiety oprócz twojej matki i Maryi Dziewicy są zakaźnie chore?

Prawie trafiła i Barry ponownie oblał się rumieńcem. Zdołał się wreszcie odsunąć.

- To byli dominikanie i to ja byłem bękartem - odparł, wciąż wpatrując się w szare jezioro. - Posłali moją matkę do pralni. Ojca nigdy nie znałem.

- Jezu - szepnęła. Podeszła i położyła dłoń na jego piersi. - Tak mi przykro.

- Mnie również.

Trzymała dłoń na sercu Barry'ego. Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w usta. Smakowała dymem papierosowym i cukrem z kawy.

- Dlaczego to robisz? - zapytał, kiedy się odsunęła.

- To spisek po to, by przeciągnąć cię na rzecz Sprawy. - Uśmiechnęła się. - A może po prostu chcę cię uwieść, żeby zabrać twój rewolwer.

- Nie żartuj. Powiedz dlaczego.

Znów go pocałowała, tym razem usta miała bardziej miękkie.

Jedną ręką dotykała jego piersi, a drugą pogładziła go po policzku.

- Jestem samotna - powiedziała cicho. - I ty też.
- Czy to wystarczy?
- Dla takich jak my, chyba tak.
- Musimy spotkać się w parku z Seanem Russellem.
- Dopiero za godzinę. Mamy czas.

Poszli do łóżka, a kiedy skończyli, detektyw ze Scotland Yardu był zarówno zażenowany, jak i podniecony tym, że leży nagi obok kobiety. Był zmieszany tym bardziej, że nagość nawet w przebieralni na publicznym basenie wprawiała go w zakłopotanie. W sierocińcu w Cork pod prysznicem brat Emmett zauważył, że rośnie mu owłosienie na ciele. Zbił go za to mocno, podejrzewając, że chłopak zaczyna sobie robić dobrze.

Sheila Connelly najwyraźniej zupełnie nie przejmowała się tą sytuacją. Leżała na boku i wspólnie z nim paliła papierosa. Od czasu do czasu obracała się, by strącić popiół do filiżanki na stoliku. Było to równie podniecające jak sam akt miłosny, choć nie tak brzemienne w skutki.

- Pewnie myślisz sobie, że jestem dziwką prawda?
- Nie wiem, co mam myśleć.

Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej jesteś szczery.
- A większość mężczyzn nie jest?
- Tych szczerych nie ma tak wielu.
- Nie chciałem powiedzieć, że...

Znów się uśmiechnęła.

- Nie obraziłam się. Naprawdę.
- Przepraszam.
- Nie masz za co przeproszać. Odpowiadając na twoje pytanie,

mężczyźni, których znałam, zajęci byli głównie sobą, a kiedy pytali mnie o zdanie, zwykle chodziło o opinię na temat ich męskości i rozmiaru ich członka.

- I co im mówiłaś? - Barry wziął od niej papierosa i zaciągnął się.

- Zawsze to samo - odparła i tym razem uśmiechnęła się szeroko.

- Masz największego i jesteś najlepszym kochankiem, jakiego miałam.

- Założę się, że o mnie tego byś nie powiedziała.

- A ja idę o zakład, że to nie ma najmniejszego znaczenia dla mnie i dla większości kobiet. - Sięgnęła w dół i dotknęła go delikatnie. - Nie liczy się to, co masz tutaj, tylko mężczyzna, jaki jest do tego przyczepiony. I większość kobiet by się ze mną zgodziła. - Odwróciła się i zdusiła papierosa. - Zdaje się, że czas ruszać w drogę - rzekła, odwracając się z powrotem do niego.

Wyciągnął rękę i dotknął jej.

- Jeszcze chwileczkę.

Tuż po wpół do piątej dotarli do schodków granitowego cokołu w kształcie półksiężyca, na którym stał ogromny pomnik Abrahama Lincolna. Postument znajdował się na samym końcu długiego wąskiego parku. Po lewej ciągnęła się Aleja Michigan i rząd stojących wzdłuż niej hoteli i eleganckich biurowców. Po prawej między drzewami widać było ozdobne ogrody parku Granta i jezioro. Deszcz ustał, przynajmniej na razie, ale krople wciąż spadały z drzew wokół pomnika i moczyły postać z brązu, wiecznie stojącą z głową w dół przy wielkim fotelu.

Russell przyszedł przed nimi i siedział na granitowej ławce wbudowanej w ścianę otaczającą podium. Na kolanach położył sobie zwiniętą gazetę. Sheila Connelly w prawej ręce niosła książkę Erica Amblera, a Thomas Barry szedł po jej lewej stronie. Widząc książkę,

Russell wstał i podszedł do nich. Na podium nie było nikogo poza nimi. Park za ich plecami także świecił pustkami, tylko jakiś mały czarny pies uganiał się w oddali za piłką.

Barry ocenił, że Russell wygląda znacznie gorzej niż na zdjęciach, które Holland pokazywał mu w Londynie. Na tamtych fotografiach, robionych potajemnie z samochodu zaparkowanego na ulicy naprzeciwko hotelu Kelly's przy Great George's Street w Dublinie, Russell promieniał, był radosny, gładko ogolony. Włosy miał zaczesane do tyłu, a na szyi muszkę. Teraz wyglądał nie jak przywódca, ale jak ofiara pościgu, co było prawdą. Oczy miał małe i czarne niczym grzech. Rude włosy tworzyły grzywkę nad szerokim czołem. Biała koszula trąciła już szarością i była rozpięta pod szyją. Nosił o numer za mały płaszcz, który opinał mu szeroką, umięśnioną klatkę piersiową i barki. Miał ręce rzeźnika. Zatrzymał się na górze schodków, kiedy Connelly i Barry dotarli do ich pierwszego stopnia.

- Niezła książka, co? - zapytał Russell. Choć powiedział tylko kilka słów, dało się słyszeć ciężki akcent, taki jak jego dłonie. Wychował się w slumsach Phibsborough, niedaleko więzienia Mountjoy. Bieda i gniew były jego chlebem powszednim.

- Nie tak jak poprzednia - odparła Sheila Connelly. Według niej to miał być właściwy odzew na jego hasło.

- A jaki był tytuł poprzedniej? - zapytał o drugą część hasła.

- *Epitafium dla szpiega*.

- Świetnie, a zatem to ty, maleńka. A co to za typ?

- Przyjaciel. Nazywa się Thomas Sullivan.

- Nie wiedziałem, że ma się pojawić jakiś przyjaciel.

- Nastąpiły zmiany - wtrącił się Barry.

- Nie lubię zmian.

- My też nie.

- To znaczy?

- To znaczy, że wystarczająco dużo ryzykowaliśmy, żeby cię tu sprowadzić, i nie lubimy, kiedy gada się o tobie na konferencjach prasowych.

Russel uśmiechnął się szeroko.

- A więc słyszeliście?

- A kto nie słyszał? - odparł Barry.

I nie kłamał. Doniesienia o konferencji Alfreda Dinsleya, brytyjskiego agenta, podane dwa tygodnie wcześniej przez T.J. Devlina w „Los Angeles Times”, wywołały burzę w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Niewiele brakowało, by całą operację otaczania Russella w ogóle przerwać, ale Foxworth zdołał przeforsować swój plan i przekonał Hoovera, że warto nadal nad tym pracować.

- Za dużo było plotek - powiedział Russell, nie przestając się uśmiechać. - Konferencja prasowa była pomysłem naszego niemieckiego przyjaciela.

Zapewne chodziło o Fritza Weidemanna, playboya i nazistowskiego konsula w San Francisco. FBI założyło podsłuch i udało im się przechwycić rozmowę między Weidemannem, Russellem i człowiekiem o nazwisku Hermann Schwinn, który był gauleiterem, czyli przywódcą amerykańskiej organizacji nazistowskiej na Zachodnim Wybrzeżu.

- To twój pomysł? - dopytywał się Barry.

- Jego i mój - odparł Russell. Zszedł stopień niżej. - Wiedzieliśmy, że nasz człowiek z konferencji zostanie prześwietlony i cała sprawa będzie potraktowana jako błaga. To tak jakby spuścić powietrze z opony. Dzięki temu nie jestem na widelcu, że tak powiem. - Russell włożył prawą rękę do kieszeni. Uśmiechał się do Barry'ego, ale na jego twarzy nie było widać przyjaznych uczuć. - A

teraz, drogi „przyjacielu”, czas, żebyś mi powiedział, kim jesteś.

- Jestem przedstawicielem pańskich sponsorów.

- To znaczy?

- Clan, przecież dobrze wiesz.

- Nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie, kim jesteś?

- Mówiłem już, przyjacielu. Wysłano mnie z panną Connelly, by bezpiecznie dotarła do celu, a jeśli będzie trzeba, mam także chronić ciebie. Twoje zdjęcia rozwieszono w połowie komisariatów w tym kraju.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? - zapytał Russel, wciąż trzymając rękę w kieszeni.

- Bo pracuję w jednym z nich.

- Jesteś gliniarzem?

- Gliną - odrzekł Barry, ostrożnie wymawiając to słowo. - Z Nowego Jorku.

- Czy to nie absurd? Gliniarz na usługach poszukiwanego zbiega, takiego jak ja. A myślałem, że widziałem już wszystko. - Russell przerwał i Barry ujrzał, jak zaciska rękę w kieszeni. - To by wyjaśniało, po co nosisz pod marynarką broń.

- Owszem. A na co bym ci się zdał, gdybym jej nie miał?

- Też prawda. - Russel znów urwał i widać było, jak pracują mu mięśnie szczęki. Rozglądał się po parku w poszukiwaniu czegoś niepokojącego. - Wciąż masz w głosie ten cholerny akcent culchie, jesteś tu pewnie od niedawna.

- W lipcu miną dwa lata - odparł Barry;

- Wyjechałeś z Cork, prawda?

- Tak, z Cobh - potwierdził Barry, wymawiając nazwę miasta w języku gaelickim.

- Przyjaciele pomogli ci tak szybko znaleźć pracę?

- Także twoi przyjaciele - odparł Barry.

- Podaj nazwiska.

- Ode mnie ich nie wyciągniesz.

- Zuch chłopak - powiedział Barry i zszedł o kolejny schodek. Stał teraz tuż nad Barrym. - Nigdy nie podawaj żadnych nazwisk poza swoim. - Wyciągnął rękę z kieszeni i klepnął nią z całej siły Barry'ego w ramię. - Ma pan jakiś dowód tożsamości, panie Sullivan? Coś, co mógłbym zobaczyć?

Barry wyjął portfel i podał Russellowi nowojorskie prawo jazdy oraz legitymację policyjną Thomasa Sullivana. W nowojorskim wydziale policji rzeczywiście pracował człowiek o takim nazwisku. Jego dokumenty i przymusowy urlop zorganizował sam Lewis Valentine, komisarz nowojorskiej policji.

Przywódca IRA uważnie przyglądał się dokumentom, wreszcie skinął głową.

- Wyglądają na prawdziwe. - Oddał dokumenty Barry'emu. - Nie rozumiem tylko, dlaczego Clan nie skontaktował się ze mną bezpośrednio. Przecież wiedzą gdzie jestem.

- Telefon człowieka, z którym kontaktowałeś się w Nowym Jorku, jest na podsłuchu, on sam jest śledzony, od kiedy przyłynął na „Orinoco” - odparł Barry. Dzięki nazwie statku uwiarygodnił się jeszcze bardziej.

- Idiota! - warknął Russell, mówiąc z coraz większym akcentem. - Ganiają jak psy za suką. - Pokręcił głową. - Myśleliśmy, że konferencja prasowa ich zniechęci.

- I zniechęciła, ale nie dość. - Barry starał się zachować kamienną twarz. Gdyby Russell wiedział, jak mało interesuje teraz amerykańskie władze, wpadłby w ekstazę. Zajmowano się nim tylko dzięki temu, że Foxworth miał osobiste kontakty w rozmaitych

dalekich filiach FBI, ale nawet owe znajomości miały swoje granice. Jeśli o wszystkim dowiedzą się przyjaciele Russella w Kongresie i senacie, rozpęta się piekło. Głosy katolików wiele znaczyły i pod żadnym pozorem nie wolno było tej grupy prowokować.

Wielki Irlandczyk odwrócił się do Sheili Connelly i obserwował ją uważnie.

- Nie masz zbyt wiele do powiedzenia na ten temat.

- To nie moja działka, prawda? - Wzruszyła ramionami. - Ja jestem tylko kurierem.

- Wiesz, co zawiera przesyłka?

- Nie - odparła. - I nie chcę wiedzieć.

- Bardzo dobrze - odrzekł. - Bo to nie twoja sprawa. - Skinął głową w stronę Barry'ego. - Zabawiacie się z panem policjantem?

- A to już nie twój interes.

- Russell wybuchnął tubalnym śmiechem, płosząc kilka kruków z drzewa za pomnikiem Lincolna.

- Oczywiście, moja mała. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy jesteś zajęta, czy może zgodziłabyś się na numerek z kimś takim jak ja.

Barry wszedł o schodek wyżej i stanął na równi z Russellem. Zignorował ostrzegawcze dotknięcie dłoni Sheili Connelly.

- Myślę, że powinieneś przeprosić pannę Connelly za swoje grubiaństwo.

Russell włożył wielką rękę do kieszeni.

- Doceniam pańską rycerskość, funkcjonariuszu Sullivan, ale uwierz mi, że twoja przyjaciółka zna swoje miejsce w mojej organizacji. Dokładnie tak jak mówi, jest tylko posłańcem i ma wykonywać polecenia zwierzchników. Wszystkie polecenia. Rozumiesz? - Podszedł na tyle blisko, że Barry poczuł odór whisky

w jego kwaśnym oddechu. - Nie obchodzi mnie, czy pieprzysz ją dziesięć razy dziennie, człowieku. Ja jestem jej zwierzchnikiem, nie ty.

Barry wpatrywał się w niego przez długą chwilę, by w końcu odwrócić się i wziąć Sheilę Connelly pod ramię.

- Chodźmy. Nie będziemy wysłuchiwać tego drania.

Odsunęła go.

- Nie - powiedziała beznamiętnie. - On ma rację. Puściłabym się z nim, gdyby mi kazał, bo takie są reguły. - Spojrzała Russellowi w oczy. - Ale nie ma co liczyć na to, że będzie mi to sprawiać przyjemność.

- Wcale tego nie oczekuję - roześmiał się Russell. Zszedł po schodkach i wyjął rękę z kieszeni płaszcz. Wcisnął gruby palec wskazujący w pierś Barry'ego. - Bierzesz życie zbyt poważnie, funkcjonariuszu Sullivan. Powinieneś się nim zacząć cieszyć, zwłaszcza w towarzystwie tak pięknej kobiety jak panna Connelly.

- Zdaje się, że czekają nas poważne zadania - rzekł Barry.

- Owszem - odparł Russell niemal bezwiednie. - Czekają.

- Więc może się nimi zajmiemy? - Barry był zaskoczony przede wszystkim brakiem zdenerwowania u Russella. Jeśli zdobyte przez nich informacje były prawdziwe, za kilka dni miał podjąć próbę zamachu na króla i królową. Tymczasem czuć było od niego whisky.

- Pewnie czas nas goni.

Russell uniósł krzaczaste brwi.

- Mamy mniej czasu, niż się spodziewałem, funkcjonariuszu Sullivan. Ale więcej niż mi potrzeba.

Rozdział 17

3 czerwca 1939 roku, sobota

Nowy Jork

John Bone wiedział, że aby wykonać zadanie, nie wystarczy zlokalizowanie celu. Trzeba mieć jeszcze odpowiednią broń i odpowiedni punkt obserwacyjny. Czas i doświadczenie nauczyły go, że ważniejsze jest miejsce, w którym można się zaciąć. Broń można zmienić nawet w ostatniej chwili, ale bez właściwej kryjówki łatwo zawalić robotę. Nieraz znalazł się w poważnych opałach, bo źle ocenił drogę ucieczki.

Przy obecnym zadaniu zamachowiec skłonny zginąć miałby wiele okazji do ataku, ale po uważnej analizie środków bezpieczeństwa i planu wizyty królewskiej pary Bone zawęził wybór do sześciu miejsc: kryjówka gdzieś na górnych kondygnacjach Union Station w Waszyngtonie; kościół Świętego Jana lub hotel Hay Adams - stamtąd można oddać strzał, kiedy królewska para będzie wchodzić lub wychodzić z Białego Domu; mały biurowiec w pobliżu ambasady Afryki Południowej przy Alei Massachusetts, dokładnie naprzeciwko ambasady brytyjskiej, gdzie król i królowa wezmą udział w przyjęciu; przeciwległy brzeg w Mount Vernon, gdzie miał przybić prezydencki jacht „Potomac” wiozący królewską parę na wycieczkę; w końcu teren samej posiadłości Jerzego Waszyngtona, już po przybiciu jachtu. Niezliczone możliwości dawała też nowojorska Wystawa Światowa w parku Flushing Meadows. Siódmą możliwością była posiadłość Roosevelta nad rzeką Hudson, gdzie król i królowa mieli spędzić

ostatnie dwa dni wizyty. Bone wolał tereny miejskie, bo dawały więcej szans ucieczki, ale zakup planów pozostałych terenów nie był szczególnie kłopotliwy, więc zrobił to na wszelki wypadek.

Od przyjazdu króla i królowej do Ameryki Północnej Bone dwukrotnie jeździł do miast, w których mieli gościć. Chciał zobaczyć, jakie podejmowano środki bezpieczeństwa. Do stolicy Kanady, Ottawy, królewska para przybyła statkiem dwa dni wcześniej, miała wziąć udział w odsłonięciu pomnika pamięci ofiar wojny. Wysoki, łukowaty monument stał pośrodku wielkiego placu miejskiego - placu Konfederacji.

Po jednej stronie była poczta i inne budynki użyteczności publicznej, po drugiej piętrzyła się ciężka neoklasycystyczna kolumnada dworca kolejowego Union Station, a dokładnie naprzeciw niego stał hotel Chateau Laurier, pokryte miedzianym dachem monstrum z wieżyczkami, wyglądające jak budowla opasłego bawarskiego księcia rozkochanego w bajkach. Niemal dwa tygodnie wcześniej Bone zarezerwował pokój w jednej zwież. Teraz za pomocą kupionego niedawno aparatu Leica, lornetki i notatnika obserwował, co dzieje się na otwartym placu przed przyjazdem króla i królowej.

Wczesnym rankiem, w dniu ich przyjazdu pod pomnik, środki bezpieczeństwa nie robiły wielkiego wrażenia. Na placu pojawiły się drewniane barykady i kilku umundurowanych miejscowych policjantów. Mniej więcej godzinę po świcie pojawił się wielki autobus pełen ubranych na czerwono funkcjonariuszy Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, którzy zajęli pozycje w różnych miejscach placu. Następnie przyjechało sześć czy siedem nieoznakowanych radiowozów. Łatwo było je rozpoznać po wielkich wygiętych antenach. Nadeszło też piętnastu czy dwudziestu

tajniaków, którzy znikli w tłumie gromadzącym się za barierkami. Przez lornetkę dostrzegł, że kolejni tajniacy pojawiają się na dachu poczty i budynków obok oraz na dachu dworca. Nie miał wątpliwości, że na dachu jego hotelu również kręcą się już policjanci. Zgodnie z instrukcją wsuniętą mu pod drzwi przez kierownictwo hotelu zamknął okno w swoim pokoju, spełniając w ten sposób polecenie wydziału policji w Ottawie i komisarza Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej.

Doskonale wiedział, że zabójca króla i królowej mógłby to zrobić bez trudu, mimo kuloodpornych limuzyn, rzeszy policjantów i innych środków bezpieczeństwa. W 1901 roku anarchista Iver Johanson z rewolwerem kupionym za cztery dolary z katalogu Sears-Roebuck zabił prezydenta Stanów Zjednoczonych McKinleya i to samo mogło zdarzyć się tutaj. Wystarczyłby mu diament do wycięcia niewielkiego kawałka szyby i odpowiednia podpórka, by skryć się z karabinem w cieniu, ale znów wszystko sprowadzało się do sposobu ucieczki po zamachu.

O dziewiątej tłum wokół pomnika zgęstniał. Sporo było weteranów w beretach na bakier. Dachy i balkony wokół placu wypełniły się ludźmi, a za zamkniętymi oknami twarze z nosami przyciśniętymi do szyb próbowały choćby przez chwilę dojrzeć królewską parę. O jedenastej przy dźwięku fanfar pojawiła się królewska limuzyna. Fakt, że była kuloodporna, nie miał żadnego znaczenia, dach bowiem był opuszczony. Za królewskim autem jechały samochody z premierem, gubernatorem generalnym i resztą królewskiej świty.

Szkoccy kobziarze odegrali jedną czy dwie melodie, potem odbyła się krótka ceremonia, jeszcze krótsza mowa króla i złożenie wieńca. Bezpośrednią ochronę królewskiej parze zapewniało - jak

policzył Bone - jedenastu umundurowanych funkcjonariuszy, ośmiu cywili, zapewne z sekcji specjalnej Scotland Yardu, oraz dwaj niezwykle wysocy mężczyźni nieodstępujący obojga monarchów na odległość większą niż dwa, trzy metry. Po zakończeniu ceremonii i przemówień królewska para przeszła wzdłuż rzędu wybranych weteranów, zatrzymując się co jakiś czas, by zamienić kilka słów. Nagle, pod wpływem chwili, królowa zeszła z długiego czerwonego dywanu wiodącego do limuzyny i wmieszała się w tłum starych żołnierzy stojących wokół pomnika. Niemal natychmiast król i królowa zniknęli z pola widzenia, choć Bone od czasu do czasu widział szeroki biały kapelusz Jej Królewskiej Mości płynący w morzu ciemnoczerwonych беретów. Powstało zamieszanie wśród umundurowanych i cywilnych ochroniarzy. Bone obserwował, jak rozpychają łokciami tłum, by przedrzeć się do przodu. Przez dobre pół godziny nie udało się nic zrobić i król z królową mieszały się z otaczającym ich tłumem, ściskali ręce, machali, zatrzymywali na słówko. W końcu osobisty ochroniarz królowej i kilku funkcjonariuszy z sekcji specjalnej zdołali zapakować królewską parę i ich świtę do samochodów.

Tego samego wieczoru Bone wymeldował się z Chateau Laurier, pojechał taksówką na południe miasta, na lotnisko. Tam wsiadł w samolot Trans Canada Airlines do Toronto. Na miejscu był tuż po północy. Ponownie sprawdził realizację szczegółowego planu wizyty, jaki mu dostarczono. Siedział w wychodzącym na południe pokoju w hotelu Royal York i obserwował, jak król, praktycznie bez ochrony, dokonuje inspekcji oddziałów Queen's Own Rifles. Tuż przed powrotem do pociągu jadącego na zachód król i jego niezmiennie promienna małżonka w błękitnej sukni wykonali kolejną rundkę w tłumie zgromadzonym wokół dworca Union Station.

Następnego dnia Bone wrócił do Nowego Jorku i śledził codzienne doniesienia prasowe pisane przez dziennikarzy podróżujących w pociągu pilotującym. Z ich informacji wynikało, że nieformalne zachowania królewskiej pary, jakie widział pod pomnikiem w Ottawie, stały się codziennością. Owo zbliżanie się do tłumów mogło mu ułatwić zadanie, ale wiedział również, że przez to ochroniarze są bardziej nerwowi i czujni niż zwykle.

Przez następne dziesięć dni rozważał różne miejsca ataku i kolejno je odrzucał. Waszyngtoński dworzec dawał wiele kryjówek wysoko ponad główną halą, ale trzeba byłoby strzelać pod dużym kątem, a to oznaczało, że cel będzie bardzo mały i nie będzie czasu, żeby złożyć się do strzału. Po zamachu nie można byłoby uciec. Według informacji Bone'a w paradzie i ochronie dworca miało brać udział czternaście tysięcy żołnierzy, dwa razy tyle policjantów z sił miejskich Waszyngtonu i Wirginii, nie wspominając o kilku tysiącach agentów kontrwywiadu ściągniętych z całego kraju, prezydenckiej ochronie, żandarmach z Białego Domu i kilkuset agentach z sił Departamentu Stanu. Podobne kłopoty napotkałby przy ambasadzie brytyjskiej. Nie dość, że strzał byłby trudny, to praktycznie nie istniała droga ucieczki. Kryjówka w hotelu Hay Adams początkowo wydawała się obiecująca. Od celu dzieliło go niecałe trzysta metrów, a ucieczka, choć niełatwa, była możliwa. Wiedział oczywiście, że będzie mało czasu między oddaniem strzału a chwilą, gdy zmasowane siły bezpieczeństwa zablokują wszelki ruch z miasta. Opracował plan ucieczki w ukrytej na rzece łódce, ale w końcu zrezygnował z hotelu. Okolice Białego Domu były tak gęsto zadrzewione, że na strzał miałby jedynie kilka sekund - w chwili kiedy królewska para i prezydent wsiadali lub wysiadali z samochodów.

Bone w przeciwieństwie do większości amerykańskiej opinii

publicznej wiedział, jak wielki jest stopień kalectwa prezydenta Roosevelta. Wiedział też, że trzeba sporo czasu, by wynieść prezydenta, posadzić go w wózku, a potem wjechać nim po specjalnej rampie na werandę Białego Domu. Mimo to wątpił, by miał więcej niż dziesięć, piętnaście sekund na oddanie strzału, nim widok zasłonią mu drzewa. Poza tym Hay Adams, Willard, Mayflower i każdy hotel w rozsądnej odległości od Białego Domu będzie dokładnie obserwowany, a w czasie samej wizyty na pewno bezustannie.

Król, królowa i prezydent Roosevelt mieli popłynąć prezydenckim jachtem „Potomac” do Mount Vernon, by zwiedzić dawną posiadłość Jerzego Waszyngtona, ale pobieżnie sprawdziwszy to miejsce, porzucił myśl o zaczajeniu się właśnie tam. Posiadłość leżała za bardzo na uboczu, żeby można było zagwarantować sobie drogę ucieczki. Poza tym strzał z drugiego brzegu, do jachtu cumującego u stóp Mount Vernon, byłby niezwykle trudny. Potomac rozlewał się w tym miejscu na ponad kilometr, a na brzegu, gdzie znajdowałyby się zamachowiec, praktycznie nie było się gdzie ukryć. Co gorsza, mówiło się, że drogi po obu stronach rzeki będą w dniu wizyty zamknięte, żeby uniknąć korków i wypadków z udziałem gapiów. W końcu Bone’owi pozostała ostatnia możliwość, która od samego początku uważał za najbardziej obiecującą - teren Wystawy Światowej w Nowym Jorku.

Firma zajmująca się organizacją Wystawy Światowej w Nowym Jorku w 1939 roku powstała cztery lata wcześniej z inicjatywy stu nowojorskich biznesmenów pod przewodnictwem Grovera A. Whalena, człowieka niezależnego finansowo, który od kilkadziesiąt lat pełnił rozmaite funkcje publiczne w Nowym Jorku. Był pełniącym obowiązki komisarza nowojorskiej policji, a także szefem administracji Roosevelta wprowadzającej plan odrodzenia

gospodarczego. Whalen i jego koledzy oraz burmistrz La Guardia doskonale wiedzieli, jakim sukcesem zakończyła się trwająca w Chicago w latach 1934-1935 wystawa Stulecie Postępu i chcieli osiągnąć podobny zysk i prestiż. Był to również sposób na zagospodarowanie miejskiego wysypiska o powierzchni prawie pięćset hektarów, zwanego delikatnie Flushing Meadows, a potocznie Śmietniskiem Corona.

W odległej przeszłości Flushing Meadows było słonym bagniskiem podmakającym przez pływową rzekę uchodzącą do zatoki Flushing. Kiedyś mieszkali tu pokojowo nastawieni Indianie rolnicy z plemienia Matinecock. Wraz z rozwojem miasta uregulowano rzekę i wytępiono Matinecocków. Miejska sieć kolei sięgała coraz dalej i dalej, aż w końcu Flushing Meadows i góra Corona, czyli dziewięćdziesięciometrowe usypisko popiołu, szybko stały się w miejskim krajobrazie groteskową ziemią jałową „Doliną popiołów” z powieści F. Scotta Fitzgeralda.

Whalen czasami z pomocą a czasami wbrew otoczonemu złą sławą Robertowi Mosesowi, ambitnemu zarządcy parków miejskich w ratuszu burmistrza La Guardii, szybko zdołał doprowadzić do zniwelowania góry, zasypania mokradeł sześcioma milionami metrów sześciennych popiołu i pokrycia tego wszystkiego setkami tysięcy metrów sześciennych ziemi. Na pozór teren wyglądał atrakcyjnie, zwłaszcza że rzecze Flushing zmieniono bieg, a dzięki ogromnej tamie stworzono kilka sztucznych lagun i jezior. Jednak jeden z miejskich architektów pracujących przy wystawie miał podobno powiedzieć, że dobrze, iż budowle miały służyć tylko przez dwa lata, bo trzeciego roku już by nie wytrzymały. Mimo ponurych przepowiedni projektowanie i budowa szły w oszałamiającym tempie. Zbudowano między innymi ważącą ponad cztery miliony ton Perysferę,

aluminiową kulę o średnicy sześćdziesięciu metrów, spoczywającą na stalowej konstrukcji wkopanej w ziemię i umocnionej sześciuset drewnianymi palami. Powstał też jej trójkątny brat bliźniak - Trylon. Oba obiekty były futurystycznymi kreacjami i stały się gigantyczną wizytówką wystawy.

Po trzech latach i wydatkach rzędu stu siedemdziesięciu milionów dolarów nowojorska Wystawa Światowa otworzyła swe podwoje. Ostatecznie do budowy na terenie wystawy własnych pawilonów i stoisk Grover Whalen przekonał sześćdziesiąt krajów, trzydzieści osiem stanów, Portoryko, Ligę Narodów, rząd federalny Stanów Zjednoczonych i wszystkie liczące się amerykańskie firmy. Tu, gdzie kiedyś rozciągały się śmierdzące bagna, powstała wielka wystawa i miejsce, gdzie miał zginąć król.

Ubrany w garnitur i krawat, jak wszyscy mężczyźni dookoła, Bone zapłacił siedemdziesiąt pięć centów za bilet i zachodnią bramą wszedł na teren ekspozycji z aparatem fotograficznym na szyi. Z miejsca oszołomił go blichtr i gigantyczna skala przedsięwzięcia. Na ile się zorientował, motywem przewodnim wszystkich projektów były prostota, wielkość i kolor. Wchodząc na teren wystawy, można było odnieść wrażenie, że wchodzi się do sali zabaw w przedszkolu, gdzie na podłodze leżą jaskrawe klocki w różnych kolorach, kształtach i rozmiarach - symfonia Art Deco i Bauhaus.

Idąc szeroką potężną betonową rampą wraz z kilkuset innymi zwiedzającymi, Bone doszedł do gigantycznego pustego placu z opalizującą fontanną pośrodku. Po lewej stronie wznosił się wielki gmach Centrum Budownictwa Domów o łukowatych kształtach i złotawej barwie. Jego autorzy najwyraźniej chcieli, by przypominał wyprężony męski organ. Po prawej wysokie na trzydzieści metrów, podwójne łuki Pawilonu Wydarzeń Specjalnych przypominały dwie

gigantyczne zielone spinki do włosów. Naprzeciwko niczym wachlarz, rozciągał się jasnozłoty Pawilon Wyposażenia Wnętrz. Spoglądając dalej wzdłuż, jak się później dowiedział, Alei Tęczowej, można było odnieść wrażenie, że każdy z wtłoczonych tu pawilonów pomalowano na inny kolor: od bladozielonego po krwistoczerwony, od dziecięcego błękitu morza po bananową żółć, we wszystkich możliwych odcieniach i połączeniach.

Tu i ówdzie wzdłuż szerokich deptaków i asfaltowych placów umieszczono kliny i prostokąty zieleni, ale większość terenu niezajętego przez wielkie kolorowe budynki pokrywały najrozmaitsze majstersztyki architektury, które miały przyciągnąć wzrok zwiedzających w tym czy innym kierunku. Jednak nikt nie mógł przegapić monumentalnych białych sylwetek Trylona i Perysfery umieszczonych w centrum wystawy. Wszystko to razem wyglądało jak powiększone rekwizyty z filmu.

Bone kupił oficjalny przewodnik po wystawie, płacąc dwadzieścia pięć centów dziewczynie w niebieskim mundurku i gąbkowym kasku. Posługując się planem wydrukowanym w przewodniku, ruszył dalej Aleją Tęczową i minął obity boazerią sekwoi Pawilon Sztuki Współczesnej, skręcił w lewo między Zelektryfikowane Gospodarstwo a osłonięty żaluzjami pawilon brazylijski. Przeszedł przez niski łukowaty mostek nad sztuczną rzeką i przebył jeszcze jakieś sto metrów, może więcej, docierając do tryskających fontann w Lagunie Narodów.

Niedaleko, po drugiej stronie mostu stał pawilon brytyjski, współczesny, choć dość przeciętny budynek, który czy to z premedytacją, czy przez przypadek, pomalowano dokładnie na taki sam kolor, jak ulubione róże królowej Elżbiety - Betty Prior.

Bone podniósł leicę i zaczął odgrywać turystę fotografującego

wystawę. Królewska para miała spędzić tu nieco ponad cztery godziny. Pewien był, że w tym miejscu na pewno się pojawią. Udając, że robi to mimochodem, szybko wykonał dziesięć zdjęć od lewej do prawej. Zaczął od okna na poddaszu wbudowanego w złoty dach długiego pawilonu kwiatowego otaczającego z trzech stron Ogrody Paradne. Następnie fotografował trawnik wzdłuż różowej ściany brytyjskiego pawilonu z trzema złotymi lwami w rzędzie. Na końcu uwiecznił most i przejście na piętrze łączące pawilon brytyjski z sąsiadującym z nim budynkiem Australii i Nowej Zelandii. Potem zrobił jeszcze dwanaście ujęć terenu naprzeciwko pawilonu, drugiego brzegu szerokiej na prawie dwadzieścia metrów rzeki. Od lewej do prawej widać było tu dziesięć lub więcej fontann w Lagunie Narodów, przeszkloną bryłę pawilonu francuskiego, z elegancką wielopoziomową restauracją z widokiem na wodę, pawilon brazylijski i Zelektryfikowane Gospodarstwo, które mijał po drodze, oraz osiedle pełnowymiarowych domków tworzące Miasteczko Przyszłości.

Poszedł dalej, omijając lagunę. Skręcił na północ wzdłuż długiego prostokątnego parku, na którego końcu stał surowy pawilon amerykańskiego rządu. Wyglądał niczym bladożółta egipska świątynia o dwóch wieżach. Tu kończył się długi deptak zaczynający się ponad kilometr wcześniej przy Trylonie i Perysferze. Bone kupił hot doga i coca-colę z wózka, po czym znalazł ławkę w niewielkim cieniu pod młodym drzewkiem. Usiadł, by zjeść przekąskę i przejrzeć przewodnik.

Według planu, a sam też to zauważył, targi były podzielone na dziesięć głównych stref rozciągających się od centrum z Trylonem i Perysferą. Oznaczono je kolorami w różnych odcieniach żółtego, czerwonego i niebieskiego. Całą wystawę przecinał na pół z północy

na południe wielki deptak o nazwie Constitution Mail. Prowadził od centrum wystawy do tak zwanego Sądu Pokoju, gdzie właśnie siedział Bone. Większość pawilonów zagranicznych stała po północnej stronie betonowej alei, która wiodła wzdłuż dawnego koryta rzeki Flushing. Na zachodzie rozciągała się Strefa Administracyjna i Strefa Komunikacyjna. Tam też było wejście na wspólną stację metra i kolei linii Long Island Railroad. Tamtędy wszedł na teren targów. Na południe od Perysfery mieściły się dwa główne wejścia przy Alei Corona. Na wschodzie, na końcu Bulwaru Wystawy Światowej znajdował się Park Rozrywki. Wprawdzie nie miał statusu oficjalnej strefy wystawowej, ale stanowił integralną część wystawy, miał własne wejście i stację metra. Można tam było obejrzeć sztuczne jezioro, wystraszyć się, zabawić, pooglądać dziewczynki, a nawet zobaczyć Billy'ego Rose'a w roli Johnny'ego Weissmiillera, który w kinie grał Tarzana. Na chętnych czekał też wieczorny pokaz fajerwerków.

Bone naliczył osiem oficjalnych wejść na wystawę i cztery nieoficjalne, takie jak ścieżka za pawilonem amerykańskiego rządu, wiodąca do obozu skautów rozłożonego na otwartym polu. Cała północno-wschodnia część wystawy sąsiadowała z dzielnicą Flushing, z ulicami Lawrence i Rodman. Bone nie miał wątpliwości, że wystarczy przez godzinę czy dwie poobserwować wysokie kraty ogrodzenia, by wiedzieć, jak dostać się na teren wystawy, nie płacąc za bilet.

Przełknął ostatni kęs hot doga, otarł usta papierową serwetką i wolno pil coca-colę przez słomkę. Wciąż siedział na ławce i obserwował mijający go tłum gości. Szerokie asfaltowe deptaki i całkowity brak samochodów, wyjąwszy kilka pojazdów obsługi, sprawiały, że na wystawie nie czuło się tłoku. Jednak wystarczyło

poobserwować jakiś punkt przez minutę lub dwie, by przekonać się, że cały czas krążyło tu mnóstwo ludzi. Było to praktyczne potwierdzenie informacji, jaką zamieścił niedawno „Time”, że wystawę codziennie odwiedza średnio siedemdziesiąt pięć do stu tysięcy osób. Według informacji Bone’a ekspozycja miała zostać otwarta w czasie wizyty króla i królowej. Można się spodziewać, że tego dnia przyjdzie tu więcej ludzi niż zwykle. Z doświadczenia - zwłaszcza po chaosie, jaki wybuchł w Marsylii pięć lat temu po zamachu na Karadziordzewicia - Bone wiedział, że nie ma lepszego sojusznika w ucieczce niż tłum wpadający w panikę po pierwszych strzałach. Widział pandemonium spowodowane niezapowiedzianym wejściem królowej w grupę weteranów przy pomniku ofiar wojny w Ottawie. Tamtejszy tłum na placu Konfederacji oceniał na nie więcej niż trzy do czterech tysięcy ludzi. Tutaj efekt będzie bez porównania większy, skalą porównywalny do samej wystawy. Będzie miał stutysięczny tłum przerażonych gości, w który można się wmieszać, ponad dziesięć wyjść do wyboru, a za nimi anonimowe bezpieczeństwo, jakie daje ośmiomilionowe miasto. Oddał pustą butelkę sprzedawcy z wózkem, zmiętą serwetkę wrzucił do pobliskiego kosza i ruszył dalej. Przez resztę dnia wałęsał się po terenie wystawy, dokumentując na trzech rolkach filmu najrozmaitsze miejsca ucieczki. Wyszedł o zmierzchu. Wchodząc na kładkę prowadzącą do stacji metra IRT, usłyszał w pobliżu silne żałobne zawrodożenie rogu myśliwskiego. Było na tyle głośne, że wybijało się ponad gwar tłumy i nieprzerwany szum fontann. Ten dźwięk obudził jego irlandzką duszę i sprawił, że poczuł gęsią skórkę. Po chwili wszystko ucichło niedokończoną nutą. Bone czytał przewodnik i wiedział, co usłyszał. To hejnał mariacki rozlegający się co wieczór ze złotej wieży polskiego pawilonu. Grano go na pamiątkę śmierci

krakowskiego strażnika, który wieki temu ocalił miasto przed najazdem Tatarów takim właśnie sygnałem. Nie zdołał go dokończyć. Padł martwy trafiony tatarską strzałą. W ciągu dziesięciu dni, od dwudziestego piątego maja do trzeciego czerwca, John Bone jeszcze czterokrotnie odwiedzał nowojorską Wystawę Światową. Za drugim razem zbierał bardziej szczegółowe informacje, za trzecim doskonalił plan, a za czwartym sprawdzał pierwotne ustalenia. Wiedział, że piąta i ostatnia wizyta jest w zasadzie zbędna, ale był ostrożny i najbardziej zależało mu na życiu. Po tej ostatniej wyprawie upewnił się, że znalazł doskonałą kryjówkę i zapewnił sobie najlepszą możliwą drogę ucieczki. Teraz potrzebna mu była odpowiednia broń. I wiedział jaka. Aby uczcić zakończenie przygotowań, udał się do baru Gramercy tuż obok obrotowych drzwi hotelu i zamówił podwójną irlandzką whisky Jameson w eleganckiej szklance. Po wypiciu drinka spróbował dowiedzieć się od barmana, gdzie w okolicy można znaleźć kobiety. Położył dwa dziesięciodolarowe banknoty na dębowym blacie i barman obiecał, że zapamięta jego prośbę. Poprosił jedynie o numer pokoju i godzinę, o której dziewczyna ma się zgłosić.

Rozdział 18

4 czerwca 1939 roku, niedziela

Nowy Jork

- Leżę w tym cholernym łóżku już od miesiąca. Mam tego dość.

- Miesiąc laby w Plaża - powiedział Dan Hennessy, który przysiadł w nogach łóżka. - Większość ludzi by nie narzekała.

Jane Todd poprawiła się na poduszkach. Pod gipsem biegnącym od lewego nadgarstka do barku potwornie swędziała ją skóra. Świeża blizna pod prawym okiem piekła, a w połamanym małym palcu prawej ręki wciąż czuła ból. Najgorsza jednak była okropna bladoróżowa pikowana kołdra, którą wybrał dla niej Hennessy. Po miesiącu mniej poważne rany zdołały się zagoić - głównie skaleczenia i oparzenia.

- To nie Plaża - burknęła Jane. - To więzienie.

Pelay, znajomy chłopiec hotelowy, zdołał umieścić ją w jednym z niedostępnych pokoi w wieży, w praktyce było to poddasze nad osiemnastym piętrem. Pomieszczenie było małe, zakurzone i położone zaledwie o kilka metrów od warczącego mechanizmu wind. Wszystko wskazywało na to, że hydrauliki nie zmieniano tu od trzydziestu lat, czyli daty budowy hotelu.

Hennessy zapalił papierosa, jeszcze bardziej zmniejszając przezroczystość powietrza.

- Przestań kwękać - powiedział. - Lepsze to niż cmentarz. Jane postukała palcem w złożoną gazetę na stoliku przy łóżku.

- Jeśli wierzyć temu wymyślnemu nekrologowi napisanemu przez

Bushy'ego, właśnie tam teraz leżę.

- Busch stwierdził, że to dobry pomysł. Ja zresztą też. - Hennessy wzruszył ramionami. - Wiesz, Jane, chodzi o dyskrecję. - Przerwał i strącił popiół z papierosa do wielkiej kryształowej popielnicy, którą trzymał na kolanach. - Ktoś próbował cię zabić. Lepiej niech myśli, że mu się udało. - Detektyw pokręcił głową. - Dziękuj Bogu, że masz przyjaciół w różnych dziwnych miejscach.

Po wybuchu Jane zdołała doczołgać się w pobliże windy. I tak omal nie spłonęła w ogniu, który zaczął rozprzestrzeniać się z jej mieszkania. Strażacy zadzwonili po karetkę i odwieziono ją do najbliższego szpitala. Tak się złożyło, że akurat do Bellevue. Było to korzystne, bo w tym potężnym kompleksie bez problemu można się zgubić.

W spalonych resztkach torebki, której Jane nie wypuściła z rąk, znajdowała się wizytówka Hennessy'ego, i to właśnie do niego zadzwoniono ze szpitala. Kiedy dowiedział się od strażaków, co zaszło w mieszkaniu Jane, napomniał lekarza prowadzącego, by z nikim o niej nie rozmawiał. Następnie przesłał jej teczkę do swojej znajomej z działu patomorfologii, gdzie - na prośbę Hennessy'ego - dokumenty zniknęły. Przez kostnicę w Bellevue przechodziło co roku dwadzieścia tysięcy zwłok, a prawie o połowę z nich nikt nigdy się nie upominał. Hennessy wiedział, że o tym, iż Jane żyje, prawdopodobnie nikt nigdy się nie dowie. Z pomocą innego znajomego, tym razem z domu pogrzebowego, przewieziono ją karawanem na tyły hotelu Plaža. Pelay i hotelowy detektyw Bill Hartery pomogli przewieźć ją na górę jedną ze służbowych wind. Jane umieszczono na poddaszu tak, że nikt tego nie zauważył. Hennessy dyskretnie rozpuścił wieści i we wszystkich tekstach o niewyjaśnionym wybuchu nadmieniono też, że dziennikarka zginęła

w wypadku, którego przyczyną były odczynniki chemiczne w jej ciemni.

- Nadal nic nie wiadomo o bombie? - zapytała.

- Nic, tyle że była to bomba, i to dość skomplikowana. - Zmarszczył czoło. - Nie mogę poganiać sikawkowych. Wiedzą, że się znamy, ale nie chcę budzić niczyich podejrzeń zbytym natręctwem. Pamiętaj, że jestem teraz specjalistą od łapania kasiarzy, nie od zabójstw.

Jane uśmiechnęła się.

- Nie chcesz pomścić mojej przedwczesnej śmierci?

- Jestem po prostu ostrożny. Jakiś drań naprawdę próbował cię zabić, już zapomniałaś? Jutro rano przyjdzie lekarz, żeby zdjąć ci gips i obejrzeć palec. Wszyscy twoi kumple od pokera się złożyli, i ja też. Jak tylko lekarz uzna, że jesteś zdrowa, wyślemy cię na wakacje. Daleko, bardzo daleko. Może do Los Angeles? Rozmawiałem już z Birdwellem i obiecał załatwić ci jakieś mieszkanie u znajomego.

- Próbujesz się mnie pozbyć? - Uśmiechnęła się. - To znaczy, że już nie masz ochoty wkładać łap w moje majtki?

- Przestań się mądrzyć. Próbuję zachować cię przy życiu.

- Chcę się dowiedzieć, kto chciał mnie załatwić.

- Na litość boską, Jane! A jakie to ma za znaczenie? - Zdusił papierosa i z hukiem odstawił popielniczkę na stolik. - Rozpieprzyli ci całe mieszkanie! Nic nie zostało. Żadnych aparatów, żadnych zdjęć. I z tego, co wiem, ubezpieczenia też nie miałaś.

- Zamordowali Ponce de Leona.

- To była papuga.

- No to co, ale to była moja papuga.

- Kobieto, to nie są żarty.

- Zapal mi papierosa.

- Lekarz mówił, że nie powinnaś palić przez jakiś czas.

- Do diabła z lekarzem.

Hennessy włożył lucky strike'a w obandażowane palce Jane. Dziewczyna opadła na poduszki, zaciągnęła się głęboko i zamknęła oczy, odpoczywając przez chwilę i zbierając myśli.

- Posłuchaj - odezwała się w końcu. - Ty mnie w to wszystko wciągnąłeś. Jestem splukana. Nie mam nawet narzędzi do pracy. Istnieje szansa, że kiedy ci ludzie dowiedzą się, że nadal żyję, znów spróbują mnie załatwić. Dopóki nie wyjaśnię tego wszystkiego, dopóki nie dowiem się, kto mnie próbował zabić, równie dobrze mogę leżeć na cmentarzu jak stoi w nekrologu.

Przerwała i znów zaciągnęła się papierosem. Skrzywiła się, kiedy końcem zagipsowanego małego palca uraziła się w policzek.

- Zamordowali Howiego bez powodu, tylko dlatego, że go nie potrzebowali. Szantażują twój szefa i Bóg wie kogo jeszcze. Próbowali mnie zabić, bo uznali, że za bardzo zbliżam się do tego, co próbują ukryć. Naprawdę uważasz, że wysłanie mnie do Los Angeles cokolwiek pomoże? Prędzej czy później rozniesie się, że ja to ja i podłożą kolejną bombę. Tyle że tym razem może im się udać. - Pokręciła głową. - Poza tym nie zostawię Annie. I tak postąpiłam wstrętnie, że tyle czasu u niej nie byłam.

- Ja mogę się zająć Annie.

- Dan, to moja siostra i powiedziałam ci, że jej nie zostawię.

- Martwa na nic się jej nie przydasz.

- Żywa też niewiele mogę jej pomóc. Płacę dodatkowo pielęgniarce na boku, żeby myła ją i czesała, ale nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz.

- Tak, chyba wiem.

- A więc nie pojedę do Los Angeles, za to postaram się

dowiedzieć, kto podpisał na mnie wyrok. Sam mówiłeś. Ta sprawa sięga wysoko. Artykuł o czymś takim mógłby mnie ustawić na zawsze w tym mieście. Nie wspomnę już, że jestem tym wszystkim naprawdę wkurzona.

Zapadła dłuższa chwila ciszy. W końcu odezwał się Hennessy:

- Mam wrażenie, że mnie obserwują.

- O czym ty mówisz?

- Od czasu wybuchu.

- Oni, czyli nni policjanci, czy ludzie, którzy próbowali mnie sprzątnąć?

- Może i jedni, i drudzy. To nic konkretnego, po prostu takie dziwne przeczucie. Samochody przed moim domem, ktoś nieznajomy na ulicy, kogo na pewno już wcześniej widziałem.

- Śledzili cię aż tutaj?

- Raz czy dwa. Kiedy mam przeczucie, że tak jest, wpadam do Oak Bar na jednego albo paplam z Pelayem przez pięć minut.

- On wie, co jest grane?

- Nie wszystko, ale wystarczająco dużo.

- A Hartery?

- Też, ale tylko on, jego ludzie nie. - Hartery zarządzał zespołem kilkunastu młodszych detektywów, z nich pewnie tylko kilku nie dałoby się przekupić.

- Jakieś osiem czy dziewięć lat temu był taki film, który przeraził mnie bez reszty. O staruszce, która kazała zamontować w krypcie dzwonek, na wypadek gdyby pogrzebano ją żywcem. Słowo daję, omal nie posikałam się ze strachu.

- Pamiętam - skinął głową Hennessy. - Faktycznie ciarki przechodziły po plecach. Zdaje się, że nosił tytuł Morderstwo z zegarkiem w ręku.

- Tak, to ten. I właśnie tak samo się teraz czuję. Może jeszcze nie jestem martwa, ale mam wrażenie, jakby pogrzebano mnie żywcem. - Zaciągnęła się i oddała papieros Hennessy'emu, by wyciągnął go jej spomiędzy palców, nim zacznie tlić się bandaże. Znowu poprawiła się na poduszkach, próbując znaleźć pozycję najmniej niewygodną.

Hennessy zgasił lucky strike'a.

- W porządku, nie będziesz uciekać, tak jak zrobiłby to każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie. Co zamierzasz?

- Już mówiłam, chcę się dowiedzieć, kto za tym stoi.

- Zapomnij o tym. Rozmawialiśmy dwie godziny przed wybuchem. Nic się nie zmieniło, moja droga. Stoimy przed murem.

- Być może. Ale miałam sporo czasu, żeby się zastanowić.

- I doszłaś do jakichś rewelacyjnych wniosków?

Wzruszyła ramionami.

- No, mów.

- Posłuchaj i zastanów się, czy to się trzyma kupy. - Przerwała i rzuciła okiem na popękany gipsowy sufit nad głową. - Jedyne wnioski, do jakiego doszłam, brzmi tak: Howie Raines musiał zginąć, bo coś wiedział, coś słyszał albo coś widział.

- I to jest ta rewelacja?

- Nie. Oni wiedzieli, że go zabiją, jeszcze nim wyleciał z Nowego Jorku do Hawany. Podpisał na siebie wyrok, kiedy wsiadał do samolotu, tyle że nie miał o tym pojęcia. To było zaplanowane, od samego początku.

- Skąd wiesz?

- Rachunki z łaźni dla pedziów w Ariston i z Glorii. Dowody, które podrzucono, by przekonać nas, że był homo.

- Nadal nie rozumiem.

- Wcale nie było tak, że najpierw wpakowali w niego trzy kulki, a

potem próbowali to zatuszować rachunkami. Między jego powrotem z Kuby a chwilą, kiedy Frankie Satyna widział ciało wyrzucane z samochodu, minęło niewiele czasu. Od razu wiedzieli, że będą potrzebować kompromitujących dowodów. Czekali w pogotowiu - samochód, trzy kule i miejsce, gdzie można wyrzucić zwłoki.

- I co to znaczy według ciebie?

- Moim zdaniem, do Hawany wysłali go ci sami ludzie, którzy go sprzątnęli. Wykonał jakieś zadanie, zdał raport i kiedy się wszystkiego dowiedzieli, załatwili go, by mieć pewność, że tu ślad się urwie.

- Jakie zadanie?

- Był prawnikiem, podrzędnym. Jakie zadania wykonuje podrzędny praw- niczyna, którego można się bez żalu pozbyć?

- Przynieś, podaj, pozamiataj - odparł Hennessy.

- Owszem. A co może robić taki ktoś w Hawanie?

- Hawana, czyli mafia. Z niczym innym mi się nie kojarzy. - Wzruszył ramionami. - Costello i Lansky. - Dwa lata temu na prośbę młodego kubańskiego dyktatora Fulgencio Batisty ci dwaj nowojorscy gangsterzy przyjechali na południe, by poprowadzić w Hawanie kontrolowane przez armię kasyno. Obiecano im, że będą mogli założyć także własne kasyna i zakłady bukmacherskie. W ciągu dwunastu miesięcy dolary zaczęły płynąć wielomilionowym strumieniem zarówno do skarbca Batisty, jak i do sejfów obu gangsterów.

- Ale nie zrobiła tego mafia, to już ustaliliśmy - przypomniała Jane. - Za dużo w tym wszystkim ludzi z zewnątrz, tak jak ten Kennedy.

- Może mafia bezpośrednio nie brała w tym udziału, ale jest w to jakoś zamieszana?

- Ale jak? Prohibicja się skończyła.

- Hazard? - zasugerował Hennessy. - La Guardia wypędził Costello. Może to ma związek z tym?

- Pokręciła głową.

- To tylko przedstawienie. Costello założył nowe kasyna w Jersey i Luizjanie, nie wspominając o Hawanie. Zresztą on ma przecież swoją siedzibę na Kubie, więc po co wysyłałby tam takiego patałacha jak Howie? Bez sensu.

- Na razie nic nie ma sensu.

- Sam mówiłeś, że zbrodnia to układanka, tyle że z pogubionymi kawałkami. Wystarczy je znaleźć i złożyć. - Sięgnęła obandażowaną dłonią do świeżej, opuchniętej blizny pod okiem. - Prawnicy. Ciągłe kręcimy się wokół prawników. Fallon i McGee, Shalleck, Howie.

- Wszyscy powiązani z mafią.

- A według Noela, wszyscy powiązani także z Partią Demokratyczną.

- Sądzisz, że to sprawa polityczna?

- Jeśli nie ma związku z mafią, to jedyne wyjaśnienie. Kto inny ma jeszcze dość wpływów, by naciskać na twojego szefa, Valentine'a?

- To jakieś szaleństwo.

- Być może, ale to ma sens.

- Jaki sens? Po co wysyłałiby twojego przyjaciela Rainesa do Hawany? Po co mieliby go zabijać? Co takiego ma hawańska mafia, czego pragną demokraci? I którzy to demokraci?

- Dobre pytania, zupełnie jakbyś był dziennikarzem.

- Jestem tylko sfrustrowanym gliniarzem. Kręcimy się wokół własnego ogona.

- Więc przestańmy się kręcić i weźmy do roboty.

- Co proponujesz?
- Kto jest papugą Franka Costello?
- Adwokatem? Jakiś George Wolf. A dlaczego pytasz?
- Bo może ten pan Wolf powie mi, co Howie robił w Hawanie.
- Dlaczego miałby z tobą rozmawiać? Nie pomyślałaś, że Costello może mieć coś wspólnego z wybuchem u ciebie w mieszkaniu? I że może Wolf coś o tym wie?
- Muszę od czegoś zacząć.
- Słyszałaś o Johnnym Torrio?
- Jasne. Wielki gangster z Chicago.
- Urodził się na Brooklynie i wrócił tu. Stary, bardzo stary kumpel Costello. Torrio był mentorem Ala Capone. Zasłynął z tego, jak pozbywał się jego wrogów - wkładał im bomby do rur wydechowych samochodów. Coś ci to przypomina?
- Nadal uważam, że to nie mafia. Moim zdaniem ktoś próbuje upozorować, by tak to wyglądało. Costello może być lekko wkurzony, że ktoś próbuje z niego zrobić kozła ofiarnego w jakichś rozgrywkach politycznych.
- A jeśli się mylisz?
- Masz jakiś inny pomysł? Nie mogę tu zostać na zawsze.
- Wiesz, jakie mam pomysły. Wsiadaj w „Ekspres XX wieku” i jedź do Los Angeles. Ja popytam tu i ówdzie. Jeśli na coś trafię, dam ci znać i wtedy postanowisz, co robić dalej.
- Miło i rozsądnie.
- Też tak myślę.
- Ale ja nigdy nie byłam rozsądna. Umów mnie z Wolfem. - Jane popatrzyła na przyjaciela. - I to jak najszybciej.

Tommy Lascelles siedział w otwartym salonie swojego wagonu i spoglądał przez okno na migający za oknem krajobraz. Godzinę temu wyruszyli z Winnipeg i już nie było śladu po wydawałoby się bezkresnej prerii. Teraz zmierzali przez niekończące się cedrowe lasy z wystającymi ogromnymi granitowymi blokami i tysiącami oczek wodnych, w których odbijało się zachmurzone stalowoszare niebo. Lascelles pogładził wąsy, zapalił papierosa Senior Service i starał się jakoś pozbierać myśli.

Dawno temu rysowała się przed nim obiecująca kariera w wojsku. Nawet po śmierci ojca króla Jerzego miał możliwość zapewnienia sobie bezpiecznej przyszłości w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ale jak opętany chorobą umysłową zrezygnował z tego wszystkiego i poświęcił się domowi Windsorów, zwłaszcza mężczyznom z tej rodziny i ich okropnym kobietom. Dziś Jej Królewska Upierdliwość narzekała, że ma gazy po jedzeniu podawanym w pociągu i że jej królewska kąpiel jest zbyt letnia, a królewska herbata, parzona z londyńskiej wody w specjalnie do tego celu wiezionej zastawie, dla odmiany za gorąca. Tego ranka mamrotała już po raz setny, że ilekroć próbuje dodzwonić się do ukochanych dzieci, zawsze śpią.

Choć i Lascelles, i król starali się wytłumaczyć jej zjawisko różnicy czasów, wciąż o tym zapominała i najwyraźniej uważała, że czas Greenwich podąża za nią wiernie tak jak owczarki corgi. Istna plaga. Żarły co lepsze kąski z ręki swojej pani, potem bez żenady srały po całym pałacu Buckingham. Raz próbowała zabrać je ze sobą w podróż, ale okazało się, że mają koszmarną chorobę morską i wciąż włożyły jej na kolana, by się wyrzygać.

Ta kobieta była niewiarygodną prowincjuszka, a jej wykształcenie nie zdołałoby pewnie wypełnić jednej z tych idiotycznych chińskich

czarek, które zbierała. Przez całą podróż czekał, aż popełni jakąś koszmarną gafę. O ludziach z Afryki i Indii często mówiła „brudasy”, o Chińczykach i Japończykach „żółtki”, a o Żydach „chałaciarze”. Podczas jednej z prywatnych wizyt w Galerii Tate przystanęła przed portretem Benjamina Disraeliego. Kiedy dowiedziała się, że słynny premier był Żydem, natychmiast zapytała, czy od tamtego czasu wprowadzono jakieś prawo, które nie dopuściłoby więcej do czegoś takiego.

Skały, drzewa i jeziora migwały za oknem, a Lascelles gorzko pocieszał się wizją Jej Wysokości Kwoki opuszczającej swoje puszyste, wyhodowane na owsiance wdzięki do wąskiej ceramicznej wanny w wagonie dalej. Kiedy służył jako sekretarz brata Jerzego, Edwarda, jeszcze przed jego abdykacją był przekonany, że nie ma na świecie bardziej niebezpiecznej kobiety niż Wallis Simpson. Teraz nie był już taki pewien. Ciężkie drzwi prowadzące do przednich wagonów rozsunęły się z hałasem i do środka wszedł krępy, niski i pulchny premier McKenzie King. Lascelles wstał i wykonał krótki sztywny ukłon. Łysiejący człowieczek machnął pulchną ręką.

- Proszę usiąść, proszę usiąść - powtórzył.

Lascelles posłuchał. Po chwili kanadyjski premier przucupnął koło niego. Miał szorstki, nosowy głos, był okropnie irytujący, popadał w samozachwyty graniczący z zadęciem, ale był także niezwykle inteligentnym, sprytnym politykiem, i to on zorganizował całą tę wizytę. Zważywszy na to, co działo się na świecie, można go uważać za jednego z najcenniejszych sojuszników Anglii. Najwyraźniej teraz był mocno zaaferowany. Siedział z rękoma na kolanach i przebierał palcami.

- Czy mamy jakiś problem? - zapytał Lascelles z uprzejmym uśmiechem.

- Nie, nie - zapewnił go King. Wyjrzał przez okno. - Jakoś nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić.

Lascalles omal nie wybuchnął śmiechem. W ciągu ostatnich kilku tygodni nie mógł się nadziwić, ile energii drzemie w tym małym Kanadyjczyku. Teraz, kiedy pędzili przez tysiące kilometrów granitowo-leśnej dziczy i nie było nic do roboty, King najwyraźniej był bardzo sfrustrowany.

- Może powinien pan trochę odpocząć - zaproponował. - Mam wrażenie, że amerykańska część podróży będzie dość wyczerpująca. - Sięgnął do kieszeni tweedowej marynarki i wyjął żółtą kartkę, kawałek depechy z telegrafu. - W Waszyngtonie temperatura dochodzi prawie do trzydziestu stopni. W Nowym Jorku jest niewiele lepiej.

- Rzeczywiście chciałem porozmawiać o amerykańskiej części wizyty - powiedział King. - Ale nie o pogodzie.

- A zatem o czym?

- Na przykład o kalectwie prezydenta.

- Paraliż dziecięcy. King przytaknął.

- Tak, polio.

- Z tego, co widziałem w kronikach filmowych, nie ogranicza to jego tempa pracy.

- To wszystko błaga - odparł King. - Czy na zdjęciach kiedykolwiek widział pan, jak prezydent idzie przez trawnik albo wsiada czy wysiada z samochodu? - Pokręcił głową. - Nie, nie widział pan, bo on nie jest w stanie tego zrobić. To wszystko przedstawienie. Zawsze po lewej towarzyszy mu jakiś człowiek w białym uniformie, który bierze go pod rękę. Zwykle z samochodu i do samochodu wnoszą go i wnoszą kierowcy, a kiedy pokazują go, jak sam jeździ, pewny siebie z tą swoją cygaretką, to siedzi w specjalnie

przystosowanym fordzie, w którym gaz i hamulce są przy kierownicy. Wszędzie ma podjazdy dla wózka. Sam widziałem.

- Nie miałem pojęcia - powiedział Lascelles, starając się udawać zdumienie. Nie była to prawda. Nim wyjechali z Anglii, dostał na ten temat pełny raport. Zarówno król, jak i królowa też wiedzieli, czego mają się spodziewać.

- Tak to właśnie wygląda - rzekł King. - Nie było jeszcze tak źle, kiedy pełnił funkcję gubernatora Nowego Jorku, ale od tamtego czasu jego stan wciąż się pogarsza. Dogadał się z dziennikarzami i zgodzili się nie pokazywać go w wózku. Jego zdaniem nie byłoby dobrze, gdyby Hitler i jego pomagierzy widzieli prezydenta jako kalekę. - Kanadyjczyk prychnął lekko.

- A może nie chce, żeby Amerykanie go takiego widzieli. King położył rękę na stole między sobą a Lascellesem.

- Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć, żeby nie było zaskoczenia. Czasami z powodu wózka, podjazdów i różnych innych czynności cały protokół można wyrzucić do kosza. - Przerwał i ściągnął usta. - Między innymi dlatego nie przyjedzie do Niagara Falls, by powitać Ich Królewskie Moście na amerykańskiej ziemi.

- Nie sądzę, by to stanowiło jakikolwiek problem - uspokoił go Lascelles. - Na pewno nie jest to nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. - Wykonał formalny skłon w stronę Kinga. - Jednak powiadomię Ich Królewskie Moście o pańskich niepokojach i uprzejmych wskazówkach. - Ten człowieczek uwielbiał tego rodzaju wyolbrzymione pochlebstwa. Lascelles miał niejasne podejrzenia, że King gdzieś je sobie notuje dla własnej przyjemności.

- Doskonale - odparł premier. Twarz mu pojaśniała, po czym natychmiast zmarszczył czoło. - Rozmawiałem też z komisarzem Woodem.

- Doprawdy?
- Współpraca z FBI nie układa mu się najlepiej.
- Domyślam się, że mówi pan o sprawie Seana Russella.
- Tak - potwierdził King. - Trochę mnie tym zmartwił.
- Wiemy, gdzie przebywa Russell?
- Właśnie o to mi chodzi. Krążą plotki, że z San Francisco przeniósł się gdzieś do Montany.
- Po co miałby jechać do Montany? - zdziwił się Lascelles. - Tam chyba trudno zebrać pieniądze.
- Zdziwiłby się pan. Wielu Irlandczyków pojechało do pracy w kopalniach miedzi w Butte. W książce telefonicznej więcej tam Sullivanów niż Smithów.
- A to ci dopiero ciekawostka! - Lascelles roześmiał się.
- Zbieram takie ciekawostki - odparł King. - Czasami się przydają.
- A więc Russell mógł tam być... czy to chce pan powiedzieć?
- Chcę powiedzieć, że komisarz Wood poprosił swoich inspektorów z Ottawy, by sprawdzili te plotki. Niejaki Carnak skontaktował się z człowiekiem z FBI o nazwisku Bannister i dowiedział, że Russella nigdy nie było w Butte ani w ogóle się go tam nie spodziewano.
- Nie wygląda to na brak współpracy.
- Owszem, ale dzisiaj Wood usłyszał, że inspektor w Butte potwierdził, że Russell przebywał tam zupełnie jawnie i przyjmował gości w swoim pokoju hotelowym.
- To dziwne.
- Nawet bardzo. Co powinniśmy z tym zrobić?
- Nie wiem, co moglibyśmy zrobić. Ale muszę powiedzieć, że potwierdza to moje pierwotne przypuszczenia: ktoś, kto otwarcie przyjmuje gości, raczej nie szykuje się do zamachu.

- No cóż, nie powiem, żebym znał wielu zamachowców. Ale mówię panu, cała ta sprawa mnie niepokoi.

- A co mówi komisarz Wood? King znów prychnął.

- Tommy, Wood to policjant. Gdyby to od niego zależało, Ich Królewskie Moście musiałyby odbywać tę wizytę w kamizelkach kuloodpornych, najlepiej gdyby w ogóle z niej zrezygnowano.

Lascalles skrzywił się nieco, gdy premier zwrócił się do niego po imieniu, ale nie zrobił z tego afery. Zapalił papierosa.

- Obaj dobrze wiemy, że nie będzie żadnych kamizelek, wizyta musi toczyć się dalej, więc cała dyskusja jest akademicka, nieprawdaż?

- Nie - odparł King. - Sądzę, że powinniśmy nacisnąć jakoś na Amerykanów, by znaleźli Russella i przymknęli go, nim narobi jakiejś szkody.

- Pod jakim zarzutem? Nie można go aresztować na podstawie plotek.

- A kogo to obchodzi, pod jakim zarzutem? Jestem przekonany, że FBI coś na niego znajdzie. Do diabła z przepisami, Tommy. Chodzi o bezpieczeństwo króla i królowej Anglii.

- To nie takie proste, panie premierze. W prasie już wspomniano o potężnym kontyngencie ochroniarzy Ich Królewskich Mości, i to w niezbyt przychylnych słowach. Nie można ich otoczyć murem policjantów. To zwykle pogarsza sytuację.

- Nie możemy tak po prostu siedzieć i przebierać palcami. - King spojrzął na swoje ręce i uświadomił sobie, że właśnie to robi. Wepchnął dłonie do kieszeni marynarki i poczerwieniał z gniewu. - Musimy coś przedsięwziąć.

- Moim zdaniem - uspokajał go Lascalles - powinniśmy założyć, że wszelkie środki bezpieczeństwa wystarczające do ochrony

prezydenta Roosevelta będą wystarczające, by chronić Ich Królewskie Moście.

Kanadyjski premier skinął głową ponuro.

- Miejmy nadzieję, że masz rację, Tommy. Jeśli nie, niech Bóg ma nas w opiece.

Król, władca Imperium Brytyjskiego, siedział w prywatnym saloniku pociągu. Tory wiły się wśród małych jezior, ostrych rdzawych skał i drzew, których starczyłoby pewnie na zbudowanie domu każdemu człowiekowi na ziemi. Król wyglądał oknem przez dobrą godzinę, od kiedy nagle skończyła się preria i zmieniła w skały i drzewa. Na razie nie zauważył śladu cywilizacji, jeśli nie liczyć rzędów słupów telegraficznych wzdłuż torów. Część z nich, ciemna od ropy, którą były konserwowane, pochylała się niczym banda pijaków. Według obliczeń króla słupy stawiano mniej więcej co trzydzieści metrów. Cieszył się, że przez chwilę może odpocząć od Buffy i całej reszty. Miał teraz pisać dziennik, o którym często napomykał, ale prawdę mówiąc, w ogóle nie pisał. Zapalił playera i zaciągnął się głęboko. Podróż powoli dobiegała końca i każdy słup telegraficzny, który mijali, oznaczał, że są o kolejne trzydzieści metrów bliżej domu. Jednak z każdym przejechanym kilometrem rosło rozdrażnienie Buffy. Choćby nie wiem jak starał się ją pocieszyć, wciąż mu się nie udawało. Publicznie, a nawet swoim przyjaciołom, Buffy często powtarzała, że rola królowej to okropne brzemię i odpowiedzialność, której nigdy się nie spodziewała. Ale król wiedział, że w tajemnicy rozkoszowała się tym, choć jego obecność nieco przyćmiewała jej blask i energię. Prawdę mówiąc, był szczęśliwy, że to ona chce grać pierwsze skrzypce w świetle reflektorów, ale najwyraźniej nadmiar publicznych wystąpień zaczął odbijać się na jej nerwach.

Choć nigdy żonie tego nie powiedział, miał świadomość, że po prostu się bała, a zwłaszcza bała się popełnienia gafy właśnie teraz, podczas amerykańskiej części wizyty. We Francji oczarowała francuskiego premiera i wszystkich Francuzów uśmiechami i wyszczuplającymi sukienkami zaprojektowanymi przez Hartnella. Ale czy Amerykanie przyjmą ją tak samo jak Davida, kiedy był księciem Walii? A może zobaczą ją taką, jaką sama siebie postrzegała - małą grubą prostaczką ze Szkocji, która nie powinna w ogóle zostawać królową. Król znów zaciągnął się papierosem i westchnął. On mógł przyjmować od niej wyrazy współczucia i zrozumienia dla najrozmaitszych wad i słabości, ale ona za żadne skarby świata od niego współczucia by nie przyjęła. Skończył papierosa i zapalił następnego.

Przynajmniej nie będzie musiała w Ameryce wygłaszać żadnych przemówień. Sam zdążył się ich doliczyć ponad dziesięciu. Pierwsze miał wygłosić w Niagara Falls. Co ciekawe, właśnie tu kilka lat wcześniej jego brat otworzył most między Kanadą i Stanami Zjednoczonymi, którym teraz będą przejeżdżać. Wyglądał przez okno i wspominał maleńką część swojego królestwa. Przede wszystkim żałował, że nie jest teraz w domu ze swoimi dwiema córeczkami, z którymi bawiłby się w berka. Wiedział, że dla nich jest takim samym mężczyzną jak każdy inny. A nawet lepszym, bo dla nich nie był Jego Królewską Mością tylko najdroższym ojcem. Zapatrzył się w dal i wsłuchał w regularny stukot kół pociągu. Najpierw zaczął oddychać w rytm tego stukotu, a potem powtarzał w tym rytmie: „I cóż, że ze Szwecji. I cóż, że ze Szwecji. I cóż, że ze Szwecji...”

Rozdział 19

5 czerwca 1939 roku, poniedziałek

Detroit, Michigan

Postępując zgodnie z poleceniami Seana Russella, Barry i Sheila Connelly wyszli z małego hoteliku przy Congress Street dwie minuty po nim. Trzymali się mniej więcej przecznice za nim, ale nie tracili z oczu jego wysokiej sylwetki. Według Connelly była to standardowa procedura IRA. Obserwator z tyłu mógł sprawdzić, czy ten przed nim nie jest przypadkiem śledzony.

Po drodze Russell zatrzymywał się przed wystawami sklepowymi, zapalał papierosa lub poprawiał sznurowadła, pozwalając się wyprzedzić Barry'emu i Connelly. Gdyby ktokolwiek go śledził, Barry miał iść po wewnętrznej stronie chodnika, z daleka od krawężnika, a Connelly - po zewnętrznej. Gdyby Connelly była sama, przełożyłaby z ręki do ręki torebkę lub złożoną gazetę. Z kolei Russell przez kolejne kilkaset metrów wypatrywał, czy ktoś ich nie śledzi, a potem zmieniali się ponownie. Jak dotąd Barry niczego nie zauważył. Nikt ich nie śledził ani piechotą ani samochodem. Albo agenci FBI Foxwortha dobrze się kryli, albo Russell zgubił ich gdzieś po drodze. Idący przed nimi szef IRA wydawał się zupełnie niczym nie przejmować. Szedł powoli, palił po drodze papierosa - zdrowy, potężny mężczyzna na spacerze rozkoszujący się słońcem. Wyjechali z Chicago poprzedniego dnia o północy powolnym nocnym pociągiem Wabash Linę do Detroit. Na dworzec Union Depot przy Trzeciej Alei dotarli krótko po pierwszej po południu.

Wszystkie kuszetki w pociągu wyprzedano i musieli podróżować normalnym wagonem. Barry miał podkrążone oczy z braku snu i marzył o kąpiel, ale Russell, o dziwo, wyglądał świeżo. Nie zwracał uwagi na otoczenie, od czasu do czasu pociągał z piersiówki. Uzupełnił ją w drodze z dworca do hotelu.

- To alkoholik - rzekł Barry do Sheili.

- Jest Irlandczykiem - odparła, wsuwając mu rękę pod ramię i lekko się przytulając.

- Ja też jestem Irlandczykiem, a nie piję tyle co on.

Roześmiała się cicho.

- Panie Barry, strasznie się pan zrobił moralistą, mimo tego co nas łączy od Chicago.

Lekko poczerwieniał, ale nie odsunął się od niej.

- Chodziło mi o to, że pije sporo jak na człowieka, który ma podłożyć bombę pod króla i królową Anglii.

- To akurat prawda.

Szli dalej za siwiejącym mężczyzną. W głowie Barry'ego wirowały myśli, które niemal przyprawiały go o nudności. Co za złośliwy los rzucił go tu przez ocean, by zakochał się w kobiecie, będącej jego więźniem, a zarazem kochanką? Co robił tu w obcym mieście, idąc Bóg wie gdzie za pijanym zamachowcem? Nie zdradzał się z żadną z tych myśli.

- Zdaje się, że wie, dokąd idzie - zauważył.

- Nie pierwszy raz jest w Ameryce.

Skręcili w Brush Street i szli w stronę torów kolejowych i rzeki. W oddali, po kanadyjskiej stronie, Barry dostrzegł wagony towarowe ładowane na wielkie promy, które miały je przewieźć na stronę amerykańską. Dotarli do dworca kolejowego na końcu Brush Street, wsiedli za Russellem do jednego z kremowych tramwajów i zajęli

miejsca na końcu wagoniku. Russell usiadł z przodu. Tramwaj ruszył z kłopotem. Przejechali co najmniej dziesięć zwojnic, potem przez Grand Trunk Railyard, minęli teren stacji i jechali dalej na północ wzdłuż rzeki pojedynczym jednokierunkowym torem. Pięć minut później minęli wielki szpital marynarki i skręcili na zachód. Tramwaj zwolnił, dojeżdżając do stacji Beaufait. Stali tu przez chwilę, wycie elektrycznych silników zmieniło się w lekki szum. Pasażerowie wsiadali do tramwaju. Motorniczy z przodu użył gwizdka i kiedy drzwi zaczęły się zamykać, Russell zerwał się i wyskoczył. Barry i Connelly ledwo zdążyli zrobić to samo, nim tramwaj ruszył dalej. Russell przeszedł pół przecznicy do rogu Bellevue i wskoczył na siedzenie obok kierowcy w garbatym ciemnozielonym dodge'u sedanie, który stał przy chodniku z włączonym silnikiem.

- I co teraz? - zapytał Barry.

- Wsiadamy chyba razem z nim.

- A ta przejażdżka tramwajem była tylko po to, by upewnić się, że nikt nas nie śledzi?

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się. Trzy lata spędził w okopach Francji i Belgii, przerażony, czekający na tę koszmarną chwilę, kiedy przyjdzie koniec. Ona żyła w tym strachu znacznie dłużej. I co najstraszniejsze - przywykła do tego.

Doszli do samochodu. Barry otworzył drzwi i puścił Sheilę przodem. Usiadł obok niej, za fotelem kierowcy. W samochodzie unosił się zapach papierosów, czuć było przesiąknięty whisky oddech Russella i słodką lawendową pomadę, od której błyszcząły włosy kierowcy. Szofer miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miał na sobie przeciętny niebieski garnitur, na ramionach sporo łupieżu. Russell odwrócił się na siedzeniu i uśmiechnął szeroko.

- To jest Michael - przedstawił kierowcę. - Dziś będzie naszym

przewodnikiem i szoferem.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Barry.

- Na razie nie musisz wiedzieć, Tomie Sullivanie. Wkrótce wszystkiego się dowiesz. - Odwrócił się do kierowcy. - W drogę, Michael.

Jechali na północny zachód. Barry próbował zapamiętać nazwy ulic, w które skręcali, ale nie dał rady. Russell palił papierosy i stale pociągał whisky Bushmills ze swojej piersiówki.

- Wiecie, że w Ameryce mówią na to irlandzka butelka? Gdyby u nas w kraju poprosić o irlandzką butelkę bushmills albo, Boże broń, Jamesona, pewnie by się mocno zdziwili. Czy to nie śmieszne? Albo to, że cała tutejsza śmietanka używa słowa „czarnuch” i nikt się nie obraża, a już najmniej same czarnuchy. - Wybuchnął długim przenikliwym śmiechem.

Kierowca Michael nie odzywał się, ale co chwila zerkał w lusterko wsteczne na pasażerów.

- Powiedz swojemu przyjacielowi Michaelowi, że niegrzecznie jest się tak gapić - rzekł Barry. - Obraża damę.

Russell uśmiechnął się.

- On nie ma nic złego na myśli. - Odwrócił się do kierowcy. - Prawda, Michael? - Chłopak nic nie powiedział i jechał przed siebie. Russell nie przestawał gadać. - A czy wiesz, Michael, że nasz pan Sullivan jest policjantem z Nowego Jorku? - Wyjął paczkę old goldów i odpalił nowego od tego, którego kończył. - Wyobraź sobie, mam własnego policjanta, zupełnie jak Jego Królewska Mość. - Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym przez nos. - Wiedział pan o tym, panie policjancie Sullivan z Nowego Jorku? Że król ma własnego policjanta i królowa też?

- Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego. - Barry próbował

zachować spokój.

Russell zdjął z czubka języka kawałek tytoniu. Obejrzał go uważnie, potem wyrzucił przez otwarte okno. Z jakiegoś powodu Barry uznał ten gest za wyjątkowo obsceniczny. Odwrócił głowę, wolał wyglądać przez okno, niż przypatrywać się temu człowiekowi. Uświadomił sobie, że choć barczysty Russell ma w sobie charyzmę, to jednak w gruncie rzeczy jest małym człowiekiem.

Jechali w stronę przedmieść przez dość bogatą dzielnicę. Ulice były szerokie, wysadzone drzewami, a domy duże i stały z daleka od chodnika.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Barry, nie odwracając się od okna.

- Niektórzy sądzą, że to Grosse Point, ale to nieprawda - odezwał się po raz pierwszy Michael. Głos miał beznamiętny i bez śladu irlandzkiego akcentu. - Lepsza część Hammtrack, a może Harper Woods.

- Przecież oni nie mają pojęcia, o czym ty mówisz - zauważył Russell. - Jeśli chodzi o ścisłość ja też.

- Dzielnicą bogatych ludzi - wyjaśnił Michael. - Lekarze, dentyści i temu podobni. - Skinął głową w lewo. - Po drugiej stronie Gratiot mieszkają już polaczkę, makaroniarze i chałciarze.

- Skręcili w prawo i Barry ujrzał tabliczkę z nazwą ulicy: Forest. Ta też była szeroka - samochody bez trudu mogły parkować po obu stronach. Drzewa przed domami były wielkie i stare. Im dalej jechali, tym bardziej rosły numery posesji. W końcu Michael zatrzymał się przy krawężniku, ale nie wyłączył silnika.

- No to jesteśmy w domu - rzekł Russell. Sięgnął do klamki i otworzył drzwi.

- Zaparkowali przed dużym piętrowym domem z cegły i kamienia, nieróżniącym się zbytnio od sąsiednich. Po obu stronach

ciemnych drzwi z mosiężną kołatką stały dwie białe georgiańskie kolumny. Na mosiężnej tabliczce Barry zobaczył numer 1142. Na lewej kolumnie widniała jeszcze jedna mała tabliczka, ale był za daleko, by odczytać napis. Zamknął na chwilę oczy i wrył sobie w pamięć adres: Forest Street 1142. Russell ponownie odwrócił się do Michaela.

- Bądź z powrotem za godzinę - polecił. Wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. - Wsiadajcie.

Sheila wyszła jako pierwsza, za nią Barry. Russell klepnął w dach samochodu i dodge odjechał. Ruszyli w stronę wysadzanej żywopłotem alejki prowadzącej do drzwi wejściowych. Wchodząc po schodach, Barry odczytał napis na mosiężnej tabliczce: „Dr David Doyle. Internista”. Patrzył, jak Russell lekko stuka kołatką: dwa krótkie, jeden długi, krótki i znów długi. Litery IRA w alfabecie Morse’a. Udawał, że tego nie zauważył. Wpatrywał się w wąskie okno po lewej stronie drzwi, gdzie za zasłoną zauważył jakiś ruch. Nie czekając, aż ktoś otworzy, Russell nacisnął klamkę i wszedł do środka, za nim Sheila i Barry. Byli w małym przedpokoju. Po lewej mieli strome schody, po prawej otwarte drzwi prowadziły do jadalni. Drzwi za ich plecami się zamknęły. Barry odwrócił się i ujrzał młodego mężczyznę we flanelowych spodniach, białej koszuli i włóczkowej kamizelce. Jedną rękę trzymał na klamce drzwi, w drugiej ścisnął pistolet maszynowy Thompsona, jaki Barry widział w wielu gangsterskich filmach.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytał. Russell uśmiechnął się.

- Nigdy nie wiadomo, kto się napatoczy. Lepiej się zabezpieczyć, niż później żałować.

- Ten doktor Doyle to, jak rozumiem, przyjaciel?

- Owszem. Przebywa teraz na długim urlopie. Wyjechał z żoną w

podróż dookoła świata, coś w rodzaju drugiego miesiąca miodowego. Pozwolił nam korzystać ze swojego domu.

- Pozwolił, czy zażądano tego od niego jako wiernego syna irlandzkiej ziemi?

- To miło z jego strony.

- Sprawa wymaga poświęceń od wielu z nas. - Russell przyłożył rękę do piersi w obłudnym geście i na chwilę wzniósł oczy ku niebu, a potem się roześmiał. Ruszył schodami na piętro. Wchodząc pod górę, Barry poczuł kilka ostrych zapachów, które dochodziły gdzieś spod spodu. Ocet, wybielacz, środek na mole i coś, co przypominało syrop kukurydziany.

Na górze znaleźli się w innym, szerszym holu. Stali na wprost otwartych drzwi. Sądząc po tapecie, zaglądali właśnie do pokoju dziecięcego. Po lewej stronie kolejne, rozsuwane drzwi prowadziły do salonu pełnego sof, wygodnych foteli i wysokich szafek z książkami. Ściany pomalowano na bladożółto, a w meblach dominującym kolorem była zieleń. W salonie był wysoki mężczyzna w brązowym garniturze. Ciemne włosy rzedły mu na czubku głowy, a wąskie małe usta były prawie niewidoczne pod ogromnym nosem. Miał małe oczka, ciemne jak jego włosy.

- Joseph! - krzyknął radośnie Russell. - Poznaj naszych przyjaciół, Thomasa Sullivana z nowojorskiej policji i młodą damę ze starego kraju, pannę Sheilę Connelly. Pan Sullivan twierdzi, że zdaniem Clanu potrzebuję ochrony, więc wysłano go tu z panną Connelly, która przywiozła mi z kraju niezmiernie ważne informacje. - Przedstawił ciemnowłosego mężczyznę jako Josepha McGarrity'ego z Filadelfii. - To mój wielki przyjaciel, znamy się jak łyse konie. - McGarrity uściśnął obojgu ręce, delikatnie, ale wstarczająco mocno. Po wymowie słychać było, że jest już od dłuższego czasu w Stanach

Zjednoczonych.

- Siadajcie, siadajcie. - Russell zaprosił gestem Barry'ego i Sheilę do klubowych foteli naprzeciwko sofy, na której siedział McGarrity. Sam podszedł do zabytkowego sekretarzyka, który pełnił funkcję ozdobnego barku. Stały na nim błyszczące butelki i szklanki, pojemnik na lód oraz szczypce. Murphy, Jameson, Bushmills - same irlandzkie gatunki whisky. I jedna butelka dzinu - Fleischmann, nie Gilbey.

Nalał sobie bushmills i usiadł na sofie obok McGarrity'ego. Szczupły mężczyzna zerknął na szklankę Russella i lekko ściągnął usta, ale nic nie powiedział. Russell dojrzał jednak ten gest.

- Uważasz, że za dużo piję, co, Joseph?

- Owszem.

- Nie ma czegoś takiego jak picie za dużo.

- Mamy na głowie poważne sprawy, Sean.

- Sądząc po zapachu, to faktycznie poważne - odparł Russell, wciągając powietrze. - Co tam dziś pichcicie?

McGarrity spojrzał przeciągle na Barry'ego i Sheilę Connelly. Odwrócił się do Russella.

- To co zwykle. Pył drzewny z amoniakiem i nitrogliceryna.

- Wybuchowa żelatyna - powiedział Barry. Teraz zrozumiał, czemu w domu unosi się taka kombinacja zapachów.

- Zgadza się. - McGarrity spojrzał na niego. - Co pan o niej wie?

- Tylko to, czego nauczyłem się w wojsku.

- A w jakiej armii pan służył?

- Irlandzcy grenadierzy. McGarrity syknął otwarcie.

- Armia królewska. Służył pan królowi.

- Służyłem samemu sobie - odparł Barry, pilnując się, by nie stracić panowania nad sobą. - Najlepiej jak tylko sierota z Cork mogła

w owych czasach.

- Mógł pan wstąpić do nas zamiast do wojska.

- I co byście mi dali w zamian, kulkę w łeb? - rzekł Barry. - Dobrze pan wie, że wtedy walczyły ze sobą różne frakcje. Zabiliście tyle samo swoich co obcych.

- To dlaczego teraz jest pan z nami?

- Bo teraz mogę się na coś przydać organizacji.

McGarrity popatrzył na niego, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nim się odezwał, Russell wstał i podniósł szklanę.

- Whisht Dość tego gadania. - Odchrząknął. - Go maire sib bhur saol nua. Ciesz się nowym życiem w Ameryce, Thomasie Sullivanie. Obyś długo żył, miał co pić i umarł w Irlandii! - Wypił whisky jednym haustem.

- Tylko ty pijesz, Sean. I z tego co widzę, nigdy ci nie brakuje czegoś do picia - zauważył McGarrity.

- Ależ z ciebie nudziarz, Joseph. - Russel odstawił szklanę na stoliku przy sofie. - Dość tego, pokaż nam teraz swoje bomby!

Zeszli na dół. Tym razem prowadził McGarrity. Na dole skręcił w lewo. Barry ujrzał, że w tej części domu doktor Doyle prowadził swoją praktykę lekarską. Urządzono tu dwie małe poczekalnie, biuro, dwa gabinety zabiegowe, kuchenkę i laboratorium. W tym ostatnim pomieszczeniu o wymiarach trzy na pięć metrów przy dużym stole pracowali trzej mężczyźni, czwarty przyniósł wielką porcelanową wazę z kostkami lodu. Wszyscy czterej nosili szelki z płaskimi pistoletami automatycznymi. Każdy miał zasłoniętą dolną część twarzy. Barry widział jednak, że oczy mają czerwone i opuchnięte od oparów. Sam poczuł pieczenie w oczach i drapanie w gardle.

Przy stole jeden z mężczyzn zaczął nabierać pipetą nitroglicerynę zgromadzoną w chłodzonej menzurce. Przeniósł ją do drugiej

menzurki napełnionej wodą. Barry obserwował, jak oleista nitrogliceryna, cięższa od wody, opada na dno. Kiedy mężczyzna przeniósł całą nitroglicerynę, zaczął dodawać sodę, by zneutralizować nadmiar kwasu w menzurce. McGarrity przyglądał się temu przez dłuższą chwilę, potem wyszedł bez słowa. Skręcił w wąskie drzwi. Idący za nim Russell, Barry i Shelia weszli do pozornie zwykłej kuchni, z kuchenką gazową i lodówką. Przy stojącym na środku stole kolejny zamaskowany i uzbrojony mężczyzna mieszał rozmaite składniki w gęstą szarobrazową pastę. Barry dostrzegł słoik amoniaku Sledge Hammer, wielki słoik z wazeliną i pudełko soli kamiennej Boraxo.

- Miesza stabilizator - wyjaśnił McGarrity. - Tak jak ciasto na placek. Dodaje się trochę prochu strzelniczego, drewnianych opiłków z amoniakiem, a potem nitroglicerynę. W efekcie uzyskujemy lepki dynamit, który można dowolnie kształtować.

Russell położył swoje wielkie łapsko na ramieniu Barry'ego.

- Joe to niebezpieczny człowiek. Pakuje to cholerstwo w puszki z wołowiną i wysyła do Anglii jako prezenty. Pomaga mu steward z pokładu „Queen Mary”. Jest w tym pewna ironia, co, Sullivan?

- Można tak powiedzieć - odparł Barry, wpatrując się w miskę do mieszania i jej zawartość. Naukowcy z laboratorium policyjnego w Hendon pod Londynem zbadali pozostałości po ostatnich kilku bombach, które wybuchły w Birmingham i Manchesterze. Doszli do wniosku, że niektóre części bomb z całą pewnością pochodziły z Ameryki. Prawdopodobnie z takiej fabryczki jak ta.

- Nie robi to na panu wielkiego wrażenia, panie Sullivan - zauważył McGarrity.

- Nie jestem tu od wrażeń, panie McGarrity. Mam dopilnować, by przywódca Irlandii Russell zakończył swoje zadanie i bezpiecznie

wrócił do ojczyzny. - Przerwał i zastanawiał się, jak dalece może przeciągać strunę z tajemniczym przyjacielem Russella. - Chciałbym jednak się dowiedzieć, co pan Russell tutaj robi.

- McGarrity zerknął na młodego mężczyznę mieszającego odczynniki.

- Skończyłeś już, Archie?

- Tak.

- To zostaw nas samych.

Archie wyszedł, zabierając ze sobą miskę. McGarrity odwrócił się do Barry'ego.

- Wie pan, po co Sean tu przyjechał.

- Według niego, żeby powitać królewską parę

- Według niego?

- W Chicago czytałem najnowsze wydanie „Time'a” - powiedział Barry. Nie odbiegało to wiele od prawdy, kupił „Time” na dworcu kolejowym. - Wydrukowano tam dokładny plan wizyty. Nie ma słowa o Detroit. Przekraczają granicę w Niagara Falls.

- Zgadza się - potwierdził Russell. - Ale przejeżdżają przez Windsor po kanadyjskiej stronie rzeki. Wystarczy przedostać się przez most i podrzucić prezent naszej młodej parze, niech im ziemia lekką będzie.

- Kanadyjska policja na pewno ma twoje fotografie, o amerykańskiej nawet nie wspomnę. Będą cię szukać.

- Połowa policji w Detroit to Irlandczycy, panie Sullivan - rzekł McGarrity.

- A druga połowa nie. I jestem przekonany, że w Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej nie ma zbyt wielu Irlandczyków.

- Życie to jedno wielkie ryzyko, panie Sullivan.

- Nie zaprzeczam. Ale części ryzyka można uniknąć. - Barry

pokręcił głową. - Złe się stało, że przywódca Irlandii jest powszechnie znany, ale przenosić bombę przez granicę przy takiej ochronie? To szaleństwo.

- Nie ty będziesz osądzał, co jest szaleństwem, a co nie - odezwał się Russell. - To ja biorę na siebie ryzyko, chłopcze.

- A ja mam pilnować, żeby nic ci się nie stało - odparł Barry.

- Nie życzymy sobie, by nas pan pouczał, panie Sullivan, i nie życzymy sobie, by chronił pan Seana. - McGarritty uśmiechnął się wąskimi ustami. - Może oszczędzi nam pan kłopotów i po prostu wróci do Nowego Jorku? - Zerknął na Sheilę Connelly i mina mu skwaśniała. - Proszę też zabrać ze sobą tę *striapach* - dodał, nazywając ją w języku gaelickim dziwką. - I wsadzić ją na najbliższy statek do domu.

Dział R, czyli dział badań wywiadu wojskowego, zajmował dwa małe przechodnie pokoje na poddaszu budynku przy Broadway 55. W pierwszym pokoju, niewiele większym od szafy, pracowała maszynistka. Drugi, nieco większy, zajmował jedyny pracownik wydziału, podpułkownik Joseph Holland. Jak zwykle miał na biurku bałagan. Piętrzyły się na nim stosy teczek i papierów. To samo widać było na półkach dwóch wysokich szafek na książki. Większość teczek zawierała korespondencję i materiały na temat podjazdowej wojny partyzanckiej w przeszłości i obecnie. Właśnie to najbardziej interesowało Hollanda i tym zajmował się w wywiadzie. Siedział tyłem do biurka, z nogami na parapecie. Od czasu przymusowego powrotu do Anglii miesiąc temu wysłał już pięć memorandumów do swoich przełożonych oraz do Kendala z sekcji specjalnej i Douglasa-

Home'a z gabinetu premiera. Nikt z adresatów nie rwał się do odpowiedzi. Żaden nie wyraził też pisemnie swojej opinii. Za pomocą swoich własnych kontaktów Holland dowiedział się, że polecenie natychmiastowego powrotu wyszło gdzieś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zostało przekazane przez Douglasa-Home'a. Oficjalnie wyjaśniono, że jest potrzebny na miejscu, a jego pobyt w Ameryce był zbędny, bo i tak zbyt wielu funkcjonariuszy zajmowało się ochroną królewskiej pary. Prawda była oczywiście znacznie prostsza. Politycznie Russell stał się równie niebezpieczny jak odpalane ciśnieniowym zapalnikiem bomby, które Holland lubił projektować w wolnych chwilach. Od kiedy królewska para wyjechała do Ameryki, zamachy bombowe prawie ustały. Aresztowanie Russella bez powodu, podczas królewskiej wizyty w Stanach Zjednoczonych, wywołałoby wiele negatywnych komentarzy i co gorsza, kosztowałoby Roosevelta przynajmniej część irlandzkich głosów w nadchodzących wyborach. Holland pogładził się po łysinie i patrzył w zamyśleniu w wąskie okno, nie widząc wystających ponad dachami wież Westminsteru i kominów na budynkach po drugiej stronie ulicy. Kiedyś w tę grę grali dżentelmeni, ale te czasy już minęły. Uśmiechnął się do siebie, sięgnął po papierosy, zapalił i znów patrzył przez okno. Czy fanatyzm Russella wobec sprawy irlandzkiej niepodległości był większym czy mniejszym szaleństwem niż wyskakiwanie z okopów pod Ypres czy Vimy w imię Boga i Ojczyzny? Czy próba zabójstwa króla i królowej była szaleństwem, jeśli ktoś wierzył, że służy słusznej sprawie? Czuł, że ugrzązł, nie może ruszyć się z miejsca, bo zabrnął w bagno, które ciągnie go w dół. Przypomniał sobie słowa Thomasa Barry'ego z ich pierwszego spotkania. *Cui bono?* Kto na tym korzysta? Russella można było różnie oceniać, ale na pewno nie był idiotą. Musiał zdawać sobie

sprawę z konsekwencji zabójstwa Jerzego i Elżbiety. Zamachowiec z Irlandii oznaczałby koniec Irlandii.

Poprawił się na krześle i opuścił nogi na podłogę. Poprawił okulary, strzepnął popiół z koszuli. Nagle układanka w jego myślach zaczęła składać się w obraz. Być może wcale nie chodziło o irlandzkiego zamachowca. Może chodziło o irlandzkiego męczennika. Biedny Sean Russell, pojechał do Ameryki, by promować swoją Sprawę, wyśmiany przez prasę w Los Angeles, stanie się kozłem ofiarnym. Głosy Irlandczyków w Ameryce, dziś podzielone między republikanów i zwolenników rewolucji, zespolą się w jeden front. Roosevelt ucierpi, może nawet przegra wybory i w efekcie Ameryka długo nie będzie mieszała się do wojny. Na tyle długo, by naziści zdążyli podpalić Anglię, pozostawiając wolną Irlandię. Po drugiej stronie morza Irlandczycy będą mieli za sąsiada niemieckiego satrapę, ale po tysiącu lat zrzucą wreszcie jarzmo niewoli. Russellowi wystawią piętnastometrowy pomnik z brązu gdzieś pośrodku St Stephen's Green i do końca świata będą wspominać jego imię przy każdym kuflu guinnessa. - Oby wrogowie Irlandii nigdy nie znaleźli przyjaciół - mruknął Holland, przypominając sobie stare przekleństwo sprzed lat. Wstał, włożył ręce do kieszeni i podszedł do okna. Brzmiało to wszystko nieźle, ale coś jeszcze nie pasowało. To był skomplikowany plan, tak szczegółowy jak projekt budynku. Być może budynku, który w ogóle nie istniał.

Holland zamknął na chwilę oczy, zamyślił się głęboko i w końcu przypomniał sobie, co mówił Stephen Hayes w samotnej, targanej wiatrami chacie na Wzgórzu Klasztornym z widokiem na stalowoszare morze. Odwrócił się od okna, wrócił na krzesło i kaszłąc, zapalił kolejnego papierosa. Odsunął leżącą przed nim górę teczek i przyciągnął do siebie telefon. Zadzwoił do informacji, gdzie

podali mu właściwy numer. Telefon odebrał sam właściciel. Mówił głosem delikatnym jak pergamin.

- Antykwariat Quaritcha.

- Czy macie państwo książki na temat szermierki?

Mamy książki na każdy temat, młody człowieku - odparł Quaritch szorstko, uznając, że rozmawia z kimś znacznie młodszym. - Jaki rodzaj szermierki pan ma na myśli? Szermierkę słowną czy walkę szpadą?

- Walkę szpadą.

- Mamy kilka.

- Doskonale - ucieszył się Holland.

Młody kierowca odwiózł Sheilę Connelly i Thomasa Barry'ego aż pod sam hotel przy Congress Street. Wysadził ich przed wejściem i odjechał, zostawiając za sobą chmurę kurzu. Connelly i Barry weszli na górę do małego pokoju z zapadniętym łóżkiem i małym poplamionym dywanem.

- Dranie! - odezwała się Sheila Connelly, siadając na łóżku i uderzając pięściami w kolana.

Barry usiadł na krześle przy oknie.

- Dlaczego tak na nich mówisz?

- Bo to są prawdziwe dranie - wybuchnęła. - Słyszałeś McGarrity'ego. Dla niego kobieta to tylko dziwka. Założę się, że Sean ma o kobietach niewiele lepsze zdanie.

- To głupcy - odparł cicho Thomas. Wstał, podszedł do łóżka i ukląkł przed Sheilą, kładąc rękę na jej dłoni. - Głupcy i do tego ślepi.

- To ty jesteś głupcem. I do tego romantycznym. - Pokręciła

głową. - U takich jak oni nie ma miejsca na romantyzm, Thomasie. Kochają tylko bomby i kule.

- Ale my możemy sobie na to pozwolić.

- Na co? Na miłość?

- Tak.

Ścisnęła jego rękę.

- Możemy się nią cieszyć przez chwilę, Thomasie. Ale nie dłużej.

- W takim razie cieszymy się choćby przez chwilę.

Wstał, podniósł ją i przytulił, ale spokój i cisza trwały krótko. Kiedy zetknęły się ich usta, Sheila zaczęła zdzierać ubranie z niego i z siebie. Mamrotała przy tym do siebie i płakała, a w końcu pociągnęła go na łóżko. Rozpięła guziki rozporoka, wzięła do ręki sztywniejący już członek, jęcząc, rozłożyła nogi i uniosła do góry biodra. Drugą ręką odsunęła bawełniane majtki i wprowadziła go w siebie. Twarz miała mokrą od łez. Z każdym ruchem wykrzykiwała jego imię niczym okrzyk wojenny, aż w końcu ustały krzyki i ustał ruch. Pewnie zasnęła, bo kiedy doszła do siebie, Thomas wchodził właśnie do pokoju. W rękach trzymał dwa kubki z kawą i pączki w brązowej torbie prawie przeroczystej od tłuszczu i cukru.

- Wyskoczyłeś na zakupy?

Postawił kawę i pączki na stoliku przy łóżku. Usiadła, zakrywając piersi kołdrą. Usiadł na łóżku obok niej.

- Zadzwoń też.

- Do naszych znajomych z Nowego Jorku?

- Tak.

- Wyglądasz jak struty, Thomasie Barry. Co ci powiedzieli?

- Wczoraj wieczorem tuż przed wyjazdem z Chicago Russell zadzwonił do swojego człowieka z Clanu w Nowym Jorku. Człowiek Foxworth przechwycił rozmowę i poręczył za ciebie, ale chyba

ustalono jakiś dodatkowy sygnał, którego człowiek Foxwortha nie znał, bo Russell szybko się rozłączył. A to znaczy, że wie, iż nie jestem z Clanu.

- A mimo to zaprowadził nas prosto do swojej fabryczki bomb, opowiedział o swoich planach. To się nie trzyma kupy. Spodziewałabym się raczej kulki w łeb i podróży w bagażniku samochodu młodego Michaela.

- To oznacza, że Russell pokazał nam i powiedział tyle, ile chciał.

- Moim zdaniem powinniśmy zniknąć stąd, nim Russell albo McGarrity zmienią zdanie. - Odrzuciła kołdrę i spuściła stopy na podłogę. - Tu jest zbyt niebezpiecznie.

- Foxworth chce, żebyśmy natychmiast wracali do Nowego Jorku. - Barry wstał z łóżka. - Sprawdziłem na lotnisku. Za dwie godziny jest samolot. - Otoczył ją ramionami. - A więc mamy jeszcze trochę czasu.

Kiedy skończyli, kawa zdążyła wystygnać. Pączki zjedli już w samolocie do Nowego Jorku.

Na podstawie - jak później ogłoszono oficjalnie - anonimowego donosu George Messersmith, były konsul amerykański w Berlinie, obecnie tymczasowy przedstawiciel Departamentu Stanu w Waszyngtonie, nakazał aresztowanie Seana Russella. Jako powód podano pewne nieścisłości związane z paszportem i naruszenie przepisów imigracyjnych. Piątego czerwca o dziewiętnastej dziesiątej, niespełna dwadzieścia cztery godziny przed przyjazdem królewskiego pociągu do Windsoru w Ontario, Russell i jego współpracownik Joseph McGarrity zostali zatrzymani na centralnym dworcu kolejowym Michigan. Zamierzali wsiąść do wagonu, który miał być przewieziony promem na kanadyjską stronę rzeki Detroit, na dworzec Michigan na przedmieściach Windsoru. Obu zatrzymanych zabrano

do lokalnego aresztu przy Gatriot Street, gdzie zostali przeszukani. Nie znaleziono przy nich żadnych środków wybuchowych, broni ani innych zakazanych materiałów. McGarrity'ego wypuszczono praktycznie od razu. W nocy Russella przetransportowano pod strażą do aresztu przy Alfred Street. Rewizja w pokojach hotelowych Russella i McGarrity'ego też nie przyniosła rezultatu. Rankiem następnego dnia na podstawie kolejnego anonimu lokalny oddział Federalnego Biura Śledczego pod wodzą wicedyrektora W. W. Bannistera przeprowadził nalot na posesję numer 1142 przy Forest Street w bogatej północno-wschodniej dzielnicy Detroit, przecznicej dalej od miejsca, gdzie urodził się Charles Lindbergh.

Dom okazał się rezydencją doktora Davida Andrew Doyle'a i jego żony Sarah. Oboje wyjechali z kraju na przedłużony urlop. Zgodnie z nakazem rewizji wydanym przez sędziego federalnego Warrena C. Mastersa lokal należało przeszukać pod kątem obecności „broni, materiałów wybuchowych, chemikaliów i innych potencjalnie niebezpiecznych środków niezbędnych do produkcji bomb”. Drobiazgowo i wyczerpujące przeszukanie domu nic nie dało. Nie było nawet śladu po materiałach wybuchowych, jeśli nie liczyć unoszącego się wszędzie smrodu amoniaku.

We wtorek szóstego czerwca o dziewiątej trzydzieści rano, niespełna dwanaście godzin po aresztowaniu Russella, trzech kongresmanów - James P. McGranery z Pensylwanii, J. Joseph Smith z Connecticut i Martin L. Sweeney z Ohio, wszyscy z Partii Demokratycznej - skrzyknęło na pomoc siedemdziesięciu innych irlandzkich członków Kongresu i na konferencji prasowej na stopniach Kapitolu wzywali do działania. W południe trzech przywódców protestu, z McGranerym na czele, udało się do Białego Domu, by osobiście wręczyć prezydentowi protest i petycję. Petycja

miała formę ultimatum: albo Sean Russell zostanie natychmiast zwolniony z aresztu, albo królewska wizyta w Waszyngtonie zostanie zbojkotowana przez wszystkich irlandzkich kongresmanów i senatorów z Kapitolu.

Rozdział 20

6 czerwca 1939 roku, wtorek

Nowy Jork

Według ustaleń Dana Hennessy'ego Jane miała zostać zabrana z neutralnego terenu przed wejściem do Stork Club przy Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej. Auto pojawiło się punktualnie o dwudziestej pierwszej. Był to nieoznakowany ford deluxe. Hennessy obserwował ze schodków przy wejściu, jak dziewczyna wsiada do tyłu. Samochód włączył się do ruchu i ruszył na wschód, potem skręcił na północ, w Park Avenue. Obok Jane siedział trzydziestoletni mężczyzna o twarzy byka. Miał na sobie garnitur, ale wielkie mięśnie zdawały się rozsadzać materiał. Lepiej wyglądałby w luźnym drelichu.

- Załóż to na głowę i pochyl się - polecił jej nieznajomy i podał ciemno niebieski wełniany koc.

Jane wykonała polecenie i ostrożnie podnosząc dopiero co zagojoną rękę, nakryła się kocem i przykucnęła między siedzeniami.

Kilka minut później skręcili w prawo, po minucie, może dwóch poczuła, że jadą w górę i usłyszała znajomy głuchy stukot kół samochodu sunącego po moście. Jedyne most tak blisko Stork Club to Queensboro. Według oceny Jane pozostała część podróży zajęła około pół godziny. O ile zdążyła się zorientować, po zjeździe z mostu skręcili na południe, co oznaczało, że są gdzieś na Brooklynie. W końcu samochód się zatrzymał. Nadal nakryta kocem, Jane została wprowadzona do jakiegoś budynku. Przez kilka sekund po wyjściu z samochodu czuła lekką słoną bryzę i dałaby sobie głowę uciąć, że

słyszcy chlupanie wody i odległy stukot silników holownika. Rzeka Wschodnia. Albo Atlantyk. Albo Erie.

Mężczyzna o twarzy byka poprowadził ją po długich schodach, otworzył drzwi i trzymając pod ramię, doprowadził do drewnianego krzesła z oparciami na ręce. Wchodząc na górę, dziewczyna czuła zapach gnijących warzyw i owoców. Jakiś magazyn. Mężczyzna zdjął z jej głowy koc i czekał chwilę, aż oczy Jane przywykną do światła. Siedziała w dużym kantorze na piętrze, z trzech stron otoczonym oknami wychodzącymi na ciemny magazyn, pełen drewnianych skrzyń poukładanych na paletach. Oprócz jej krzesła stały tu dwa podobne oraz ciemne drewniane biurko. Za nim znajdowały się drzwi prowadzące na jakieś zaplecze, a może do toalety. Obok drzwi stała drewniana szafa biurowa, na niej obracał się osłonięty kratką wentylator. W górze był żyrandol ze zwisającym sznurkiem od włącznika. Na biurku stała lampa z wygiętym pałąkiem. Poza tym leżała tam tylko zielona podkładka do pisania, telefon i płaska blaszana popielniczka.

Mężczyzna o byczej twarzy zbliżył palec do twarzy Jane.

- Zostaniesz tu, dopóki po ciebie nie wrócę, rozumiesz?

- Jasne.

Skinął głową i wyszedł z kantorka, cicho zamykając za sobą drzwi. Usłyszała, że zbiega po długich schodach do magazynu. Poruszyła się niespokojnie na krześle. Ręka i bark wciąż dość mocno bolały, choć w Stork Club połknęła garść aspiryny. Minęła minuta, potem druga. Na dole w magazynie słychać było jakieś szelesty - pewnie biegały tam jakieś gryzonie. Czasem rozlegało się stłumione stuknięcie i drapanie gołębi chodzących po metalowym dachu. Po pięciu minutach Jane zaczęła się zastanawiać, czy nie wyjść, ale wspomniała mężczyznę o twarzy byka i została na miejscu. Chwilę

później usłyszała skrzypienie podłogi. Otworzyły się drzwi. Stałą w nich nieznamy mężczyzna.

Był średniego wzrostu i średniej budowy ciała, miał krótkie stalowoszare włosy, owalną, lekko obwisłą twarz i okrągłe okulary w metalowych oprawkach na mocnym patrycjuszowskim nosie. Nad szerokim podbródkiem Jane zobaczyła małe usta odsłaniające równie małe szare zęby. Mógł mieć pięćdziesiąt kilka, najwyżej sześćdziesiąt lat. Nosił bardzo drogi, ciemny trzyczęściowy garnitur. Do tego ciemnoniebieski krawat w małe czerwone plamki. Nie było w tym nic z ostentacyjnej mafijnej mody, o jakiej mówił Frankie Satyna. Usiadł za biurkiem. Jane zauważyła, że zostawił drzwi lekko uchylone. Nie docierało zza nich światło. W pokoju na zapleczu było zupełnie ciemno.

- Nazywam się George Wolf. Jestem adwokatem. Pani nazywa się Jane Todd, nieszczęśliwa młoda kobieta, która zginęła w wybuchu w swoim mieszkaniu. Jak na martwą kobietę wygląda pani wyjątkowo atrakcyjnie. Podobają mi się zwłaszcza pani buty. Uwielbiam buty.

Jane nosiła pantofle o ściętych noskach, których nie odważyłaby się nazwać ostatnim krzykiem mody, ale widać każda potwora znajdzie swego amatora.

- Rozumiem, że chciała się pani ze mną spotkać - ciągnął Wolf. Mówił wyraźnie i dobitnie, w jego głosie nie słyhać było żadnego konkretnego akcentu ani emocji.

- Ktoś próbował mnie zabić - zaczęła Jane i umilkła.

- Większość ludzi sądzi, że to się nawet komuś udało.

- Chciałabym, żeby tak pozostało. Chcę też znaleźć tego, kto to zrobił.

- Niech mi pani da dolara - powiedział Wolf.

- Słucham?

- Niech mi pani da dolara. Ma pani chyba dolara, panno Todd?

- Jasne.

Sięgnęła do swej nowej zamszowej torebki i wyciągnęła portmonetkę - to jedna z niewielu rzeczy ocalałych z pożaru. Wyjęła jednodolarowy banknot i przesunęła go po blacie do Wolfa. Prawnik złożył banknot na pół, potem jeszcze raz na pół i włożył do kieszeni kamizelki.

- Teraz wynajęła mnie pani jako adwokata. Reprezentuję panią. Wszystko, co pani powie albo ja powiem pani, jest objęte tajemnicą i chronione prawem. Nie mogę zostać zmuszony do ujawnienia czegokolwiek, co zostanie poruszone na tym spotkaniu.

- Świetna sztuczka.

- Przydatna.

- A jak mi to pomoże dowiedzieć się, kto próbował mnie zabić?

- Nic na ten temat nie wiem, panno Todd.

- Chciałabym też wiedzieć dlaczego.

- Na ten temat również nic nie wiem.

- To po co tu przyjechałam? Po co ta sztuczka z dolarem? I co ważniejsze, panie Wolf, dlaczego traci pan swój cenny czas, by spotkać się ze mną w jakimś magazynie na brooklyńskim nabrzeżu?

- Jestem rycerskim mężczyzną, panno Todd. Uwielbiam spełniać zachcianki atrakcyjnych kobiet. - Przerwał. - Czy ktoś mówił pani, że przypomina Glendę Farrell, tę aktorkę? Gra w...

- W filmach o Torchy Blane. - Jane przytaknęła. - Mówiono mi to.

- Uśmiechnęła się. - Zagrała też w *Małym Cezarze*, filmie o mafii, ale to było prawie dziesięć lat temu. - Przerwała i obserwowała przelotny uśmieszek na twarzy prawnika. - Nadal nie wiem, dlaczego zadał pan sobie tyle trudu, żeby mnie tu sprowadzić.

- Chcę wiedzieć, kto jest moim przyjacielem, a kto wrogiem.

- Nie miałam pojęcia, że zaliczam się do którejkolwiek z tych kategorii.

- To się dopiero okaże - mruknął Wolf. - Zajmuję się informacjami, panno Todd. Dla mnie są one towarem, który ma swoją wartość.

- Ja też mam coś do zaoferowania - odparła Jane. Wyjęła papierosa i zapaliła.

- W takim razie może będziemy mogli dokonać wymiany. - Prawnik popchnął w jej stronę popielniczkę.

- Kto zaczyna pierwszy?

- To pleonazm - powiedział z uśmiechem.

- Jestem fotografem, nie dziennikarzem. - Zaciągnęła się głęboko i powoli wypuściła dym. - Więc kto zadaje pytania?

- Panie mają pierwszeństwo.

- Czy słyszał pan o Howardzie Rainesie?

- Znałem pana Rainesa. Był młodym adwokatem w kancelarii Fallon i McGee. Kim był dla pani?

- Starym znajomym.

- Chyba kimś więcej, panno Todd. Starzy znajomi nie posuwają się do takich rzeczy jak pani ostatnio, łącznie z narażaniem własnego życia.

- To bardzo stara znajomość. Pomógł mi stać się tym, kim jestem. Na razie tyle powinno panu wystarczyć.

- W porządku. Wie pani, dlaczego zginął?

- Powie mi pan?

- Już mówiłem, panno Todd. Wymieniam się informacjami, nie rozdaję ich.

- Zna pan Josepha Shallecka?

- Oczywiście, to bardzo znany prawnik procesowy.

- Prawnik mafii. Wolf uśmiechnął się.
- Wedle słów pana Hoovera z FBI mafia nie istnieje.
- Dewey ma na ten temat inne zdanie. Ja zresztą też.
- Pan Dewey ma inne zdanie na każdy temat.
- Shalleck wynajął Howiego do jakiegoś zadania. W Hawanie.
- Tak?
- Czy to zadanie miało coś wspólnego z Frankiem Costello?
- Nie.
- Mówi to pan z dużą pewnością siebie.

- Pan Costello jest jednym z moich klientów. Wszelkie informacje dotyczące prawnych aspektów działalności pana Costello są święte, chronion etajemnicą służbową podobnie jak treść tej rozmowy. A zatem jeśli daję pani jednoznaczny odpowiedź dotyczącą związku pana Rainesa z panem Costello, może pani być pewna, że nie ma takiego związku. Czy wyrażam się jasno?

- Jasno, jak każdy prawnik, pomyślała Jane.
- Wie pan, co to było za zadanie?
- Być może.
- Więc o co chodziło?
- Później do tego dojdziemy. - Wolf poprawił okulary.

Po raz pierwszy Jane dostrzegła, że lekko odstają mu uszy. Nie miały także prawie płatków na dole. Sherlock Holmes zaraz dorobiłby do tego fascynującą opowieść.

- W jaki sposób zamieszany jest w to wszystko Joe Kennedy?
- Joe Kennedy?
- Ambasador przy Dworze Świętego Jakuba.
- Ach, ten Joe Kennedy.
- Tak, ten Joe Kennedy.
- Dlaczego uważa pani, że ambasador Kennedy ma coś wspólnego

ze śmiercią pana Rainesa?

- Faceci, którzy wyrzucili do rowu ciało Howarda Rainesa, używali samochodu zarejestrowanego na jedną z firm Kennedy'ego.

- Trudno to nazwać związkiem z morderstwem, przynajmniej w sensie prawnym. Hipotetycznie rzecz biorąc, ci ludzie mogli ukraść ten samochód.

- Nie mówimy tu o prawie, panie Wolf, ani o hipotezach. Mówimy o bombie w moim mieszkaniu, przez którą miesiąc przeleżałam w gipsie. Mówimy o morderstwie i o próbie morderstwa.

- Zdaje się, że pani ma jakąś własną teorię na temat tego wszystkiego.

- Shalleck to prawnik mafii. Kiedyś bronił też pańskiego klienta, Franka. Reprezentował Rothsteina, a także Dutcha Schultza i Phila Kastela.

- Nie rozumiem, do czego pani zmierza.

- Był też skarbnikiem Farleya w czasie ostatniej kampanii wyborczej, przyjaźni się z Haguem z Jersey City. Z tego co wiem, Hague robił, co tylko mógł, żeby zatuszować morderstwo mojego przyjaciela albo przynajmniej odwrócić od niego uwagę.

- Nadal nie rozumiem, o co chodzi - powiedział Wolf.

- Kennedy, Shalleck i Hague. Sami demokraci, wszyscy powiązani z mafią.

- Może to przypadek?

- Nie wiem. Niech pan mi powie.

- Czy to wszystko, co pani wie?

- Nie.

- A co jeszcze?

- Teraz pańska kolej - odparła Jane.

Prawnik wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym skinął głową.

- W porządku. Mężczyzna, z którym Howard Raines miał się spotkać w Hawanie, to zawodowy zabójca. Najlepszy na świecie.

- Jak się nazywa?

- Używa wielu nazwisk. To raczej nie ma znaczenia.

- Niech pan zaspokoi moją ciekawość.

- W Hawanie znany jest pod nazwiskiem Bone, John Bone. W tej sprawie, zdaje się, używa nazwiska Green.

- To Amerykanin?

- Nie.

- Ale nie jest Niemcem?

- Nie.

- Zna pan jego narodowość?

- Tak. Chociaż też nie mam co do tego pewności.

- Niech pan powie mimo wszystko.

- Urodził się w Irlandii i tam początkowo był szkolony. Nie był w ojczyźnie od wielu lat i nie jest z nią w żaden sposób związany.

- Howie w życiu nie znalazłby zawodowego zabójcy, chyba że ten przyszedłby i zapukał do jego drzwi. To nie jego świat.

Wolf skinął głową.

- Przyznaję pani rację.

- A więc skąd Howie wytrzasnął tego faceta?

- Zabójca został zarekomendowany.

- Kogo była ta rekomendacja?

- Czyja - poprawił ją Wolf.

- Kto go rekomendował?

- Jeden z klientów.

- Jakieś nazwisko?

- Przyjaciel Franka Hague'a.

- Pan na Jersey City z namaszczenia demokratów.

- Kto jeszcze jest w to zamieszany?
- Teraz pani kolej na odpowiadanie.
- Niech pan strzela.
- Pytałem wcześniej, czy ma pani jakąś teorię na temat tego, co się stało. Nie odpowiedziała pani.

- Nadal brakuje mi informacji.

Drzwi za Wolfem uchyliły się szerzej i stanął w nich ktoś niski i bardzo szczupły. Mógł mieć około pięćdziesiątki, ostre rysy i krótko ostrzyżone siwe włosy - Jane widziała jego zdjęcia w gazetach setki razy. Sama nawet robiła mu fotkę raz czy dwa. Do kantorku wszedł Edward J. Flynn, szef komitetu demokratów w dzielnicy Bronx, prawnik, niegdyś szeryf hrabstwa. Niektórzy mówili, że ma dostęp nawet do samego prezydenta, i to od czasów, kiedy Roosevelt był jeszcze gubernatorem Nowego Jorku.

- To pan Ed Flynn.

- Znasz moje nazwisko. Nieźle, mała - odparł Flynn. Miał wąską twarz o lisich rysach jak Irlandczyk, ale akcent charakterystyczny dla Bronksu. -Zwykle nie zadaję się z pracującymi dziewczynami.

- Pracujące dziewczyny sprzedają swoje ciało - odparła Jane. - Ja pracuję, ale jestem kobietą.

- Kobiety powinny rodzić dzieci i robić kolację.

- Ja wolę robić pieniądze.

- Większość kobiet takich jak ty to lesbijki. Chyba że są sekretarkami. A ty?

- Jest pan grubiański, panie Flynn. Spodziewałam się, że będzie pan nieco bardziej czarujący.

- Po prostu się z tobą drocę. Sprawdzam, jaka jesteś.

- Słodko-gorzka - odparła oschle Jane.

- Twoja obecność tutaj jest wysoce niewskazana, Flynn - ostrzegł

Wolf.

- Mam to w dupie. - Flynn odwrócił się do Jane. - Kilka dni po rozmowie z Rainesem twój zabójca miał mieć spotkanie w Nowym Orleanie. Wiesz, kto miał w nim uczestniczyć?

- Nie.

- Przede wszystkim Joe Shalleck. I kolejny prawnik Davis. Senator Ernest Lundeen i jeszcze jeden o nazwisku Lyndon Johnson. Do tego banda gangsterów z nowoorleańskiej mafii. - Flynn przerwał. - Ale zabójca się nie pojawił. Odwołał spotkanie, bo stwierdził, że przyszłoby na nie za dużo ludzi. - I miał rację. Naruszone zostałyby zasady bezpieczeństwa. Rozmawiali następnego dnia w mniejszej grupie.

- Kto był w tej mniejszej grupie?

- Tego nie mogę ujawnić.

- Po co się spotkali?

- Chcieli wynająć zabójcę.

- Do czego?

- Proszę powiedzieć panu Flynnowi, co jeszcze pani wie - wtrącił Wolf.

- Od samego początku wiedzieli, że będą się musieli pozbyć Howiego.

- Po co mieliby to robić?

- Żeby go uciszyć. Bo wiedział, kto jest zabójcą widział jego twarz, wiedział, kto chce go wynająć.

- Coś jeszcze?

- Kimkolwiek są ci ludzie, mają w kieszeni policję, łącznie z komisarzem Valentine. - Jane przerwała. - To musi być coś wielkiego. Naprawdę wielkiego.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo pan tu jest - odparła Jane. - Pan jest... Edem Flynnem. - Przerwała i zerknęła na Wolfa. - A on reprezentuje mafię. Żaden z was nie zgodziłby się na rozmowę ze mną gdyby nie chodziło o coś naprawdę poważnego.

- Może po prostu chcieliśmy nacieszyć tobą wzrok?- powiedział Flynn. - Nim pogrzebiemy twoje piękne ciało.

- Czy przyszło pani do głowy, że może pani stąd nie wyjść żywa? - odezwał się Wolf.

Jane uśmiechnęła się pewnie, choć wcale się tak nie czuła.

- Oczywiście - odparła. - Przyszło mi to do głowy, a potem pomyślałam, że gdybyście chcieli mnie zabić, nie tracilibyście czasu na rozmowę ze mną. Po co? Kazalibyście temu osiłkowi, który mnie tu przywiózł, wpakować mi kulkę w łeb i wyrzucić gdzieś, tak jak Howiego Rainesa. - Chryste, Ho-wie, ty słodki kretynie, coś ty narobił, pomyślała Jane znużona.

- Nie najlepiej u pani z logiką - stwierdził Wolf. - Może chcemy najpierw sprawdzić, ile pani wie. - Lekko drgnęły mu wargi. - A potem panią zabić.

- Wątpię. Nie wiem na tyle dużo, bym warta była takiego zachodu. - Odwróciła się i spojrzała Flynnowi prosto w oczy. - Kto próbował mnie zabić?

- Pewna grupa ludzi.

- Należą do niej ci senatorowie i gangsterzy z Nowego Orleanu?

- Grupa ludzi o podobnych przekonaniach, którzy nie chcieliby, aby prezydent Roosevelt pełnił swoją funkcję dłużej, niż jest to konieczne. Którzy woleliby, aby Roosevelt nie wciągał nas w kolejną wojnę światową. Mają swój własny program dotyczący Stanów Zjednoczonych i ich stosunków z Hitlerem.

- Jane była oszołomiona.

- Chcą zlecić zabójstwo Roosevelta? Flynn pokręcił głową.

- To nie prezydent jest celem.

- W takim razie kto, do cholery? - I nagle wszystko zrozumiała, pojęła, jak miało się to potoczyć i czym zakończyć. - Jezu! - szepnęła.

- Chcą zabić króla i królową.

- Wydaje się, że to logiczny wniosek - rzekł Wolf.

- Wydaje się? - zapytała Jane. - To znaczy, że nie jesteście tego pewni?

- Nie.

- Więc to tylko gdybanie?

- Też nie - odparł Wolf. - Większość to fakty, część to podejrzenia. Wiemy o zabójcy. Wiemy o ludziach z Nowego Orleanu.

- Wiemy także o sukinsynach z mojej własnej partii, którzy tkwią po uszy w tym... bagnie - wtrącił się Flynn. - Przyjaciele Cezara, którzy spiskują przeciwko niemu!

- Jak bliscy są ci... przyjaciele Cezara? - zapytała Jane.

- Tak bliscy jak ja - rzekł gorzko Flynn. - Niektórzy nawet bardziej. - Przerwał. - Przynajmniej na razie.

Jane zdusiła papierosa w popielniczce i natychmiast zapaliła następnego.

- Po co mi to wszystko mówicie? Dlaczego nie ujawnicie wszystkiego Rooseveltowi?

Flynn pochylił się nad biurkiem. Jego jastrzębie rysy nabrały groźnego wyglądu w bocznym świetle lampy.

- Bo oni mi nic nie powiedzieli - wyjaśnił cicho. - Bo dranie zrobili to za plecami Edwarda J. Flynn. Wiedzieli, co bym im zrobił, zwłaszcza temu fiutowi Farleyowi. - Przerwał i głośno zaczerpnął powietrza. - Bo to tchórze bez własnych przekonań i chęć ich zniszczyć. Rozumiesz mnie, Todd? Nie po to powstał ten kraj, by tacy

jak oni snuli takie spiski. A gdybym powiedział o wszystkim prezydentowi, odwołałby natychmiast całą królewską wizytę i jak by to wyglądało? Najedlibyśmy się wstydu. Tak by to wyglądało. A gdzie o jeszcze większą stawkę, uwierz mi.

- Jane pomyślała, że Flynn nie jest wściekły z powodu myśli o zabójstwie króla i królowej. Jest wkurzony, bo nie wciągnęli go do spisku. Wymienił właśnie nazwisko Farley. Chodziło na pewno o Jamesa A. Farleya, szefa amerykańskiej poczty i stanowego przewodniczącego partii, ponoć nawet jednego z kandydatów do prezydentury. Rzeczywiście przyjaciele Cezara - Farley był Markiem Antoniuszem Roosevelta, prowadził wszystkie jego kampanie od samego początku. A Flynn nazwał go fiutem.

- Ze względu na nasz status społeczny ani pan Flynn, ani ja nie możemy sobie pozwolić na ujawnienie tych informacji - rzucił Wolf.

- Chcecie, żebym to ja wszystko ujawniła? Mam być posłańcem? Tak jak Howie Raines? Nie, dziękuję.

- To może być artykuł stulecia, panno Todd.

- To nie artykuł, to miecz wiszący nad głową - stwierdziła Jane. - Już raz próbowali mnie zabić, spróbują ponownie.

- W takim razie idź z tym do gazet! - warknął Flynn. - Ogłoś to całemu światu.

- A dowody? - zapytała rzeczowo Jane. - Wyśmieją mnie w każdej redakcji w Nowym Jorku.

- Więc proszę się udać do władz - odpowiedział Wolf. - Damy pani wszystko, co potrzebne, by ich przekonać.

- A do jakich władz mam iść? - zapytała sceptycznie Jane. - Bo na pewno nie do nowojorskiej policji. - Pokręciła głową. - Ani nie do Deweya. Na pewno nie uwierzyłyby w ani jedno słowo pana Wolfa.

- FBI - powiedział spokojnie Wolf.

- Sam pan powiedział, Hoover nie wierzy nawet, że tacy jak wy istnieją. Jego zdaniem Winchell wymyślił sobie mafię na papierowej serwetce przy kieliszku w Stork Club. Nie wspomnę już, że Hoover jeszcze bardziej niż wy nie znosi pracujących kobiet.

- Wolf znów się uśmiechnął.

- Pan Hoover doskonale wie, że istniejemy - powiedział cicho. - Po prostu nic nie może na to poradzić. - Przerwał. - Zresztą nie myślałem wcale o Hooverze. - Wolf sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął portfel, a z niego wizytówkę. Odwrócił ją, wyjął pióro i napisał kilka słów. Podał wizytówkę Jane, która przeczytała:

Do Sama Foxwortha. Uwierz w to, co ona mówi. G.W.

- Szef nowojorskiego oddziału FBI nie nazywa się Sam Foxworth. Ma na imię Percy - zauważyła Jane.

- Dla przyjaciół Sam. - Znaczenie tych słów było jasne. Wolf pochylił się nad biurkiem. - Proszę się pospieszyć, panno Todd. Jestem przekonany, że mamy niewiele czasu.

Tego samego wieczoru o wpół do dziesiątej, po nieformalnej kolacji w hotelu Brantford po kanadyjskiej stronie Niagara Falls, król i królowa wrócili do swego specjalnego pociągu. Skład ruszył i powoli, majestatycznie przejechał przez most na teren Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pierwsi angielscy monarchowie postawili stopę na tej wspaniałej ziemi.

Po amerykańskiej stronie do pociągu wsiadła delegacja powitalna z Waszyngtonu, w skład której wchodził sir Ronald Lindsay, ambasador brytyjski, oraz Cordell Hull, wysoki, siwowłose amerykański sekretarz stanu.

Królewska Kanadyjska Policja Konna przestała już chronić królewską parę. Czteroosobowy oddział kanadyjskich policjantów, który towarzyszył monarchom od chwili przybycia do Quebecu,

zastąpiła teraz znacznie większa grupa nowojorskiej policji stanowej i dziesięciu agentów Wydział Specjalny w cywilnych ubraniach. Między Niagara Falls a Buffalo co sto metrów wzdłuż torów stali żołnierze z bagnetami gotowymi do użycia. Nikt nic nie mówił, ale jasne było, że owe zwiększone środki bezpieczeństwa podjęto z powodu aresztowania poprzedniego dnia Seana Russella. Po raz pierwszy w pociągu królewskim otwarcie noszono broń, co denerwowało część personelu pomocniczego. Czterej funkcjonariusze sekcji specjalnej i ochroniarze królewscy niechętnie odpowiadali na pytania o uzbrojenie, ale jeśli nosili broń, robili to dyskretnie. Amerykanie mieli zupełnie inną filozofię, przyjmowali, że pokaz siły może zapobiec przemocy.

Do Buffalo przyjechali tuż po dwudziestej trzeciej i po krótkim wystąpieniu królewskiej pary na podeście pociągu skład ruszył dalej. Królowa udała się do sypialni, podobnie jak większość delegacji powitalnej. W salonie królewskiego wagonu zebrali się brytyjski ambasador Lindsay, Cordell Hull i Tommy Lascelles. Po krótkiej odprężającej rozmowie i wypaleniu cygara król użył ceremonialnego miecza, biorąc na świadków Lindsaya i Hulla, że oto mianuje Tommy'ego sir Alanem Lascellesem, Rycerzem Zakonu Wiktoriańskiego.

Godzinę później, kiedy pociąg pędził przez ciemne lasy i doliny rzek północnej części stanu Nowy Jork, nowo mianowany szlachcic wrócił do sypialni, przebrał się w ulubioną pidżamę z szarego jedwabiu i uczcił nominację szklaneczką whisky Single Malt z prywatnej butelki. Zapalił papierosa, wyjął pióro i zaczął pisać w swoim dzienniku oprawionym w zieloną skórę.

Teraz kiedy Russell siedział w więzieniu, bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Mimo to Lascelles nie mógł

pozbyć się przecucia, że w ciągu najbliższych kilku dni zdarzy się coś, co zniszczy jego dzieło - nawiązanie współpracy między Anglią i Stanami Zjednoczonymi, utworzenie więzów tak silnych, by przetrwały nadchodzącą wojnę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że najmniejsza nawet niedyskrecja może wszystko zniweczyć.

Lascelles zdążył już porozmawiać prywatnie z Lindsayem, który potwierdził, że zarówno FDR, jak i Hull zgadzają się, że wojna jest nieunikniona. Z drugiej strony poglądu tego nie podzielała większość Amerykanów, nastawionych bardzo sceptycznie wobec Brytyjczyków. Dwa dni wcześniej w „New York Timesie” ukazał się komentarz redakcyjny pod tytułem: „Brytyjczycy nigdy nie są uprzejmi wobec nas, chyba że czegoś chcą”. W Ameryce panowało powszechne przekonanie, że przestwór Atlantyku bezpiecznie izoluje Stany Zjednoczone od europejskiej wojny. Amerykanie nie mieli pojęcia o zasięgu niemieckich U-Bootów. Cała ta sprawa była niezwykle złożona i delikatna. Lindbergh, ojciec Coughlin i ludzie z America First głośno mówili o izolacjonizmie, ale liczyło się to, jak wizytę odbiorą przeciętni Amerykanie. Dlatego właśnie królowi i królowej nie towarzyszył szef MSZ, nawet ubranych na czerwono kanadyjskich policjantów zostawiono za granicą, by nie rzucali się zbytnio w oczy.

Ale to był zaledwie czubek góry lodowej. Lascelles zdawał sobie sprawę, że większość Amerykanów wciąż uważała księcia Windsoru za prawowitego spadkobiercę brytyjskiego tronu, Jerzy zaś, o ile w ogóle o nim myślano, był dla Amerykanów bezbarwnym, słabym jakąś trzymanym pod pantoflem przez małą otyłą prostaczkę ze Szkocji. Królewski wicesekretarz westchnął, napisawszy te słowa, bo zdawał sobie sprawę, jak były celne. Nalał jeszcze trochę whisky i zapalił kolejnego papierosa. Choć amerykańska część podróży

oficjalnie była tylko dodatkiem, zdecydowanie zaczynało się najważniejsze kilka dni w tej wyprawie. Tak naprawdę kanadyjski epizod to tylko męcząca długotrwała przykrywka. Jeśli król i królowa z pomocą Roosevelta zdołają przekonać amerykańską opinię publiczną, że królewska para da się lubić, może uda się im zdobyć także współczucie oraz wsparcie finansowe, a jeśli będzie trzeba - militarne.

Należało zachować równowagę między królewskim majestatem a demokratyczną witalnością. Nie było to łatwe, zwłaszcza po blamażu Chamberlaina w Monachium i sprawie księcia Windsoru oraz pani Simpson. Amerykanie zawsze lubili Edwarda, a jego abdykacja z powodu miłości do kobiety, na; dodatek Amerykanki, uderzyła w czułą romantyczną strunę. Nie mówiąc o tym, że Wallis Simpson była zgrabniejsza niż Jej Królewska Otyłość.

Lascelles znów westchnął, przekreślił trzy ostatnie słowa i napisał „Elizabeth”. Zakręcił oprawkę pióra, odłożył dziennik i zamknął oczy, opierając się wygodnie w fotelu. Wsłuchiwał się w miarowy stukot kół. Nie w takim świecie się urodził. Coraz mniej z niego rozumiał.

W jego czasach rodzina królewska była świętością, uosabiała potęgę, była doskonałym symbolem imperium rozciągającego się na cały świat. Z upływem lat po śmierci Wiktorii obserwował stopniowy upadek rodziny i całego imperium, aż do ich obecnego, przygnębiającego stanu. Tydzień przed wyjazdem z Anglii podsłuchał, jak księżna Kentu mówi o Elżbiecie, swojej szwagierce, „ta prosta Szkotka”, a dziś sam własnoręcznie napisał o niej „Jej Królewska Otyłość”. To prawda, była tęgą prostą Szkotka, która przypominała mu dziewczyny od wózków golfowych, które wynajmował, grając w Pitlochry czy w St Andrews. Ale tęga czy nie, Szkotka czy nie

Szkotka, w Ameryce będzie pod taką samą lupą jak jej mąż, król Anglii. Jego Królewska Mość przynajmniej ćwiczył przez kilka tygodni przed podróżą, jak ma rozmawiać z Rooseveltem i innymi dygnitarzami, którym zapewne zostanie przedstawiony. Elżbieta będzie musiała się zdać na nieskończoną liczbę swoich sukien, kolorowych i skrojonych tak, by ukryć otyłość w pasie i udach oraz mocne mięśnie prostaczych łydek, lepiej nadających się do biegania za kuropatwami po bagnach niż do tańców w sali balowej Białego Domu.

Lascelles, wykorzystując zdolności dyplomatyczne, jakie posiadał w ciągu swojej kariery, zdołał doprowadzić do tego, że Elżbieta nie musiała wygłaszać ani jednej mowy, żadnego przemówienia do tłumów czy - Boże broń - rozmawiać z dziennikarzami, którzy podróżowali razem z nimi. Lascelles opiekował się już królami i królowymi, więc wiedział, że jedna mała gafa może urosnąć do rozmiarów kataklizmu, a jedna niewinna pomyłka może stać się początkiem katastrofy.

Sir Alan Lascelles, nowo mianowany szlachcic, otworzył oczy i spojrzął na srebrną buteleczkę i szklanę na stole. Jeszcze jeden łyk na sen i położy się do łóżka. Musi się dobrze wyspać. Jutro Waszyngton, gdzie - miał nadzieję - tym razem najazd Brytyjczyków zostanie powitany z radością.

Rozdział 21

7 czerwca 1939 roku, środa
Nowy Jork

Tuż przed południem John Bone wyszedł z hotelu Gramercy Park i podszedł do automatu telefonicznego na rogu Lexington i Dwudziestej Pierwszej ulicy. Wszedł do budki i wykręcił numer kontaktowy, który w restauracji Antoine'a, w dzielnicy francuskiej Nowego Orleanu podał mu mężczyzna nazywający siebie wujkiem Charlesem. Bone mówił przez chwilę do słuchawki, później słuchał, potem wyszedł z budki i udał się do wejścia do metra na Dwudziestej Trzeciej ulicy. Wsiadł do pociągu jadącego na południe wzdłuż Lexington, aż do Canal Street i Bowery. Wyszedł z metra prosto w jaskrawe słońce i musiał chronić się przed nim szklami swoich okularów Cool Ray.

Przeszedł kilka przecznic na zachód, zatrzymując się przed wystawami sklepów. Nie zważał na hałas samochodów jadących z jednej strony do Tunelu Hollanda i do Jersey, a z drugiej na most Manhattański. Sprawdził, czy nikt go nie śledzi, ale nie zauważył nic podejrzanego. W końcu dotarł do Mott Street i skręcił na północ. Znalazł się w Little Italy i poczuł się swojsko pośród wózków, z których sprzedawano oliwki, karczochy, kozi ser i słodko pachnące *finocchio*. Kupił sobie gorący jak diabli kawałek pizzy z cienko pokrojonymi pomidorami i serem na wierzchu i ruszył dalej. Wokół tętniło życie. Na ulicach panował tłok, wszystkie schodki pożarowe i parapety zieleniły się roślinami doniczkowymi, zewsząd słychać było muzykę - albo w wykonaniu ulicznych śpiewaków, albo

dochodzącą z trzeszczących gramofonów w ponurych czynszowych kamienicach. W ciągu swojej tułaczki Bone spędził ładnych kilka lat we Włoszech i zawsze mu się tam podobało, ale Little Italy w Nowym Jorku to był świat sam w sobie, jeszcze bardziej żywy i pełen energii niż to, co widział w Mediolanie, Florencji czy nawet Rzymie.

Przy Grand Street znów skręcił na zachód. Przeciął Mulberry i Baxter, a potem Centre Street, gdzie minął barokowy gmach komendy policji pod numerem 240. Podczas przygotowań dowiedział się, że obecny szef policji Lewis Valentine dowodził dwudziestoma tysiącami funkcjonariuszy, pracujących w osiemdziesięciu trzech posterunkach, w pięciu dzielnicach. Detektywi, posterunkowi, potężny park radiowozów komunikujących się przez krótkofalówki obsługiwane przez trzy radiostacje, trzy oddziały motocyklowe, dwadzieścia brygad szybkiego reagowania, dwie konne, piętnaście jednostek drogówki, w tym dwie specjalizujące się w mostach oraz flota motorówek. Była to ogromna siła, połączona skomplikowanym systemem złożonym z telefonów, telegrafu, dalekopisu i radia. Za kilka dni cała ta siła zostanie skierowana przeciwko niemu.

Przeszedł na drugą stronę Centre Street, potem na Lafayette, wreszcie skręcił w Crosby Street i dotarł pod właściwy adres. Nad frontowym wejściem na stalowym drucie wisiał wielki rewolwer wyrzeźbiony w miękkim drewnie. Lufę i bębenek pomalowano na szaro, a rękojeść o fakturze przypominającej prawdziwą miała błyszczący czarny kolor. Pod lufą wisiał mniejszy szyld z napisem FRANZ LAYAN, RUSZNIKARZ. Po lewej stronie mieściła się firma wyplatająca meble z wikliny, po prawej salon piękności sieci National Beauty Parlor ze znajomym szyldem przedstawiającym dwie nagie kobiety trzymające wielki zegar. Pod ich stopami czerwony neon zachęcał: KOBIEITO, BĄDŹ PIĘKNA.

Bone wszedł do sklepu Lavana i zdjął okulary przeciwsłoneczne. Kiedy otworzył drzwi, rozległ się dźwięk małego mosiężnego dzwonka zamontowanego przy framudze. Sklep był długi i wąski, z podłogą pokrytą szerokimi nielakierowanymi deskami wytartymi do szarości. Światło padało z trzech lamp pod sufitem. Przy ścianach stały przeszklone szafy pełne karabinów i strzelb. Długa witryna biegła wzdłuż sklepu i zawierała dziesiątki rewolwerów i pistoletów.

Zza kotary wyszedł sam Lavan. Nosił ciemne spodnie podtrzymywane przez skórzane szelki, pod którymi widać było lekko przybrudzoną białą koszulę z krótkim rękawem. Zamiast butów miał kapcie, które szurały, kiedy szedł wąskim przesmykiem za ladą. Dotarł do brązowej emaliowanej kasy sklepu i stanął za nią niczym tarcza. Miał około sześćdziesiątki, okrągłą twarz, małe wilgotne usta, rzadzące białe włosy, wystający brzusek i raczej niski wzrost. Za okularami w czarnych oprawkach mrugały blade oczy. Pod pachami koszuli widać było plamy od potu. Rozchodził się wokół niego zapach czosnku i cygar.

- Czym mogę panu służyć?

- Pan Franz Lavan?

- Tak. - Nawet w jednym słowie słyhać było delikatny akcent. Europejski, ale nie niemiecki. Lavan przyjrzał się Bone'owi uważniej.

- Czy myśmy się już nie spotkali?

- Nie - skłamał Bone. Był w tym sklepie dwa tygodnie wcześniej, ale wyglądał wtedy zupełnie inaczej.

- Dałbym sobie głowę uciąć - powiedział Lavan, kręcąc głową. - Zwykle dobrze zapamiętuję twarze.

- Bone nie zwrócił uwagi na ten komentarz.

- Słyszałem, że jest pan świetnym fachowcem.

- Gdzie pan słyszał?

- Ma pan doskonałą opinię.
- Owszem, u niektórych ludzi.
- Potrzebny jest mi karabin. Lavan machnął ręką w stronę ścian.
- Proszę sobie coś wybrać.

- Chciałbym obejrzeć tamten - powiedział Bone, pokazując na jeden z tych, które wypatrzył podczas poprzedniej wizyty.

- A ja chciałbym obejrzeć dwieście dolarów - rzekł Lavan, wykrzywiając małe wilgotne usta w czymś, co miało przypominać uśmiech.

Bone wyjął portfel i ułożył na szklanej ladzie cztery pięćdziesięciodolarowe banknoty. Pod banknotami widać było trzy mocno zniszczone hiszpańskie pistolety Astra wycenione na pięć dolarów każdy.

- A teraz? - zapytał Bone.

Lavan pochylił się, by wzrokiem krótkowidza przyjrzeć się dolarom. Odwrócił się i poszurał wzdłuż lady. Stał przed jedną z szaf. Z kieszeni wyjął długi łańcuszek z pękiem kluczy na końcu, otworzył szafę i wyjął karabin. Podał go Bone'owi.

- Ostrożnie - ostrzegł.

Bone starannie oglądał karabin.

- Robota na zamówienie - powiedział po chwili i oddał broń. - Komory na pociski jak na słońca. Pewnie kaliber 357 Holland albo Holland Magnum.

- Ma pan rację. - Lavan spoglądał na banknoty na ladzie. - Zna się pan na broni.

- Sam pan przetaczał lufę?

- O nie. Obawiam się, że wzrok już nie ten do takiej pracy. Lufa pochodzi z zakładu Harry'ego Pope'a z New Jersey.

Bone wiedział, że Pope jest jednym z pięciu prawdziwych

mistrzów rusznikarstwa w Stanach Zjednoczonych.

- Ma pan inne?

- Z lufami od Pope'a? Niestety, nie.

- A Griffm i Howe?

- Zna się pan na broni, prawda?

- Ma pan takie?

- Tak, mam około pięciu z takimi lufami.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Trzymam je w pracowni - odparł Lavan. Spojrzał na pięćdziesięciodolarowe banknoty. - W piwnicy.

- Nie może mnie pan tam zaprowadzić?

- Ależ oczywiście, że mogę, tylko musiałbym zamknąć sklep. Czarnuchy obrobiłyby mnie w trymiga, gdybym tylko dał im okazję.

- No to niech pan zamknie sklep.

- Pokazanie broni trochę potrwa. Oczywiście nie mam nic przeciwko, o ile jest pan poważnie zainteresowany...

- Proszę zabrać pieniądze. - Bone wskazał głową banknoty. - Powiedzmy, że to zaliczka.

- Świetnie! Doskonale! - Lavan zgarnął pieniądze. Zaryglował drzwi i opuścił ciemnozieloną roletę. - Proszę bardzo! Proszę za mną.

- Wszedł za ladę, a Bone za nim, na sam koniec sklepu za zasłonę. Były tam drzwi prowadzące do piwnicy, po lewej łukowate otwarte wejście do pomieszczenia, które wyglądało na małą kuchnię. Bone czuł zapach skwaśniałej kawy.

- Mieszka pan tutaj?

- Tak. Mieliśmy mieszkanie, kiedy żyła jeszcze Frieda, ale po jej śmierci przeprowadziłem się tutaj. Kuchnia, łazienka i pokój na zapleczu. Więcej mi nie potrzeba.

- Frieda to pana żona? Lavan pokręcił głową.

- Moja siostra.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Zakochała się w jakimś Żydzie, a kiedy ją rzucił, zapiła się na śmierć.

Rusznikarz otworzył drzwi prowadzące do piwnicy, włączył światło i ruszył na dół.

- Od jak dawna mieszka pan w Ameryce? - zapytał Bone.

- Od 1920 roku. - Rusznikarz obejrzał się przez ramię. - Po wojnie w Grazu dla takich rzemieślników jak ja nie było zbyt wiele pracy.

- A więc pochodzi pan z Austrii?

- Tak - uśmiechnął się wilgotnymi ustami. - Zna pan Graz?

- Tak, byłem tam.

- Widział pan dom Leugga? Bardzo ładny.

Bone przytaknął.

- Tak, na rogu Sporgasse. - To jakiś głupiutki test.

Podobnie jak sklep na górze, piwnica była wąska, ale nieco dłuższa. Na końcu urządzono nawet jednostanowiskową strzelnicę. Pracownia była prostokątna, oświetlona kilkoma żarówkami zwisającymi na przewodach. Część maszyn miała własne lampki. Biegące górą od jednego silnika pasy napędzały trzy stare tokarki do obróbki luf. Za tokarkami stały stojaki z matrycami do luf czekającymi na obróbkę. Dalej była sekcja obróbki drewna, gdzie pasy napędzały kilka pił mechanicznych, kolejną mniejszą tokarkę i wiertarkę na stojaku. Spory warsztat, biegnący środkiem wzdłuż całego pomieszczenia, pełen był rozmaitych części różnych typów broni.

- Dużo rewolwerów sprzedaje pan policjantom? - zapytał Bone.

- Trochę. - Rusznikarz stał z rękami w kieszeniach spodni i naciągał szelki. - Przychodzą tu tylko dlatego, że mają niedaleko, a

ich własne biuro zaopatrzenia jest dla nich za drogie. Sami muszą sobie kupować broń i mundury, więc przynoszą mi stare szajsowate pistolety znalezione na żydowskim rynku przy Orchard Street i spodziewają się cudów za dwa dolary. - Wzruszył ramionami. - Często nie mogę nic dla nich zrobić. Szajs to szajs.

- Bone spojrzał na koniec pracowni i ujrzał potężny sejf sięgający prawie sufitu. Ciężkie drzwi były lekko uchylone. - Sejf?

- Nim przejąłem ten budynek, był tu zakład jubilerski - Lavan zaśmiał się. - Chłódzę w nim piwo podczas pracy. - Przywołał Bone'a do schodów. - Niech pan tu zobaczy.

Strzelnica była jasno oświetlona, a na końcu tunelu Bone dostrzegł trzy cele przyłączone do mechanizmu ściągającego, skleconego prowizorycznie ze sznurka do suszenia prania. Na jednym z celów namalowano karykaturę rabina z pejsami, zakrzywionym nosem i lekko skośnymi oczami. Na drugiej kartce widać było Rosjanina w papasze nacierającego z wyszczerzonymi zębami i karabinem w ręku. Trzecia kartka przedstawiała Roosevelta z cygarniczką w ustach.

Lavan podniósł krótką broń leżącą na drewnianym stoliku. Podał ją klientowi.

- Chce pan spróbować?

Bone spojrzał na broń. Był to zniszczony stary rewolwer Hopkins & Allen kaliber 32.

- Do którego celu? - zapytał.

- Pański wybór. - Rusznikarz wzruszył ramionami. - Wielu ludzi wybiera Żyda. Obrazki dostaję od znajomego drukarza z Germantown. Te z komunistą i FDR również.

- Nie lubi pan Żydów? - zapytał Bone.

- Przegraliśmy przez nich wojnę.

- Jak to?

- Te wszystkie komunistyczne gadki. Marks był Żydem, przecież pan wie.

- Tak, wiem.

- Wszyscy są tacy sami: Żydzi, czarnuchy, komuniści. Kradną pieniądze i zabierają pracę uczciwym ludziom. Ale to się już nie powtórzy, niech mi pan wierzy. Nie dopuścimy do tego.

- My?

- America First. Zna pan ten ruch?

- Słyszałem co nieco.

- Kiedyś przemawiał do nas Lindbergh. To on powinien być teraz prezydentem. Gdyby tak było, nie byłoby gadania o kolejnej wojnie w Europie, niech mi pan wierzy. Idealny świat. Hitler w Europie, Lindbergh tutaj, a na świecie żadnych Żydów.

Bone podniósł rewolwer, sprawdził, czy w bębunku są naboje, i strzelił Lavanowi w lewe oko. Wiedział, że kaliber jest mały i będzie niewiele krwi. Oko zniknęło w szklistej masie, a kula przeszła dalej przez oczodół, do mózgu, w którym wydrążyła poszarpany kanał aż do potylicy. Lavan zmarł, nim jego zniszczony mózg zdążył to zakonotować. Bone rzucił rewolwer na stół przy strzelnicy i zdołał jeszcze chwycić pod ramiona osuwające się ciało Lavana, nim upadło na podłogę. Przeciągnął rusznikarza przez pracownię i łokciem uchylił szerzej drzwi sejfu. Umieścił jego ciało w stalowej szafie, podciągając mu wysoko kolana. Kiedy Lavan znajdował się już w środku, zamknął ciężkie drzwi i zakręcił tarczą zamka szyfrowego. Sejf wykonano z blachy co najmniej pięciocentymetrowej grubości. O ile ktoś nie znał kombinacji zamka szyfrowego, minie sporo czasu, nim rusznikarz zostanie wyjęty z tymczasowego grobowca. Teraz teren był czysty. Bone mógł robić, co mu się żywnie podobało.

Claremont Inn, doskonale zachowana rezydencja z wypielegnowaną zielenią obecnie własność zarządu miejskiego Nowego Jorku, mieściła się na pokrytym zielenią zboczu wzgórza nad rzeką Hudson, na rogu Riverside Drive i Sto Dwudziestej Czwartej ulicy, w pobliżu grobu Granta. Restaurację i pokoje gościnne urządzono już przed wojną secesyjną. Teraz był to modny hotel udostępniany zwykle dopiero od czwartego lipca każdego roku, a do tego czasu miejscy rajcy wykorzystywali go do spotkań i zadań wymagających dyskrecji. Dwa lata wcześniej prokurator Dewey zorganizował tu przesłuchania ponad siedemdziesięciu osób zatrzymanych w związku ze skandalem loteryjnym w Nowym Jorku. Wystarczyło jedno słowo szepnięte przewodniczącemu komisji parków miejskich, by Sam Foxworth uzyskał dostęp do Claremont Inn na tak długo, jak tylko zapragnie. W kilka godzin od spotkania z Jane Todd Foxworth umieścił ją w jednym z tamtejszych pokoiów. Thomas Barry i Sheila Connelly przebywali tam od czasu powrotu z Detroit i porażki z zatrzymaniem Seana Russella.

Wieczorem siódmego czerwca Jane, Barry i Sheila Connelly jedli wspólnie kolację w głównej jadalni, kiedy pojawił się Sam Foxworth z teczką. Był z nim niski ciemnowłosy mężczyzna po trzydziestce. Foxworth przedstawił go jako Avre Warrena, specjalnego asystenta George'a Messersmitha z Departamentu Stanu, tego samego, który umożliwił aresztowanie Seana Russella.

Najwyraźniej od samego początku wodzano nas za nos - zaczął Foxworth. - Rozmowa panny Todd z Wolfem i Edem Flynnem zdaje się to potwierdzać. - Wicedyrektor FBI otworzył teczkę i wyjął z niej bladożółtą depeszę. Skinął głową w stronę Thomasa Barry'ego

siedzącego po drugiej stronie stołu. - To depeza od pułkownika Hollanda, nadeszła dziś po południu. Przypomniał sobie coś, co usłyszeliście podczas przesłuchania tego Hayesa w Irlandii. Tamten powiedział coś o żarcie Russella. Chodziło o „walkę na dwa ostrza”. Hayes nie wiedział wtedy, o co chodziło.

- Pamiętam. Ja też nie miałem pojęcia, co to znaczy. Wtedy nie wydawało się to takie istotne.

- No cóż - ciągnął Foxworth. - Pułkownik Holland przypomniał sobie ten zwrot i postanowił dowiedzieć się, co znaczy. - Odchrząknął. - Oto cytat z książki, którą wykopał w antykwariacie. *Szpada i szabla. Podstawy fechtunku* napisana przez Louisa Rondelie'a i wydana w 1852 roku. „Walka na dwa ostrza to dawna odmiana ćwiczenia, w którym uczestnicy trzymają szpady w obu rękach. Wykorzystanie dwóch szpad w pojedynku”.

- Przy stole zapadła cisza. Do zebranych zaczęło docierać znaczenie tego powiedzenia.

- Cholera jasna - szepnął Barry. - Jest ich dwóch. Drugi zabójca.

- Do tego to się sprowadza - przytaknął Foxworth. - Holland poszperał jeszcze i dowiedział się, że podobnego określenia używa się przy polowaniu na lisa, kiedy podkłada się fałszywy zapach. To by też pasowało.

- Sermierka? - odezwała się Sheila Connelly. - A co Sean Russell może o tym wiedzieć? - Prychnęła. - Walka na kije z gwoździami, to rozumiem. Ale szpada? Nie sądzę.

- W 1936 roku, tuż przed pierwszą podróżą do Ameryki, spędził trochę czasu w Niemczech - wyjaśnił Foxworth. - Miał tam romans z Heleną Mayer, która zdobyła dla nazistowskich Niemiec srebrny medal w szermierce na olimpiadzie.

Po raz pierwszy odezwał się Avra Warren:

- Ustaliliśmy również, że człowiek aresztowany z Russellem w Detroit to Joseph McGarrity, szef nowojorskiej filii Clan na Gael. Wiedzieli, że inspektor Barry nie jest nowojorskim policjantem, i z całą pewnością wiedzieli, że nie pojechał tam z polecenia Clanu. To oznacza, że wiedzieli również, iż panna Connelly została nakłoniona do współpracy. Tak jak pan mówił, detektywie Barry, miał pan zobaczyć i usłyszeć to, co chcieli. To była przynęta, na którą daliśmy się złapać.

- A teraz mamy na głowie międzynarodowy skandal - rzekł Foxworth. - Wszyscy irlandzcy senatorzy i kongresmani wrzeszczą, żeby uwolnić Russella. W przeciwnym wypadku grożą bojkotem wizyty króla i królowej.

- Do diabła! - rzekła Jane krewko. - Gdzieś tam krąży drugi zamachowiec. Drugie ostrze. Co z nim?

- Oficjalnie mamy związane ręce - powiedział Warren. - Prokurator generalny Biddle jest wściekły i nie zgodził się na naszą prośbę, by FBI wszczęło śledztwo dotyczące wszystkiego, co ma związek z Russellem albo królem i królową.

- A nieoficjalnie? - zapytała Jane.

- Po to właśnie zwołałem to zebranie - rzekł Foxworth. - Żeby spróbować rozwiązać zagadkę, nim będzie za późno.

- A może przydałby się jakiś nacisk ze Scotland Yardu? - rzucił Barry.

- Już próbowaliśmy - odparł Foxworth i pokręcił głową. - Pański szef Kendal telegrafował do Hoovera, ale dyrektor musiał mu odmówić, bo nie miał zgody Biddle'a. Polityka.

- Co to za polityka, przez którą król i królowa Anglii zginą na naszym progu? - zdziwiła się Jane. - Ci ludzie nie żartują.

- Czy wiemy dokładnie, kim są „ci ludzie”? - zapytał Barry.

- Według panny Todd, Flynn wspomniał o Farleyu - odparł Foxworth. Warren westchnął i wzruszył ramionami.

- Jest wielu ludzi, którzy nie chcą, by prezydent ubiegał się o trzecią kadencję, i jeszcze więcej takich, którzy nie chcą, by wciągał nas w kolejną wojnę. - Skinął głową w stronę Barry'ego. - A tego właśnie pragną pański król i królowa.

- Musi być jakiś sposób - rzekła Jane.

- Ale jaki? - odparł Foxworth z goryczą w głosie. - Dyrektor Hoover nie sprzeciwi się przecież prokuratorowi generalnemu, aja nie zamierzam sprzeciwić się dyrektorowi Flooverowi. Panowie Messersmith i Warren zaryzykowali zatrzymanie Russella. Nie dostaną drugiej szansy. - Pokręcił głową. - Z tego, co pani mówi, nie możemy nawet zwrócić się o pomoc do komisarza Valentine'a.

- A może to wszystko błaga? - odezwała się Sheila Connelly - Tak jak Sean i ta jego burza w szklance wody. Coś, co zwróci uwagę wszystkich na sprawę Irlandii.

- Powiedz to Howiemu Rainesowi - odparła Jane. - Nie strzela się komuś w głowę ani nie wysadza mu mieszkania tylko po to, żeby zwrócić uwagę opinii publicznej. - Popatrzyła na Sheilę chłodno.

- Kto wie, czy twoi ludzie nie maczali w tym palców?

- To nie jej ludzie - wtrącił się Barry. - Już nie.

- Wierzysz jej? - zapytała Jane. - Wybaczcie mi, ludzie, ale jestem z Manhattanu. Zastanówcie się. Zaprowadziła cię do Russella i McGarrity'ego, którzy nagle okazali się świętymi i wywołali piekło w Kongresie.

- Wrobiono nas - upierał się Barry.

- Może ona była częścią tej pułapki - rzuciła Jane. Avra Warren podniósł uspokajająco rękę.

- Powinniśmy się wszyscy opanować. Wzajemne oskarżenia i

docinki nic nam nie dadzą.

- Zresztą to i tak nie ma znaczenia - dodał Foxworth. - Szczególnie zakazano mi jakichkolwiek dochodzeń mających związek ze spiskami na życie Ich Królewskich Mości.

Zapadła długa chwila ciszy, którą w końcu przerwał Thomas Barry.

- Zdaje się, że macie tu w Ameryce coś, co się nazywa Ustawą Lindbergha?

Foxworth zmarszczył czoło.

- Zgadza się, ale nie rozumiem, jak moglibyśmy ją wykorzystać w tym przypadku.

- Z tego, co opowiadała Jane, rozumiałem, że ten Howard Raines mieszkał w Nowym Jorku, prawda?

- Tak.

- Barry wskazał ręką za okno.

- Ale jego ciało znaleziono po drugiej stronie rzeki, w New Jersey. Wątpię, by pan Raines przyjechał tu z zabójcami z własnej woli, więc ostatecznie można by to uznać za porwanie, prawda?

Foxworth spojrzał na detektywa ze Scotland Yardu.

- Mój Boże, inspektorze, ależ z pana spryciarz. Żeby Angol uczył mnie prawa. - Klepnął w stół otwartą dłońią. - A niech mnie diabli.

- Obawiam się, że nie zrozumiałem, o co chodzi - odezwał się Avra Warren.

Foxworth szybko wyjaśnił:

- Jeśli Howard Raines został porwany, wywieziony z Nowego Jorku do New Jersey i tu zabity, to jego śmierć staje się przestępstwem federalnym i mogę w tej sprawie wszcząć śledztwo bez niczyjej zgody. Oficjalnie nie będziemy szukać drugiego ostrza, o którym mówił Russell. Będziemy szukać ludzi, którzy porwali, a

następnie zastrzelili Howarda Rainesa. Szukamy po prostu zabójcy.

- Nie powiedziałabym - rzekła Jane. - Szukamy igły w największym stogu siana na świecie.

Rozdział 22

8 czerwca 1939 roku, czwartek

Waszyngton

O dziesiątej trzydzieści rano królewski pociąg wtoczył się na Union Station w Waszyngtonie i stanął na torze dwudziestym, skąd wiodła najkrótsza droga do złoto-niebieskiego prezydenckiego saloniku na piętrze. Królowa mruknęła coś ostro na temat prezydenta Roosevelta, który nie raczy się pofatygować na dół, by ich formalnie powitać, jak jest to przyjęte w Anglii i Europie, ale oprócz króla i Lascellesa usłyszeli ją jedynie ambasador Lindsay i Cordełl Hull, amerykański sekretarz stanu. Obaj mieli dość taktu, by nie zwrócić uwagi na ten komentarz. Zgodnie z protokołem ustalonym przez biuro prezydenta, królowi towarzyszyli Lindsay i premier Kanady. Królową eskortował Cordell Hull.

Lascelles czuł ulgę, że Sean Russell znajdował się za kratkami, ale nie mógł nie zauważyć, że warta honorowa wzdłuż czerwonego dywanu prowadzącego do prezydenckiego saloniku składa się z uzbrojonych po zęby amerykańskich marines, a czterej ubrani po cywilnemu agenci Wydziału Specjalnego, którzy wsiedli w Niagara Falls, nie odstępowali władców ani na krok.

Król tego dnia wystąpił w mundurze admirała floty, królowa zaś miała na sobie bladoliliowy kostium i dobrany do niego kapelusz. W saloniku zostali serdecznie powitani przez Roosevelta i cały jego gabinet. Wszyscy pozostali, ubrani oficjalnie we fraki, niemal rozpływali się w gorącym, gęstym powietrzu. Roosevelt stał

podtrzymywany przez stalowe podpórki ukryte pod przedłużonymi spodniami. Lewą ręką wspierał się na ramieniu umundurowanego asystenta wybranego do tej funkcji specjalnie ze względu na silną budowę ciała, podpierał się też laską trzymaną w prawej ręce, ale kiedy witał się z królem i królową płynnym ruchem przerzucał ją do lewej ręki. Cały czas promiennie się uśmiechał.

Po formalnym wstępie dwaj ochroniarze, Gus i Earl, posadzili Roosevelta w czekającym już składanym wózku inwalidzkim. Prezydent jechał nim aż do głównego wejścia na dworzec. Tam znów wstał. Wspierając się na ramieniu asystenta i na lasce, zdołał wyjść między masywnymi kolumnami portyku. Król stał po jego prawej ręce. Siedemdziesiąt tysięcy osób wypełniał plac przed dworcem, a kiedy przy wejściu pojawili się król i Roosevelt, wybuchła wrzawa. Wojskowa orkiestra zaczęła grać Boże chroń Króla. Król zatrzymał się i zasalutował, potem ruszył po marmurowych szerokich schodach do samochodów. Lascelles szedł za członkami gabinetu Roosevelta i królewską świtą. Był zaskoczony hartem ducha prezydenta i siłą fizyczną jakiej wymagało odegranie tak wielkiego spektaklu. Oto człowiek sparaliżowany od pasa w dół zdobywa się na to, by udawać, że chodzi, i to na oczach ogromnego tłumu własnych obywateli.

Król, zgodnie z porannymi wskazówkami Lascellesa, odsunął się, by prezydent skorzystał z niemal niewidocznej rampy, ułożonej już po przyjeździe samochodu. Dzięki niej prezydent mógł wejść prosto do otwartej limuzyny. Kiedy zrobił krok do przodu, dwaj ochroniarze obeszli samochód i posadzili go na siedzeniu. Królowa i pani Roosevelt wsiadły do drugiego auta, reszta orszaku - do kolejnych. W końcu kawalkada ruszyła z placu i pojechała Delaware Avenue w stronę Kapitolu. Lascelles siedzący obok McKenzie Kinga w

samochodzie tuż za samochodem królowej skrzywił się, kiedy ujrzał, że Elżbieta natychmiast otworzyła parasol, by osłonić się przed słońcem, zupełnie nie zważając na siedzącą obok panią Roosevelta. Kawalkada aut nagle zmieniła się w głośną paradę wojskową. Za samochodami ustawilo się sześćdziesięciu konnych i trzydzieści lekkich czołgów. Na czele kolumny stanęło stu motocyklistów z policji stanu Wirginia. Nad ich głowami przeleciało około czterdziestu samolotów i dziesięć ciężkich bombowców. Huk silników niemal zupełnie zagłuszył wiwatujący tłum zgromadzony wzdłuż Delaware Avenue. Gorące wilgotne powietrze sprawiało, że spaliny czołgów stawały się nie do zniesienia.

Aby więcej osób mogło zobaczyć królewską parę, a zwłaszcza ci, którzy zapłacili za specjalne miejsca na trybunach, kawalkada przecięła Constitution Avenue, wjechała na Wzgórze Kapitolu i minęła Kapitol, gdzie na marmurowych schodach gwiazda radia Kate Smith wraz z chórem innych osobistości odśpiewywała kolejną wersję Boże chroń króla. Samochody, konie i czołgi powoli okrążyły wielki budynek z kopułą minęły ogród botaniczny, pomnik Ulyssesa S. Granta przy Pierwszej ulicy i skręciły w lewo, w Constitution Avenue, cały czas mijając szpaler żołnierzy, marynarzy i marines, którzy z postawionymi bagnetami powstrzymywali rozszalałe tłumy po obu stronach drogi. Nawet spokojny Lascelles zaczął się denerwować. Tłumy w Kanadzie były głośne i entuzjastyczne, ale tutaj, mimo niezwykłego upału ciżba ludzka po prostu szalała. Widział, jak mężczyzna na trybunie sklepał na płasko kapelusz leżący na kolanach. Dwie kobiety tak biły się o lepszy widok, że aż podarły sobie suknie. Dostrzegł też dwie inne kobiety, które najzwyczajniej w świecie zaczęły się policzkować, i kilka innych mdlejących, czy to z upału, czy dlatego, że po raz pierwszy w życiu widziały parę

królewską. Sam Lascelles czuł, jak pod grubym wełnianym garniturem spływają z niego strumienie potu. Miał nadzieję, że nie wygląda aż tak źle, jak czerwony na twarzy kanadyjski premier siedzący obok niego w otwartym samochodzie.

- Trzydzieści sześć stopni, cholera! - mruknął McKenzie King. - A ja mam na sobie grubą bieliznę. Kto by pomyślał? - Mały łysy człowieczek włożył palec pod kołnierz, żeby się ochłodzić, ale zaraz się zreflektował.

- Niedługo będziemy w Białym Domu - powiedział Lascelles, próbując przekrzyczeć wrzawę. - Może tam będzie chłodniej.

Premier skinął głową.

- Przynajmniej dostaniemy coś do picia.

Było wprawdzie upalnie, ale wszelkie obawy Lascellesa co do tego, jak król i królowa zostaną przyjęci w Ameryce, błyskawicznie się ulotniły w drodze do Białego Domu. Wprawdzie ustawieni na całej trasie snajperzy na dachach budynków oraz agenci specjalni w ciemnych garniturach i kapeluszach biegnący obok samochodów przypominali o niebezpieczeństwie, ale wszędzie dookoła widać było niekłamany entuzjazm. Ludzie krzyczeli: „Czołem, królu!” albo „Sie ma, pani królowo!”, a ktoś dowcipnie rzucił: „Brytyjczycy nadchodzą! Brytyjczycy nadchodzą!”

Równie istotne wydawało się to, że król i prezydent najwyraźniej natychmiast się zaprzyjaźnili. Ze swojego miejsca Lascelles widział, że rozmawiają jak starzy znajomi, z rzadka tylko odwracając się na boki, by pomachać i uśmiechnąć się do ludzi, czy - w przypadku Roosevelta - uchylić kapelusza. Niezależnie od tego, co zbliżyło obu mężczyzn, ów związek miał ogromne znaczenie i mógł stanowić podstawę długofalowego sojuszu politycznego, wojskowego i finansowego. Na poczet tego do USA w tajemnicy przywieziono już

prawie czternaście tysięcy ton złota ukrytego pod pokładami „Empress of Australia” i dwóch krążowników eskortujących, HMS „Southampton” i HMS „Glasgow”. Była to pierwsza z czterdziestu sześciu dostaw planowanych między majem 1939 a kwietniem 1941 roku. Zamierzano przewieźć łącznie dwieście piętnaście tysięcy ton. Kruszec miał być wspólnym zabezpieczeniem wszelkich długów wojennych zaciągniętych w Stanach Zjednoczonych przez Wielką Brytanię.

Przyjęcie takiego zobowiązania stanowiłoby bezpośrednie naruszenie amerykańskiej Konstytucji i Ustawy o neutralności. Aby ominąć wszelkie przeszkody prawne, jakie mogliby stwarzać opowiadający się za izolacjonizmem senatorzy i kongresmani, ustalono, że złoto pozostanie na razie w skarbcach Królewskiego Banku Kanady w Ottawie, ale wszyscy zainteresowani doskonale wiedzieli, kto dysponuje kluczem do tego depozytu.

Czterdzieści minut po opuszczeniu Union Station kawalkada w końcu stanęła przed Białym Domem. Roosevelt, dyskretnie zasłonięty przez ochroniarzy, został umieszczony na wózku i wwieziony wejściem kuchennym do pokoju dyplomatycznego. Zarówno Roosevelt, jak i król z ulgą od razu zapalili pierwszego od godziny papierosa. Po kolejnym, niezwykle krótkim przyjęciu, królewską parę odprowadzono do jej apartamentów, a wszystkich niemieszkających w Białym Domu odwieziono do pobliskich hoteli, głównie do Hay Adams.

Po krótkim odpoczynku i okazji do zmiany ubrań król i królowa oraz niewielka świta, w której znalazł się Lascelles, spotkała się z Rooseveltami na posiłku nazwanym rodzinnym obiadem. Wśród gości znajdowali się krewni prezydenta i McKenzie King. Jeden z synów amerykańskiego przywódcy poruszył temat transatlantyka „St

Louis”, na pokładzie którego z Niemiec uciekło dziewięciuset trzydziestu siedmiu Żydów. „St Louis” zbliżał się właśnie do wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Lascelles wstrzymał oddech i modlił się, by królowa nie popełniła okropnej gafy, choćby wspominając o „chałaciarzach”. Na szczęście bardziej zaaferowana była upałem. Siedziała w milczeniu, ze szklanymi oczami popijała miętowy napój i słuchała, jak Roosevelt przedstawia skomplikowaną interpretację amerykańskiego prawa imigracyjnego, które uniemożliwia mu wpuszczenie statku na wody przybrzeżne Stanów Zjednoczonych.

Kiedy posiłek dobiegł końca, prezydent, pani Roosevelt i para królewska udali się na krótką wycieczkę po amerykańskiej stolicy. W pierwszym samochodzie jechał prezydent i król, w drugim królowa i pani Roosevelt, a w trzecim kilku policjantów, w tym główny konstabl Canning, królewscy ochroniarze i pułkownik Edmund Starling, szef Wydział specjalny. W czwartym samochodzie jechało pięciu agentów uzbrojonych w karabiny maszynowe Thompsona, zestaw rewolwerów i trzy strzelby. Kolumnę otwierali i zamykali policjanci stanowi z Wirginii, a na podestach po obu stronach samochodów stało jeszcze kilku innych agentów Wydziału Specjalnego. Półtorej godziny później, pozdrawiani okrzykami i flagami przez trzy tysiące skautów zebranych na trawnikach przed Białym Domem, król i królowa wrócili z wycieczki, żeby przygotować się do garden party i wieczornego rautu w ambasadzie brytyjskiej.

Jane Todd wyłączyła wielkie radio w palarni Claremont Inn i dość

dobrze zaczęła naśladować przesadnie napuszony głos radiowego sprawozdawcy, piejącego peany na cześć królewskiej pary, która wyszła z Białego Domu na garden party w ambasadzie brytyjskiej.

- Królowa wygląda dostojnie w pięknej białej sukni z krynoliną w stylu cesarzowej Eugenie. Suknię tworzą na przemian pasy pomarszczonej i usztywnionej koronki oraz wolanty z muślinu. Strój uzupełnia parasolka z białej koronki, kapelusz z wielką gardenią, długie białe rękawiczki... Rany boskie! To jakiś pokaz mody! Czy ktoś tu wie, co to są „wolanty z muślinu”?

- Przynajmniej możemy teraz założyć, że naszego zamachowca nie ma w Waszyngtonie - powiedział Thomas Barry. Położył gruby kołnotatnik na szklany blat stolika przy swoim fotelu. W notatniku znajdował się szczegółowy plan wizyty króla i królowej w Stanach Zjednoczonych, dostarczony przez Avre Warrena z Departamentu Stanu.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała Jane, siadając w fotelu ostrożnie, by nie nadwerżyć sobie bolącej ręki i barku.

- Za dużo tam ochrony - odparł Barry. - Ten człowiek nie będzie ryzykował bez potrzeby.

- Jesteś strasznie pewny siebie.

Do palarni weszli Warren i Sam Foxworth, a za nimi Sheila Connelly z filiżankami kawy na tacy. Jane zauważyła, jak Barry przypatruje się jej nogom, i lekko zmarszczyła brwi.

- Właśnie rozmawiałem z ambasadorem Messersmithem - powiedział Warren. - Próbowaliśmy to opóźnić, ale Clan na Gael wpłacił dwadzieścia pięć tysięcy dolarów kaucji. Russell zostanie zwolniony jutro rano. Najprawdopodobniej w ambasadzie Irlandii w Waszyngtonie szykują dla niego przyjęcie.

- Jasna cholera! - zaklął Barry.

- To już nieważne - odparł Warren, wzruszając ramionami. - Wykonał swoją część zadania, odwrócił naszą uwagę od właściwego zagrożenia.

- Od niewidzialnego zabójcy - dopowiedział policjant. - Od zawodowca.

- Inspektor Barry ma rację - wpadł mu w słowo Foxworth. - Szukamy zawodowego zabójcy. To nie jest szaleniec z rewolwerem za kilka dolarów.

- Nadal chciałabym się dowiedzieć, kto go wynajął - rzekła Jane, ustawiając filiżankę z kawą na szerokim podłokietniku fotela.

- Avra i ja pracujemy nad tym - zapewnił ją Foxworth. - I mamy kilka obiecujących tropów.

Sheila już wszystkim podała kawę, wzięła również filiżankę dla siebie i podeszła do kominka, stając tuż za Barrym. W kominku wesoło trzaskał niewielki ogień.

- W sumie nawet dobrze, że to zawodowiec - stwierdził Barry. - Zapewne jest to najlepszy zabójca na rynku, więc zdaje sobie sprawę, że nie skorzysta z zarobionych pieniędzy, jeśli nie wyjdzie z tego cało.

- To daje nam jakiś punkt zaczepienia - odparł Avra Warren. Wyjął podniszczoną fajkę Kaywoodie i płaską zieloną paczkę tytoniu Holiday Pipe Mixture. Nabił fajkę i przyłożył zapalniczkę. Pyknął kilka razy, żeby dobrze rozżarzyć tytoń. Wypuścił w górę obłok aromatycznego dymu. - Mieliśmy sześć zamachów na prezydentów, począwszy od Andy'ego Jacksona, a skończywszy na jakimś Zangarze w Miami, który w końcu zamiast prezydenta postrzelił burmistrza Chicago Cermaka. Poza Johnem Wilkes Boothem, który uważał się za bohatera Konfederacji, żaden z zamachowców i niedoszłych zamachowców nie był profesjonalnym zabójcą, za to

wszyscy mieli nierówno pod sufitem. - Wydmuchnął kolejny obłok dymu w stronę sufitu. - Trudno się bronić przed szaleńcem, ale profesjonalny zabójca musi postępować według jakichś reguł. Jeśli poznamy reguły, może uda nam się wytropić człowieka.

- Nie musimy się nad niczym zastanawiać - przerwała mu nagle Jane. - Jeśli zamierza uderzyć, zrobi to tu, w Nowym Jorku. I to na Wystawie Światowej.

- Dlaczego? - zapytał Foxworth.

- Muszę przyznać, że jesteś strasznie pewna siebie - powiedział uszczypliwie Barry.

- Proszę mówić - zachęcił ją Foxworth. - Dlaczego akurat na wystawie?

- Bo tego właśnie szukają, wielkiego rozgłosu. A symbolika tego miejsca jest doskonała. Wszystkie narody świata zebrane, by popatrzeć, jak Anglia zgina kark. - Mrugnęła wyraźnie do Barry'ego. - Poza tym tutaj właśnie wszystko się zaczęło: Howard Raines był nowojorskim prawnikiem, kontakt z zabójcą nawiązano przez nowojorską mafię. Ci ludzie mają tu wszędzie swoje dojścia, łącznie z policją, czego nie można powiedzieć o Waszyngtonie.

- Ładna opowiadka, panno Todd, ale tylko opowiadka - rzekł Avra Warren. - Do zamachu może dojść gdziekolwiek.

- Obawiam się, że muszę przyznać rację Jane - odezwał się cicho Barry. - Przeczytałem bardzo dokładnie plan wizyty. Poza terenem wystawy król i królowa wciąż będą w ruchu. Szanse na powodzenie zamachu w takich warunkach są szalenie małe. Zresztą z planu wynika, że nigdzie poza wystawą nie da się znaleźć właściwej kryjówki.

- Kryjówki? - zdziwił się Warren.

- Odpowiedniego miejsca do oddania strzału - wyjaśnił Foxworth.

- Zgadzam się z tym. Jak dokładnie wygląda plan pobytu?

Jane sięgnęła po kołonoratnik i przewertowała kilka stron.

- Wizyta na Kapitolu, wycieczka po Potomacu na pokładzie prezydenckiego jachtu, wizyta w Mount Vernon, a w drodze powrotnej przystanek w rezerwacie, złożenie wieńca na cmentarzu w Arlington, herbatka ze skautkami w Białym Domu, oficjalna kolacja w ambasadzie brytyjskiej i powrót do pociągu, a potem wyjazd do Nowego Jorku.

- Cały czas za zamkniętymi drzwiami, w samochodach lub na jachcie - podkreślił Barry. - Moim zdaniem kiepskie szanse na próbę zamachu.

- Ale dlaczego akurat Wystawa Światowa? - dopytywał się Warren.

- W Nowym Jorku zatrzymują się tylko trzy razy: w parku Battery, gdzie wysiadają z pokładu USS „Warrington”, na wystawie i na Columbia University.

- Dlaczego zatem nie park Battery?

- Bez szans - wtrąciła się Jane. - Nie wysiadają w samym parku. Mogą przybyć jedynie do budynku kapitanatu w Battery. Proszę samemu sprawdzić. Najbliższy budynek, z jakiego zamachowiec mógłby oddać strzał, znajduje się przynajmniej trzysta metrów dalej. Poza tym, żeby nie przeszkadzały mu drzewa, musiałyby się wspiąć na samą górę.

- A do budynków wokół nie wejdzie nikt, kto nie ma tam biura - dorzucił Foxworth. - Nikt nie ma też prawa przebywać na dachu poza policyjnymi snajperami i obserwatorami. Według burmistrza La Guardii na trasie przejazdu królewskiej pary będzie piętnaście tysięcy policjantów.

- Pod wodzą człowieka, którego lojalność podaliśmy w

wątpliwość - zauważył Avra Warren. - My też go obserwowaliśmy. W ciągu ostatnich dwóch tygodni komisarz odbył tajne spotkania ze wszystkimi papieskimi stowarzyszeniami i dwugodzinną naradę z nowo mianowanym kardynałem.

- A Spellman to stary znajomy Joe Kennedy'ego - dorzuciła Jane.

- O ile założymy, że istnieje tu jakiś związek - wtrącił Foxworth. - Bo ja nie jestem o tym do końca przekonany. Na Boga, przecież Valentine to gliniarz!

- I stary znajomy Eda Flynna - dodał Warren.

- Zapomnijcie o polityce. Przyjrzyjcie się faktom. - Jane postukała palcem w okładkę notatnika. - Według tego planu z Battery przejadą z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę prosto na teren wystawy. Niezależnie od tego, jak dobry jest ten zawodowiec, nie ma szans przy takiej prędkości.

- Ona ma rację - poparł Jane Barry. - Teren wystawy to najlogiczniejszy wybór.

- Kilkaset hektarów to trochę lepiej niż cały Nowy Jork - rzekł Foxworth. - Ale wciąż jest to kilkaset hektarów. Kawał terenu do pilnowania.

Jane wzruszyła ramionami.

- I co z tego? Wypełni pan ten teren agentami, niech stoją, gdzie się da.

- To nie takie łatwe, jak się wydaje - odparł Foxworth. - Po pierwsze, terenem wystawy zarządzają władze Nowego Jorku. Będziemy wchodzić w drogę Valentine'owi. - Przerwał. - Możemy oczywiście skorzystać z Ustawy Lindbergha, ale FBI nie ma prawa występować w charakterze ochrony zagranicznych dygnitarzy. Nie mówiąc o tym, że nadal nie wiemy, jak wysoko sięga spisek. - Pokręcił głową. - Biuro nie może oddelegować do tego nikogo więcej

poza małą grupką prowadzącą śledztwo w sprawie morderstwa Howarda Rainesa.

Jane skrzywiła się.

- Foxy, człowieku, zdaje się, że bardziej boi się pan o własny stołek niż o bezpieczeństwo króla i królowej.

Foxworth zmarszczył brwi.

- Panno Todd, nie ma pani oficjalnego statusu i jest tu pani tylko dzięki mojej uprzejmości. Proszę jej nie nadużywać.

- Wpakowaliśmy się w niezłe bagno i dobrze pan o tym wie - odparła Jane. - Jestem tu, bo wiem o wiele za dużo i nie chce pan, żebym poszła z tym do gazet. - Machnęła ręką w stronę Barry'ego i Sheili Connelly. - Podobnie jak ta para gołąbków.

Barry oblał się gwałtownym rumieńcem, a Connelly spojrzała na nią tak, że gdyby wzrok mógł zabijać, Jane leżałaby martwa.

- Bez jakichkolwiek dowodów nikt by pani nie uwierzył.

- Proszę się przekonać.

Avra Warren podniósł ręce w pokojowym geście.

- Panie i panowie, proszę. Szukamy odpowiedzi, nie zwady.

- Myślę, że teren dałoby się jakoś zawęzić - odezwał się Barry.

- W jaki sposób? - zapytał Avra Warren.

- Mam niewielkie doświadczenie, ale wiem, że zawodowi zabójcy zawsze szukają pewnego strzału. Starają się ryzykować jak najmniej.

- Do czego pan zmierza? - ponaglił go Foxworth.

-Według tego planu jedynym miejscem, które Ich Królewskie Moście odwiedzą na pewno, jest pawilon brytyjski. Odbędzie się tam przyjęcie, a na bocznym trawniku król ma dokonać inspekcji warty honorowej weteranów.

- Czy to wiadomość dostępna publicznie? - zapytał Warren. Barry wzruszył ramionami.

- Chyba możemy założyć, iż zabójca o tym wie. Warren zmarszczył czoło i pykał fajne.

- Sądzi pan, że tam właśnie zaatakuje?

- Będzie się znajdował gdzieś w promieniu dwustu metrów od pawilonu - odrzekł Barry.

- Dlaczego akurat dwieście metrów? - zdziwił się Foxworth.

- W czasie wojny wypatrywałem snajperów - odparł Barry. - Dwieście metrów to optymalny dystans dla płaskiego strzału. Nie trzeba się przejmować siłą wiatru i temperaturą powietrza. Jeśli będzie taka możliwość, strzeli z mniejszej odległości, ale na pewno nie z większej, jestem o tym przekonany.

Po raz pierwszy odezwała się Sheila Connelly.

- A jak ten człowiek wniesie karabin na teren targów?

- Znajdzie jakiś sposób - odparła Jane. - Możesz być pewna, dziewczyno z Irlandii.

John Bone siedział przy stole kuchennym na tyłach sklepu rusznikarskiego i oglądał zdjęcia, które rano odebrał z punktu Kodaka. Seria zwykłych turystycznych fotek najrozmaitszych pawilonów na terenie wystawy skrywała doskonale te ujęcia, które naprawdę go interesowały. Wyjął lupę, którą znalazł na dole w warsztacie Lavana. Od czasu do czasu zapisywał coś w notatniku. Kiedy skończył, wziął notatnik ze sobą do sklepu, podniósł słuchawkę telefonu przy kasie i wykręcił numer. Odebrano po trzecim dzwonku.- Potrzebne mi są nazwiska i adresy właścicieli następujących samochodów - rzekł uprzejmie. - Zielony dodge, 2V 32 90, brązowy ford, 9K 51 80 i zielony buick, 5N 30 94. - Słuchał przez

chwile, jak głos w słuchawce powtarza podyktowane numery. -
Zadzwoń za godzinę. Bone odłożył słuchawkę, zamknął notes i
wrócił na dół do pracowni, by dokończyć przygotowania. Dokładnie
godzinę później zadzwonił ponownie i zanotował trzy nazwiska i trzy
adresy.

Rozdział 23

9 czerwca 1939 roku, piątek

Nowy Jork

Choć ustawa o łączności z 1934 roku zabraniała zakładania podsłuchu, niemal każdy oddział FBI w Stanach Zjednoczonych miał od dawna układy z operatorem telefonów i mogli podłączyć się do linii inwigilowanego abonenta bezpośrednio z centrali. W ten sposób nawet najbardziej podejrzliwy użytkownik telefonu nie mógł udowodnić, że założono mu podsłuch, a eksperci mogli drobiazgowo sprawdzać linię i nie wykrywali niczego, bo na terenie posesji nie zakładano żadnych urządzeń, które można znaleźć za pomocą elektroniki.

W nowojorskim oddziale FBI linie podłączone do podsłuchiwanego numeru biegły z potężnego wieżowca New York Telephone Company przy West Street prosto do podziemi Budynku Sądu Federalnego przy Placu Foleya. Przewody telefoniczne omijały normalną centralkę i dochodziły do zamkniętego pokoju na tyłach budynku. Oficjalnie był to magazyn materiałów archiwalnych. W rzeczywistości w pokoju stało ponad dwadzieścia monitorowanych automatycznie nagrywarek dyskowych Presto produkcji Western Electric, które zapisywały wszystkie rozmowy z podsłuchiwanym linii na lakierowanych aluminiowych dyskach. Co jakiś czas dyski wymieniano, a zapisane rozmowy odsłuchiwano, przepisywano na papier i przesyłano przede wszystkim do agenta, który zażądał podsłuchu.

Ponieważ zarówno nagrania, jak i transkrypcje były nielegalne, wymyślono temu procederowi nazwę NDA - nie do archiwum. Nagrania, transkrypcje i wszelkie materiały związane z nimi otrzymywały etykietę NDA i nie odsyłano ich do centralnego archiwum FBI, lecz pozostawiano w lokalnych archiwach oddziałów, a od czasu do czasu niszczone, zwłaszcza kiedy miała nastąpić kontrola wydziału wewnętrznego FBI. W przypadku podsłuchu zleconego przez Sama Foxwortha, on wydał zgodę i do niego trafiały transkrypcje rozmów, co zamykało krąg zainteresowanych.

Jednocześnie można było podsłuchiwać do dwudziestu rozmów. Specjalna sekretarka jako pierwsze spisywała te nagrania, które dotyczyły bieżących spraw. Sam Foxworth nie chciał wzbudzać zainteresowania, więc nie nadał swojej sprawie specjalnego priorytetu. Dlatego jego transkrypcje znajdowały się na końcu kolejki. Wydawało się to logiczne, zwłaszcza że od założenia podsłuchu z linii jeszcze nikt nie korzystał.

Dwie rozmowy, jakie John Bone przeprowadził z nowojorskim numerem poprzedniego dnia, zostały zarejestrowane na dyskach odpowiednio o siedemnastej szesnastce i osiemnastej siedemnastce. Poprzednia zmiana skończyła pracę nieco ponad godzinę przed pierwszą rozmową i dysków nie sprawdzano aż do północy. Po północy stwierdzono, że między szesnastą a północą dokonano się jakieś nagranie. Zmieniono więc dysk, zapisany odniesiono do pokoju transkrypcji na piątym piętrze, gdzie przeleżał do dziewiątej rano. Ze względu na niski priorytet sprawy zawartość dysku przepisano dopiero przed piętnastą trzydzieści i wtedy transkrypcja trafiła na biurko Sama Foxwortha.

I znów, z powodu braku priorytetu, koperta nie została opatrzona etykietką PILNE. Zresztą i tak nie miałyby to większego znaczenia,

bo tego akurat dnia zrzędzeniem losu sekretarka Foxwortha, Alice Spencer, wyszła wcześniej do dentysty, by usunąć zepsute zęby trzonowe. Z powodu ogromnego bólu po ekstrakcji panna Spencer poszła prosto do domu i nie wróciła już tego dnia do biura. W ten sposób Sam Foxworth dowiedział się o telefonach od Bone'a dopiero o osiemnastej trzydzieści w piątek wieczorem, kiedy wrócił z Claremont Inn. Do wizyty króla i królowej na Wystawie Światowej pozostały niespełna dwadzieścia cztery godziny.

Z trzech adresów przekazanych Bone'owi poprzedniego dnia dwa mieściły się w Queens, trzeci na Brooklynie. Brooklyński adres interesował go najbardziej. Mieszkał tam nocny stróż wystawy, Leo Hamner. Z trzech osób, które Bone sfotografował, Hamner był jedynym, który odpowiadał mu mniej więcej wzrostem. No i rzecz jasna, miał właściwe zajęcie.

Bone zadzwonił pod jego numer, udając urzędnika z brooklyńskich wodociągów. Telefon odebrała matka Hamnera, od której Bone dowiedział się, że dom przy Adelphi Street należy do niej, a Leo śpi tam w ciągu dnia i do pracy wychodzi dopiero wpół do ósmej wieczorem. Przy okazji poznał specyfikę splotki pani Hamner, w której bywało denerwująco małe ciśnienie i powinni przysłać kogoś, kto by to naprawił. Bone obiecał, że zobaczy, co da się zrobić.

Samochodem Lavana, dziesięcioletnią furgonetką, Bone przewiózł wszystkie niezbędne rzeczy i wrócił do sklepu rusznikarza tuż po trzeciej po południu. Do piątej usunął stamtąd wszelkie ślady swojej bytności i spalił notes, w którym przez ostatnie tygodnie zapisywał wyniki swoich badań. O wpół do szóstej zgodnie z planem zapakował ostatnie drobiazgi do furgonetki Lavana i ruszył w stronę mostu Brooklyńskiego.

Piętrowy zielono-biały dom pani Hamner przy Adelphi Street wybudowano w stylu federalnym. Stał o trzy posesje od rogu Lafayette Street, w brooklyńskim okręgu Fort Greene, niecałe dziesięć przecznic od portu marynarki wojennej. Bone jeszcze raz objechał okolicę, zauważył dodge'a Leo Hamnera, zaparkował przy De Kalb Avenue i wrócił piechotą do domu. Zatrzymał się przed samochodem Hamnera, obejrzał kartonową przepustkę na teren Wystawy Światowej przyklejoną do wewnętrznej strony przedniej szyby. W końcu ruszył krótką ceglana alejką i wszedł na drewniane schody frontowej werandy.

Drzwi frontowe były uchylone, żeby mogła wpadać przez nie chłodna wieczorna bryza. Na drodze Barry'ego stała jedynie cienka siatka. Za pomocą kluczyka od samochodu Lavana odciął kawałek miedzianej siatki, podniósł haczyk i otworzył lekkie drzwi. Przez kilka sekund stał w ciszy w małym przedpokoju i nasłuchiwał. Poczł zapach jajecznicy na bekonie, usłyszał szuranie kroków po podłodze i cichutkie zawrozenie falsetem „Zabierz mnie znów do starej Wirginii”. O zmierzchu matka Hamnera robiła śniadanie dla syna. Bone zrobił dwa kroki do przodu i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Po lewej stronie pokryte perskim bieżnikiem strome schody prowadziły na zaciemnione piętro. Długi korytarz po prawej biegł do kuchni na tyłach domu. Po lewej widać było jeszcze dwa wejścia: jedno wąskie drzwi były otwarte, ale zasłonięte zieloną kotarą zapewne prowadziły do salonu. Dalej w korytarzu były rozsuwane drzwi, najprawdopodobniej do jadalni. W połowie przedpokoju, między salonem a jadalnią stała mała półka z telefonem i proste krzesło kuchenne. Na sznurku przy półce zwiisał ogryzek ołówka.

Bone zrobił jeszcze jeden krok, cały czas trzymając się ściany. Uchylił rąbek zasłony i zajrzał do ciemnego salonu. Pusto. Sięgnął do

lewej kieszeni marynarki i wyjął z niej mały rewolwer Smith & Wesson Pocket Hammerless, który wziął ze sklepu Lavana. Sięgnął do prawej kieszeni po tłumik, który sam zmagistrował w pracowni rusznikarza. Była to stalowa rurka z nawierconymi po dwóch stronach otworami, które miały osłabić prędkość kuli. Jeden z końców odpowiednio nagwintował, by można było nakręcić ją na lufę rewolweru. Całość wypełnił siatką przypominającą tę, z której wykonane były zewnętrzne drzwi domu pani Hamner. Przystanął, nakręcił tłumik na koniec lufy i przeszedł cicho w stronę wejścia do kuchni.

Szafki w kuchni miały bladożółty kolor, blat pomalowano na zielono, na podłodze leżało linoleum w kolorze wyschniętej gliny. Pośrodku stał stół i cztery krzesła. Na stole leżała rozłożona gazeta, duża szklana popielniczka i czerwono-czarna paczka tytoniu Target.

Pani Hamner stała przy kuchence z papierosem w ustach. Ubrana była w długą flanelową podomkę związaną w pasie. Miała około siedemdziesiątki, pomarszczoną twarz, dodatkowo wysuszoną i zniszczoną od palonych przez całe życie papierosów. Siwe włosy upięła w niedbały kok zabezpieczony siatką. Nad górną wargą sypał jej się krótki siwy wąsik.

Mieszała łopatką zawartość dwóch żelaznych patelni. Na jednej smażyła jajecznicę, na drugiej - bekon. Na półce nad kuchenką stał emaliowany talerz przykryty gazetą na której usmażone kawałki bekonu ociekały z tłuszczu. 'Pani Hamner obejrzała się, kiedy Bone wszedł do kuchni.

- Chyba znów nie zamknęłam drzwi na haczyk - powiedziała i wróciła do mieszania jajecznicy. Spory kawałek popiołu z papierosa spadł jej na przód podomki. - Cholera jasna - zaklęła i próbowała strząsnąć popiół wolną ręką. Znów spojrzała na Bone'a. - Szybko się

pan uwinął.

- Ruch był niewielki - odparł Bone nieco zaskoczony. Staruszka nawet nie zmieszała się, widząc u siebie w kuchni obcego mężczyznę z bronią.

- Nadal nie rozumiem, czego FBI może chcieć od Leo. Na litość boską przecież to tylko dozorca. Czyści kible, i tyle. - Wsunęła łąpatkę pod kilka kawałków bekonu i przełożyła je na talerz. - Oczywiście będzie panu opowiadał, że jest inżynierem sanitarnym, ale na razie nie widziałam, żeby coś wynżynierował. - Zdjęła obie patelnie z kuchenki, odwróciła się i zdusiła papierosa w popielniczce. Usiadła, otworzyła paczkę z tytoniem i wyjęła pakiecik bibulek.

- Wie pani, kto do pani dzwonił? - zapytał Bone. FBI w jakiś sposób wpadło na jego ślad i postępowało logicznie - przesłuchiwało wszystkich, którzy mieli wstęp na teren wystawy.

- Mówił, że nazywa się Foxworth. Uprzedził, że wysyła agenta do ochrony. - Wyjęła z paczki trochę tytoniu, nasypała go na bibułkę i zwinęła szybko papierosa. - Do ochrony, ale ciekawe przed czym. Bo tego nie wiem.

- Zapewne przede mną - odparł Bone. Strzelił tylko raz. Pocisk trafił staruszkę w pierś i przewrócił ją razem z krzesłem, papieros wypadł jej z dłoni. Krew buchała z rany, wsiąkając we flanelową podomkę.

Bone rozejrzał się i zauważył drzwi do piwnicy. Odłożył rewolwer z tłumikiem na stół, chwycił panią Hamner za jej odziane w kapcie nogi i pociągnął w stronę schodów, pilnując, by na linoleum nie pozostał żaden ślad krwi. Przy drzwiach chwycił ciało pod ramiona i zepchnął w dół. Znalazł kosz na śmieci wyłożony papierową torbą na zakupy i łąpatką zeszkrobał do niego jajecznicę z patelni. Wyrzucił bekon oraz zatłuszczoną gazetę, na której leżał. Złazł

z patelni tłuszcz do puszki na półce, odłożył obie patelnie i emaliowany talerz do zlewu. Wrócił do przedpokoju. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nic nie usłyszał, więc zaczął wchodzić na piętro.

Leo Hamner wciąż spał na wąskim łóżku w sypialni na tyłach domu. Leżał na brzuchu z twarzą w poduszce. Na oparciu krzesła w nogach łóżka wisiał granatowy kombinezon z napisem „Nowojorska Wystawa Światowa 1939” wyhaftowanym nad lewą kieszenią na piersi i napisem „Leo” nad prawą. Pod krzesłem stała para wysokich kaloszy, a obok leżała zwinięta para grubych skarpet.

Bone podszedł do łóżka, przystawił śpiącemu lufę rewolweru do tyłu głowy i strzelił dwa razy. Hamnerem wstrząsnęły konwulsje, nogi poruszyły się kilka razy pod kołdrą i ciało znieruchomiało na zawsze. Bone szybko przebrał się w granatowy kombinezon. Pasował niemal idealnie, tylko rękawy były o jakieś dwa centymetry za krótkie. W szafie Hamnera znalazł torbę na rzeczy do prania. Opróżnił ją i wrzucił tam swoje ubranie. Z tłumikiem na rewolwerze zniósł torbę na dół i zostawił ją w przedpokoju, tuż przy drzwiach. Wrócił do kuchni, nastawił ekspres do kawy i czekał. Kwadrans później usłyszał dzwonek.

Poszedł do przedpokoju. Szybko otworzył siatkowe drzwi, by przybysz nie zauważył nacięcia w okolicach klamki.

Agent był wysoki, miał trzydzieści kilka lat, brązowy garnitur, kapelusz tego samego koloru i białą koszulę.

- Pan Leo Hamner? - zapytał, patrząc na kombinezon.

- Zgadza się - odparł Bone. - A pan to pewnie ten facet z FBI, o którym mówiła mi matka.

- Agent specjalny Neil Gordon. - Przybysz wyjął z marynarki legitymację w skórzanej okładce i otworzył ją. Spojrzał ponad ramieniem Bone'a do przedpokoju. - A gdzie pańska matka?

- Umówiła się na brydża. A co? Miała poczekać?

- Nie, nie szkodzi.

- Może pan wejdzie - zaproponował Bone. Odsunął się i wpuścił agenta do środka. - Zapraszam do kuchni. Właśnie zaparzyłem kawę.

- W porządku. - Gordon poszedł za nim do kuchni. W kuchni Bone wskazał głową naczynia w zlewie.

- Właśnie zjedliśmy, spóźnił się pan na jajecnicę.

Nalał dwie filiżanki kawy i zapytał, z czym Gordon pije. Dodał mleka i cukru. Postawił filiżankę przed agentem, a sam zajął miejsce, na którym jeszcze niedawno siedziała matka Leo.

- Może mi pan wyjaśnić, o co tu chodzi?

Nie wolno mi nic na ten temat powiedzieć. Tylko tyle, że FBI uważa, iż może panu grozić niebezpieczeństwo.

- Mogę iść do pracy?

- Obawiam się, że nie.

- A kto to powie mojemu szefowi?

- Sam to zrobię. - Gordon przerwał i zmarszczył brwi.

- Coś nie tak?

- Mówi pan z akcentem. Słabym, ale jednak. Irlandzki, prawda?

- Zgadza się.

- To dziwne. Hamner to chyba nie irlandzkie nazwisko.

- Nie. - Bone wstał, wyciągnął rewolwer i przystawił koniec tłumika do czoła Gordona. Padł jeden strzał, nie głośniejszy niż ostre klaśnięcie. Agent FBI zmarł, nie wydawszy żadnego dźwięku. Głowa poleciała mu do tyłu i zawisła brodą do góry. Krwi było mało.

Bone patrzył na martwego agenta i rozważał swoją sytuację. Wiedział, kim był Sam Foxworth z FBI. Telefon do pani Hamner i przyjazd agenta specjalnego oznaczał, że numer, pod który dzwonił, był na podsłuchu. To z kolei oznaczało, że pozostałe dwa adresy,

które miały służyć za rozwiązania awaryjne, również były bezużyteczne. Co gorsza, taka sytuacja mogła postawić pod znakiem zapytania cały plan. FBI nie tylko wiedziało o jego istnieniu, ale wiedziało też, że zamierza uderzyć na wystawie.

Po pierwszym rekonesansie na terenie Flushing Meadows Bone ocenił możliwość wykonania zadania na dziewięćdziesiąt procent, a możliwość bezpiecznej ucieczki na osiemdziesiąt. Teraz, choć przeciwnik został ostrzeżony, wciąż uważał, że ma co najmniej siedemdziesiąt procent szans, by zabić króla i królową, i jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu, żeby uciec. Spore ryzyko, ale do przyjęcia, zważywszy na sumę, jaką miał otrzymać. Wiedział, że odnalezienie spiskowców, którzy go wynajęli, potrwa kilka tygodni, może nawet miesięcy. Do tego czasu zdąży zniknąć. Zdawał sobie sprawę, że teraz najrozsądniej byłoby zrezygnować z zadania. Jeśli jednak postanowi je wykonać, pierwotny plan musi ulec pewnym modyfikacjom.

Avra Warren odłożył słuchawkę telefonu w biurze kierownika Claremont Inn i oparł się wygodnie w obrotowym fotelu.

- Jakież wieści? - zapytał Thomas Barry.

- Wicedyrektor Foxworth zdołał dodzwonić się do wszystkich trzech osób. Wysłał już agentów pod wszystkie adresy. Aresztowano też człowieka, który odbierał telefony od zabójcy. Wiozą go na przesłuchanie.

- Kto to? - zainteresował się Barry.

- Asystent adwokata - odparł Warren. - Z kancelarii Sullivan i Cromwell.

Jane była pod wrażeniem.

- Reprezentują firmy naftowe, prawda? I Remingtona, tego od maszyn do pisania?

- Między innymi - odparł oschle Warren. - Z tego co wiem, także rząd Panamy.

- Czyim był asystentem?

- Jednego z młodszych wspólników. Nazywa się Allen Dulles.

- Czy to się jakoś trzyma kupy?

- Na pozór nie - stwierdził Warren. - Sullivan i Cromwell to na wskroś republikańska kancelaria.

- Ale...? - dopytywała się Jane.

- Kancelaria reprezentuje wielkie firmy, które mogą ucierpieć, kiedy Stany Zjednoczone zaangażują się w wojnę poza granicami kraju. Kilka większych firm naftowych ma umowy z Niemcami, podobnie jak International Telephone and Telegraph.

- Czy Dulles jest w to zamieszany bezpośrednio? - zapytał Barry.

- Tego się nie dowiemy, dopóki nie porozmawiamy z jego asystentem.

- No dobrze - podsumowała Jane. - To przynajmniej potwierdza teorię, że zabójca chce uderzyć na wystawie.

- Chciał - poprawił ją Warren. - Wątpię, by teraz odważył się choćby spróbować. Wie, że został zdemaskowany. Mamy ślad i niedługo dotrzemy do niego samego. - Warren uśmiechnął się. - Jeśli będzie na tyle głupi, żeby zostać w Nowym Jorku.

- Co zatem zamierzacie? - spytała Jane. - Odwołać obławę? Ten facet to zawodowy zabójca. Skąd pomysł, że tak łatwo się podda?

- Zdrowy rozsądek mi to podpowiada - wyjaśnił Warren, zapalając fajkę. - Lis nie biegnie w stronę obławy. Ucieka przed nią.

- To nie jest polowanie na lisa - zauważyła Jane. - Nie rozumiem,

co się zmieniło. Od samego początku, kiedy zgodził się przyjąć tę robotę, wiedział, że ochrona króla i królowej będzie silna. Ale to go nie powstrzymało. Jak bardzo jeszcze możecie ją zacieśnić?

- Obawiam się, że muszę przyznać rację panie Todd - wtrącił Barry. - Mogliśmy mu jedynie pokrzyżować szyki, jeśli chodzi o sposób dostania się na teren wystawy, to wszystko. Znamy tylko jego nazwisko, a i to pewnie fałszywe.

- Nie do końca - powiedziała Jane. - Według Foxwortha wszystkie trzy samochody wymienione w rozmowach telefonicznych należały do nocnych stróżów z wystawy. Hamner jest dozorcą w budynku administracji, Wurts to cieć przy pawilonie National Cash Register, a Benuki, zdaje się, czyści sprzęt w Pawilonie Bordena, tam gdzie przez cały dzień w kółko spacerują krowy.

- Nie bardzo jest od czego zacząć - rzekł Warren.

- Lepsze to niż nic - ripostowała Jane.

- Czy poza pracą w nocy coś ich jeszcze łączy? - zapytał Barry.

- O ile wiem, to nie - odrzekł Warren kręcąc głową. - Dwaj mieszkają w Queens, jeden na Brooklynie.

- Samochody - rzuciła Jane strzelając palcami. - Chodzi o samochody.

- To znaczy? - zapytał Warren.

- Wszyscy trzej mają samochody. Nasz zabójca miał ich numery rejestracyjne.

Nadal nie rozumiem, do czego pani zmierza.

- Zastanówcie się. Ten facet nie łązi po Nowym Jorku, notując numery przypadkowych samochodów. Widział te auta na wystawie. To oznacza, że wszyscy trzej mają prawo wjeżdżać i parkować na jej terenie. Nie jeżdżą tam metrem.

Barry pokiwał głową.

- Potrzebny jest mu samochód, bo musi wwieźć coś na teren wystawy. Coś zbyt dużego lub zbyt ciężkiego, by jechać metrem.

- Broń - wyjaśniła Jane. - To musi być to. - Odwróciła się do Warrena. - Niech pan zadzwoni do Foxwortha. Musimy pojechać na wystawę.

- Nawet jeśli to, co mówicie, jest prawdą Ich Królewskie Moście przyjadą tam dopiero jutro w południe.

- Nic pan nie rozumie - denerwowała się Jane.

- Jak to?

- Ci faceci, którymi interesował się zamachowiec, to nocni stróże. Tak czy inaczej chce się dostać na teren wystawy dziś w nocy. Nie będzie przechodził przez bramki z całym tłumem jutro rano.

- Przygotowuje sobie kryjówkę - przytaknął Barry. - W okopach cały czas tak robiliśmy. W nocy znajdowaliśmy odpowiedni punkt obserwacyjny i czekaliśmy, aż w dzień pojawi się cel.

- Ale to nie okopy, inspektorze Barry. To Nowy Jork.

- Reguła jest ta sama - upierała się Jane. - Musimy tam pojechać i zobaczyć, gdzie się ukrywa.

Warren wstał zza biurka.

- Nie, panno Todd, tu obowiązują inne reguły i nikt nie pojedzie dziś w nocy na teren wystawy. A zwłaszcza pani.

- Chyba pan oszalał.

- Nie - uciął Warren. - Wypełniam tylko polecenia. Inspektor Barry i panna Connelly już nas zdążyli wpędzić w ogromne kłopoty w związku z Seanem Russellem. Nie popełnimy po raz drugi tego samego błędu. Ani pani, ani inspektor Barry, ani panna Connelly nie macie żadnego oficjalnego statusu. Zgadzam się z wicedyrektorem Foxworthem. Zostaniecie tu, dopóki król i królowa nie wsiądą spokojnie do pociągu i nie opuszczą kraju. Czy to jasne?

- Skoro nie mamy żadnego oficjalnego statusu, to nie macie nad nami żadnej władzy - zauważyła Jane.

- Na pani miejscu, panno Todd, nie sprawdzałbym, czy ta hipoteza jest słuszna. - Ciemnowłosy dyplomata wyszedł zza biurka. - A teraz państwo wybaczą...

Jane odsunęła się i przepuściła Warrena, który wyszedł z pokoju.

- No cóż, zdaje się, że to by było na tyle - powiedział Barry i opadł na fotel w rogu gabinetu.

- Akurat! - Jane podeszła do biurka i podniosła słuchawkę. - Zadzwoń i zobaczmy, co da się zrobić.

Rozdział 24

9 czerwca 1939 roku, piątek

Nowojorska Wystawa Światowa

Z nastaniem ciemności wystawa nie była już tym samym zbiorowiskiem pawilonów w krzykliwych kolorach, jakie można było ujrzeć przy dziennym świetle. W nocy z szerokich deptaków i alejek znikały tłumy ludzi, potężne budynki i egzotyczne wieże wyglądały niczym niesamowicie oświetlone ruiny jakiegoś miasta przyszłości przeniesionego magicznie w przeszłość. Co dziwne, wystawa miała dawać przekrój przez cały świat, jednak wszystkie te budowle były do siebie podobne, jakby powstały w umyśle jednego architekta, a kolory dobrał jeden dekorator.

Wszystko tu wydawało się nierealne. Podświetlone fontanny tworzyły białe marmurowe drzewa skąpane od spodu światłem z maleńkich reflektorków. Pnie miały odcień głębokiej zieleni, konary i liście przechodziły w ciemnoniebieski. Na Trylonie błyskały światła ostrzegawcze dla samolotów - po cztery na każdej płaszczyźnie i jedno na czubku. Najdziwniejsze wrażenie sprawiały cienie chmur odbijające się na powierzchni Perysfery, płynące w takt jakiejś eterycznej muzyki jakby z innego świata - pojedyncze długie wibracje struny pianina przypominały złowieszczy kosmiczny wiatr. Wielki Joe, robotnik z nierdzewnej stali ustawiony na szczycie dwudziestopięciometrowej wieży przed przypominającym grobowiec pawilonem radzieckim, skąpany był w świetle czerwonym niczym krew; zygzakowata błyskawica na pawilonie General Electric

błyszczała oślepiająco, a żaluzje na trójkątnym Pawilonie Naftowym jarzyły się szafirowo. Skala tego wszystkiego była przytłaczająca. Goście stawali się tu zaledwie drobnymi cieniami przemykającymi w ciemnościach.

Właśnie ciemności pragnął John Bone. Przebrany w garnitur zmarłego agenta FBI pojechał jego fordem, a nie dodge'em Leo Hamnera. Ruszył na północ Brooklynem, a potem skręcił na wschód w Horace Harding Boulevard. Zjechał z bulwaru nowo zbudowanym ślimakiem i przejechał kilkaset metrów odgałęzieniem Grand Central Parkway. Trzymając się pomarańczowych świateł, dotarł do bramy przy Jeziorze Fontann. Pokazał strażnikowi odznakę i legitymację agenta Gordona i wyjaśnił, że przyjechał służbowo.

- Chodzi o jutrzejszą wizytę króla, tak? - dopytywał się młody chłopak z uśmiechem.

- Nie mogę mówić na ten temat - odparł Bone, ale uśmiechnął się i mrugnął.

- Wiedziałem - odrzekł strażnik i również mrugnął. Dwa palce ułożył na kształt pistoletu i wydał odgłos przypominający wystrzał. Machnął, żeby Bone przejechał przez bramę.

Zabójca skręcił w lewo w Aleję Kwiatów Pomarańczy, teraz ciemną i pustą potem w prawo, na mały parking położony o jakieś sto metrów od pawilonu Florydy. Budynek w stylu hiszpańskim z palmami i wieżyczką był jedną z wystawowych sierot - pawilon stał nie tam, gdzie budynki innych stanów, czyli w okolicy Alei Tęczowej i Placu Lincolna, lecz w pobliżu Strefy Rozrywki.

W ciemności Bone szybko zdjął z siebie ubranie agenta FBI; pod spodem miał granatowy kombinezon Leo Hamnera. Sięgnął za siedzenie kierowcy, wyciągnął stamtąd wysokie kalosze i wciągnął je na nogi. Wsiadł z samochodu i otworzył bagażnik. Wyjął z niego

płócienny worek zabrany z pracowni Lavana. Zamknął samochód i szerokim chodnikiem udał się w stronę przystani dla pracowników obsługi. Przy brzegu Jeziora Fontann unosiło się kilka płaskodennych drewnianych łódek, każda z dwunastowoltowym silnikiem Electrola. Na ogrodowym krześle na końcu przystani drzemał strażnik. Obok niego stał termos i pudełko na jedzenie.

- Kto tam? - zawołał, nie zadając sobie nawet trudu, by ruszyć się z krzesła.

- Leo - odparł Bone, nie podnosząc głosu.

- Wcześniej dzisiaj - zauważył strażnik.

- Ano - odrzekł zamachowiec i na tym rozmowa się skończyła.

Strażnik znów usiadł wygodnie na krześle, a Bone wrzucił płócienną torbę do najbliższej łódki, odwiązał cumę, wyjął z kieszeni pęk kluczy Leo, znalazł ten z błyskawicą Electrola, przekreślił go w stacyjce i wypłynął na jezioro. Gdyby strażnik zainteresował się nim bliżej, byłby zmuszony znów skorzystać ze swojego rewolweru z tłumikiem i zabrać ciało ze sobą na jezioro, a potem się go pozbyć. Trzysta metrów przed nim błyszcząły światła części rozrywkowej: gigantyczna kolejka wysokogórska, Świat Dżungli Franka Bucka z wulkanem z gipsu i drutu, pokazy mody projektowanej przez Salvadora Dali i nagie kobiety zamrożone w wielkich blokach lodu. Nawet po drugiej stronie jeziora słychać było stukot kolejki i nieustającą muzykę dobiegającą ze wszystkich stron.

Kiedy zbliżył się do środka sztucznego jeziora, skręcił nieco, by ominąć wystające rury fontann i barki z ogniami sztucznymi czekające na wieczorny pokaz. Po lewej stronie, na zachodnim brzegu widział amfiteatr Pokazów Wodnych Billy'ego Rose'a. Na razie było tam ciemno, aż do przedstawienia o dwudziestej trzydziści. Po prawej rozciągała się jedynie ciemność. Gdzieś tam kończyła się

wystawa. Na skrawku zniszczonej ziemi niczyjej leżały stare dreny, materiały budowlane i stał wysoki płot oddzielający wystawę od prawdziwego świata i ulic Queens. Bone zbliżał się do przeciwległego brzegu jeziora. Poprawił ster, mierząc tępym dziobem łodzi w ciemny prostokąt będący wyjściem z jeziora do betonowego koryta Flushing. Przez kilka chwil pozwolił łódce dryfować, a sam otworzył płócienną torbę i wyjął bezkształtny płaszcz przeciwdeszczowy kupiony w dziale sportowym Macy's, kiedy już wybrał odpowiednią kryjówkę. Narzucił go na plecy, kapturem okrył głowę i znów chwycił za ster. Łódka przepłynęła cicho pod mostem prowadzącym z sali koncertowej do części rozrywkowej i Bone znalazł się w wąskim przesmyku wodnym. Z prawej dochodziły go krzyki, muzyka z kolejki wysokogórskiej i wieży spadochronowej. Mieszały się z gwarem i strzałami dochodzącymi ze strzelnicy po lewej. Na wodzie pojawił się cień i Bone ominął przycumowaną na stałe barkę z ogródkiem piwnym Heinekena. Stał tu elektrycznie napędzany wiatrak, a kelnerki w tradycyjnych holenderskich strojach stuknęły chodakami po pokładzie. Nikt nie zauważył łódki przepływającej po ciemnej wodzie. Po kolejnych trzydziestu metrach dotarł do drugiego mostu przerzuconego nad rzeką.

- Chyba mi odbiło, że się na to zgodziłem - powiedział Dan Hennessy, ruszając spod tylnego wyjścia hotelu Plaža. Prowadził nieoznakowanego policyjnego chevroleta. Jane Todd i Thomass Barry siedzieli obok niego na szerokiej przedniej kanapie.

- Odbiłoby ci, gdybyś tego nie zrobił - odparła Jane. - Dzięki mnie zostaniesz bohaterem, Danny.

- Nie chcę być bohaterem. Chcę dosłużyć do emerytury, a coś mi się wydaje, że mi ją odbiorą przez jedną szaloną dziewczuchę, która chodzi w spodniach. - Policjant rozejrzał się i ruszył Piątą Aleją. Kiedy dotarł do Pięćdziesiątej Piątej ulicy, skręcił w prawo i ruszył w stronę wjazdu na most Queensborough. - A co z tą irlandzką paniusią, którą zostawiliśmy w hotelu? Zamierza uciec? Wystawić nas do wiatru?

- Nie sądzę - odparł Barry. - Mogła to już zrobić wiele razy w ciągu ostatnich kilku dni.

Jane zapaliła lucky strike'a i podała paczkę policjantowi ze Scotland Yardu.

- To nasz as w rękawie, Dan. Ale dobrze, że zostawiłeś z nią swojego człowieka. Nasz brytyjski przyjaciel ma o niej wysokie mniemanie, ale on nie myśli głową, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Barry poprawił się na siedzeniu, ale Jane czuła, że aż kipi gniewem. Obawiała się, czy tym razem nie przesadziła.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - odezwał się cicho.

- Lepiej niech dobrze pilnuje tego oświadczenia, które wszyscy podpisaliście - rzucił Hennessy. - Jeśli wszystko się pochrzani, to jedyna rzecz, jaka nam została.

Dobłą godzinę zajęło mu zorganizowanie wszystkiego i dojazd do Claremont Inn. W tym czasie Jane na starym royalu znalezionym w administracji Claremont wystukała dziesięciostronicowe oświadczenie, które podpisała ona, Barry i Sheila Connelly. Jane włożyła je do koperty, zakleiła i na wszelki wypadek zapieczętowała woskiem ze świecy. Gdyby w ciągu następných trzydziestu sześciu godzin aresztowano ich czy zatrzymano w jakikolwiek inny sposób, Sheila z pomocą Pelaya i hotelowego detektywa Billa Hartery'ego

miała dostarczyć oświadczenie Noelowi Buschowi z „Newsweeka”.

Był to tylko szkic, bez wielu szczegółów, ale mogło zadziałać jak dynamit. Stwierdziła, że na wysokim szczeblu zawiązał się spisek mający na celu zabójstwo króla i królowej. Do spisku należeli przedstawiciele biznesu oraz władzy. Spisek nie tylko ignorowano, ale też starano się zatuszować z powodów politycznych.

- Kto wie, może już podarła to głupie oświadczenie i wraca statkiem, jak to się mówi, na stare śmiecie.

- Bardzo w to wątpię. - Barry powstrzymywał nerwy na wodzy. Wjechali na most i koła zaczęły głośno stukać. - Nigdy już nie wróci do domu. Nic jej tam nie zostało, może jedynie zarobić kulkę.

- Chyba że to wszystko od początku było ukartowane. Chryste, dadzą jej medal za to, że potrafiła tak was wodzić za nos.

- Mylisz się - odparł beznamiętnie Barry.

- Tak mówisz, bo się w niej zabujałeś.

- Co?

- On mówi, że cię zauroczyła i masz klapki na swoich błękitnych oczętach - wyjaśniła Jane. - A co, może to nie ma sensu? A jak inaczej wytłumaczysz fakt, że ktoś tak atrakcyjny jak ona interesuje się kimś takim jak ty?

Przejeżdżali nad Welfare Island. Szpital i jego centralna wieża odcinały się ciemniejszą plamą w zapadającym zmroku, niczym czarna dziura w nocy. Od czasu wybuchu Jane wmawiała sobie, że nie ma kiedy odwiedzić Annie, ale wiedziała, że to kłamstwo, że bardziej zajmowały ją własne obawy niż siostra. Zdawała sobie sprawę, że jest w rozsypce, bo zastanawiała się też nad tym, co mówił adwokat Wolf. Do jakiego stopnia chodziło tu o wspomnienia po Howiem, a do jakiego o rozgłos, jaki by ją czekał, gdyby zdołała wszystkie toczące się wokół wydarzenia przekuć na artykuł?

Dojechali do końca mostu, sunęli przez Queens Plaża, w końcu skręcili w Northern Boulevard i wjechali w półwiejskie okolice. Reflektory wyławiły z ciemności zrujnowane zabudowania gospodarskie i sklecone byle jak szklarnie.

- Dałbym sobie głowę uciąć, że widziałem znak z napisami po chińsku - powiedział Barry, oglądając się za siebie. - Czy to możliwe? Hennessy wybuchnął śmiechem.

- To Nowy Jork, kolego. Tu wszystko jest możliwe.

- Wielu Chińczyków uprawia tu ziemię - wyjaśniła Jane. - Sadzą specjalne warzywa, które sprzedają do restauracji przy Pell Street.

- Nadal nie rozumiem, co nam da ta wycieczka - rzekł Hennessy. - Oczywiście poza tym, że wyrzucą mnie z pracy. - Pokręcił głową w znużeniu. - Wszyscy policjanci staną jutro wzdłuż trasy przejazdu. Żeby wejść do własnego mieszkania przy tej drodze, trzeba będzie mieć specjalną wejściówkę. Na każdym dachu będzie siedział snajper. A do tego w czasie przejazdu króla i królowej wszystko będą osłaniać ci ze służb federalnych. - Odwrócił się do Jane. - Sama mówiłaś, że Foxworth podsłuchem pokrzyżował plany temu facetowi.

- I w tym właśnie problem - rzekła Jane. - Warren i Foxworth sądzą, że go wystraszyli.

- A ty w to nie wierzysz, prawda?

- Nie. Ponoć jest najlepszy na świecie. Musi mieć jakiś plan awaryjny na wypadek, gdyby ten nie wypalił.

- A ty nie masz bladego pojęcia, co to za plan, zgadza się?

- Wiemy, że chciał się tam dostać w nocy. Wszyscy trzej ludzie, o których pytałeś, pracują na nocnej zmianie.

- Co jeszcze wiemy?

Jane skinęła głową na Barry'ego.

- Nasz kolega angol twierdzi, że zamachowiec musi być nie dalej

niż dwieście metrów od pawilonu brytyjskiego.

- Bo tam najprawdopodobniej uderzy?

- Tak - odrzekł Barry. - Z tego, co wiem, nie ma żadnych zaplanowanych przemówień czy prezentacji, w każdym razie żadnych pod gołym niebem. Jedyna okazja, żeby strzelić do nieruchomego celu, nadarzy się przed pawilonem brytyjskim.

- O ile zabójca się tam w ogóle pojawi.

- Tak - zgodził się Barry. - O ile zabójca się tam w ogóle pojawi.

- A pojawi się?

- Tak sędzę. Mógł założyć, że Foxworth i Warren przestaną być czujni. I tak się stało. Według nich wszystko jest w porządku: Russella zatrzymano i zdemaskowano drugiego zabójcę. Ale z punktu widzenia zabójcy to może wyglądać zupełnie inaczej. Zapewne chodzi o górę pieniędzy. Nie podda się, jeśli oceni, że ma szansę wykonać zadanie i odebrać zapłatę.

- I na pewno tak będzie - wtrąciła się rozgorączkowana Jane. - Zwłaszcza jeśli zważyć, ile już przygotowań poczynił. - Zerknęła na Barry'ego. - Twoi ludzie zostawili cię na lodzie i gdyby z Russellem poszło coś nie tak, zostałbyś kozłem ofiarnym. Teraz Foxworth i Warren za wszelką cenę bronią się przed myślą, że jest drugi zabójca. Przeraziły ich informacje o Flynnie i Kennedym. Jeśli coś z tego wycieknie, rozpęta się prawdziwe piekło.

- I właśnie dlatego ci ludzie próbowali cię rozerwać na strzępy - rzekł Hennessy z goryczą w głosie. Pokręcił głową i mocniej chwycił kierownicę. - Pamiętasz, co ci mówiłem?

- To może usiądź sobie w kącie i possij paluszek, a ja poprowadzę samochód, dobrze, Dan?

- Nie ma sprawy, Jane - uśmiechnął się Hennessy - ale czy któreś z was ma jakiś pomysł, co zrobimy, jak już dojedziemy na tę

wystawę?

- To, czego nie chcą zrobić Foxworth i jego kumple - odparła bez wahania Jane. - Znajdziemy tego sukinsyna i zabijemy.

O dwudziestej trzydzięci Bone dopłynął na tyły Pałacu Stanów, tuż za kładką przechodzącą w Bulwar Wystawy Światowej, czteropasmową aleję, która rozdzielała poważną i rozrywkową część wystawy wokół Jeziora Fontann. Pałac Stanów reprezentujący dwadzieścia trzy stany i Portoryko był kompleksem wielu pawilonów tworzących długą podkowę wokół płytkiego kwadratowego basenu. Wszystko to przykrywało rzekę Flushing od kładki aż do pawilonów czeskiego i japońskiego, jakieś sto metrów dalej na północny zachód. Na pozór wydawało się, że sztuczna rzeka po prostu ginie pod pawilonem stanu Wirginia utrzymanym w stylu Jeffersona, ale w rzeczywistości nurt został puszczony szerokim betonowym kanałem z kratką do wyłapywania śmieci, na tyle szerokim, by przecisnęła się przezeń łódka. Do obowiązków Leo Hamnera należało między innymi przepłynięcie całej długości rzeczki, od jeziora do kratki przy pawilonie Wirginii, oczyszczenie jej ze śmieci, jakie nazbierały się w ciągu dnia, później odwiezienie ich w dół rzeki, na nabrzeże w zatoce Flushing, gdzie trafiały na barkę, a potem na wysypisko w New Jersey.

Bone wyłączył silnik, wstał i za pomocą długich drewnianych grabi leżących na dnie łódki zebrał śmieci z kratki. Było ich mnóstwo: papierki po jedzeniu, dziesiątki egzemplarzy wystawowej broszurki, gazety, kilka nasiąkniętych wodą kapeluszy, zarówno męskich, jak i damskich, pieluchy, zabawki i inne drobne fanty z

wesołego miasteczka, co najmniej dziesięć rozwiniętych nadętych prezerwatyw, pudełko, w którym znalazł jeden czerwony dziecięcy bucik, doskonale wyrzeźbiona łódka z brzozonej kory, długa na ponad dwadzieścia centymetrów i z korkową sylwetką Indianina siedzącego pośrodku. Na burcie łódki wypalono napis „Opemigon”.

Wrzuciwszy śmiecie na dno łódki, wpłynął do kanału, odpychając się rękami od jego betonowych ścian. Po kilku sekundach sunął w kompletnych ciemnościach, mocno się pocił pod ciężkim płaszczem. W połowie drogi trafił ręką na pustą przestrzeń - to odgałęzienie, które prowadziło do basenu pośrodku Pałacu Stanów. Zarówno rozgałęzienie, jak i wszystkie inne zawłości tego systemu wodnego widać było na planach, które z dumą pokazał mu urzędnik w administracji wystawy, kiedy Bone przyszedł tu po raz drugi.

Dotarł do końca kanału i zatrzymał się. Obiema rękami napierał, by łódka nie została wyniesiona przez prąd na otwartą wodę. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Była dwudziesta czterdzieści jeden. Od tej chwili czas liczył się przede wszystkim. Wylot z kanału znajdował się dokładnie pod południowym krańcem pawilonu Pensylwanii. Była to wierna kopia Independence hol w skali trzy czwarte - łącznie z kopią odpowiednio pękniętego Dzwonu Wolności, wieżyczką zupełnie jak w oryginale i nagraniem dzwonu puszczanym co godzinę od otwarcia pawilonu rankiem do zamknięcia wieczorem. Dwieście metrów dalej znajdowało się główne ujście do Laguny Narodów. Wzdłuż lewego brzegu, na tyłach pawilonów Missouri, Waszyngtonu i belgijskiego ciągnęło się porośnięte krzakami zbocze. Po prawej zaś górowała bezkształtna marmurowa sylweta pawilonu radzieckiego i stojąca pośrodku radzieckiej ekspozycji podświetlona statua Wielkiego Joe. Stał na szczycie kolumny, wyniesiony ponad wszystko, a w prawej ręce wysoko

trzymał czerwoną gwiazdę komunizmu.

Podczas ostatnich dwóch wizyt Bone kilkakrotnie zmierzył krokami odległość wzdłuż rzeki i prędkość nurtu. Choć prędkość wahała się w zależności od pory dnia i siły wiatru, wiedział, że na odcinku między miejscem, gdzie teraz się znajdował, a ujściem do laguny rzeka płynęła ze średnią prędkością ponad jedenastu kilometrów na godzinę, czyli ponad sto osiemdziesiąt metrów na minutę. Łódka bez silnika przepłynie stąd do laguny w około dwadzieścia sekund.

O dwudziestej czterdzieści pięć zaczął dostrzegać coraz większy ruch na dróźnie, na szczycie zbocza porośniętego krzakami i na chodniku przed pawilonem radzieckim. Wszyscy zmierzali w stronę laguny. Zbliżała się właściwa pora.

- To naprawdę zadziwiające - mówił detektyw inspektor Barry, kiedy szli przez Constitution Mail biegnącą wzdłuż szpaleru drzew. - Nigdy nie widziałem niczego podobnego. - Uśmiechnął się. - To takie... amerykańskie.

- Nie przyszliśmy tu na wycieczkę, kolego - mruknął Hennessy.

- Przestań marudzić - upomniała go Jane. - Sam mnie w to wszystko wciągnąłeś. Zobacz, do czego to doprowadziło.

- Nie, to ty do tego doprowadziłaś i ani się obejrzymy, jak będziemy po uszy w bagnie. - Hennessy obejrzał się przez ramię. - Zauważyliście, że nikt się nami nie zainteresował. Wystarczyło, że pokazałem odznakę. A te wszystkie czarne chevrolety wokół pawilonu Nowego Jorku, już za bramą? Tu się roi od gliniarzy. Jak tylko zamkną bramy, zacznie się instalowanie snajperów na dachach i

zatykanie wszelkich mysich dziur. Kiedy wzejdzie słońce, wszystko będzie tak obstawione, że nawet mysz się nie prześliznie.

- Zamachowiec doskonale o tym wie - odparła Jane. - Domyślił się i znalazł sposób, żeby to obejść.

- I żeby się stąd ulotnić? - Hennessy pokręcił głową. - Daj spokój, Jane. Nawet jeśli ten twój zamachowiec istnieje, czeka już na jakiś nocny rejs na nabrzeżu przy West Street. Poszedł sobie. Nie powinienem był się dać w to wciągnąć. Cała ta zabawa to pogoń za cieniem.

- Jane ma rację - odezwał się Barry. - On tu jest.

- Aha, ostatnio wszyscy twierdzili, że Sean Russell to zamachowiec i wysadzi wszystkich w Detroit. A teraz pojawił się jakiś inny kandydat, który ma tutaj wykonać brudną robotę.

- Russell to był tylko fałszywy trop, którym mieliśmy się zająć, żeby prawdziwy zamachowiec mógł się przygotowywać do zadania.

- Posłuchaj - zwróciła się Jane do Hennessy'ego. - Przecież ten głos nagrany podczas podsłuchu telefonicznego to nie czyjeś urojenia. Ten facet naprawdę istnieje.

- No dobrze - zgodził się Hennessy. - Dlatego jesteśmy tutaj. Jak go złapiemy?

- Postarajmy się myśleć tak jak on - podpowiedział Barry. Usiadł na ławce przed pawilonem Heinza, białą lekko spiczastą kopułą, która wyglądała trochę jak kapelusz jednego z braci Mara, Harpo. Nad wejściem widniały oświetlone wielkie cyfry 57.

Jane zerknęła przez szklane drzwi. Wewnątrz pawilonu stała wysoka jasnoniebieska kolumna pokryta powyginanymi figurkami i złotą winoroślą. Połowę kolumny przecinała gigantyczna szklana misa, przez jej brzegi przelewała się woda. Na samym szczycie kolumny kobieca postać ze złota przykucnęła niczym małpa. W

jedną rękę trzymała kryształową kulę, drugą dyskretnie zakrywała sobie łono. Jane nie bardzo rozumiała, co to miało wspólnego z korniszonami i keczupem. Usiadła obok Barry'ego i zapaliła papierosa. Hennessy chodził tam i z powrotem z rękoma w kieszeniach. Wszyscy obecni na wystawie kierowali się w stronę centrum, do Laguny Narodów.

- Myśl jak zawodowy zabójca - odezwał się nowojorski detektyw, również zapalając papierosa. - Nie powinno to być trudne dla kogoś z wydziału zabójstw.

- Król i królowa będą otoczeni przez policjantów - zauważyła Jane. - Wydział specjalny, policja stanowa, miejska.

- A do tego dziesięciu ludzi z naszej sekcji specjalnej - dodał Barry.

- Nie zapominajmy o snajperach na dachach - wtrącił Hennessy.

- A tłum? - zapytała Jane. - Przecież na czas wizyty wystawa nie będzie zamknięta, prawda?

Hennessy pokręcił głową.

- Nie. Odgradzą po prostu na kilka godzin te części, gdzie będą przebywać król i królowa. Wystarczy co pięć metrów ustawić policjanta.

- To będzie sprzyjać zabójcy - stwierdził Barry. Hennessy popatrzył na niego sceptycznie.

- Myślisz, że będzie strzelał z tłumy?

- Nie, ale kiedy strzeli, ludzie wpadną w panikę. Kordon nie powstrzyma tłumy. A to mu da ochronę.

- Ile czasu minie od strzałów do zamknięcia wszystkich bram?

- Nie więcej niż minutę albo dwie - odparł Hennessy. - Będzie tak samo jak wtedy, kiedy w kwietniu prezydent otwierał wystawę. Radiowozy przy wszystkich wyjściach, wszędzie obserwatorzy z

telefonami polowymi. - Skrzywił się. - Tak jak mówiłem, mysz się nie prześliznie. - Przerwał. - Russell może i był fałszywym tropem, ale też nie na żarty wszystkich przeraził. Słyszałem nawet, że w zatoce szukano min, bo może ktoś chciałby wysadzić statek, którym będą płynąć z New Jersey. - Prychnął. - Tak jakby ktoś mógł po cichu zaminować Zatokę Nowojorską.

- Nie bądź taki pewny siebie - roześmiała się Jane. - W czasie wojny jakoś nikt nie zauważył, że szkopy podłożyły cały wagon dynamitu na Black Tom Island od strony Jersey. Miałam wtedy szesnaście lat. Wybuch był ponad piętnaście kilometrów dalej, ale zerwałam się ze snu momentalnie. Powypadały nawet szyby na Park Avenue.

- Ten facet nie będzie miał wagonu dynamitu.

- Zakładamy, że będzie strzelał z karabinu - odezwał się Barry. - A może użyje innej broni?

- Na przykład jakiej? - zapytał Hennessy. - Na pewno nie pistoletu, jeśli chce się ulotnić. Ładunek wybuchowy też raczej należy wykluczyć.

- Dlaczego? - dociekała Jane. Skinęła głową w stronę Barry'ego. - Tom przecież widział fabryczkę bomb Russella.

Detektyw ze Scotland Yardu pokręcił głową.

- Zgadzam się z detektywem Hennessym - odezwał się. - Za duże ryzyko. Według gazet, król i królowa rzadko przyjeżdżają punktualnie. Minuta czy dwie spóźnienia i bomba wybuchnie, nie czyniąc nikomu szkody.

- Nie mówiąc już o tym, że mamy cały oddział specjalistów od takich spraw - wpadł mu w słowo Hennessy.

Jane wyciągnęła przewodnik, który kupiła przy głównym wejściu. Otworzyła go na stronie z planem i uważnie mu się przyglądała.

Podniosła głowę, porównując plan z otoczeniem. Wskazała palcem na drugą stronę Constitution Mail i Alei Tęczowej.

- Pawilon francuski, pawilon brazylijski. Oba dość duże i dość blisko. Zelektryfikowane Gospodarstwo odpada, bo tam nawet silos nie jest tak wysoki jak mur pawilonu brazylijskiego. - Odwróciła się lekko i wskazała na prawą stronę deptaka. - Można strzelić z dachu budynku Heinza, ale ludzie widzieliby zamachowca na kilometr.

- Nie ma nic innego? - zapytał Hennessy.

- Jest też budynek przy Ogrodach Paradnych, ale stoi strasznie blisko i na pewno będzie obstawiony. W takim razie pozostaje jeszcze któryś z budynków w Mieście Przyszłości.

- A co to takiego? - zainteresował się Barry.

- To, co słyszysz - odparła Jane. Spojrzała do przewodnika. - Piętnaście makiet domów w rozmaitych stylach i z rozmaitych materiałów. Mają tu dom z cegły, z cedru, ze sklejk, ze szkła, z celoteksu, cokolwiek by to było, a nawet dom na kółkach. - Wzruszyła ramionami. - Niektóre są piętrowe. Może znalazł jakiś stryżek, na którym się schował? Robiłam o tym fotoreportaż do „Life”. W tych domach można z miejsca zamieszkać.

- Jaka to odległość? - zapytał Barry.

- Pewnie trzeba zmierzyć krokami, ale na oko niektóre są bliżej niż dwieście metrów.

- To musi być to miejsce - rzekł Hennessy. - Ukryje się na noc w jednym z domów, zaszyje tak, żeby nikt go nie znalazł, potem strzeli, wmiesza się w tłum i zniknie.

- Chodźmy to zobaczyć - powiedziała Jane i wstała z ławki.

- Albo powiedzmy Foxworthowi - zaproponował Hennessy. - Powinniśmy to zrobić.

- Nie sądzę, żeby wicedyrektor Foxworth był rzeczywiście

zainteresowany naszymi teoriami dotyczącymi drugiego zabójcy. - Barry również wstał z ławki. - Dyrektor Hoover zrobił wszystko co w jego mocy, żeby ograniczyć udział FBI w tych poszukiwaniach, i zdaje się, że Foxworth dostrzega mądrość postępowania swojego szefa.

- Hennessy jęknął.

- Na litość boską Jane! To znaczy, że mamy przygwoździć tego drania sami?

- Chodźmy zajrzeć do tych domów - odparła Jane. - A potem się zastanowimy.

Ruszyli deptakiem, podążając za tłumem ludzi w stronę Laguny Narodów. Dotarli do ogromnego zbiornika wodnego tuż przed dwudziestą pierwszą kiedy miał się rozpocząć pokaz. Bez ostrzeżenia zniknęły dwie główne fontanny pośrodku laguny i zgasły światła.

- Co się dzieje? - zapytał Barry.

- Popatrz - odpowiedział z uśmiechem Hennessy. - Naprawdę warto.

Po krótkiej chwili ciszy z wieży pawilonu Pensylwanii rozległo się nagrane bicie dzwonu, a wody laguny zaczęły jaśnieć w ciemności. Z powierzchni nieruchomej wody uniosła się gęsta mgła, z dysz wokół zbiornika strzeliła w górę niebieska para. Ludzie odsunęli się od barierek w obawie przed przemoczeniem. Fontanny pośrodku laguny znów zaczęły się wznosić coraz wyżej i wyżej, a para pośrodku zbiornika zamigotała różnymi kolorami. Zasłona kropelek zmieniała się z różowej w bursztynową, później w niebieską. Muzyka narastała, potężne uderzenia smyczków i ryczące triumfalnie zawodzenia rogów zdawały się dochodzić spod laguny. Fontanny rosły wraz z coraz głośniejszą muzyką. Nagle na ponad sto metrów w górę wystrzeliły dwa słupy ognia, wzbudzając okrzyk zachwytu

wśród zebranych. Dziesięć ukrytych reflektorów utworzyło ze snopów światła łukowaty dach, muzyka była coraz głośniejsza, płomienie buchnęły w niebo jeszcze raz. Potem rozpoczął się pokaz sztucznych ogni.

Kiedy rozległo się bicie dzwonu, Bone przestał wstrzymywać łódkę w kanale i ruszył z prądem. Ścieżki po obu stronach były puste. Wszyscy zebrali się wokół laguny. Dotarł do wejścia do laguny i wpłynął do kolejnego kanału. Znow pochylił się i przytrzymał łódkę, łapiąc rękoma za betonową ścianę. Czekał przez chwilę na moment, kiedy muzyka zacznie narastać i z brzegów podniesie się zasłona mgły. Odliczał sekundy, słuchał muzyki i czekał na głośny okrzyk zebranych, który będzie oznaczał pierwsze płomienie z ogromnych palników gazowych. Kiedy ogień z hukiem strzelił w niebo, puścił łódkę i jednocześnie przekręcił kluczyk w stacyjce silnika. Kilka sekund później przepłynął kanał i zmierzał na drugą stronę laguny. Wiedział, że pokaz w lagunie był możliwy dzięki ponad tysiącu dysz wodnych zdolnych wyrzucić w niebo w sumie do dwudziestu ton wody. Wykorzystano też czterysta palników gazowych, sześćdziesiąt reflektorów, trzysta pięćdziesiąt cichych wyrzutni do fajerwerków i oświetlenie o mocy trzech milionów watów. W sali koncertowej przygrywała na żywo orkiestra, a jej muzykę transmitowano za pośrednictwem potężnych teatralnych głośników umieszczonych tuż nad lustrem wody. Cały pokaz kontrolowało trzech techników z Budynku Stanów Zjednoczonych na końcu Pałacu Pokoju. Wszyscy trzej zasiadali przed ogromną konsolą przypominającą organy i za pomocą dziesiątków

przycisków i dźwigni sterowali działaniem dysz wodnych i gazowych oraz wyrzutniami fajerwerków. Spektakl trwał dokładnie sześć minut.

Od samego początku John Bone wiedział, że najtrudniejszym zadaniem będzie dostarczenie do kryjówki niezbędnego wyposażenia. Potrzebne mu urządzenie było wielkie, niewygodne. Uznał, że najbezpieczniejszą drogą dostarczenia sprzętu do kryjówki, a także drogą ucieczki będzie woda.

W dzień ścieżki wzdłuż wijącej się rzeki zapewniali spacerowicze, a trawiaste stoki po obu jej stronach były doskonałym miejscem na piknik. Jednak po zmierzchu ścieżki praktycznie pustoszały. Laguna - to co innego. Zbiornik o wymiarach sto dwadzieścia na dwieście czterdzieści metrów był centralnym punktem wystawy, gdzie wciąż zbierali się ludzie, przechylali się nad barierkami, siadali na ławkach, odpoczywali lub czekali na znajomych. Leo Hamner regularnie musiał przepływać przez lagunę, ale Bone'owi zależało, by pozostać niewidzialnym. Doszedł do wniosku, że - jak na ironię - najtrudniej będzie go zauważyć, kiedy laguna będzie w centrum zainteresowania. W ciągu sześciominutowego spektaklu para wodna z maleńkich dysz wokół zbiornika dokładnie zasłaniała powierzchnię laguny, a tryskające fontanny, reflektory, płomienie i wybuchające fajerwerki na jakiś czas kierowały wzrok zebranych ku górze.

Zaciągnął kaptur płaszcza przeciwdeszczowego ściśle wokół głowy, przykucnął na dnie łódki z płócienną torbą pod nogami i z ręką na sterze przemierzał lagunę. Starał się zachować taką samą odległość między ścianami pary po obu stronach. Pilnował też, by nikt nie zobaczył cienia łódki oświetlonej nagłym wybuchem płomienia czy kolorowym reflektorem. Wedle jego obliczeń przepłynięcie całej laguny na pełnym gazie musiało potrwać trzy minuty, ale musiał dodać minutę lub dwie, bo na ostatnim odcinku

trzeba było zmniejszyć szybkość. Choć po zachodniej stronie laguny, dokąd zmierzał, pokaz obserwowało znacznie mniej osób, jednak nie było tam zupełnie pusto i musiał trafić w ujście rzeki za pierwszym razem. Jeśli nie, zostanie zauważony i zapamiętany, a co gorsza ktoś mógł o tym donieść jednemu z pięćdziesięciu policjantów patrolujących okolicę.

Nadal odliczając sekundy, podniósł na chwilę głowę i z zaskoczeniem dostrzegł, że jest już blisko zachodniego ujścia rzeki. Gwałtownym ruchem zdjął gaz niemal całkowicie i wszedł w mglistą zasłonę niemal dokładnie w miejscu, do którego zmierzał. Zniknął w ciemności pod mostem. Niecałe półtorej minuty później dudniąca muzyka osiągnęła apogeum, podobnie jak baldachim sztucznych ogni nad głowami zebranych. Potem w jednej chwili wszystko się skończyło. Ostatnie iskierki fajerwerków dogasły, muzyka wybrzmiała, a hucząca woda z fontann i dysz opadła - jej dwadzieścia ton runęło do laguny niczym fala rozbijająca się o skałę. Cisza i ciemność okazały się najbardziej emocjonującym momentem pokazu i tłum wokół laguny trwał w niemym zdziwieniu. Dopiero po kilku sekundach nagroził pokaz rzęsiстыми brawami.

Kiedy ludzie zaczęli klaskać, Jane Todd poczuła czyjaś rękę na ramieniu. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Samem Foxworthem. Za jego plecami stało czterech gładko ogolonych mężczyzn o poważnych twarzach. Mieli na sobie drogie kapelusze i drogie ciemne garnitury. Za nimi stało dwóch innych panów o szerokich barkach. Ci mieli twarze bardziej pospolite i tańsze garnitury. Podeszli do przodu.

- Michael. - Hennessy uśmiechał się niewyraźnie. - Przyszedłeś mnie aresztować, prawda?

- Znasz tego faceta? - zapytała Jane.

- Michael Murphy - wyjaśnił Hennessy. - Szef wydziału wewnętrznego. Kiedyś byliśmy kumplami.

- Jesteś zawieszony do czasu wyjaśnienia sprawy - odezwał się Murphy.

- Jakiej sprawy?

- A kto to może wiedzieć? - wzruszył ramionami Murphy. - Kazano mi cię tylko przyprowadzić. - Kciukiem wskazał swojego bysiowatego kolegę. - Gdybyś się rzucał, wziąłem do pomocy Billy'ego.

- Nie będę się rzucał - powiedział Hennessy. - Jestem tylko trochę rozczarowany.

- Robię, co mi kazano - wyjaśnił Murphy. - Idziesz?

- Oczywiście - odparł Hennessy. Odwrócił się do Barry'ego. - Pozdrów ode mnie swoją panią - powiedział i odszedł z dwoma nowojorskimi detektywami, nie oglądając się za siebie.

- A propos, gdzie jest pańska przyjaciółka? - zapytał Foxworth Barry'ego.

- Kto?

- Panna Connelly.

- Nie mam pojęcia.

- Panno Todd? Pani też nie wie, gdzie ona jest?

Skinęła głową w stronę Barry'ego.

- Nie mam pojęcia, tak samo jak on.

Foxworth odwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

- Czy znajduje się tu gdzieś jakiś areszt?

- W budynku administracji jest zamknięta komórka.

- Zaprowadźcie ich tam - polecił Foxworth.

- O co nas oskarżacie? - zapytała Jane.

- Nie jesteście aresztowani - wyjaśnił Foxworth. - Zabieram was, żeby was chronić. Jeśli wymyślę potem, o co was oskarżyć, dam wam znać.

Rozdział 25

10 czerwca 1939 roku, sobota

Red Bank, New Jersey

Sir Alan Lascelles, rycerz Zakonu Wiktorii, osobisty wicesekretarz Jego Królewskiej Mości i angielski szlachcic przeszedł przez drewniany podkład torów kolejowych. Pałac papierosa, rozkoszował się ciszą i poranną mgiełką. Zastanawiał się nad pokrętnymi kolejami losu, które rzucają człowieka z pałacu Buckingham i jego korytarzy władzy na kolejową bocznice nadmorskiego kurortu, takiego jak Red Bank w stanie New Jersey. Miał wrażenie, że tego epizodu raczej nie umieszczą w jego nekrologu w „Timesie”.

Z mgły tuż przed nim wyłonił się wysoki mężczyzna w butach do jazdy konnej i kawaleryjskim kapeluszu z płaskim rondem. Uzbrojony był w odbezpieczony karabin, z biodra zwisała mu kabura z rewolwerem, wyraźnie odcinająca się na tle granatowych spodni motocyklisty. Był to jeden z policjantów stanowych z New Jersey, którzy otoczyli pociąg, gdy przed świtem wtoczył się na bocznice. Lascelles zapewne naruszył wszelkie strefy bezpieczeństwa wyznaczone przez lokalne władze. Zastanawiał się, co zrobiłby funkcjonariusz, gdyby postanowił go minąć. Jednak rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał go czubkiem buta i wrócił do pociągu. Ostatni oficjalny dzień wizyty zapowiadał się nadzwyczaj męcząco. Mglisty czy nie, na pewno będzie to kolejny upiornie upalny dzień. Mimo to Lascelles czuł ulgę. Królowej udało się podczas wizyty w

Waszyngtonie nie obrazić nikogo, a król zdołał odbyć kilka prywatnych rozmów z prezydentem Rooseveltem i wieloma osobistościami, takimi jak J.R Morgan z Morgan Bank, kilku Vanderbiltów czy John D. Rockefeller junior, szef Chase National Bank and Equitable Trust. Poprzedniego wieczoru podczas kolacji w ambasadzie doszło do innego ważnego spotkania, w którym wzięli udział król i Roosevelt, na szczęście bez królowej. Jego Wysokość poprosił ambasadora Lindsaya i prezydenta o opinię na temat wyjazdu królewskiej rodziny na wygnanie na czas wojny, na przykład do Kanady. Lascelles miał na ten temat własne zdanie, ale Lindsay postawił sprawę jasno, podobnie jak Roosevelt. Choć Jego Wysokość uważał się za niezdolnego i nieprzygotowanego do prowadzenia wojny, pomyślał, by opuścić własny naród w najczarniejszej godzinie, niemal na pewno zostanie poczytany za tchórzostwo. Aby można było nawiązać jakiegokolwiek trwałe sojusze, król musiał pozostać w Anglii, dopóki nie okaże się, że ucieczka jest absolutnie konieczna.

Ambasador Lindsay cicho przypomniał, że ostatnim angielskim królem, który miał do czynienia z inwazją, był Harold II, który zginął w bitwie pod Hastings w 1066 roku, wspierany przez kilku wiernych mu ludzi. Roosevelt zapewnił, że gdyby doszło do jakichś okropności, zapewni schronienie królowej i dwóm księżniczkom, Elżbiecie i Małgorzacie. Król grzecznie odmówił, wiedział bowiem, że jeśli on nie będzie mógł uciekać, na pewno nie zrobią tego królowa ani księżniczki.

Temat porzucono i uczestnicy spotkania wrócili do gości na ostatni koktajl. Tuż przed północą Rooseveltomie i Linsayowie odprowadzili parę królewską do pociągu, który kilka minut później ruszył z dworca na północ, w stronę Nowego Jorku. O wpół do piątej rano dotarli na bocznice przy Red Bank, gdzie się zatrzymali. Czekali

na świt, kiedy to mieli dojechać samochodem do okrętu wojennego zacumowanego w Fort Hancock na półwyspie Sandy Hook, mniej więcej dwadzieścia kilometrów od Red Bank.

Z mgły wyłonił się podest widokowy na samym końcu pociągu. Lascelles ominął go i dotarł do własnego wagonu. Przy metalowych schodkach stał kolejny policjant, tym razem bez karabinu, ale z równie zaciętym wyrazem twarzy, przypominającej robota. Lascelles zaczął się zastanawiać, czy tych ludzi nie dobiera się przypadkiem pod kątem kształtu szczęki i grubości karku. Policjant zaszutował, a Lascelles wszedł do wagonu, marząc o tym, by wypić kawę i wypalić papierosa lub dwa, nim król się obudzi i zacznie się dzień.

Za pięć dziesiątą królewski pociąg ruszył powoli przez most nad rzeką Navesink i zajechał na radośnie udekorowany dworzec w małym miasteczku Red Bank. Cała miejscowość wyległa, by powitać pasażerów. Kiedy król i królowa wyszli na podest widokowy swojego wagonu, rozległy się gromkie wiwaty. Królowa, jak można było się spodziewać, miała na sobie niebieski kostium i odpowiednio dobraną parasolkę chroniącą przed słońcem. Król wybrał zamiast munduru ciemnoszary poranny garnitur i szary kapelusz - uroczystości tego dnia miały mieć bowiem mniej oficjalny charakter

.Orkiestra ochotniczej straży pożarnej z Red Bank zagrała *Boże chroń króla*. Królewska para wyszła z pociągu. Przedstawiono im gubernatora New Jersey i jego żonę, potem burmistrza Red Bank z małżonką. Przez kilka minut pozowano fotografom, potem król i królowa zostali odprowadzeni do wielkiego packarda, który zawiózł ich do Fort Hancock na półwyspie Sandy Hook.

Kiedy samochód pilotujący ruszał z miejsca, król zauważył, że na skraju pozdrawiającej ich grupy stoi tęga, dobrze ubrana staruszka i zawzięcie kłóci się z burmistrzem Red Bank. Poinformowano go, że

to pani Charlesowa English, żona burmistrza sąsiedniego miasteczka Asbury Park. Kupiła potężny bukiet kwiatów, który miała wręczyć królowej, ale przez jakieś nieporozumienie bukiet został wysłany na posterunek policji w Red Bank.

Jadąc wzdłuż rozszerzającej się rzeki, orszak samochodów mijał wiwatujące po obu stronach tłumy. Wstępu na drogę bronili im policjanci stanowi, wszyscy uzbrojeni w karabiny i z postawionymi bagnietami. Nawet mnogość policjantów nie była w stanie przesłonić piękna okolicy, która przypominała angielski krajobraz - zielone pola poprzątkane ciemniejszymi skrawkami lasów. Nad drogą od czasu do czasu zwieszały konary wiekowe wiązy o powyginanych pniach i gałęziach.

Tłumy gromadziły się na uliczkach każdego miasta i wsi. Gapie krzyczeli i machali własnoręcznie wykonanymi brytyjskimi flagami. Niektórzy próbowali śpiewać *Boże chroń króla*, ale w końcu wychodziła im z tego pieśń *O kraju mój*. Król i królowa byli niezmiernie zdziwieni, bo nie wiedzieli, że istnieje pieśń napisana do melodii brytyjskiego hymnu narodowego. Małe dziewczynki rzucały kwiaty na drogę przed nadjeżdżające samochody, a wszyscy machali na cześć gości, nawet pacjenci niewielkiego wiejskiego przytułku, większość z nich na wózkach albo na noszach wyniesionych na trawę.

W wiosce Rumson skręcili w stronę morza i krajobraz znów się zmienił. Wąska, wijąca się wśród pól i drzew droga ustąpiła miejsca szerokiemu bulwarowi, po którego prawej stronie widać było szeroką piaszczystą plażę schodzącą do samego morza. Plaża roiła się od porannych amatorów kąpeli, którzy podbiegali do drogi, by zobaczyć parę królewską. Młodzi mężczyźni i kobiety w kostiumach kąpielowych, opaleni słońcem, ociekający jeszcze wodą, kontrastowali z oficjalnymi sukienkami, garniturami i kapeluszami

królewskiej świty. W oddali, widoczny ponad mgłą, rysował się pejzaż Nowego Jorku - las smukłych wieżowców wyglądał jak miasto duchów. Orszak przejechał przez miasteczko Sea Bright i sunął na północ przez półwysep Sandy Hook aż do Fort Hancock. Mieściły się tu kiedyś umocnienia wokół Nowego Jorku, teraz urządzono bazę straży wybrzeża. Przy nabrzeżu cumował niszczyciel „Warrington”. Cała załoga stała na pokładzie w białych mundurach i salutowała, gdy król i królowa wchodzili na okręt. Czekający na wodach zatoki eskortujący kuter oddał salwę armatnią na cześć monarchów i w tej samej chwili na maszt „Warringtona” wciągnięto królewską flagę. W historii Stanów Zjednoczonych był to pierwszy przypadek, by na maszcie któregośkolwiek z okrętów amerykańskiej marynarki zatknięto flagę króla.

Kiedy „Warrington” ruszył w morze, na całym wybrzeżu Zatoki Nowojorskiej rozległ się ogłuszający hałas. Wszystkie statki, promy, holowniki i parowce zaczęły dąć w gwizdki i syreny. Przed „Warringtonem” dwa wykrywacze min oczyszczały drogę, za jego burtą i po bokach płynęła eskorta trzydziestu rozmaitych statków rozproszonych po wodzie. Nad głowami w rzednącej mgiele leniwie krążyło dziesięć samolotów wojskowych.

Lascelles został wezwany do króla i królowej, stojących na mostku i patrzących na zbliżający się Manhattan. W oddali kurs niszczyciela przecinał zatłoczony statek wycieczkowy. Hałas wiwatujących tłumów na górnym pokładzie słyhać było kilometr dalej. Wypuszczono w niebo setki balonów, a na każdym wymalowana była brytyjska flaga.

- Niesamowite po-powitanie, nieprawdaż, Alan?

- O tak, wasza wysokość - odrzekł Lascelles. - Niezwykle emocjonalne.

- Raczej męczące - skwitowała królowa. - I ten nieznośny upał!

- Chyba mamy pe-pecha, Buffy.

- Myślę, że powinniśmy zostać uprzedzeni - odparła królowa i spojrzała z wyrzutem na Lascellesa, jakby to on był władny lepiej zarządzać pogodą. - Nie wiem, dlaczego musimy iść na te straszne targi, czy jak to tam zwą. Powinniśmy byli pojechać z prezydentem i jego żoną na wieś na weekend albo wreszcie ruszyć do domu. - Westchnęła boleśnie i ubraną w rękawiczkę ręką przytrzymała jasnoniebieski kapelusz, którego omal nie zdmuchnął silniejszy podmuch wiatru.

- To Wystawa Światowa, Wasza Królewska Mość. Ambasador Lindsay już kilka miesięcy temu zasugerował, że powinniśmy się na nią udać.

- Byłam już na tyłu odpustach, że nie muszę oglądać kolejnego, zwłaszcza amerykańskiego - narzekła królowa.

- Jeśli mogę zauważyć, to coś więcej niż odpust, Wasza Królewska Mość. Ambasador sugerował, że w obecnej sytuacji taka wizyta na międzynarodowej wystawie pomoże zacieśnić stosunki Anglii z wieloma krajami.

- No tak, ten nudziarz Lindsay i jego sugestie.

- Mnie to nie prze-przeszkadza, kochanie - odezwał się król. - I zawsze chciałem zwiedzić Nowy Jork. David mawiał, że to cudowne miasto.

Na wspomnienie szwagra królowa odwróciła się z chłodnym wyrazem twarzy. Każda wzmianka o księciu i księżnej Windsoru działała na nią jak płachta na byka. Król zacisnął szczęki, uświadomiwszy sobie błąd.

- Przepraszam, Buffy.

- Nic się nie stało - odparła i odwróciła się do niego, patrząc też

nad jego ramieniem na królewskiego sekretarza. Uśmiechnęła się męczeńsko do Lascellesa. - W moim stanie mogłabym po prostu nagle zemdleć i narobiłabym zamieszania.

Lascelles odwrócił się i zarumienił na twarzy. Dobry Boże, pomyślał. Albo to trudne dni, albo spodziewa się dziecka. Tak czy inaczej sprawa wyglądała groźnie, był bowiem bardziej niż pewien, że ciąża królowej nie mogła być efektem stosunków małżeńskich. Zamknął na chwilę oczy i chwycił się mocniej poręczy. Dałby teraz wszystko za papierosa. Ta kobieta doprowadzi go kiedyś do zawału.

O jedenastej piętnaście, z półgodzinnym opóźnieniem USS „Warrington” zgrabnie przybił do nabrzeża i rzucił kotwicę. Kiedy łańcuchy ruszyły przez kluzy, dziesięć orkiestr odegrało *Boże chroń króla*, każda w innym tempie i wersji zależnej od nut, jakie muzycy mieli przed oczyma, ale i tak nie miało to znaczenia, bo nikt ich nie słyszał w ogłuszającym hałasie czynionym przez nowojorczyków, witających królewskich gości. Wyły samochodowe klaksony, w Fort Jay na Governor’s Island rozległ się salut armatni, jęczały syreny fabryczne, każdy hałasował tym, czym mógł. Do tego dołączał się jeszcze głośniejszy krzyk tłumów zgromadzonych przy parku Battery i dalej.

Kiedy król i królowa zeszli po trapie i stanęli na stumetrowym czerwonym dywanie, Herbert Lehman, gubernator Nowego Jorku, podszedł z wyciągniętą ręką, za nim niski pulchny burmistrz Nowego Jorku Fiorello LaGuardia otoczony orszakiem miejscowych dostojników. Ceremonia powitalna potrwała dokładnie dwie minuty. Król, królowa, gubernator i burmistrz powoli podeszli do kabrioletu, który miał ich zawieźć na teren wystawy na Flushing Meadows. Za głównym autem czekało czternaście limuzyn dla Lascellesa i innych członków królewskiej świty. Gości przydzielał do odpowiednich aut

sam szef nowojorskiej policji Lewis J. Valentine w galowym mundurze. Na jego sygnał kawalkada samochodów ruszyła i skręciła ostro na północ, w West Street, po czym estakadą przejechała wzdłuż nabrzeży przy rzece Hudson, zamiast pojechać nieco mniej reprezentacyjną trasą wzdłuż Rzeki Wschodniej.

Członkowie sekcji specjalnej, Wydział specjalny i nowojorskiej policji doszli zgodnie do wniosku, że po zatrzymaniu Seana Russella w Detroit największe zagrożenie dla króla i królowej będzie stanowić piętnastokilometrowa podróż z parku Battery na teren Wystawy Światowej w Queens. Burmistrz La Guardia szacował, że wzdłuż trasy stanie około dwóch milionów osób, a komisarz Valentine mówił o trzech milionach. W końcu okazało się, że na trasę przejazdu królewskiej pary wyległo aż cztery miliony nowojorczyków. Trzydzieści tysięcy policjantów, czyli ponad połowa wszystkich, stało przy drewnianych barykadach, blokując wstęp na trasę przejazdu. Ze względów bezpieczeństwa kolumna samochodów i towarzyszący jej oddział motocyklistów poruszali się z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Szybka podróż po West Side Highway trwała niespełna pięć minut. La Guardia, siedząc na małym niewygodnym fotelu naprzeciwko królowej, poinformował wszystkich, że w samym tylko Central Parku zebrało się milion osób, w tym wiele dzieci. Słyszając to, królowa odbyła krótką rozmowę z mężem, który z kolei przekazał tę wiadomość kierowcy. Osobisty szofer La Guardii zwolnił natychmiast do czterdziestu na godzinę. Przy tej szybkości można było cokolwiek zobaczyć.

Dojechali do Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, spokojnie przejechali wzdłuż tłumów w Central Parku, po czym skręcili na wschód w Sto Dwudziestą Drugą i wjechali na most Tiborough.

Dwadzieścia minut później, z prawie godzinnym opóźnieniem królewski orszak samochodowy dotarł do wejścia North Corona i wjechał na teren Nowojorskiej Wystawy Światowej.

Rozdział 26

10 czerwca 1939 roku, sobota

Nowojorska Wystawa Światowa

Nawet przez ściany komórki bez okien w budynku administracyjnym Jane Todd słyszała gromkie wiwaty tłumów przy bramie głównej i dwadzieścia jeden strzałów oddanych na cześć królewskiej pary przez oddział nowojorskich policjantów.

- Już tu są - powiedziała.

Detektyw ze Scotland Yardu pokiwał machinalnie głową. Siedział na pryczy pod przeciwległą ścianą palił papierosa i wpatrywał się w sufit. W komórcie była jeszcze jedna pryczna i nieosłonięta ubikacja. Ciężkie metalowe drzwi pomalowano na ciemnożółto, podobnie jak betonową podłogę.

- Która godzina? - zapytał Barry.

Jane zerknęła na swoją małą bulowę i zmrużyła oczy w kiepskim świetle.

- Za kwadrans pierwsza.

- Spóźnili się.

- Jak nasz obiad.

Od kiedy wieczorem zamknięto ich w tej komórcie, nie widzieli nikogo poza umundurowanym policjantem, który przyniósł im rano proste śniadanie: tosta i kawę. Jane wstała z pryczy, podeszła do drzwi i walnęła w nie dłonią.

- Nie możemy tu siedzieć i czekać beczynn timer, aż to się wydarzy.

- Raczej nie mamy wyboru - zauważył Barry.

Jane wróciła na pryczę i usiadła.

- Jak dokładnie pamiętasz plan wizyty? - zapytała.

- Tuż za bramą przy pawilonie Nowego Jorku ma się odbyć ceremonia powitalna. Potem zwiedzą wystawę i pójdą na jakiś obiad w pawilonie Imperium Brytyjskiego.

- A potem dokonają inspekcji warty honorowej na trawniku?

- Zgadza się - przytaknął Barry.

- W takim razie mamy jeszcze czas.

- Nadzieja nie umiera nigdy? - rzekł detektyw.

- Coś w tym stylu - odparła Jane. - Myślę, że Foxworth przejrzy na oczy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Pamiętam, co powiedziałaś jakiś czas temu. O tym, że ten facet nie pozostawia niczego przypadkowi.

- Nie bardzo rozumiem.

- Sama nie rozumiem... na razie. - Wstała i znów podeszła do drzwi, tym razem waląc w nie pięścią. - Do jasnej cholery! Otwierać!

Broń, którą John Bone zamierzał wykorzystać do zamachu, była jego własną konstrukcją. Wykonał ją z pięciu innych karabinów znalezionych w pracowni Lavana, ale podstawą był karabin Lancaster. Wypatrzył go na stojaku, kiedy pierwszy raz odwiedził sklep rusznikarza. Większość lancasterów, z jakimi miał do czynienia, były to klasyczne strzelby dwururki. Od czasu do czasu zdarzało mu się jednak zobaczyć dwulufowy karabin tej marki, zwykle przystosowany do pocisków o wielkim kalibrze, takich jak do polowań na słonie w Afryce.

Lancaster Lavana był jednak inny: czterokomorowy karabin potężnego kalibru 500 ze stalowymi lufami British Whitworth Fluid i skomplikowanym mechanizmem zamka, działającym jak podwójny rewolwer. Dzięki pojedynczej płaskiej sprężynie z każdym pociągnięciem spustu metalowy bolec odciągany był do tyłu i wypuszczany uderzał w iglicę. Iglica zamontowana była na kwadratowej blaszce odpowiadającej układowi luf. Kiedy uderzała w nabój, mały sprężynowy mechanizm obracał blaszkę z iglicą o dziewięćdziesiąt stopni, więc mogła uderzać w spłonki naboju tak szybko, jak szybko pociągało się za spust. Bone od razu dostrzegł zaletę takiego rozwiązania. Każdy samopowtarzalny karabin - mauser, krąg czy springfield - miał stosunkowo wolny zamek. Broń automatyczna, taka jak browning czy thompson, nadawała się jedynie na krótkie dystanse. W ich przypadku liczyła się raczej siła ognia niż celność. Choć rozwiązanie Lancastera miało ponad czterdzieści lat, umożliwiło oddanie czterech strzałów niemal jednocześnie, w niespełna trzy sekundy.

Bone zastąpił potężne lufy wielkiego kalibru kwartetem lekkich luf Winchestera o długości ponad sześćdziesięciu centymetrów, ostrożnie punktowo zespawanych. Bone odciął je od „usportowionych” wojskowych karabinów model 70, których kilka znalazł w kolekcji Lavana. W ten sposób uzyskał superdokładny karabin kalibru 30, który umożliwi mu oddanie czterech płaskich strzałów na odległość ponad dwustu metrów - to znacznie więcej niż potrzebował. Usuwając ciężką orzechową kolbę i zastępując ją prostą wyprofilowaną rurką z jednej strony nagwintowaną z drugiej zabezpieczoną skórzaną poduszką zdołał zredukować wagę broni z prawie sześciu do nieco ponad trzech kilogramów, i to z przymocowanym silnym celownikiem optycznym. Lufy, zamek,

kolba i celownik dawały się bez trudu rozkładać i można je było zapakować do płóciennej torby. Mieścił się w niej również statyw Graflex, który służył, jako podpórka karabinu.

Kiedy rozległy się pierwsze strzały salwy honorowej, John Bone zaczął składać swój nietypowy karabin. Siedział ukryty głęboko w cieniu. Oparł broń na statywie, zacisnął śrubę i przyłożył oko do celownika. Wyregulował wysokość statywu tak, by w wizjerze pojawiła się trybuna przed brytyjskim pawilonem. Oderwał wzrok od celownika i zauważył, że na budynku powiewa pięć brytyjskich flag. Ponownie przyłożył oko do celownika i uwzględnił w nim prędkość wiatru i gorące powietrze. I jedno, i drugie mogło wypaczyć strzał, o ile nie będzie ostrożny, nawet przy tej, stosunkowo niewielkiej odległości.

Opuszkami palców musnął śrubę statywu i podniósł celownik o ułamek milimetra. Pierwsze dwa strzały miały być przeznaczone dla króla, wysoko w klatkę piersiową. Kolejne dwa miała dostać królowa, nieco wyżej, w krtań. Siła pocisków prawdopodobnie będzie w stanie pozbawić ją głowy. Bone odsunął się w cień i czekał. Uśmiechnął się. Mimo gwaru usłyszał, jak jedna z orkiestr dętych zaczyna grać *Dzwonki Szkocji*, ulubioną piosenkę Jej Królewskiej Mości.

Dwunastoletni Bobby Zwicker marzył o tym, by zostać zawodowym baseballistą, najlepiej w drużynie Brooklyn Dodgers, nie dlatego, że najbardziej ją lubił, ale miałby blisko do domu. Stadion Ebbets Field znajdował się zaledwie kilometr dalej wzdłuż linii trolejbusu jeżdżącego Kingston Avenue. Baseball był dla Bobby'ego jedną z najbardziej męskich rzeczy, bardziej nawet niż zerkanie przez

okna w suterenie u Pratta, gdzie widać było nagie modelki znudzone niemiłosiernie, choć pokazywały wszystko, co miały do pokazania. Bohaterowie Bobby'ego nazywali się Dolph Camilli, Cookie Lavagetto, Babę Phelps i Gruby Freddie Fitzsimons. Albo Goodie Rosen - ostry zawodnik o płaskim nosie, na którego jeszcze niedawno nikt nie liczył. I na dodatek był Żydem. Mówiło się, że w tym sezonie Dodgersi będą grali lepiej, bo zajął się nimi Leo Durocher, ale Bobby miał to gdzieś. Nieważne kto grał. Liczyła się sama gra.

Bilet wstępu za dolara i dziesięć centów był poza jego zasięgiem, podobnie jak dobre miejsce na sobotnim meczu. Bobby mógł oglądać rozgrywki jedynie z dachu garażu przy Bedford Avenue albo leżąc płasko na chodniku przy bramie wyjściowej. Wielkie stalowe wrota były niezbyt dopasowane i spoglądając przez szczelinę między nimi a ziemią nie szerszą niż na dwa palce, mógł oglądać większość środkowego pola, lewą część boiska i dwie trzecie przedpola. Jednak o prawdziwym przebiegu meczu mówiły dopiero reakcje kibiców. Na dodatek musiał uważać, by jakiś gliniarz nie kopnął go w żebra, każąc się zbierać z chodnika. Dlatego właśnie codziennie o świcie zrywał się z łóżka, odbierał czterdzieści cztery egzemplarze „Brooklyn Eagle” i jechał ulicami Bedford, wmawiając sobie, że rzucanie zwiniętymi gazetami na werandy klientów to dobra praktyka do zostania wspaniałym baseballistą.

Dziś nagłówki gazety obwieszczały wizytę króla i królowej w Nowym Jorku i na wystawie, ale Bobby'ego nie interesowało to ani trochę. Po sześciu dniach zwlekania się rano z łóżka i roznoszenia gazet będzie mógł sobie zafundować cudowne popołudnie na Ebbets: dwa hot dogi, coca-cola i doskonały widok na to, jak Rosen wybija przynajmniej jedną piłkę. Albo dwie, jeśli wszyscy będą się mocno modlić.

O szóstej trzydzięci rano ruszył w objazd, a dziesięć po siódmej rzucił gazetę na werandę domu Hamnerów przy Adelphi 331 i pojechał dalej. Zdziwił się, że drzwi do domu staruszki są jeszcze zamknięte. Zwykle były już uchylone, a pani Hamner w podomce czekała na gazetę z kubkiem kawy w jednej ręce i papierosem w drugiej.

O siódmej czterdzieci pięć po zakończeniu objazdu Bobby znów jechał Adelphi, wracając do domu. Gazeta Hamnerów wciąż leżała na werandzie, a drzwi były zamknięte. Bobby uznał, że staruszka albo za dużo wypiła, albo zasnęła, albo zakasłała się na śmierć. Kiedy wrócił do domu, powiedział o tym matce, która uderzyła go po tyłku zwiniętym egzemplarzem „Eagle’a” i przypomniała, że powinien mieć więcej szacunku dla starszych. Mówiąc to, uśmiechała się.

O dziewiątej trzydzięci po drodze do rzeźnika przy DeKalb Avenue matka Bobby’ego też zauważyła, że gazeta leży na werandzie. Kiedy wracała kwadrans później tą samą drogą, gazeta wciąż leżała. Uznała, że to nie jej sprawa, i wróciła do domu, gdzie porozmawiała chwilę na ten temat z mężem, a potem wzięła sprawy we własne ręce. Zatelefonowała do Hamnerów. Nikt nie podnosił słuchawki. Po godzinie zadzwoniła jeszcze raz. Nadal cisza. W końcu sfrustrowana pokłóciła się z mężem. Była już pewna, że coś jest nie w porządku.

Arnold Zwicker przeklinał pod nosem dar spostrzegawczości swojego syna. Zamierzał spędzić szabas, nie robiąc zupełnie nic, nawet nie iść do synagogi, tymczasem musiał się zawlec do domu Hamnerów. Stukał kilka razy, ale nikt nie odpowiadał. Obszedł więc dom i zapukał od werandy. Kuchenne drzwi, podobnie jak frontowe, były zamknięte na klucz. Wychylił się przez barierkę i osłaniając oczy od słonecznych odblasków, zajrzał do ciemnej kuchni. Na pozór

wszystko wyglądało normalnie, ale nagle zauważył ciemną smugę na podłodze prowadzącą w stronę drzwi do piwnicy. Z jakiegoś powodu, którego nie umiał sobie wytłumaczyć ani wtedy, ani wiele lat później, od razu wiedział, co to jest. Leo w końcu miał dość matki i zatłukł ją na śmierć, pomyślał. Ojciec Bobby'ego Zwickera poczuł, że robi mu się niedobrze. Popędził na złamanie karku do domu, skąd zadzwonił na policję.

Była już jedenasta rano. Policja, zdziękowana ze względu na wizytę pary królewskiej, przyjechała dopiero po godzinie. Znalaziono Leo Hamnera zastrzelonego we własnym łóżku, w piwnicy odkryto ciała agenta Gordona i matki Leo. Agent specjalny Gordon został zidentyfikowany dopiero o czternastej trzydzieści, kiedy pojawił się jego zmiennik, agent Breur. Foxworth, koordynujący działania FBI przy ochronie pary królewskiej, dowiedział się o śmierci Gordona za dziesięć trzecia.

Po południu Lascelles zauważył, że król i królowa odczuwają znużenie wydarzeniami tego dnia. W pawilonie Stanów Zjednoczonych mieli witać kolejkę około trzystu lokalnych dygnitarzy. Lascelles porozmawiał z przewodniczącym wystawy Groverem Whalenem i powitanie skrócono. Królewska para miała po prostu przejść wzdłuż szpaleru gości, kłaniając się, od czasu do czasu ściskając komuś rękę lub zamieniając słowo. Król z małżonką odwiedził wiele pawilonów różnych krajów, między innymi pawilon japoński i pawilon Wolnego Państwa Irlandzkiego, gdzie Lascelles słyszał, jak królowa pyta o granitowy pomnik Padraica Pearse'a i ludzi straconych przez brytyjską armię w czasie powstania w 1916

roku. Jeżdżąc z Whalenem, La Guardią i innymi dygnitarzami śmiesznym pociągiem spalinowym Greyhonda, król i królowa cały czas musieli znosić okropny upał, tym gorszy, że asfaltowe aleje buchały żarem, a ciuchcia wypluwała z siebie kłęby dieslowskiego dymu. Lascelles ponownie porozmawiał z Whalenem i program skrócono. O piętnastej królewska para nie zdążyła jeszcze zjeść obiadu. Król zaczął wspominać o papierosie i whisky dla poprawy samopoczucia. Królowa najwyraźniej źle się czuła.

Po błyskawicznej wizycie w pawilonie włoskim, gdzie komisarz generalny zaszutował po faszystowsku, oraz błyskawicznej sesji fotograficznej przed pawilonem kanadyjskim, gdzie stały indiańskie totemy i policjanci w czerwonych mundurach, król i królowa zostali odprowadzeni do pawilonu Imperium Brytyjskiego. Królowa mogła się położyć, a król wypalić playersa i wypić podwójną whisky.

Jack Lait, dziennikarz z „Daily Mirror”, obserwował to wszystko z budki telefonicznej, z której dyktował swój artykuł do wieczornego wydania. Wbrew powszechnemu trendowi tak opisał nieco zmęczoną królową: „To śliczna, miłutka swojska dziewczyna w niebieskiej sukni, całkiem niezła, ale w holu teatru na Broadwayu nikt by na nią nawet nie spojrział”.

Kiedy królewski orszak zniknął w klimatyzowanym pawilonie, tłum odepchnięty aż w okolice Laguny Narodów zaczął się powoli rozpraszać. O piętnastej czterdzieści pięć nieco odświeżeni król i królowa zjedli lekki nieformalny obiad - kurczaka na zimno i sałatki. W sąsiednim Pałacu Pokoju orkiestra wojskowa grała wiazankę muzyki lekkiej, sprzyjającej lepszemu trawieniu. Jako specjalny gest wobec królowej, odegrano też *Dzwonki Szkocji*.

Do komórki wszedł wicedyrektor Sam Foxworth. Zamknął drzwi za sobą. Twarz miał kredowobiałą, w trzęsącej się ręce trzymał papierosa.

- Jakież kłopoty? - zapytała Jane.

- Wczoraj wieczorem wysłaliśmy agentów pod wszystkie adresy, którymi interesował się ten pani drugi zabójca. Dziś rano znaleźliśmy jednego z agentów martwego. Dostał prosto w głowę. Mężczyzna, którego agent miał ochraniać, też jest martwy, podobnie jak jego matka.

- Który z nich?

- Hamner, dozorca - odparł Foxworth. - Miała pani rację. Ten sukinsyn gdzieś tu jest.

- Tak myślałam, że to będzie ten. Borden i ten drugi mają za bardzo wyspecjalizowane zajęcia. A Hamner to dozorca, pewnie miał wszelkie klucze. To znaczy, że ma je teraz zabójca.

- Wygląda na to, że wykorzystał samochód mojego agenta i jego legitymację, by dostać się na teren wystawy wczoraj wieczorem - powiedział Foxworth. - Sprawdzamy teraz, czy któryś ze strażników przy bramach coś pamięta. - Pokręcił głową. - Przynajmniej będziemy wiedzieć, jak wygląda.

- To teraz nie ma znaczenia - rzekł Barry. - Gdzie są król i królowa?

- Jedzą obiad w pawilonie brytyjskim. - Foxworth zerknął na zegarek. - Mają opóźnienie.

- Ile zostało do inspekcji warty honorowej? - zapytał Barry.

- Dziesięć, góra piętnaście minut.

- Wiemy, gdzie ukryje się zabójca - powiedziała Jane. - Wymyśliliśmy to wczoraj wieczorem.

- Gdzie, do cholery?

- Ja wam powiem, a wy nas tu zostawicie? Nie ma mowy, Foxworth. Otwieraj drzwi, ja was zaprowadzę. I oddajcie mi torebkę. Mam w niej nowy aparat.

- Aresztuję was!

- Nie, nie zrobisz tego. Nie jesteś aż taki głupi. A teraz otwieraj te cholerne drzwi.

Domy Miasta Przyszłości wzniesiono przy trzech wijących się ulicach, prowadzących donikąd. Miasteczko umieszczono na powierzchni hektara na tyłach Pawilonu Sztuki Współczesnej. Z jednej strony sąsiadowało ze Zelektryfikowanym Gospodarstwem, z drugiej - z łukowatym Centrum Budownictwa. Czwarty bok miasteczka sąsiadował z wąską uliczką, która wiodła nad rzekę. Za rzeką widać było Ogrody Paradne i pawilon Imperium Brytyjskiego. Trawniki miasteczka były nawożone i przyszczyżone, choć upalne słońce nieco je wypaliło. Wzdłuż ulic posadzono młode drzewka, a podjazdy domów zasłaniały po obu stronach żywopłoty. Na ulicach i w otwartych garażach poustawiano nawet najnowsze modele samochodów Chryslera, Forda i General Motors, by złudzenie przyszłości było jeszcze pełniejsze. Wśród czternastu domów w miasteczku dziewięć było piętrowych, ale tylko w trzech z nich można było przymierzyć się z piętra do strzału w stronę trawnika przy pawilonie brytyjskim.

Kiedy Jane, Barry, Foxworth i czterech jego agentów przedzierali się przez tłumy na Alei Tęczowej w stronę miasteczka, inny tłum gromadził się właśnie na moście Spillway i całym drugim brzegu rzeki, aż po pawilon francuski i Lagunę Narodów. Rozległy się pierwsze takty *Rule Britannia* i ludzie znów zaczęli wiwatować. Uwaga wszystkich była skupiona na brytyjskim pawilonie, przy

którym umundurowana warta honorowa zajęła pozycję na bocznym trawniku. To miała być ostatnia oficjalna czynność królewskiej pary na wystawie. Na razie Miasteczko Przyszłości świeciło pustkami.

- Który to dom?! - ryknął Foxworth, stojąc pośrodku centralnej alei z ciężkim pistoletem w dłoni.

- Nie jestem pewna! - odkrzyknęła Jane. Wyjęła małego kontaksa z torebki i zaczęła robić zdjęcia.

- Spróbuj zgadnąć! - krzyczał Foxworth. - Nie mamy już czasu! - Spojrzał na Jane rozognionym wzrokiem. - I odłóż ten cholerny aparat!

Jane uśmiechnęła się i pokazała język. Nadal pstrykała zdjęcia.

Barry obrócił się na pięcie i osłaniając oczy od oślepiającego słońca, próbował sobie przypomnieć, czego uczono go na szkoleniu w wojsku ponad dwadzieścia lat temu. Miasteczko Przyszłości wybudowano na sztucznej górze wznoszącej się około czterech metrów ponad poziomem rzeki. Najlepszy widok na trawnik przy pawilonie brytyjskim rozciągał się z trzech domów po stronie zbocza opadającego do rzeki i najbliższych Zelektryfikowanego Gospodarstwa. Dwa inne, na końcu wijącej się drogi, również stały w prostej linii, ale co najmniej sto metrów dalej. Strzał byłby stamtąd możliwy, lecz znacznie trudniejszy.

- Te trzy - powiedział w końcu Barry, pokazując domy na końcu uliczki.

Foxworth machnął na swoich ludzi, by przeczesali domy jeden po drugim.

-Lepiej, żebyś się nie mylił - ostrzegł.

Jane roześmiała się chłodno.

- Trochę chyba za późno na zrzucanie odpowiedzialności. Od samego początku schrzaniłście tę sprawę.

- Byleby jej teraz nie schrzanili - powiedział Barry, wciąż przyglądając się domom. Coś było nie tak. Czuł zimny pot na szyi.

Jane zauważyła to spojrzenie. ' - Co się stało?

- Jego tu nie ma - szepnął Barry. - To nie tu.

- To jedyne sensowne miejsce - upierała się Jane.

- Nie. - Barry pokręcił głową. - Tam nie jest dość bezpiecznie.

- Dlaczego nie? - zapytał Foxworth. - Wystarczy, że wmiesza się w tłum na Alei Tęczowej.

- Wszystko pasuje - dodała Jane. - Leo Hamner miał pewnie klucze do tych wszystkich domów! On tu musi być!

- Nie ma go.

Orkiestra skończyła *Rule Britannia* i zaczęła grać *Pomp and Circumstance*. Królewska para miała się pojawić dosłownie za kilka sekund. Thomas Barry odsunął się od kolegów, przeszedł między domkiem z białych desek w stylu Cape Cod a jego ultranowoczesnym sąsiadem z betonu i stali. Zatrzymał się na szczycie trawiastego zbocza i zerknął nad tłumem zebrany wzdłuż ciemnej linii rzeki w stronę trawnika przy pawilonie brytyjskim. Dwudziestu weteranów stało na baczność niczym usztywnieni artretyzmem. Wszyscy mieszkający na obczyźnie, wszyscy przyozdobieni ranami i medalami. W mundurach z wojny, o której prawie zapomniano. Z jego wojny. Powiew gorącego wiatru szarpnął flagami, zburzył powierzchnię wody i przywołał wspomnienia. W 1915 roku Barry został wysłany do Kut-el-Amara, starożytnej twierdzy na drodze do Bagdadu. On i piętnaście tysięcy innych żołnierzy zostali tam odesłani pod komendą głupiego młodego oficerka nazwiskiem Townsend, by zdobyć jakiś nic nieznaczący kawałek pustyni zwany Ctesiphon. Tamtego dnia wiał taki sam wiatr jak teraz. W końcu trafili na siły Nur-ud-Dina, szaleńca współpracującego z Turkami i

Niemcami. Prawie nikt nie przeżył tamtej bitwy, a mimo to Barry był pewien, że nawet jedna osoba na sto tysięcy nie będzie w stanie znaleźć Ctesiphon na mapie ani nazwiska Nur-ud-Din w książkach historycznych. Historia bywa ulotna jak gorący wiatr na twarzy. I jedno, i drugie przeminie, choćby największa tragedia wydarzyła się tego dnia.

Za pięćdziesiąt lat nikt nie będzie o tym pamiętał, zupełnie jak o Ctesiphon. Agenci FBI wychodzili po kolei z każdego z budynków, kręcąc głowami.

- Sukinsyna nie ma w żadnym z domów - denerwował się Foxworth.

- W takim razie gdzie jest?

- Ty mi to powiedz.

Jane odwróciła się do Barry'ego, który stał między domami na szczycie zbocza. Spojrzała znów na Foxwortha.

- Hamner był dozorcą?

- Tak.

- Robił coś jeszcze?

- Do cholery, był dozorcą! Robił to, co robią dozorczy.

- Nic specjalnego? - pytała Jane. Foxworth wzruszył ramionami.

- Jednym z jego obowiązków było czyszczenie rzeki ze śmieci.

- Kiedy?

- Co wieczór. Korzystał z łódki.

Jane obróciła się na pięcie. Sięgała wzrokiem do drewnianego pomnika Drzewa Życia i niewiele dalej, do mostu Spillway. Na całej jego długości tłoczyli się gapie czekający na pojawienie się króla i królowej. Betonowy most miał wysoką barierkę z masztami na flagi. Wspierał się na czterech głównych łukach pośrodku rzeki i dwóch znacznie mniejszych przy obu brzegach.

- O Jezu! - szepnęła Jane. Jednym ruchem wyrwała Foxworthowi pistolet i popędziła w stronę Barry'ego.

- To most! - krzyknęła. - Most!

Po drugiej stronie rzeki rozległ się gwałtowny aplauz. Kiedy królewska para pojawiła się w słońcu, po raz ostatni tego dnia odegrano *Boże chroń króla*.

Kiedy zabrzmiały pierwsze tony hymnu, John Bone po raz ostatni sprawdził karabin i patrzył przez lunetę, jak szczupły mężczyzna w szarym garniturze i kapeluszu wspina się na podium razem z odzianą na niebiesko żoną. Dzięki silnym soczewkom widział, że wokół zmarszczek na szyi i przy nosie puder zaczyna jej schodzić. Tuż pod rondem błękitnego kapelusza widoczna była ciemniejsza linia potu. Królowa wyraźnie źle się czuła. Bone wyregulował celownik tak, by skrzyżowane linie pośrodku stały się idealnie ostre. Obserwował, czy nie trafi na jakikolwiek ślad falowania gorącego powietrza, co mogłoby zepsuć strzał. Nic takiego nie dostrzegł. Stał w płytkiej wodzie. Na nogach miał wysokie kalosze, a betonowe dno kanału dawało pewne oparcie. Tunel pod mostem, szum wody i wiwatujące tłumy zagłuszą huk. Za plecami Bone'a szarpała się lekko na sznurku łódka, mniej więcej w połowie tunelu pod mostem. Skok do łódki i odwiązanie sznurka zajmie mu nie więcej niż pięć sekund. Popłynie z nurtem rzeki - najpierw bez silnika, potem z elektrycznym napędem. Ludzie na moście i na brzegach rzeki będą zaaferowani wystąpieniem króla i królowej, później ich brutalnym zabójstwem. Wrócił myślami do karabinu. Miękką część kolby oparł sobie na ramieniu, długie silne palce położył na łuku jęczyczka spustu. Powoli naciskał, aż napotkał lekki opór. Teraz wystarczyło ściągnąć mocniej mięśnie. Żadnych poprawek, żadnego myślenia. Oczyścić umysł tak, by oko widziało tylko cel. I jeszcze ostatni wydech przed pierwszym strzałem.

Jane dyszała, dobiegając do Barry'ego na szczycie zbocza.- Hamner korzystał z jakiejś łódki, czyszcząc rzekę ze śmieci. Nasz zabójca stoi w tunelu pod mostem! Musi tam być! - Podała pistolet detektywowi. Barry chwycił broń i popędził w dół zbocza, rozpychając po drodze tłum łokciami. Rzucił się między ludzi niczym szalony tryk, pracował barkami, za wszelką cenę próbując się przedrzeć do wody. Kiedy dotarł nad samą rzekę, biegł płycizną. Pistolet miał uniesiony i wymierzony w cienie skrywające kanał pod najbliższym mostem. Nagle ujrzał go ktoś z tłumu i krzyknął. Wszystko utonęło w otaczającej wrzawie. Zamachowiec pod mostem pochłonięty był swoim zadaniem. Oba cele stały na podium. Król uchylał kapelusza, królowa uniosła rękę w geście, który oszczędzał jej bólu zbyt częstego machania. Bone pociągnął spust już niemal do końca, wystarczyło tylko musnąć, by karabin wystrzelił. Nagle usłyszał plusk. Oderwał oko od celownika i zobaczył człowieka stojącego zaledwie o kilka metrów od wejścia do tunelu z wielkim pistoletem wymierzonym w jego stronę. Niemal bez zastanowienia odblokował lufę karabinu od statywu i obrócił lancastera. Znów nacisnął spust, w tej samej chwili człowiek przed tunelem upadł na kolano w płytką wodę, strzelając jednocześnie do zamachowca. Ułamek sekundy wcześniej Bone szepnął coś niemal niesłyszalnie. Pojedynczy strzał z przerobionego lancastera przebył dwieście pięćdziesiąt metrów po płaskiej trajektorii, dokładnie tak jak przewidywał Bone. Kula utknęła w betonie kładki przerzuconej przed pawilonem brazylijskim. O włos minęła lewą nogę zamożnej młodej kobiety w sandałach, rozmawiającej z ojcem o filmach. Kobieta sądziła, że uządlili ją pszczoła, i tak napisała tego wieczoru w swoim dzienniku. Był to jedyny znany zapis dotyczący pojedynczego strzału Johna Bone'a.

Trzy z pięciu pocisków wystrzelonych z wojskowego pistoletu Foxworth Smith & Wesson dosięgły Bone'a. Kule kalibru 45 uderzyły go w pierś i przewróciły na dno łódki, która zerwana z uwięzi popłynęła kanałem, zsunęła się po małym jazie i dalej w dół rzeki niezauważona przez nikogo poza detektywem inspektorem Thomasem Barrym ze Scotland Yardu.

Drugi zabójca zginął.

Po oficjalnej odprawie u Sama Foxwortha w biurze FBI Hennessy, Jane Todd i Thomas Barry wrócili do hotelu Plaża. Smutne przewidywania Jane się sprawdziły. Po Sheili Connelly nie było śladu. Detektyw hotelowy Hartery, chłopiec hotelowy Pelay i policjant pozostawiony na wszelki wypadek przez Hennessy'ego grali w brydża, biorąc Connelly na czwartego. Pod koniec wieczoru wyszła do sypialni apartamentu, gdzie była łazienka. Otworzyła zamek drzwi prowadzących do sąsiedniego apartamentu i zniknęła. Za pomocą kontaktów Foxwortha dowiedzieli się później, że została przeschmuglowana na pokład transatlantyku „Bremen” z północnych Niemiec. Przez całą podróż do Hawru pracowała na nim jako pokojówka. W Hawrze wsiadła na prom do Rosslare, potem pociągiem dojechała do Dublina i stamtąd dotarła do Belfastu.

Barry był załamany, zwłaszcza że Connelly zabrała ze sobą zalakowane oświadczenie.

- Wszystkich nas nabrała, Tommy. Wszystkich - pocieszała go Jane.

- Czuję się jak ostatni idiota - pokręcił głową. - Jak się nad tym zastanowić, całkiem nie radzę sobie z kobietami.

- A kto sobie radzi - prychnął Hennessy.

Wszedł Pelay z tacą z napojami i postawił ją na stole karcianym.

- On wcale nie żartuje - wtrącił. - Miałem przyjemność poznać

jego żonę.

- Uważaj, co mówisz, chłopcze. Na swój sposób to bardzo dobra kobieta.

- Jak Meduza. Wiecie, ta z węzami zamiast włosów. Zmieniała mężczyzn w kamień jednym spojrzeniem.

Jane wzięła z tacy dwie butelki piwa, jedną dla siebie, drugą podała Barry'emu.

- Mówiłam ci o mojej siostrze?

- Nie.

- Ma na imię Annie. Jak to mawiają, niedomaga na umyśle, a raczej jest jak warzywo. Nie porusza się, nie mówi, nic nie robi.

- Przykro mi.

- Nie ma potrzeby. - Jane wzruszyła ramionami. - Ona nie ma świadomości. Czasami ją odwiedzam. Jest w szpitalu na Welfare Island. Przejeżdżaliśmy nad nim w drodze na wystawę.

- Nie wiedziałem. - Barry pociągnął łyk lodowatego piwa i skrzywił się. Nie potrafił zrozumieć upodobania Amerykanów do zimnego piwa i lodu we wszelkich napojach.

- Czasami śnię o niej - ciągnęła Jane. - Nie są to właściwie sny, raczej wizje, wyobrażenia, jak by to było, gdyby weszła nagle do pokoju, elegancko ubrana, z torebką w ręku, ładnie uczesana i powiedziała na przykład: „Hej, Jane, chodźmy na zakupy” albo „Pojedźmy dziś na Coney Island”. Wiem, że to się nigdy nie zdarzy, wiem, że to nie ma prawa się stać, ale i tak nie mogę się uwolnić od takich myśli. Zdaje się, że to samo było z tobą i tą Irlandką. Ona jest jak lustro i pozwala ci zobaczyć to, co chcesz w niej zobaczyć. To jej... talent... Chyba tak to można nazwać. - Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk piwa. - Kto wie? Może nawet sama w to wierzyła, kiedy była z tobą? Wierzyła, że możliwa jest ucieczka z okropnego

położenia, w jakim się znalazła, od koszmarnej przeszłości.

- Powiedziała mi to - powiedział cicho Thomas Barry. - Kiedy byliśmy w Detroit. Mówiła, że w organizacji nie ma miejsca na romantyzm. Ich interesują tylko kule i bomby. Powiedziała: „Możemy się tym cieszyć tylko przez chwilę, Thomas. Nie więcej”. Wierzyłem jej i ona o tym wiedziała.

- Wszystko co dobre szybko się kończy, chłopie. Cieszymy się czymś przez chwilę i już tego nie ma. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jeszcze jeden powód, by cieszyć się życiem, póki trwa. - Pocałowała Barry'ego delikatnie w policzek. - Masz nauczkę. To, że kobieta jest miła i ładna, nie znaczy wcale, że jest naprawdę miła.

- Zastanawiam się, kim naprawdę był zabójca - odezwał się Hennessy z sofy po drugiej stronie pokoju. - I dla kogo pracował.

- Był Irlandczykiem - odparł Thomas Barry ledwie słyszalnym głosem. - Ale dla kogo pracował, zapewne nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno.

- Skąd wiesz, że był Irlandczykiem? - zdziwił się Hennessy.

- Bo odezwał się do mnie, nim go zabiłem. Przemówił do mnie w Starym Języku, jakby wiedział, że go rozumiem.

- I co powiedział? - zapytała Jane.

- Tylko trzy słowa. *Slan, mo chara!* „Do widzenia, przyjacielu!” A potem zginął.

- Może dawał ci do zrozumienia, że to on cię zabije? - zasugerował Hennessy.

Barry pokręcił głową.

- Nie. Wiedział, że będę szybszy. Wiedział, że zginie. Sam wyglądał jak śmierć, jakaś jego część już była cieniem.

- Jak się mówi po gaelicku „Już po wszystkim”? - zapytał Hennessy.

- *Ta se har* - odparł Barry.

- No właśnie. *Ta se har!* - Hennessy stuknął się piwem z Barrym.

Obaj się roześmieli.

- A jeśli nie? - odezwała się Jane.

- O czym ty mówisz, szalona dziewczyno?

- Tom do niego strzelał, ale czy go zabił?

- Strzeliłem mu w pierś. Z sześciu metrów. Na pewno zginął.

- Ale ciała nie znaleziono.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie znaleziono ciała. Próbuję powiedzieć, że ten John Bone, pan Green czy też sam diabeł wcielony mógł wszystko przewidzieć.

- Jak to wszystko?

- Na przykład mógł mieć kamizelkę kuloodporną - wyjaśniła. - W końcu zabił tego agenta FBI, zabrał jego samochód i ubranie. Może zabrał też jego kamizelkę? Wszyscy agenci je mają.

- Nie - szepnął Hennessy i zaczął kręcić głową. - To by znaczyło...

- To by znaczyło, że prąd zniósł go aż do ujścia rzeki. To by znaczyło, że ten człowiek wciąż jest niebezpieczny.

- Barry skinął chłodno głową.

- I że spróbuje po raz ostatni zamachu na Ich Królewskie Moście.

- Zwłaszcza że nikt go nie będzie szukał - dokończył Hennessy.

Rozdział 27

10 czerwca 1939 roku, sobota

Nowy Jork

Hennessy odłożył słuchawkę i obrócił się w stronę Jane i Thomasa Barry'ego.

- Z parkingu przy nabrzeżu nad zatoką Flushing dziś po południu skradziono trzy samochody. Zielonego nasha z 1935 roku, niebieskiego ford coupe z 1937 roku i białego dodge'a rocznik 1939. Forda zatrzymano, jakieś szczeniaki chciały się po prostu przejechać, więc to auto możemy skreślić. Nasha i dodge'a nie odnaleziono. Numer rejestracyjny nasha to 2V 32 90, a dodge'a: 3J 20 86. Oba z „Nowego Jorku. - Policjant wzruszył ramionami. - Z drugiej strony równie blisko jest też stacja IRT.

- Nie zaryzykowałby. - Jane pokręciła głową. - Łatwiej przecież pilnować ludzi wsiadających do pociągów niż obserwować wielki parking.

- Podstawowe pytanie brzmi: dokąd jedzie? - rzekł Hennessy.

Barry delikatnie wyjął z kieszeni marynarki zmiętą kalkę. Rozprostował ją na stoliku.

- Znalazłem to w koszu w sekretariacie Foxwortha. To ostatnia strona planu pobytu Ich Królewskich Mości w Ameryce.

- A niech mnie! - zdziwił się Hennessy. - Nie wiedziałem, że angole to tacy spryciarze.

- Ciekawe, jakie jeszcze talenty ukrywa przed nami - uśmiechnęła się Jane.

Barry zarumienił się i wygładził kalkę palcami.

- Zgodnie z tym, co tu napisane, królewska para zje dziś kolację w domu prezydenta Roosevelta w Hyde Park, mniej więcej o ósmej. Niedziela rozpoczyna się od śniadania o dziewiątej, potem nabożeństwo w wiejskim kościele o jedenastej, powrót do domu i przebranie się w coś mniej formalnego, a w południe wraz z prezydentem i innymi ruszają na piknik na terenie posiadłości. O drugiej mają dotrzeć do domku Roosevelta w Val Kill, by popływać, wypić herbatę i wrócić do rezydencji. O szóstej kolacja, a potem pożegnanie na dworcu w Hyde Park, skąd królewski pociąg o dziesiątej wieczorem ruszy w drogę powrotną do Kanady. W nawiasach dopisano, że przy kościele i dworcu można spodziewać się tłumów.

- Daj spokój - mruknął Hennessy. - Ludzie tłoczą się, żeby ich zobaczyć, jakby byli co najmniej gwiazdami filmowymi.

Jane spojrzała na zegarek. Było dziesięć po siódmej.

- Możemy wykluczyć dworzec i kościół. Za dużo ludzi i za dużo policji.

- Podobnie będzie w czasie całej wizyty u prezydenta w domu - zauważył Hennessy. - Wszędzie gliniarze. Angole i nasi.

- Piknik i pływanie - powiedziała Jane. - To jedyne prywatne punkty programu, które nie będą się odbywać w domu.

Barry patrzył na kalkę.

- Jak wygląda teren wokół Val Kill? I co to znaczy kill? Brzmi groźnie.

- Po holendersku to strumień - wyjaśniła Jane. - Kilka lat temu robiłam fotoreportaż z Val Kill dla „Life”. To prywatny zakątek Eleanor z dala od wielkiego domu. Mieści się w zalesionej części posiadłości, na zachód od Albany Post Road, nieco na wschód od

szosy 9G. Poszerzono tam strumień, by stworzył basen, i wybudowano chatę z kamienia i desek. Śliczne miejsce. W pobliżu lasu jest też jakaś fabryczka mebli.

- Jak się tam można dostać? - zapytał Hennessy.

- Przez zarośla wiedzie mnóstwo ścieżek, ale o ile wiem, jest tam tylko jedna droga.

- Znajdzie jakieś zaciszne miejsce, żeby zaparkować samochód i dojdzie pieszo - stwierdził Barry.

- Ale król i królowa nie będą przecież sami - zauważył Hennessy.

- W Val Kill też zaroi się od policji.

- Przyjedzie tam znacznie wcześniej, na długo przed przyjazdem pary królewskiej.

- Co oznacza, że będzie musiał się zamelinować gdzieś niedaleko

- powiedziała Jane. - Dziś wieczorem. Hotel albo motel.

- Dlaczego? Może przecież od razu pójść do kryjówki - stwierdził Barry. Jane pokręciła głową.

- Raczej nie. Nie jest u siebie. Niedługo będzie ciemno. Facet łąjący z latarką po posiadłości - Rooseveltów natychmiast zwróciłby uwagę.

- Ile może być hoteli w okolicy? - zapytał Hennessy, wzdychając głośno.

- Możemy to sprawdzić - odparła Jane. - Zawołaj Pelaya i poproś, żeby przyniósł Czerwoną Księgę.

- Co to jest Czerwona Księga? - zainteresował się Barry.

- Stowarzyszenie hotelarzy wydaje co roku książkę teleadresową hoteli w całym kraju.

- To coś jak przewodnik KKA - stwierdził Anglik, a kiedy Jane popatrzyła na niego zaskoczona, dodał: - Królewskiego Klubu Automobilistów.

Pelay przyniósł grubą księgę w czerwonych okładkach. Jane otworzyła ją na stronach dotyczących Nowego Jorku.

- To musi być Poughkeepsie - stwierdził Hennessy. - Jedyne miejsce w odpowiedniej odległości. W tym czterdziestotysięcznym miasteczku nad rzeką Hudson są trzy większe hotele i jeden mniejszy: Earles z pięćdziesięcioma pięcioma pokojami, Kings Court ze sto pięćdziesięcioma, Nelson House ze sto sześćdziesięcioma i Poughkeepsie Inn, w którym jest sto dwadzieścia pokoiów.

Jane zanotowała nazwy i adresy na kartce z hotelowej papeterii i odprowadziła Pelaya do drzwi.

- Możesz nam przynieść kanapki? - poprosiła. - Peklowana wołowina, szynka, ser, coś takiego. I zapakuj je w jakieś woreczki. Chyba zjemy już w drodze. - Wyszła z Pelayem na korytarz.

- Jeszcze piwa?

- Nie. Ale może jakieś napoje gazowane.

- Gazowane? W porządku. Coca-cola.

- Świetnie - odrzekła Jane po cichu. - I jeszcze coś.

- Wal śmiało.

- Pistolet.

- Pelay nie krył zaskoczenia.

- Pistolet, Janey? A na diabła ci on? - Brazylijczyk zaczął się denerwować.

- Do obrony.

- Na kiedy?

- Teraz. Odbiorę go, kiedy będziemy wychodzić z hotelu.

- Jaki pistolet chcesz?

- Cokolwiek masz pod ręką. - Poklepała go po policzku. - Ważne, żeby miał w magazynku naboje.

- Może chcesz coś jeszcze? - zapytał. - Karabin maszynowy?

- Nie, ale potrzebny mi będzie samochód.

- Czyj?

- Może być twój. - Jane uśmiechnęła się do Brazylijczyka. Pelay jeździł nowiutkim jaskrawożółtym kabrioletem coupe plymouth roadking. Troszczył się o niego, jakby to był lincoln albo cadillac.

- Chcesz mój samochód?

- To sprawa życia lub śmierci. W przeciwnym wypadku bym nie prosiła. - Przerwała. - I chciałabym ten mały aparat z biura Billa Hartery'ego. - Hotelowy detektyw posługiwał się małym tanim univeksem mercury, ale aparat miał wbudowaną zsynchronizowaną lampę błyskową.

- Prosisz mnie, żebym ukradł aparat pana Hartery'ego? Jane, przeciągasz strunę.

- Pelay, mówiłam ci. To sprawa życia lub śmierci. - Lekko uszczypnęła go w policzek. - Zrób to, a wtedy na następnym pokerze nie powiem twoim kumplom, co opowiedziała mi tak zwana hrabina z Montevideo.

- Krew odpłynęła z twarzy Brazylijczyka.

- Wiesz o tym?

- Wszyściuteńko.

- Załatwię ci wszystko, o co prosisz.

- Dobry chłopiec. - Popchnęła go delikatnie i wróciła do pokoju.

- Co się dzieje? - zapytał Hennessy.

- Pelay przyniesie nam trochę kanapek.

- Świetnie, ale sądzę, że powinniśmy podjąć jakieś kroki w związku z obecną sytuacją.

- Jakie kroki? - zapytał Hennessy. - Iść z tym do Foxwortha? - Prychnął. - Facet nawet by na nas nie spojrział. Według niego zamachowca obgryzają rybki gdzieś na dnie zatoki Flushing.

- A kamizelka kuloodporna? Skradzione samochody? - zapytał Barry.

Hennessy pokręcił głową.

- To za mało. Co do kamizelki sami nie jesteśmy pewni, a kradzieży samochodów nie da się w żaden sposób połączyć z naszym zabójcą.

- Moim zdaniem powinniście obaj pojechać dziś wieczorem do Hyde Park - uznała Jane. - Tommy ma swoje dojścia. Może uda mu się przekonać ludzi z sekcji specjalnej, że coś jest na rzeczy. Może tobie uda się wytłumaczyć to samo wydziałowi specjalnemu.

- A ty?

- Sprawdzę parkingi hotelowe w Poughkeepsie. Nie wiem, czy to coś da, ale spróbuję. Jeśli nie uda się w hotelach, będę sprawdzać motele, jadąc na północ. Jeśli znajdę któryś ze skradzionych samochodów, dam wam znać.

Hennessy zmarszczył brwi.

- W jaki sposób?

- Dzwońcie do Plaża co pół godziny. Jeśli będę miała jakieś wieści, zostawię w recepcji numer telefonu.

- Nie podoba mi się, że chcesz sama się szwendać po okolicy - powiedział Barry.

- Jestem już dużą dziewczynką, Tommy. Dam sobie radę. - Uśmiechnęła się do niego uroczo. - - Obiecuję, że nie zrobię niczego głupiego.

- Ten dzień trzeba by zapisać złotymi literami w kominie - mruknął Hennessy. Przez chwilę przygryzał wargę. - A może Angol ma rację. Może ktoś z nas powinien z tobą pojechać.

- Potrzeba mi rycerza do obrony i będziesz to ty, tak?

- To nie jest zły pomysł, Jane, i dobrze o tym wiesz.

- Nie, Dan. To kiepski pomysł. Bez legitymacji ze Scotland Yardu Tommy'ego nawet nie masz co marzyć o przedostaniu się do Hyde Park.

- To czemu on sam nie może pojechać?

- Wątpię, czy poradzi sobie z naszymi samochodami. Oni mają ruch lewostronny.

- To i tak bez znaczenia - odparł Barry. - Nie mam prawa jazdy. W Londynie mało się przydaje. - Wzruszył ramionami.

- Może cię nauczę, kiedy już będzie po wszystkim? - zaproponowała Jane.

- Świetnie - uśmiechnął się Barry.

- Jak już skończycie sobie gruchać, gołąbeczki, to może ruszymy w drogę.

- Oczywiście - przyznała mu rację Jane. - Kiedy tylko Pelay przyniesie kanapki.

John Bone stał rozebrany do pasa i przeglądał się w lustrze na tyłach sklepu rusznikarza. Pikowana kamizelka kuloodporna z ołowianymi płytkami wisiała zaczepiona na sedesie tuż obok. Dotknął delikatnie trzech siniaków na piersiach. Jedna z kul trafiła w kamizelkę tuż pod sercem. Druga uderzyła w górne żebra po lewej stronie, pozbawiając go powietrza, trzecia trafiła w górną część klatki piersiowej, niebezpiecznie blisko szyi. Gdyby trafiła w ciało, mógłby zginąć na miejscu. Na szczęście strzały przewróciły go na łódkę, która popłynęła w dół rzeki, dzięki czemu mógł się bezpiecznie wydostać z wystawy. Tym razem niewiele brakowało. Kiedy ukradł samochód z parkingu przy nabrzeżu, pomyślał, że w tym wypadku znacznie

cenniejsza jest dla niego anonimowość i w zasadzie powinien zrezygnować z tego zadania. Mógł bez trudu przebrać się, porzucić samochód i wsiąść do najbliższego pociągu na Florydę. W ciągu dwudziestu czterech godzin wróciliby do Hawany albo do Nassau i stamtąd mogłby zniknąć w mgnieniu oka, pojawiając się w innej dowolnie wybranej części świata.

Postanowił jednak zostać i dokończyć zadanie, co miało mu przynieść drugą ratę wynagrodzenia. Od samego początku wiedział, że będzie to jego ostatnia duża praca. Chciał zakończyć karierę pomyślnie wykonanym zadaniem, chciał też zdobyć jak najwięcej pieniędzy na emeryturę. Kręcąc się po sklepie rusznikarza i wybierając niezbędne wyposażenie, pomyślał, że wprawdzie ryzyko wzrosło, jednak szanse nie zmieniły się radykalnie. Miał jakieś sześćdziesiąt procent szans. Zniknął element zaskoczenia. Od tej pory królewska para będzie pilniej strzeżona. Zostało też niewiele czasu i miejsc, gdzie można by się zacziąć. Z drugiej strony, jeśli uznano, że zginął pod mostem, jego szanse mocno rosły, bo nikt nie będzie się bronił przed przeciwnikiem, którego już nie ma.

Zerknął na zegarek przyniesiony z sypialni na piętrze. Wpół do ósmej. Bagaż, który odebrał z Gramercy Park dzień po opanowaniu sklepu rusznikarza, leżał w bagażniku skradzionego dodge'a. Była tam również mała torba z wybraną bronią - austriackim pistoletem automatycznym Steyra - i dokładnymi mapami okolicy posiadłości Rooseveltów. Kupił je jeszcze w Waszyngtonie, na wypadek gdyby coś się nie udało na wystawie. W innej torbie leżącej pod ścianą przy frontowych drzwiach leżał brytyjski karabin z tłumikiem DeLisle i celownik optyczny Leupolda.

Bone postanowił nie bandażować siniaka z boku, choć był niemal pewien, że jedno z żeber ma złamane. Bandaż ograniczyłby mu

ruchy. Lepiej było trochę pocierpieć, niż jutro zaprzepaścić zadanie. Włożył świeżą koszulę, narzucił marynarkę i wyszedł do sklepu, wyłączając światło na zapleczu. Wsunął do kieszeni marynarki śrubokręt, który zabrał z pracowni Lavana, i podniósł z podłogi torbę z karabinem. Wyszedł na opustoszałą ulicę, kluczami Lavana zamknął sklep. Klucze wsunął z powrotem przez szczelinę na listy. Zaniósł torbę do samochodu i zamknął bagażnik. Śrubokrętem odkręcił tablice rejestracyjne z przodu i z tyłu. Zerknął na zegarek i ruszył piechotą na południe wzdłuż Crosby Street. Skręcił w prawo w Canal, poszedł na zachód, następnie na północ i wszedł do Greenwich Village - ot, mężczyzna na wieczornym spacerze rozkoszujący się pierwszym chłodem tego dnia. Znalazł to, czego szukał, w wąskim zaułku między fabryką butów a magazynem tuż przy Le Roy Street - stała tam zaparkowana na noc stara ciężarówka, zupełnie na uboczu. Wszedł w zaułek i po pięciu minutach wyszedł stamtąd z tablicami rejestracyjnymi ciężarówki, które podmienił na tablice skradzionego dodge'a. Pół godziny później samochód z nowymi tablicami ruszył spod sklepu Lavana.

Rozdział 28

10 czerwca 1939 roku, sobota

Hyde Park, Nowy Jork

Sir Alan Lascelles siedział w wysokim fotelu przy oknie, w Różowym Pokoju na drugim piętrze Springwood, rezydencji prezydenta Roosevelta w dolinie rzeki Hudson. Palił papierosa. Jej Królewska Wysokość udała się do sypialni tuż po spóźnionej kolacji, w czasie której potłukła się cała porcelanowa zastawa z Limoges, bo wyrócił się wózek kelnera. Król żywo dyskutował z premierem Kanady na tematy polityczne. Kiedy dwadzieścia minut temu Lascelles wychodził z palarni Rooseveltów, rozmawiali o tym, że obaj nie lubią Rosjan. Lascelles nie był dyplomatą ani pracownikiem MSZ, więc dyskretnie się wycofał.

Na królewskim dworze podsłuchiwanie rozmów było zdecydowanie nierozsądne i mogło się zakończyć wygnaniem w jakiś daleki zakątek imperium, gdzie albo nigdy nie pada, albo deszcz leje bez przerwy. Jako córka świętej pamięci wicekróla Indii lorda Chehnsforda, biedna żona Lascellesa Joannie spędziła dość czasu w okropnym klimacie. W ich wieku żadne z nich nie miało ochoty przeprowadzać się do Gujany Brytyjskiej czy na Wybrzeże Kości Słoniowej. Na samą myśl Lascelless poczuł ciarki na plecach. Dopalił papierosa, usiadł wygodniej w fotelu i pozwolił sobie na chwilę relaksu. Na jutro przewidziano tylko trzy wydarzenia: kościół, piknik i herbatka w domku Pierwszej Damy w Val Kill. Roosevelt, niech mu będzie chwała, dopilnował, żeby ich wyjazd ze Stanów

Zjednoczonych odbył się bez pompy i szczególnych uroczystości. Jeszcze kilka dni i będą już na pokładzie statku płynącego do domu. Uśmiechnął się na myśl o tym. Dom - jak to pięknie brzmiało. Weźmie tydzień urlopu i wyjedzie z Joannie i dziećmi do wiejskiego domku w Dorset, a w zasięgu wzroku nie będzie nikogo z królewskiej rodziny. Co za ulga!

Z marzeń wyrwało go pukanie do drzwi.

- Wejść.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł ochroniarz króla Hugh Cameron.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale jakichś dwóch mężczyzn chce się widzieć z kimś, kto ma coś do powiedzenia.

Lascalles zerknął na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Co to za jedni i czego chcą o tej porze?

- Policjanci, sir. A jeden z nich to nasz człowiek, że tak powiem. Mówią że to niezwykle ważne.

- Gdzie są?

- W holu na dole pilnują ich dwaj ludzie z wydziału specjalnego.

- Zejdę do nich - powiedział Lascalles. Wziął zapalniczkę, papierosy i wyszedł z pokoju za Cameronem.

Jane była zmęczona i zaczęło brakować jej hoteli. Sprawdziła pierwsze trzy z listy, najpierw zaglądając na parkingi, potem na ulice dookoła, a potem wypytyjąc nocnych recepcjonistów, którym otwierała usta dziesięciodolarowymi banknotami. Nikt nie przyjechał białym dodge'em, wieczorem nie meldował się nikt, kto choćby trochę przypominał wyglądem pana Greena czy jak mu tam. Zjechała

z Main Street w Market Street, po czym w Cannon Street i za rogiem znalazła Poiigiikeepsie Inn. Zaparkowała jaskrawożółtego plymoutha naprzeciwko wejścia do hotelu i przeszła na drugą stronę ulicy. Oświetlony dwiema ulicznymi lampami parking zajmował narożnik dwóch ulic. Obok stał sześciokondygnacyjny hotel z cegły. Jane poczuła, że serce bije jej mocniej, kiedy z tyłu parkingu zobaczyła białego dodge'a. Idąc między rzędami samochodów, dostrzegła, że jest to nowiutki model z 1939 roku, taki jak ten skradziony z parkingu przy Wystawie Światowej. Kiedy jednak dotarła do auta, powietrze z niej uszło. Tablice rejestracyjne zupełnie się nie zgadzały. Zamiast 3J 20 86 odczytała T9 33 47. Westchnęła i odwróciła się. Czas zacząć sprawdzać małe moteliki wzdłuż drogi 9A i autostrady numer 9, głównej trasy do Hyde Park i Albany. Nagle stanęła jak wryta, coś sobie uświadamiając. Dodge nie mógł mieć takiej tablicy rejestracyjnej. Wszystkie rejestracje aut w stanie Nowy Jork rozpoczynały się od pary cyfra-litera, poza rejestracjami ciężarówek, które zawsze zaczynały się od litery T. Obeszła samochód, rozglądając się, czy nikt nie widzi, i pochyliła się, by sprawdzić tylną tablicę. Wokół przytrzymujących ją wkrętów zobaczyła świeże zadrapania. Wiedziała, że znalazła to, czego szukała. Thomas Barry był przekonany, że zamachowiec jest Irlandczykiem. Oczywiście było, że tylko ktoś z Nowego Jorku wiedziałby o niuansach w numerowaniu tablic. Gdyby zdjął tablice z innego auta osobowego, a nie z ciężarówki, pewnie nigdy by go nie znalazła. Wstała i wróciła na chodnik. Czowała ciężar brazylijskiej wersji walthera, małego pistoletu, który dostała od Pelaya razem z samochodem. Nie miała pojęcia, skąd wziął broń, a on sam nie spieszył z wyjaśnieniami. Na chodniku przystanęła i poprawiła ciężką torebkę na ramieniu. Spojrzała na zegarek - było już po dziesiątej. Rozsądek podpowiadał, że powinna

wejść do hotelu, wymienić pieniądze u recepcjonisty i skorzystać z automatu telefonicznego, by zostawić wiadomość w Plaža. Nie należało jednak wchodzić do jaskini lwa. Nie powinna też zbliżyć się do człowieka, który już zabił kilka osób, w tym agenta FBI, i przez którego zginął i został porzucony w rowie w New Jersey jej pierwszy chłopak.

- A chrzanić rozsądek - mruknęła Jane. Niedoczekanie, nie podda się teraz, pozwalając, by faceci odegrali teraz rolę atakującej kawalerii. Tak czynaczej zamierzała dorwać tego mordercę i zrobić z ducha realną postać. Duch, nie duch, oberwał od Tommy'ego trzy razy w pierś. Mimo że miał na sobie kamizelkę, musi mieć na piersi kilka siniaków.

Spojrzała po sobie: niebieski sweter narzucony na białą jedwabną sukienkę, niebieskie płócienne buty i brak kapelusza. Jakby wybierała się na golfa, nie na łapanie zabójcy, ale przynajmniej nie wyglądała jak dziwka w pracy. Poprawiła ciężką torebkę i weszła do hotelu. Hol był długi i wąski. Czerwony dywan prowadził do wind. Po prawej stronie znajdowała się recepcja i dwuskrzydłowe wejście do restauracji. Napis nad drzwiami głosił: „Sala Henry'ego Hudsona”. Na stojaku reklamowym zachwalano pianistyczne występy niejakiego Rękawiczki McGinty'ego. Rozmazane zdjęcie na plakacie przedstawiało spoglądającego w bok mężczyznę około siedemdziesiątki. Trzymał w górze ręce o długich palcach ubrane w rękawiczki. Co za pomysł. Jane podeszła do recepcji. Siedzący za ladą chłopak kiepską cerą przypominał jej Ricky'ego z cukierni w Walgreens.

- Czy mógłby mi pan pomóc?

- Potrzebuje pani pokoju?

- To może później. Na razie chciałabym uzyskać pewne

informacje.

- Jakie? - Zmarszczył brwi i całą twarz. Wyglądał jak rodzynek. - Nie jest pani dziwką, prawda? Mój wujek nie znosi, kiedy kręcą się tu dziwki.

- Czy ja wyglądam jak dziwka?

- Nie mam pojęcia, jak wygląda dziwka, nie ma ich tu zbyt wiele. Wiem tylko, że wujek ich nie znosi, a on jest właścicielem hotelu. Zawsze mi powtarza, żeby nie wpuszczać samotnych kobiet, o ile nie mają bagażu i nie rezerwowały wcześniej pokoju. Ma pani jakiś bagaż? - W porównaniu z tym chłopakiem Ricky to Don Juan. Ten miał osobowość glisty i niewiele większy rozumek.

- Nie jestem dziwką, słowo.

- A więc jakie informacje panią interesują?

- O mężczyźnie, który przyjechał białym dodge'em zaparkowanym przed hotelem.

- A konkretnie?

- Zameldował się tu?

Chłopak uśmiechnął się.

- Nie pamiętam.

Jane sięgnęła do torebki, wyciągnęła portfel i rzuciła banknot na ladę. Chłopak wsunął dziesięć dolarów do kieszeni marynarki.

- Tak, zameldował się tu.

- Kiedy?

- Z godzinę temu, nawet niecałą.

- Pod jakim nazwiskiem?

- Nie pamiętam. - Recepcjonista się uśmiechnął.

Jane wyciągnęła kolejną dziesiątkę.

- A teraz pamiętasz?

- Green.

- W którym pokoju?
- 509.
- To na piątym piętrze?
- Tak, ale nie ma go tam.
- Skąd wiesz?
- Widziałem, jak dziesięć minut temu schodził do baru. Jeszcze nie wychodził, więc pewnie tam siedzi.
- Jak go rozpoznać?
- Wysoki, szczupły, raczej blady, jakby mało się opalał. Bardzo ciemne włosy.
- Czarne.
- Tak. Trochę dłuższe.
- Ogolony?
- Tak.
- Dzięki, słodki jesteś - powiedziała Jane.
- Może ma pani jeszcze jakieś pytania? Przydałaby mi się kasa.
- Może później - odparła Jane.

John Bone siedział na końcu sali w barze i popijał podwójną whisky Jameson bez lodu. Na szczęście łysy pianista w białych rękawiczkach pół godziny wcześniej zrobił sobie fajrant, więc mógł pić w spokoju. Od incydentu pod mostem minęło prawie osiem godzin i początkowo ostry ból przeszedł w tępe ćmienie. Rano, kiedy przyjdzie czas na ostateczną rozgrywkę, będzie miał sztywne mięśnie, ale na pewno nie wpłynie to na celność. Poza tym nic mu nie dolegało. Słyszał o tym, że u Sterlinga pracowano nad modelem DeLisle, ale Lavan, świętej pamięci rusznikarz, w sobie tylko wiadomy sposób zdołał dotrzeć do jednego z prototypów. Karabin

wzorowano najwyraźniej na modelu Lee-Enfield, ale wzdłuż całej lufy miał umieszczony tłumik. Przystosowany był też do amerykańskich naboju pistoletowych kalibru 45, samych w sobie dość cichych. Bone oddał dziesięć strzałów w piwnicy Lavana i były niemal bezgłośne. Jadąc do Poughkeepsie, zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby skorzystać z toalety. Zauważył tam starego harleya-davidsona model WJ Sport przywiązanego łańcuchem. Stojący za budynkiem stacji motocykl miał przyczepione tekturkę z napisem: NA SPRZEDAŻ. Kłódka i łańcuch nie będą stanowiły wielkiej przeszkody, a na motocyklu miałyby sporą przewagę, tak jak w Marsylii. Sport znany był z cichej pracy silnika, co pozwoliłoby dyskretnie zbliżyć się do Val Kill. Harleyem można dotrzeć tam, gdzie nie wjedzie samochód. Oglądając mapę, stwierdził, że w dwadzieścia minut bocznymi drogami może wyjechać ze stanu Nowy Jork do Connecticut. W ciągu godziny będzie w Danbury, a stamtąd pojedzie autobusem Greyhounda na północ do Bostonu. Dalej bez trudu wypłynie ze Stanów Zjednoczonych statkiem albo wyleci samolotem. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i podniósł głowę nad szklanki. Bar miał kształt długiego prostokąta z wnękami wzdłuż obu ścian i stolikami pośrodku. Przy drzwiach ustawiono ladę, z tyłu sali umieszczono niewielki podest z fortepianem. Przy drzwiach stała kobieta ze sporą torebką na ramieniu i czekała, aż oczy jej przywykną do mroku. Miała trzydzieści kilka lat, blond włosy. Była zaskakująco ładna - duże inteligentne oczy, wystające kości policzkowe i usta nieco za duże, co dodawało jej tylko atrakcyjności. Powiedziała coś do barmana, który skinął głową i zniknął na zapleczu. Przeszła na sam koniec baru i zatrzymała się przy stoliku przed wnęką Bone'a. Zdjęła torebkę i postawiła ją na krześle stojącym naprzeciwko zamachowca. Odetchnęła głęboko, sięgnęła do torebki, z której po chwili

poszukiwań wyciągnęła paczkę lucky strike'ów. Najwyraźniej nie miała zapalek ani zapalniczki.

- Cholera! - Zernęła na Bone'a i uśmiechnęła się. - Nie ma pan przypadkiem zapalek?

Bone wysunął się ze swojej wnęki, zrobił dwa kroki i spod sprężyny na spodzie metalowej zapalniczki wyjął kartonik zapalek. Dokładnie takie same leżały pod jego popielniczką i pod każdą inną w barze. Wydarł jedną zapalke, zapalił i podał ogień kobiecie. Wysunęła papierosa z paczki, wcale nie zdziwiona, że zapalke miała cały czas pod nosem.

- Mogę się przysiąc? - zapytał Bone. Kobieta nie wyglądała na prostytutkę, a to czyniło sytuację bardziej intrygującą.

- Jasne - odparła. - Statki, które mijają się nocą i te rzeczy. - Bone odszedł po swoją szklanke i wrócił do stolika. - Nazywam się Jane. A ty?

- John.

- John i Jane. To pasuje.

- Pasuje?

- Do statków mijających się nocą.

Barman wyszedł z kuchni, niosąc na tacy kanapkę. Zatrzymał się przy barze, nalał szklanke piwa, wszystko to przyniósł do stolika Jane. Wyjęła trzy dolary z torebki i pokazała, że reszty nie trzeba. Zdusiła papierosa w popielniczce.

- Sałatka jajeczna - stwierdziła, podnosząc kanapkę do oczu. Ugryzła spory kęs, otarła usta chusteczką i popiła piwem. Zaczęła się zastanawiać, co też najlepszego robi. Zadzwoiła do Plaża i zostawiła wiadomość z numerem telefonu i nazwiskiem. Potem jak idiotka weszła do baru i usiadła trzy metry od zabójcy. Takie numery jak ten z zapalkami Myma Loy robiła w filmie *Thin Man*, by nawiązać

kontakt z podejrzanym. I trzeba przyznać, że zadziało.

- Spojrzała na mężczyznę przy stoliku.

- Chcesz mi zadać jakieś naprawdę durne pytanie.

- Czyżby?

- Chciałeś zapytać, co taka dziewczyna jak ja robi w takim miejscu jak to.

- Przemknęło mi to przez myśl - odparł. - Nieczęsto spotyka się atrakcyjne kobiety w barze w Poughkeepsie.

- Jane uśmiechnęła się i pociągnęła kolejny łyk piwa. Jakoś dziwnie wymawiał słowo „Poughkeepsie”. Okropne było też to, o czym zaczynała myśleć. Był przystojny jak diabli, choć miał w sobie coś z ducha. Najbardziej intrygujące było zimne spojrzenie jego szarych oczu. Była w nich gwałtowność i jakiś straszliwy głód. Czują, że uginają się pod nią kolana. Gdyby miała teraz wstać, osunęłyby się na ziemię. Znów ugryzła kawałek kanapki i popiła piwem.

- A więc co taka dziewczyna jak ty robi w takim miejscu jak to? - zapytał.

- Jestem dziennikarką - odparła Jane. - Pracuję nad tekstem do kolumny towarzyskiej o tym, jak jutro królewska para idzie do kościoła. W Hyde Park w hotelach nie ma już wolnych pokoi, więc przyjechałam tutaj. - Brzmiało to rozsądnie i bez trudu mogła udowodnić, że jest dziennikarką. - A ty?

- Jestem na wakacjach - odrzekł. - Zwiedzam siebie.

- Byłeś na Wystawie Światowej? - Jane przeklinała samą siebie, w chwili kiedy wypowiadała te słowa. Nie gra się w słówka z zabójcą.

- Kilka razy.

- Ekscytująca, prawda?

- Jak dla mnie było zbyt... entuzjastycznie znalazł w końcu właściwe słowo.

Jane pociągnęła długi łyk piwa, ponownie zapaliła papierosa i zapomniała o reszcie kanapki.

- A jak lubisz się bawić? - zapytała cicho. Zdawała sobie dobrze sprawę z tego, co właśnie robi, ale nie wiedziała, dlaczego to robi. Widziała przed sobą wyraźnie noc, niczym wywoływana w ciemni fotografii. Życz mi szczęścia, Annie, pomyślała i zmówiła krótką modlitwę.

- Z pięknymi dziennikarkami, które lubią kanapki z pastą jajeczną i piwo, a na dodatek nie potrafią znaleźć zapalek leżących na stole tuż pod nosem.

- Jestem dalekowidzem.

- Jesteś urocza.

- Założę się, że mówisz to każdej.

Oczywiście na pewno tego nie robił, bo nie musiał. Był uosobieniem marzeń każdej kobiety: bosko przystojny i fascynująco niebezpieczny niczym wąż gotujący się do uderzenia.

- Nie spotykam zbyt wielu takich dziewczyn jak ty.

- Jak ja?

- Nie boisz się.

- Czego? Ciebie?

- Obcy w obcym mieście. Większość kobiet by się bała.

- A powinnam się bać?

Uśmiechnął się i w tym ruchu ust i kącików oczu Jane dostrzegła jakiś fragment ubiegłych lat, cień młodości.

- Niektóre kobiety strach podnieca.

- A ciebie co podnieca?

- Nic - odparł. - Podniecenie może być przyczyną pomyłek. Należy go unikać.

- Nawet w przypadku kobiet?

- Każda reguła ma wyjątek. - Uśmiechnął się ponownie i Jane przepadła.

Rozebrali się po dwóch stronach łóżka w jego pokoju i po raz pierwszy od długiego czasu nie czuła wstydu przed mężczyzną. Wpatrywał się w nią uważnie, a ona w niego. Przyglądała się grze mięśni rąk i klatki piersiowej, kępce ciemnych włosów między sutkami i pulsującemu członkowi, który wstał z plamy czarnych włosów pokrywających jego łono. Zdjęła majtki i położyła się na jasnej pościeli, rozkładając nogi niczym prezent. Położył się na niej. Bicepsy miał naprężone. Nadgarstkami muskał jej piersi nabrzmiałe aż do bólu. Była wilgotna i gotowa na jego przyjęcie, ale i tak poczuła wstrząs, gdy zaczął się w nią wsuwać centymetr po centymetrze i poruszać stałymi ruchami, które zdawały się trwać wieczność. Straciła poczucie czasu, kiedy poprawił się i zmienił pozycję. Po jakiejś nieskończonej długiej chwili zarzucił sobie jej nogi na barki i zaczął w nią wchodzić gwałtownie, dziko. Jednocześnie rękami objął jej plecy i poruszał jej ciałem delikatnymi ruchami, dzięki czemu jej biodra unosiły się w górę. Przez moment pomyślała, że może jednak wszystko to jest pomyłką. Nie, od kiedy zdjął koszulę i ujrzała siniaki, jakie zostawiły po sobie kule Thomasa Barry'ego, wiedziała, że jej nadzieje są płonne. Naznaczony przez Tommy'ego mężczyzna eksplodował w niej tak mocno, że poczuła, jakby ją coś w środku rozdarło, wypaliło i zniszczyło duszę. Mimo że skończył, nadal przez długi czas tkwił w niej sztywny. W końcu niezwykle delikatnie wycofał się centymetr po centymetrze. Położył się obok niej. Oddech miał niewiele głośniejszy niż normalnie. Odwróciła się na bok i położyła rękę na jego piersi, by poczuć bicie serca.

- To prawda - szepnęła.

- Co?

- Nic. Przypomniało mi się coś, co kiedyś ktoś mi powiedział. - Był duchem, tak jak mówił Thomas Barry. Podniosła się. - Muszę skorzystać z łazienki.

- Nie spiesz się ze względu na mnie - odparł głosem podobnym do głosu Tommy'ego. Podobny głos, dwaj tak różni mężczyźni. - Zapalę sobie twojego papierosa. Ja przynajmniej wiem, jak znaleźć zapalnik.

- Nie ma sprawy. - Serce waliło jej jak młotem. - Ale muszę pożyczyć twoją koszulę. Trochę tu chłodno. - Drżała, wcale nie z zimna.

- Jasne. - Włożyła jego koszulę, podeszła do torebki i rzuciła mu paczkę lucky strike'ów z zapalnikami wetkniętymi za celofan. Złapała paczkę jedną ręką. W czasie gdy zapalał papierosa, Jane przeszła do łazienki z rękoma skrzyżowanymi pod biustem.

W łazience oparła się o drzwi i ze wszystkich sił powstrzymywała przed płaczem. Właśnie kochała się z zabójcą i nigdy w życiu nie była tak podniecona. Właśnie zdradziła mężczyznę, dla którego zaczęła tracić głowę. Stała teraz półnaga w łazience, zastanawiając się, co począć dalej. Wyjęła lewą rękę spod koszuli i ostrożnie położyła na spłuczce pistolet.

Gdyby John, pan Green czy jak mu tam zaczął szukać papierosów u niej w torebce, wszystko natychmiast by się skończyło. Kulka w głowę, tak jak Howie. Poczula, że do oczu napływają jej łzy, i szybko je otarła. Nie płakała nad biednym Howiem. Płakała nad sobą, zadziwiona sobą, przerażona mężczyzną, który leżał nagi za drzwiami. W podbrzuszu czuła nadal żar, jaki wchłonęła od niego niczym od gorącego pieca.

Zacisnęła oczy i próbowała postawić się w sytuacji tego mężczyzny. Ktoś, kto następnego dnia ma zabić króla i królową, mógł pragnąć kobiety w łóżku, ale zapewne wtedy wynająłby prostytutkę,

których nawet w Poughkeepsie musiało być kilka. A co można sobie pomyśleć, gdy w środku nocy w hotelu pojawia się kobieta, mówi, że jest dziennikarką piszącą o parze królewskiej, i pyta o Wystawę Światową w Nowym Jorku?

Można nabrać podejrzeń. A co wtedy? Wtedy ten sukinsyn powinien przeszukać moją torebkę, pomyślała. Właśnie tak. Przeszukałby torebkę, gdy tylko zamknęłyby się za nią drzwi.

I co by tam znalazł? Jezu, znalazłby wszystkie numery i nazwiska notowane na karteczkach, opis powrotu Howiego z Florydy i jego nazwisko, nazwisko asystenta z firmy prawniczej, nazwisko i stopień Hennessy'ego, nazwisko Tommy'ego i słowa „Scotland Yard” obok. Na chusteczce z Claremont Inn znalazłby rysunczki postaci w koronach i postaci strzelającej do nich z pistoletu.

Dość, by oskarżyć, skazać, wymierzyć karę i wykonać egzekucję za grzech głupoty. A co najgorsze, myślała teraz jedynie o tym, że zimno jej w stopy na białych kafelkach i że na odbiciu w lustrze nad umywalką ma koszmarnie rozczochrane włosy. Nagle na ułamek sekundy przed oczami stanęła jej wizja krwistych róż wykwitających na białej koszuli dokładnie w miejscach, gdzie uderzały go pociski Tommy'ego.

Odsunęła się od drzwi i podniosła pistolet. Przesunąć bezpiecznik w dół, odciągnąć zamek, załadować pocisk do komory i pociągnąć za spust. Osiem strzałów. Przyłożyła ucho do drzwi, ale niczego nie słyszała. Chwyciła ręcznik z wieszaka i zawinęła pistolet, kciukiem przesuwając bezpiecznik. Ręcznik stłumił też szcęk odciąganego zamka. Znowu przyłożyła ucho do drzwi. Nic. Może w ogóle się nie poruszył i pali papierosa wpatrzony w sufit, podczas gdy jego wielki członek leży na udzie i czeka aż ona wróci z łazienki, by mogli zacząć wszystko od nowa. Będzie wyglądała jak idiotka, kiedy wyjdzie w

jego koszuli z pistoletem wycelowanym w niego, krzyząc: „Ręce do góry. Aresztuję cię w imieniu prawa!”

Ale on nie będzie leżał na łóżku skąpany w blasku latarni zza okna. Będzie czekał pod drzwiami, by ją zabić. By udusić ją poduszką czy paskiem, czy skrócić kark silnymi rękoma. Wszystko odbędzie się szybko i po cichu, a ona nie będzie miała dość ikry, by wycelować w niego pistolet i pociągnąć za spust; takie rzeczy robili tylko policjanci i zabójcy, a ona nie była ani jednym, ani drugim. Należała do tych ludzi, których czasem fotografowała na zlecenie Dana Hennessy. Będzie kolejnym Howiem Rainesem, porzuconym gdzieś w rowie, któremu policyjny fotograf ułoży obok głowy drewniany wskaźnik ze stronami świata.

- Niedoczekanie - szepnęła.

Zacisnęła zęby, otworzyła drzwi i weszła do pokoju, podnosząc walthera. Następnego dnia, tygodnia, miesiąca i dziesięć lat później wciąż pamiętała, że w tamtej chwili czas się zatrzymał. Widziała, jak jej kochanek siedzi na łóżku, na którym leży rozrzucona zawartość torebki. Miał na sobie spodnie i pochylał się nad swoją walizką. Wyjmował właśnie płaskolufowy karabin i kciukiem odciągał bezpiecznik, jednocześnie podnosząc broń i mierząc do Jane. Dokładnie w tej samej chwili rozległ się trzask i drzwi do pokoju wypadły z futryn. Do środka wpadli Hennessy i Tommy z bronią gotową do strzału. Ale było już za późno - jej kochanek obrócił lufę karabinu na pierwszy odgłos od drzwi i strzelił.

Ona też zaczęła strzelać. Palcem pociągała za spust, pistolet szarpał się w jej dłoniach. Wpakowała w niego wszystkie osiem kul, dziurawiąc mu ciało od uda aż po szczękę. Krew tryskała na wszystkie strony z tętnicy udowej. Jedna z kul przeszła pod ramieniem przez płuca i serce. Siódma i ósma kula oderwały mu

część twarzy i rzuciły na ścianę. Kawałki kości zagrzechotały o tapetę niczym kości do gry tuż przed rzutem na stół. John Bone padł na podłogę w kałużę krwi.

- Tym razem nie było kamizelki - odezwał się Dan, chowając pistolet do kabury. - Nieźle strzelasz, Janey.

Stała jak zaczarowana, pusty pistolet zwisał jej z ręki, w pokoju czuć było odór krwi i prochu, a w uszach wciąż dźwięczał jej huk wystrzałów. Odwróciła się i zobaczyła, że Tommy patrzy na nią, stojącą w koszuli zabójcy. Na jego twarzy, jeszcze przed chwilą pełnej przerażenia, zagościł uśmiech ulgi. Płacząc, wtuliła mu się w ramiona.

Epilog

W trakcie weekendu w posiadłości prezydenta w Hyde Park doszło do kilku spotkań między Rooseveltem, Jego Królewską Mością i Cordellem Hullem. Spotkania odbywały się późnymi popołudniami, a ich przebiegu nigdy otwarcie nie komentowano. Omawiano na nich amerykańską strategię, która w końcu przybrała formę ustawy Lend Lease. Wprawdzie Roosevelt nie zobowiązał się do zaangażowania w wojnę w Europie, ale zapewnił króla, że wkroczy, jeśli Hitler zaatakuje Anglię. Pod koniec weekendu król, królowa i ich świta wsiedli ponownie do pociągu i odjechali najpierw do Kanady, a potem do Anglii.

Tożsamości mężczyzny, który zginął w pokoju 509 w Poughkeepsie Inn nie udało się ustalić. Uznano, że zabijając go, Jane Todd, fotograf z Nowego Jorku, postąpiła słusznie i po krótkim przesłuchaniu przed sądem hrabstwa Duchess sprawę zamknęto. Akta jednak są dostępne publicznie i w każdej chwili można je przejrzeć, o ile ktoś uzna to za konieczne.

Ciało Johna Bone'a skremowano, a prochy rozrzucano bez żadnej ceremonii ani odnotowania miejsca.

Choć FDR dowiedział się o próbie zamachu dokonanej przez Bone'a i o spisku, którego była wynikiem, zajął się sprawą po cichu, zamiast publicznie prać brudy Partii Demokratycznej. Wymagała tego zarówno jego pozycja polityczna, jak i dobro kraju stojącego na krawędzi wojny. Po wizycie królewskiej FDR był o tym coraz bardziej przekonany.

W ciągu dwunastu miesięcy od wydarzeń na Wystawie Światowej

szeft poczty Farley został usunięty ze stanowiska w administracji. Pozbawiono go też funkcji partyjnych zarówno na szczeblu okręgowym, jak i krajowym. Przejął je po nim Ed Flynn. Przed wyborami w 1940 roku Roosevelt nagle i bez ostrzeżenia zrezygnował z kandydatury „Kaktusa” Jacka Garnera na stanowisko swojego wiceprezydenta. Jego miejsce zajął Henry Wallace. Joseph P Kennedy został odwołany z funkcji ambasadora przy Dworze Świętego Jakuba najszybciej, jak było to możliwe ze względów dyplomatycznych. Nigdy nie objął już urzędu publicznego.

Uważany za jednego z najbardziej niebezpiecznych uczestników spisku przeciwko Rooseveltowi Allen Dulles, prawnik z firmy Sullivan i Cromwell, dostał prosty wybór: albo więzienie, albo współpraca. Roosevelt zawsze wolał mieć wrogów pod ręką, gdzie ich widział. Dulles dostał propozycję współpracy ze znajomym prawnikiem prezydenta Billem Donovanem, który organizował Biuro Usług Strategicznych, wywiad złożony z absolwentów najlepszych uczelni, dopasowany idealnie do osobowości Dullesa. Po wojnie i po śmierci Roosevelta Dulles został szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej, a jego starszy brat, również prawnik z firmy Sullivan i Cromwell, otrzymał stanowisko sekretarza stanu. Kardynałowi Spellmanowi nie udowodniono bezpośredniego udziału w spisku, choć FBI w teście na temat Joe Kennedy’ego odnotowało wizytę Farleya u kardynała, który na początku roku gościł w rezydencji Kennedy’ego w Palm Beach.

Percivał „Sam” Foxworth zginął w Afryce Północnej podczas tajnej misji wojennej.

Sean Russell zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego na pokładzie niemieckiego okrętu podwodnego, który w 1941 roku wiozł go do Irlandii po jednym ze spotkań w Berlinie. Został pochowany na

morzu, a jego pomnik do dziś stoi w parku w Dublinie.

Siostra Jane Todd zmarła na gripę niespełna rok po wydarzeniach tu opisanych. Z powodu ran odniesionych podczas wybuchu w mieszkaniu, Jane nie przyjęto do wojskowych oddziałów kobiecych. Wybrała się więc do Hollywood, gdzie została w końcu wziętą agentką wielu znanych osobistości. W 1972 roku napisała autobiografię *Gorąca Toddy*, ale nie wspomniała w niej nic na temat swoich przeżyć podczas królewskiej wizyty w 1939 roku.

Sheila Connelly została w IRA do końca życia. Pełniła funkcję kuriera i od czasu do czasu kierowcy. Podczas wojny wyszła za członka IRA, O'Toole'a i urodziła mu dwójkę dzieci - Eamona i Seana. Jej męża skazano w 1947 roku za morderstwo i wyrok wykonano. Sheila przeżyła swoje dzieci. Eamon zginął w potyczkach z rojalistami podczas marszów w 1958 roku. Sean zmarł w 1964 roku w wypadku podczas dostawy czeskiego materiału wybuchowego o nazwie semtex.

Sama Sheila Connelly zginęła w podobnym wypadku, wioząc ponad sto kilogramów semteksu do magazynu IRA w Clonmany koło Malin Head. Na szczęście do wypadku doszło wczesnym rankiem na pustej drodze i nikt inny nie ucierpiał. Wybuch słyszano jednak podobno aż w Buncranna, trzydzieści kilometrów dalej.

Thomas Barry wrócił do Anglii natychmiast po opisanych tu wydarzeniach. Kilka tygodni przed wybuchem wojny zrezygnował z pracy w Scotland Yardzie i wstąpił do wywiadu wojskowego. Został w końcu wysokim oficerem MI-5. Odszedł na emeryturę w 1965 roku i w następnym roku otrzymał tytuł szlachecki za długą służbę Koronie. Ze względu na ustawę o tajemnicy państwowej nie pozwolono mu napisać pamiętników, choć i tak pewnie by tego nie zrobił. Do Irlandii wrócił tylko raz - na pogrzeb Sheili Connelly,

który odbył się na cmentarzu katedry Świętego Patryka w Armagh dwunastego lipca 1974 roku. Jego obecność na nabożeństwie w Ulsterze została zauważona i uwieczniona na zdjęciach. Byli koledzy z MI-5 pytali go o to, ale odmówił odpowiedzi. Sprawy nie ciągnęto dalej. Sir Thomas Barry pozostał kawalerem do końca życia. Zmarł w 1980 roku w niewielkiej wiejskiej posiadłości Glory w Herefordshire. Jak zażądał w testamencie, kilkaset listów pisanych do niego przez Jane Todd w latach 1940-1978 spoczęło razem z nim w trumnie.

Drugi cel Johna Bone'a - królowa Elżbieta, czyli Królowa Matka, niegdyś zwana przez swego męża Buffy - żyła długo i do końca życia uwielbiała błękitne sukienki i różowe róże Betty Prior.

Christopher Hyde

Dublin, Republika Irlandii, 1999

Nassau, Wyspy Bahama, 2001